

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches  
Centimetres  
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





Wspomnienia z Syberyi od r. 1863—1869

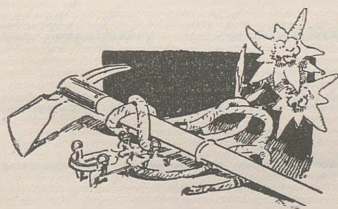
92:93(438)10

Ludwik Jastrzębiec Zielonka

---

# WSPOMNIENIA Z SYBERYI

od roku 1863—1869



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1906

Instytut Techniczny

WSPOMNIENIA Z SYBERJI



34405/2



Z drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem A. Świerzyńskiego.

1905

Czcigodnym Polkom, szlachetnym Opiekunkom  
więźniów politycznych cytadeli warszawskiej  
a w szczególności:

Pani Maryi Bauerseina

i ceniom ś. p.

Pauliny Kraków

i Apolonii Swieszewskiej

poświęca te obrazki z katorgi

na dowód niezatartej pamięci i dozwonnej wdzięczności

Autor.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

SERYA PIERWSZA

---

OBRAZKI Z KATORGI

SERIA PIERWSZA

OBRAZKI Z KATORGI

I.

E t a p y.

---

Pierwszy pochód. Pół etap. Transport więźni. Etap Kuściera.  
Pomieszczenie. Naczelnik i pani naczelnikowa. Przekupki.  
Śniadanie u naczelnika. Dalsza droga.

Było to wśród ostrej zimy Sybiru 1863 r., gdy w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia trzydziestu sześciu Polaków, tak nazwanych politycznych przestępców, ze czterystoma moskiewskimi zbrodniarzami wysłano pieszo, etapnym porządkiem, w długi, uciążliwy pochód do kopalń Nerczyńskich, przeszło cztery tysiące wiorst oddalonych od Tobolska.

Jakim Bożym cudem przebyliśmy pierwszy półetap? nie mogę zdać sobie z tego sprawy. Szedłem wraz z innymi towarzyszami niedoli odurzony jednostajnym brzękiem kajdan, przekleństwem pędzonych, świstem kozackich nahajek, nieustannem kolbowaniem pozostających w tyle, i ciągłym krzykiem żołdactwa *stupaj poskorej*. Pamiętam tylko, że późno już w nocy przybyliśmy do jakiejś wioski zasypanej prawie śniegiem, że otwarła się jakaś ciężka brama drewniana, i że nas tam blisko pięćset, jak było, wepchnięto. Tak stłoczeni mieliśmy noc przepędzić. Posiliwszy się kawałkiem razowego chleba, siedząc skurczeni na wilgotnej ziemi, znużeni zasnęliśmy snem głębokim.

Nie wiem jak długo mógł trwać ten sen; gdy przebudziły nas przeraźliwe krzyki *wstawaj poskorej, w pochod rabjata*. Przetarłem oczy, zerwałem się i oprzytomniałem, i do-

piero teraz całe nasze opłakane położenie stanęło mi jasno przed oczyma. Był to pierwszy półetap, pierwszy nocny odpoczynek, początek naszej długiej wędrówki przez odludny step Sybiru.

Dnia 18. stycznia 1864 roku mróz był silny, wiatr dął od północy, a jedną jedyną drogą z Czyściak do Kuściery, idącą w stronę północno-wschodnią, przecinającą nieprzejrany step, posuwa się szparko masa ludzi, rozmaitego wieku, kształtu, postaci i rysów, a wszyscy ci razem dziwnie wyglądają. Na głowach niosą coś nakszałt baranich czepców, kozuchy różnego kroju i koloru, większa część siercią do góry powywracane; na nogach jeszcze coś dziwniejszego, bo tego ani butami, ani chodakami nazwać nie można, są to tak zwane koty, więcej okrągłe jak podługowate bez napiętek, ze żółtymi z baraniej skóry cholewami, wynalazek czysto moskiewsko-mongolski. Na przodach, tyłach i po bokach tych ludzi idą i jadą konno ludzie jeszcze rozmaitszego ubioru, każdy z nich ma zawieszony na plecach karabin w różnorodnych sukiennych, skórzanych i płóciennych futerałach, nogi zaś poobwijane w grube, sznurami poprzymocowywane kawałki sukna.

Mróz musi wszystkim porządnie dokuczać, bo pomimo prędkiego marszu, widać nie jednego biegnącego, rękoma się bijącego młodzieńca, tu znowu drugich, nacierających śniegiem odmrożone członki, a u każdego z tych ludzi, choćby miał najmniejszy zarost, wisi u wąsów i brody bryła lodu, która powiększa się coraz bardziej. Za tem wszystkim wloką się sanki za sankami, jednokonne, napełnione ludźmi rozmaitego wieku i obojga płci, a wszystko to, jak i konie pokryte jest grubym, białym szronem.

W całej tej grupie pędzonych panuje uroczysta cisza, przerywana jednostajnym brzękiem kajdan i skrzypieniem śniegu pod wpływem silnego mrozu.

Uszedłszy taką równą, nieprzejrzaną okiem przestrzenią trzydzieści trzy wiorst, daje się widzieć nagle, jakby ze

śniegu wyrastająca, na żółto malowana ze zielonym dachem cerkiew, naprzeciwko niej tożsamo na żółto malowane zabudowanie, tylko z czerwonym dachem, naokoło grubymi, wysokimi ostrokołami otoczone. Koło tych dwóch zabudowań stoją jakby na straży półwałące się chaty, a prawie na każdej z nich jest tablica z napisem „Sprzedaż wódki i napojów“. Przy jednym z tych zabudowań, otoczonem ostrokołem, zatrzymała się ta masa ludu.

Z grupy konwojujących Mongołów wystąpiła jedna postać w wielkiej baranej czapce, w ogromnych na nogach papuciach, w kozuchu, którego koloru z powodu brudu trudno było rozpoznać. U boku jego wisiało coś nakształt szabli, ale więcej do kopystki podobne. Figurą ową był wachmistrz, pan jakich mało, bo pierwsza osoba po tutejszym naczelniku *praporszczyku*.

Wyszedł i chrapliwym głosem zawołał:

— Partya stawaj trzy a trzy!

Na ten przepity głos, więcej do zwierzęcego ryku podobny, zaczął się w tej grupie niezwykły ruch i mięszanina. Partya stanęła. Na prawo stoją ludzie barczyści, twarze ich poorane zbrodniami i występkami, dzikość zwierzęca maluje się w ich wzroku, wszyscy z ogolonemi głowami, wielu nosi wypalone piętna na policzkach i czole, na prawym policzku K, na czole A, a na lewym policzku T, co oznacza katorżnik; większa połowa nosi golone brody, co znów oznacza, że są ze stanu wojskowego, a wszyscy mają kajdany na nogach; są to tak zwani *kandalszczyki*, najwięksi zbrodniarze moskiewscy. Ten w partyi u nich ma największe poszanowanie, kto najwięcej zbrodni popełnił, i najwięcej dusz na tamten świat wyprawił; dalej stoją tak zwani *posileńcy*, podczas marszu do żelaznego drąga parami przykuci, ludzie rozmaici, za większe i mniejsze zbrodnie, a wielu nawet z grymasu pańskiego, że biedni, na Sybir wysłani; dalej stoją kobiety i dziewczki za rozmaite przestępstwa i zbrodnie tak do ciężkich robót, jak i na zaludnienie w Sybir pędzone, na

końcu zaś żony, dzieci a nawet i rodzice, towarzyszący swym mężom, ojcom, dzieciom, braciom lub siostram na wygnanie. Zaiste wielkie dobrowolne poświęcenie, do którego ich knut wielkiego cara zmusza. Na boku zaś całej tej grupy stoi osób przeszło trzydzieści; ich twarze, ubrania różnią się od tamtych, wszystko to prawie młode, silne, z ich ocz pała groźba i zemsta, nawet sam wrzeszczący Mongoł z pewnem poszanowaniem koło nich przechodzi, a z niezwykłą bojaźnią zbliża się. Garstka ta, pędzona razem z tymi zbrodnierzami, są to Polacy, tak nazwani *buntowszczyki*, *miatieżniki*.

Pan wachmistrz zaczyna rachować od prawego, raz, dwa, trzy, i już doszedł do 79, ale jakie nieszczęście, z tej to liczby zeszedł na 60, a straciwszy dalszy rachunek, zaczyna na nowo. Jest to już czwarta godzina wieczór, wszyscy jeszcze na czczo, mróz wzmagą się coraz bardziej, zimno strasznie dokucza, trudno już wystać. Słysząc groźby mężczyzn, przekleństwa kobiet, jak i płacz zmarzniętych i zgłodniałych dzieci, które nadaremno do piersi swych matek się tulą. Tam znowu słyszysz nieszczęśliwą matkę wydającą krzyk rozpaczy, bo jedyne jej kochanie skonało ze zimna na jej rękach. Jednak to wszystko nic nie pomaga i ów wielki człowiek, nie zważając na taką drobnostkę, rachuje od początku — skończył. „Chwała Bogu“, krzyknęliśmy wszyscy, ale była to radość tylko chwilowa, bo zapomnieliśmy, że trzeba będzie jeszcze te liczby przez trzy pomnożyć, a tego trudno wymagać od wachmistrza, a nawet od niejednego oficera etapowego, tak daleko nie sięga oświata tamtejszych moskiewskich dostojników, to też i nasz komendant natężył swój umysł, czoło i brwi zmarszczył, palce u rąk puścił machinalnie w ruch, i po długim takim natężeniu mózgownicy, przyłożył palec do czoła, podumał, pokiwał, i rzekł sam do siebie: „o znajdują się wszyscy“. Potem obrócił się do stojącej gromady, z której każdy miał już jedną nogę wysuniętą naprzód, gotową do biegu, i rzekł protekcyjnalnym głosem: *stupajcie*.

Na to czarodziejskie słowo lotem błyskawicy rzuciła się ta masa ludu ku bramie, której na nieszczęście pana naczelnika otworzyć nie zdołano. Myślałby kto, że brama proporcjonalnie do ostrokołów zrobiona, lub żołnierz stojący na warcie zdoła powstrzymać pęd zmarzniętego narodu? Grubo by się omylił, bo z taką siłą uderzyła ta masa ludu, że pękły silne żelazne zawiasy, i brama z łoskotem runęła na ziemię.

Żołnierz, który zaledwie uszedł przygniecienia ciężarem walącej się bramy, został pomimo krzyku i bagnetu przewróconym, a wszystko biegło, przeskakując przestraszonego. Każdy chciał być pierwszy, każdy chciał zająć miejsce na tapczanie (pryczy), nikt nie chciał być ostatni, nikt nie chciał dniówki przepędzić pod tapczanem, lub na ziemi w błocie koło szaflików. A jednak trzydziestu kilku z tej grupy nie leciało, nie biegło; szli poważnie i powolnym krokiem, spuszczać się na wspaniałomyślność swych kolegów złodziei i rozbójników, zostawiających im w jednym kącie kawałek miejsca, gdzie zaledwie dziesięciu pomieścić się mogło; reszta musiała szukać legowiska w błocie i wilgoci na ziemi, a do tego w izbie źle ogrzanej. Bo cóż było robić? Sprzezać się z nimi nie wypadało, a tem mniej jeszcze prawem kułaka i pięści zdobywać sobie miejsca.

Pomieściliśmy się jak było można. Przeziębnięci i zgłodnieli z niecierpliwością oczekiwaliśmy tej pożądanej chwili, w której będziemy mogli się posilić i rozgrzać zmarznięte żołądki. Targówki (przekupki) pod bramą z jedzeniami czekają już i żądają, aby ich wpuszczono, ale żołnierz, stojący na warcie przed obaloną bramą, widząc, że jego połowica, także targówka, jeszcze nie przybyła, bojąc się stracić kilka groszy, nie puszcza innych. Głód dokucza, jedzenie postygło, a żołnierki nie widać. Nareszcie nadeszła; żołnierz robiąc jej przejście, aby mogła wejść pierwsza i najkorzystniejsza zająć miejsce, puścił ją naprzód, a za nią dopiero resztę kobiet.

Targówki zasiadły na wzór naszych przekupek dokoła podwórza. Przyniesiono różnego jada, mleka, śmietany, sera, rozmaitych kasz, kartofli, różnorodne przysmaki sybirskie, jak bliny (rodzaj naleśników), różne pieczyście z mięsa bardzo podejrzanego jakości, a nawet domowe koty, które miały zastępować zające, a najwięcej do picia kwasu sybirskiego. Pomimo że to wszystko sprawiało rodzaj obrzydzenia, jednak po pięciomilowej przechadzce, którą odbyliśmy brnąc nieraz po kolana w śniegu, i po całodziennym przeposzczeniu się, brało się wszystko chętnie, a jak to smakowało!

Gdy już tak wszystkie targówki zasiadły, rzucili się, najpierw nasi kochani koledzy, zabierając nam wszystko co lepsze z przed nosa; jedni płacąc, a drudzy nawet darmo. Dla nas nic prawie nie zostało, lub to, czego już nikt brać nie chciał. Na dziś jednak rzecz się miała inaczej; szczęście gwiazdy sybirskiej co do jedzenia i nam zaświeciło.

Na rogu koło parkanu usłyszeliśmy jakiś donośny głos kobiety, która odganiając natarczywych łotrów, nielitościwie krzyczała:

— To nie dla was, to dla Polaków, oni lepiej płacą jak wy!

Na takie wezwanie pobiegliśmy w to miejsce, i zobaczyliśmy ogromną kobietę, ubraną w świąteczny szlafrok, gdyż to było święto Jordana, na głowie miała chustkę czerwoną, twarz wielką, a nos podobny do koloru chustki przekonywał nas, że nasza przyjaciółka nie pogardza spirytualnymi napojami. Gdy zobaczyła nas, niewypowiedziana radość zabłysła na jej twarzy i zawołała:

— Panowie, panowie! ja was bardzo Kocham, wy ludzie bogaci, ja jestem pani, żona tutejszego naczelnika, a córka majora z Petersburga; ja już wiem, jak dla was gotować, wy ludzie delikatni, dobrze za wszystko płacicie, skosztujcie jakie smaczne!

— Tak, tak, bierzcie od niej — odezwał się z tyłu jakiś chrapliwy, nieprzyjemny głos — bierzcie jedzenie od

niej, to jest moja żonka, a ja jestem oficerem i tutejszym naczelnikiem.

Oglądaliśmy się i zobaczyliśmy za sobą człowieka małego, z porządnym brzuszkiem, a jeszcze porządniejszym nosem, świadczącym, że w przekonaniu, co do spirytualiów żyje w kompletnej harmonii ze swoją szanowną połowicą. Na głowie miał dużą, baranią czapkę, z pod której komi-cznie ta mała pucułowata figurka wyglądała; na wierzchu zarzucony kozuch, a z pod niego mundur oficerski widać było, jednak dla brudu trudno by było oznaczyć jakiego jest koloru, tylko tyle zauważyliśmy, że miał pełno gwiazd, krzyżów i orderów, małych i wielkich, a były to nie ładajakie, bo z rozmaitego tłuszczu, a najwięcej z tabaki z nosa kapieją. Spodnie na kolanach wytarte, w dole wążkie i obszarpane, na nogach zaś ogromne papucie, co kreaturę tę jeszcze śmieszniejszą robiło. Przepraszam jak najmocniej za ten wyraz, przecież to oficer wielkiego państwa moskiewskiego, od lat dwudziestu praporszczyk carstwa, naczelnik siły zbrojnej w Czyściakach i Kuścierach, pan życia i śmierci. Takim to ludziom powierza Moskwa transportowanie swych więźni, i śmiało można powiedzieć, że od grymasu takiego człowieka zależy życie każdego pojedynczego więźnia. Bo gdy nieraz na etapach tyrańskie i gburowate obejście naczelnika doprowadzało nas do rozpaczy, natenczas wychodząc już z jego terytorium, oświadczaliśmy, że za jego niesłuszne z nami postępowanie będziemy się żalić, odpowiadał nam wręcz:

— E, co tam, i cóż mi zrobicie? Bóg wysoko, car daleko, a ja tu Bogiem, carem, gubernatorem, panem — wszystkim jestem!

Wróćmy do pani naczelnikowej, czyli do jej w dwóch wielkich garnkach znajdującego się kapuśniaku. Rzeczywiście, garnki były czyste, a kapuśniak zgłodniałym wydawał się przewybornym. Uradowani nadzwyczaj tą zdobyczą, podziękowawszy pani naczelnikowej za jej łaskawą o nas pa-



mięć, zapłaciliśmy za ten przysmak dość słono, i zamówiliśmy na jutro taką samą porcję, wyliczywszy przypadającą należytość naprzód. Następnie udaliśmy się do naszych kryjówek dla skonsumowania tego kapuśniaku, służącego nam za całodzienne pożywienie.

Pani naczelnikowa uradowana otrzymaniem od nas pieńdzmi, podskoczyła z radości do góry, złapała swego małutkiego mężulka za poję kozucha i ciągnąc go nielitościwie krzyczała:

— Chodź stary, chodź mój luby stary, dopiero teraz napijemy się wódeczki! — i w lansadach z oczu zniknęli nam w swem mieszkaniu. Pomimo, że Polak jak głodny to zły, wybuchaliśmy homerycznym śmiechem, odprowadzając rozciekawionem okiem tę godną parę małżonków.

Pokrzepiwszy się jadłem, zabraliśmy się do spoczynku, kładąc się jak śledzie jeden obok drugiego, gdzie kto mógł. Dziesięciu słabszych i starszych dostało miejsce na tapczanie, reszta pod tapczanami i obok drzwi koło cebra z wodą i drugiego próżnego, przeznaczonego do ogólnego użytku, posławszy sobie ubranie z siebie zdjęte, buty i kułak pod głowę, a kozuchem przykryci. Jeden drugiego swym ciężarem gniotąc jakoś prędko zasnęliśmy, marząc to o drogiej ojczyźnie, to o pozostałych rodzinach, siostrach, braciach, lub osieroconych dziatkach, to o miłej sercu bogdance, lub dobrych przyjaciołach, wreszcie o koniu, szabli i zemście za narodową krzywdę. Sen, jedyny nasz przyjaciel i pokrzepiciel, przeniósł nas w rodzinne strony, widzieliśmy chaty nasze, nacze żyzne pola i ubarwione łąki, widzieliśmy naszych najdroższych, którzy nas do serca przyciskali. Widać, że Najwyższy, wynagradzając nam nasze trudy i cierpienia, zsyłał na nas takie cudowne i rozkoszne marzenia, których z pewnością nam aniołowie w niebie pozazdrościć mogli. Wstając też rano, każdy z nas, ożywiony jakąś błogą nadzieją, a pokrzepiony na duszy i ciele, znosił cierpliwie, z modlitwą na ustach, jarzmo dnia następnego.

Już było dobrze rano, gdy okrzyk „targówki, targówki“ nas przebudził. Zerwawszy się na równe nogi, ażeby sobie śniadanie zabezpieczyć, wybiegliśmy na podwórze. Pierwszy spotkał nas pan naczelnik, już dobrze podchmielony. Zobaczywszy nas wyciągnął do nas ręce, wołając:

Polacy! ja was bardzo lubię, wy ludzie bardzo porządni i dobrzy; nie myślcie sobie, żeby ja to był sobie taki prosty duraczok, ja liberał, ja wolnodumiec Rosyanin; chodźcie do mego mieszkania na wódkę!

Chociaż z nas żaden nie był wielkim amatorem tego trunku; jednak kieliszek wódeczki, tego zakazanego owocu po więzieniach, przy takich mrozach, przy takich uciążliwych pochodach, był nader pożądaną rzeczą. Nie namyślając się długo, poszliśmy za naszym oficerem. W mieszkaniu, składającym się z trzech pokoi, był wzorowy porządek i czystość. Panią naczelnikową zastaliśmy w negliżu, koło niej zaś dość brudno. Przepraszała nas, że nie jest ubraną, tłumacząc się, iż sobie w nocy do późna ze starym pohulała. Oficer szepnąwszy coś swej żonie do ucha, i czule ją pocałowawszy, rzekł do niej głośno:

— Podajno, lubusiu, tym biednym Polaczkom wódeczki, przypatrz się jacy oni delikatni, tu w spisach carskich, (w papierach, które szły z nami), stoi wyraźnie napisano, że to wszyscy „z dworzan“ (ze szlachty), i że to wszyscy doktorzy?

Gdyśmy się na doktoryzację naszą przez pana naczelnika uśmiechnęli, klasnął w dłonie, i rzekł z uśmiechem i z dumą do swej lubusi:

— A co? nie mówiłem ci, że oni wszyscy doktorzy? ho, ho, ja nie duraczok.

Pani naczelnikowa wyszła do drugiego pokoju. Wkrótce pokazała się butelka z wódką na tacy, zamiast kieliszka, filiżanka, a na przekąskę gotowany suchy groch na talerzu.

Pani oficerowa nalała sobie pierwszą pełną filiżankę, i wychyliła duszkiem, potem swemu mężulkowi mniej pełną,

nam się dostało za ledwie po pół. Przekąśliśmy grochem, który się palcami z talerza brało, i zaczęła się rozmowa w języku rosyjskim, który nielitościwie kaleczyliśmy. Pani naczelnikowa, jako emancypowana kobieta, zajadle broniła płeć piękną sybirską, utrzymując, że klimat sybirski wymaga picia wódki i palenia fajki. Podziękowawszy naczelnikowstwu za ich gościnność, żegnając się, chcieliśmy wychodzić, ale jakie było nasze zdziwienie, gdy pani naczelnikowa kazała sobie za ofiarowane śniadanie zapłacić, i to po piętnaście kopiejek, z *ryła*, jak się wyraziła. Jest to wyraz używany w Moskwie, i świadczący o jej wysokiej cywilizacji, a ma znaczyć „od osoby“.

Nie pozostało nam nic innego, jak zapłacić i przed resztą kolegów zamilczeć, aby nie być za tak drogie śniadanie wymianymi.

Tu muszę nadmienić, że naówczas strata piętnastu kopiejek dla nas była dość znaczną, a wyłom zrobiony w naszych finansach nie był możeby do załatania tak prędko, bo w gubernii tobolskiej braliśmy 7 kopiejek, w gubernii tomskiej 6 kopiejek, a w guberniach krasnojarskiej czyli jeni-sejskiej i irkuckiej, gdzie funt chleba razowego kosztował 4 kopiejki, braliśmy dziennie  $3\frac{1}{2}$  kopiejki, czyli wyraźniej powiedziawszy 7 groszy polskich dziennie, co znaczyło na monetę austriacką około 5 centów. Z tego można sobie łatwo wyobrazić, jak żyliśmy, jaki głód znosiliśmy w tej strasznej drodze.

O tem śniadaniu dowiedziała się wkrótce i reszta kolegów, i weszło w przysłowie u nas na rozmaite zachcianki: „A czy chcesz pić oficerską wódkę w Kuścierach?“

Przez cały ten dzień nie mieliśmy tego szczęścia oglądać państwa naczelników, i nawet kapuśniak, przez nas dnia poprzedniego zamówiony, przysłano nam przez ich *dońszczyka* (służącego).

Przyszła noc. Zamknięto izby, wstawiono szafliki, poszliśmy zwykłym trybem spać wcześniej, aby jutro dodnia

wstać, i w imię Boże brnąć dalej o chłdzie i głodzie przez śniegi i nieprzejrzone stopy Sybiru z etapu na półetap, a z tegoż na etap, i tak dzień po dniu przez dziewięć miesięcy aż do Irkucka.

Biednej matce, której dziecko skołało na rękach, odebrano tegoż samego dnia martwe ciało i nie pozwolono go nawet więcej oglądać. Nie wiem czy w najdzikszym kraju, wśród Hottentotów, coś podobnego zdarzyłoby się mogło.

## II.

### Fabrykacja fałszywych rosyjskich rubli w więzieniach i na etapach Sybiru.

---

Fałszerze i urzędnicy. Książę Suworow. Książę litewscy: Syrwit i Jacewicz. Petersburg. Moskwa. Pochód przez Moskwę. Książę Oboleński. Tobolsk. Gubernator Zenowicz. Urzędnicy gubernialni. Propozycja. Fałszowanie 25-rubłówki. Tomsk. Gubernator Lerche. Fabrykacja pieniędzy. Rewizya. Handel fałszywymi rublami. Krasnojarsk. Gubernator Zamietin. Ojciec Komisarowa. Organizacja cywilnych aresztantów. Maurycy Ritter. Awantura w Zelediewie. Przybycie do Krasnojarska.

Fałszerstwo rosyjskich papierowych pieniędzy jest tak rozpowszechnione po wszystkich więzieniach całej Rosyi, a osobliwie Syberyi, że kto nie chce, wiedzieć musi; a omal wszędzie władza miejscowa, to jest smotrytiel więzienia, strapczy, sprawnik i gubernator nawet — protegując takowe wyroby — robią majątki, a każdy z nich pobywszy lat parę na jednym miejscu, staje się pomieszczykiem, to jest obywatelom ziemskim państwa rosyjskiego, wynosząc pod niebiosy ten liberalny rząd, który dopomógł mu przyjść w krótkim czasie do majątku i znaczenia.

Fałszerstwo pieniędzy odbywa się w carstwie na wysoką skalę. Po więzieniach gubernialnych i większych powiatowych mają od dawna swoje prasy; a papieru, farb i różnych do tego potrzebnych materiałów dostarcza im najczęściej sama władza. W pochodzie zaś na etapach, odbywa

się fabrykacya banknotów z wolnej ręki z nadzwyczaj wielką zręcznością, zapomocą bardzo lichych przyborów, w jednej przeznaczonej izbie *kandalszczyków*, najczęściej pod tapczanami, tak nazwanemi *narami*, w nocy i wśród dnia.

Dozorcy więzienia obojętnem okiem spoglądają na te zbrodnicze frymarki. Do dozorowania więźni bywają użyci wysłużeni żołnierze, przyzwyczajeni do rutyny wojskowej i bezwzględnej subordynacyi, polegającej na urobionej zwyczajem zasadzie: *czyn czyni poczytajeł*. Według tej zasady nie wolno w niczem sprzeciwiać się swemu przełożonemu, co zresztą staje się dla takich dozorców dogodnem i korzystnem. Mając liche utrzymanie, obarczeni po największej części liczną rodziną, muszą najpotrzebniejsze wymagania życia zaspokajać własnym przemysłem. Jeżeli czasem jaki powodowany bądź to sumiennością, bądź żądzą zastąpienia sobie względów do awansu, oznajmić pragnie wyższej władzy o fałszowaniu pieniędzy, to musi najpierw odnieść się do bezpośrednich swoich przełożonych, a wtedy traci nie tylko miejsce, narażając siebie i swoją rodzinę na największą nędzę; lecz zarazem jeśli mu na miejscu karku nie skręca, to z pewnością pozbawiwszy go drogą pozwu i sądu, jako oszczercę wszelkich praw człowieczeństwa, wysłą pocziwca na Jakuty, Kamczatkę lub Sachalin. Tam może śmiało gadać, krzycheć nawet; tam nikt jego krzyku nie usłyszy, i skargi nikt nie przyjmie, jako od pozbawionego wszelkich praw człowieka, któremu prawnie nikt wiary dać nie może. My, cośmy na przestrzeni przeszło ośm tysięcy wiorst (wyżej tysiąca mil), od Warszawy aż do kopalń nerczyńskich, na całej tej drodze nie ominęli ani jednego więzienia, ani jednego etapu, byliśmy naocznymi świadkami tej zbrodni i upadku moralnego, od najwyższych sfer urzędniczych, aż do najniższych posługaczy, z naciskiem to powtarzam: na prawie czterysta więzień i etapów na tym szlaku, ani jednego nie znaleźliśmy, gdzieby fabrykacya pieniędzy na mniejszą lub większą skalę nie odbywała się. Można sobie zatem łatwo

przedstawić ogrom fałszywych rubli w przeciągu jednego roku w obieg puszczonej.

Dnia 27. listopada 1863 roku wywieziono nas w Sybir z Warszawy pod silną strażą wojska i żandarmeryi z cyta- deli na dworzec kolei żelaznej. Pomieszczono nas razem z zesłanymi naszymi paniami w ciemne, żelaznymi sztabami okratowane wozy. W Wilnie przyłączono do nas silną partyę braci Litwinów, między którymi było wielu księży, kobiet i dzieci. Na twarzach nacechowanych boleścią odgady- wałeś zaraz rządy Murawiewa.

Podczas kilkugodzinnego przystanku w Petersburgu, odwiedził nas zacny i szlachetny generał-gubernator Peters- burga, księżę Suworow, prawdziwy przyjaciel naszej naro- dowości, a osobisty wróg Murawiewa-wieszatela. W czasie tej wizyty, gdy Suworow zobaczył niewinne ofary Murawie- wa, naszych księży z Litwy, Syrwitę i Jacewicza, pokutych w kajdany i z ogoloną głową; zbliżył się do nich z przyna- leżną czcią, i zdjawszy kasko z pokorą, acz prawosławny, ucałował ich męczeńską rękę, rozkazał też zdjąć kajdany. Z Petersburga powieziono nas do Moskwy. Z dworca kolei żelaznej przez silną eskortę nie prowadzeni, ale pędzeni do więzienia policyjnego, byliśmy świadkami barbarzyństwa zby- dłego ludu miasta Moskwy. Gdy się wieść rozeszła po Moskwie o przepędzaniu Polaków, zrobiło się zbiegowisko ludu; lżono nas ostatnimi słowami, i rzucano na nas ka- mieniami. Żandarmi, którym byliśmy oddani w Warszawie pod odpowiedzialnością dowiezienia nas do Tobolska, i do- dana eskorta, wiele mieli do czynienia, by nas od napadu i znieważenia pospólstwa uchronić. Widocznie ród niewieści odznaczał się w Moskwie większą ku nam nienawiścią od mężczyzn, bowiem z dworca kolei żelaznej w Moskwie do więzienia szliśmy sześć wiorst drogi pod widokiem nagich okazów, świadczących o dobrej tuszy pięknej połowy rodu stolicy Moskwy; dziś jeszcze na wspomnienie tych chwil rumieniec wstydu pokrywa nasze oblicza. Moskiewki, znać

pod wpływem nienawiści ku nam, przepomniały o wrodzonej kobietom wstydlivości.

Ówczesny gubernator generalny Moskwy, ksiązę Oboleński, widząc to, był tak ludzkim i szlachetnym, że chcąc nam oszczędzić podobnego widoku przy przeprowadzaniu nas na północną kolej do Niżnego Nowogrodu, wystarał się u moskiewskiej arystokracji, że ta nas swoimi ekwipażami na dworzec kolei północnej odwiozła.

Z Niżnego Nowogrodu do Tobolska jechaliśmy pocztą dwadzieścia dni, dniem i nocą, konwojowani przez żandar mów; dwa razy tylko po sześć godzin w Permie i w Ekaterinenburgu odpoczywaliśmy, robiąc przeszło dwadzieścia pięć mil dziennie.

Gubernatorem gubernii tobolskiej był znany ze swej prawości, nieskazitelnego charakteru i nadzwyczaj wielkiej energii — trzydziestokilkoletni, szlachetnych i nader ujmujących rysów — Despot Zenowicz, bicz boży wszelkich nadużyć i złodziejstw, a prawdziwy dobrodziej tamecznego mieszczaństwa i chłopstwa, osobliwie tych ostatnich brał pod swoją szczególną opiekę. Nie dziw więc, że wszyscy sowiecnicy, strapczy, sprawniki, zasidatele i cała różnorodna zgraja „czynowników“ nienawidziła gubernatora.

Jak znał pan gubernator swoich podwładnych i umiał się z nimi obchodzić, przytaczam kilka faktów, które rzucają jaskrawe światło na tamtejsze społeczeństwo.

Zawezwani do biur urzędowych, zobaczyliśmy większą część urzędników, siedzących boso; gdy tak z zadziwieniem tym gołonogim urzędnikom, siedzącym jednak w mundurach, przypatrujemy się, wszedł gubernator, i rzekł po polsku:

— Co tak ciekawie im się przypatrujecie? Oni mają obuwie, ale to jest schowane pod moim kluczem, gdybym im teraz kazał wydać, to za chwil kilka byłiby już wszyscy w szynkach.

Innym znowu razem spostrzegł ów szlachetny gubernator jak sowiecnik (radca) gubernialny, jednemu z naszych

L. N. podał rękę; wpadł jak strzała, złapał za rękę sowieтника, i zawołał gniewnie:

— Wziąłeś łapówkę, gadaj!...

— Nie, wasza ekscellencyo, nie wziąłem — odpowiada zmieszany sowieтник.

— Wziąłeś, mów mi zaraz, gdzieś już schował? I odchyliwszy rękaw od uniformu, zaczął szukać wziętej łapówki.

Dopiero gdy L. N. zapewnił go słowem honoru, że tylko rękę mu podał, powiedział do nas:

— Proszę was, nie dawajcie żadnemu ani grosza, oni, ani ja nawet nie możemy wam nic innego uczynić, tylko to, co przepisy nakazują. Oni by was ze skóry zdarli, to wszystko złodzieje, i mówię wam otwarcie, że tu, oprócz prokuratora Friesego i pułkownika żandarmeryi, niema ani jednego porządnego człowieka!

Pokazało się też, że i w tym Tobolsku, pod taką sprężystą ręką, i tak bystrem okiem, jednak odbywała się fałszywka fałszywych rubli.

Niemało zdziwiliśmy się, gdy w obecności jednego z urzędników więziennych przyszli do nas aresztanci z propozycją zakupienia od nich fałszowanych pieniędzy. Oburzyliśmy się bardzo na tę propozycję, i sądziliśmy, że to jest żart; ani przypuszczaliśmy, żeby coś podobnego w obecności urzędnika proponowano.

Ten, widząc nasze oburzenie, spojrzął na nas z ubolewaniem, i rzekł szyderczo:

— Panowie! toż to u nas rzecz zwyczajna, koby bowiem chciał naszemu carowi rzetelnie służyć, dyabli by go wzięli, albo by musiał wziąć torbę na plecy i kij do ręki, i pójść po zebranych chlebie. Jak ja widzę po was, to wydaje się wam jeszcze dziwną rzeczą sprzedaż fałszywych pieniędzy; gdy tak pobędziecie lat kilka między nami, zmienicie się i przekonacie, że prawdą i rzetelnością w naszej Rosyi daleko się nie zajdzie. Żal mi was, że odsuwacie taki świetny interes, dając wam *czesne* (szlachetne) słowo, że in-

teres przewyborny, papiery bardzo dobrze zrobione, ot zobaczcicie. Bierzemy za nie od kupców po 40 za 100. Wy moglibyście śmiało dać 60 za 100, bo wam, jako przestępcom politycznym, daleko łatwiej mieniać, niżli naszemu bratu zwyczajnemu aresztantowi, jednak od was, że wy ludzie nieszczęśliwi, i macie przed sobą długą drogę, weźmiemy po 25 za 100; wyborny interes, radzę wam jako człowiek rzetelny, kupujcie!

Oburzeni na te słowa, wyrzuciliśmy tego rzetelnego urzędnika wraz z jego współnikami za drzwi, skąd słycać było jego ostatnie słowa: *Wot duraki* (ot głupcy!).

Po tej wizycie i propozycji, długi czas nie mogliśmy pozbierać naszych myśli do ładu, aż wybawił nas z tego kłopotu nasz kapelmistrz ś. p. Włodzimierz Lechowski, który pierwszy odezwał się:

— Ot, kochani bracia, lepiej zaśpiewajmy sobie naszą ulubioną piosenkę:

„Hojda car, hojda car!  
Prawosławny hosudar!“

W naszej partyi między aresztantami znajdowało się kilku fałszerzy, którzy właśnie za te zbrodnie byli wysłani w Sybir do ciężkich robót. Fabryka odbywała się na każdej dniówce. Sprzedaż w gubernii tobolskiej nie wiodła się, ale zato gdyśmy weszli w gubernię tomską, rozpoczęła się na wielką skalę, ku największemu naszemu zdziwieniu, całkiem otwarcie i publicznie.

Ledwie partya przybędzie i stanie przed etapem dla jej policzenia, zjawia się zaraz pop, kupcy i chłopi ze wsi, pytając się głośno przy oficerze i żołnierzach: Czy niema u partyi pieniędzy na sprzedaż?

Na pytanie zgłaszają się fałszerze, pokazują swój towar i targ idzie na dobre. Za wyrób dobry rublami pojedynczemi i trzyrublówkami płacą 40 za 100, za gorszy lub w grubej monecie po 20 do 30 za 100.

Na trzecim etapie przed Tomskiem, którego nazwiska nie pamiętam, zdarzył się arcykomiczny wypadek, który tu jako charakterystyczny przytaczam:

Naczelnik etapu, pijaczyna jak prawie wszyscy, gdy się już partya ulokowała, przychodzi do izb zapytując się, czy niema kogo, któryby mu dwudziestopięćdziesiąt-rublowkę zrobił. Na to zjawia się jeden z łotrów, któremu z ócz bezczelne filuterstwo wyglądało, i woła głośno:

— Ja umiem zrobić, ale potrzebuję na model prawdziwą 25-rublowkę.

Naczelnik uradowany mało co nie uściskał fałszerza. Bierze go do swego mieszkania, obiecując wódki ile tylko zechce, dodając mu młodą i gładką siostrę żony do zabawy. Działo się to w obecności nas. Poznawszy już doskonale tych łotrów, byliśmy pewni, że na dudka wystrychnie oficer, i stało się nie inaczej. Naczelnik postarał się o żądany model, łotra zamknięto w jednym z pokoi mieszkania oficerskiego, dano jeść, postawiono wódkę, a siostra żony zagłędała dość często do młodego i niebrzydkiego więźnia, który rzeczywiście wziął się do pracy.

Ale jakież było zdziwienie oficera, gdy prawie przed samem odejściem partyi oddaje mu ten filut nieskończoną 25-rublowkę.

— Jakto — zawołał naczelnik — nie skończyłeś?

— A nie.

— A dlaczego?

— Bo mnie brakło czasu — odpowiedział z głupkowatą miną filut.

— No, a gdzież jest prawdziwy bilet?

— Niema.

— Jakto niema — krzyknął wściekle oficer — przecież ja go tobie dałem!

— Tak, dałeś, ale go już niemam i nie znajdziesz.

— Każę cię zasiec różgami, okuję cię na gołe nogi i ręce w kajdany.

— Hej *rabiata* — krzyknął do żołnierzy — zrewidować go, a potem pletnię dać tutaj! Ja cię nauczę, jak masz carskiego naczelnika okpiwać!

Gdy już zrobiono ścisłą rewizję, i nic nie znaleziono, rzekł złodziej całkiem obojętnie z angielską flegmą i bezczelnością, wskazującą wytrawnego łotra:

— Wiem, że możesz mię kazać różgami siec i pletniami ciało rwać, nie będzie to po raz pierwszy, kajdan się nie obawiam, zresztą rób ze mną co chcesz, a 25-rublówki więcej nie zobaczysz; wiesz o tem, że idąc do robót ciężkich nic mię już gorszego spotkać nie może; ty zaś każąc mi fałszywe pieniądze robić, możesz dostać się tam, gdzie ja idę; więc radzę ci dlatego po przyjacielsku, bądź cicho, gdyż twoje groźby na nic się nie przydadzą, a 25-rublówki więcej nie zobaczysz.

Oficer wściekał się ze złości, darł sobie włosy na głowie, groził, to wreszcie prosił — wszystko nic nie pomogło, prawdziwej 25-rublówki więcej nie oglądał.

Działo się to ciekawe zdarzenie przed świętami Wielkanocnymi 1864 roku.

W tydzień po świętach przybyliśmy do Tomska, gdzie nas wszystkich zatrzymano.

Zebrało się nas tutaj 120 i przez cztery tygodnie byliśmy w głównem więzieniu pomieszczeni, mieliśmy więc sposobność poznać dokładnie na jak wysoką skalę odbywa się fabrykacja pieniędzy po więzieniach.

Gubernatorem Tomska był Niemiec Lerche, renegat, łotr jakich mało, plaga egipska całej gubernii. Odwiedzał nas w więzieniu dość często. Chciał nas zarówno ze zbrodniarzami traktować, wymyślał różne przepisy na naszą niekorzyść. Oburzony tem postępowaniem jeden z naszych kolegów Litwin, Dr J., znany ze swej szczerości i otwartości, gdy Lerche urządzał nam jakąś nową nieprzyjemność, rzekł na cały głos przy zgromadzonych urzędnikach i oficerach otaczających gubernatora:

— „Już to prawosławny Niemiec to gorszy psa (*hużej sobaki*)“, na te słowa Lerche zbladł, i nie wyrzekłszy ani słowa zaraz wyszedł; od tego czasu nie mieliśmy przyjemności oglądania więcej pana gubernatora.

W Tomsku fabrykacja fałszywych rubli była najbardziej rozwiniętą. W roku 1863 wypuszczono z więzienia za 350 tysięcy rubli fałszywych papierów: a w roku następnym obfitość tychże wyrobów podwoiła się.

Od lat kilkunastu trzymano tutaj fałszerzy niby pod sądem, a właściwie przechowywano ich, aby pod zasłoną więzienia i straży więziennej tem śmieiej wypuszczać mogli w obieg swoje wyroby, którymi całe miasto było przepelnione, i którymi najwięcej Kirgizów uszczęśliwiano.

Żandarmerya w Moskwie stanowi osobną instytucję, niezależną od żadnych gubernatorów, tylko od jedyne go szefa żandarmów, naczelnika trzeciego oddzielenia w ministerjum w Petersburgu.

Żandarmerya Tomska zachodziła w głowy, skąd się bierze tyle fałszywych pieniędzy, a pułkownik ich poruszył wszelkie sprężyny, aby dojść od kogo one wychodzą, lecz nadaremnie.

Jakoś po dwóch tygodniach naszego pobytu w Tomsku, dał się słyszeć niezwykle szmer, ruch i gwar w więzieniu, po niejakej chwili wpadł do nas pomięszany *smotrytiel*, niosąc z nadzorcą niewielką, zamkniętą skrzynię, prosząc, aby przez kilka godzin u nas pozostała. Nic złego na razie nie podejrzewając, nie sprzeciwialiśmy się temu. Po pewnym czasie otworzyły się drzwi, i wszedł pułkownik żandarmeryi z prokuratorem, gubernatorem, policmajstrem i z całą czeredą urzędników.

Gubernator przedstawił nas pułkownikowi, jako Polaków i przestępców politycznych. Wypytywał nas pułkownik, jak długo tu jesteśmy, gdzie skazani i czy nie mamy jakiej skargi? Pogawędziwszy dłużej z nami, ukłonił się i odszedł, zabierając ze sobą całe otoczenie.

Gdy się już wszystko uciszyło, przyszedł *smotrytiel* i podziękowawszy nam za przechowanie skrzynki, kazał takową zabrać.

Dopiero po jego wyjściu dowiedzieliśmy się, że aż do Petersburga doszła wiadomość o tej zbrodni, popełnianej w więzieniu tomskiem, i rozkazano żandarmeryi zrobić ścisłą rewizję, która jednakowoż nie powiodła się.

Teraz dopiero otworzyły nam się oczy, i poznaliśmy, jakiego wybiegu użył *smotrytiel*, i na jaką kompromitację i nieprzyjemność nas naraził, będąc przekonanym, że u nas, jako u więźni politycznych i chwilowo zatrzymanych, rewizya odbywać się nie będzie. W skrzyni tej znajdowały się wszelkie przybory i narzędzia do wyrabiania fałszywych rubli.

Podczas dalszego naszego jeszcze dwutygodniowego pobytu, była rewizya kilka razy, to dniem, to nocą, jednak zawsze bezskutecznie, chociaż skrzynki już więcej do nas nie wnoszono.

W miesiącu maju wyszło nas 50 z nową aresztancką partją, składającą się z 400 osób, ku Krasnojarsku. I w tej partyi tak samo znajdowali się fałszerze, a sprzedaż pieniędzy odbywała się zwykłym trybem i porządkiem.

Fałszerze ze sprzedawanych pieniędzy opłacają dość znaczny podatek do komuny, tak zwanego „artelu partyi“. Tymi funduszami zarządza „starosta“ i *artelszczyk* większością głosów z grona zbrodniarzy wybrani, z tem zastrzeżeniem, że muszą być z grona *kandalszczyków*, to jest największych zbrodniarzy. Do artelu wpływają również pieniądze dane jako *podajanie* (jałmużna), najwięcej jednak zasilają „kasę artelną“ gry hazardowe w karty, które między aresztantami są bardzo rozpowszechnione; grywają po całych dniach i nocach.

Nad artelnymi funduszami jest ścisła kontrola, i pomimo, że w kasie czasami jest kilka tysięcy rubli, deficyt jest tam nieznanym. Przy rozwiązaniu partyi, dzieli się fundusz na równe części, a gdy którykolwiek z członków dla

słabości zostaje w szpitalu, lub z innych przyczyn od partyi oddzielony, to temu przypadającą należytość z najściślejszą sumiennością wypłacają.

W czerwcu przybyliśmy do Krasnojarska, gdzie gubernatorem był Zamietin, czystej krwi Rosyanin, zwierzę prawdziwe, tak pod względem głupoty, jak i dzikości.

Przytaczam tu jedno zdarzenie, świadczące o podłości i głupocie tegoż generała rosyjskiego.

Gdy car Aleksander II ocalony od zamachu na życie przez chłopą Komisarowa, uwolnił od kary tegoż ojca, za złodziejstwa w Sybir do gubernii krasnojarskiej zesłanego, to Zamietin, dostawszy rozkaz uwolnienia go, nie posiadał się z radości, że mu to wielkie szczęście w udziale przypadło, mieć ojca oswobodziciela cara w kraju jemu podwładnym. Chciał być sam zwiastunem tej wielkiej radości. Zwołuje najdosłojniejszych urzędników i wszyscy przybrani paradnie, jadą do wsi o stokilkadziesiąt wiorst oddalonej; tam pan gubernator chłopu, który właśnie za złodziejstwo w areszcie wiejskim znajdował się, pada do nóg, całuje jego nogi i ręce, prosi go jako ojca oswobodziciela najmiłościwszego cara o błogosławieństwo, rozkazuje wszystkim dostojnikom i całemu swemu sztabowi ucałować ręce zdumionego złodzieja, i wiezie go w największym tryumfie przy biciu dzwoń i salw karabinowych do Krasnojarska. Przy wjeździe do miasta archimandryta z duchowieństwem oczekują złodzieja i przyjmują z uroczystością, jakby jakiego panującego. Dla miasta Krasnojarska następują świetne dnie, uroczystość za uroczystością, bal za balem, na cześć wielkiego Komisarowa. Nie dość jeszcze tego wszystkiego, głupota Zamietina posuwa się do najwyższej śmieszności; uroiło mu się w głowie, że ojciec człowieka, który cara oswobodził, powinien być co najmniej generałem, ubiera go więc w swój generalski mundur, i osobiście odwozi do Petersburga. Jakież było jego zdziwienie, gdy tam zamiast podwyższenia pensyi i orderów, oczekiwała go już odstawka.

W Krasnojarsku odbywało się fałszerstwo w tak zwanych celach sekretnych, gdzie fałszerzy po lat kilka, niby pod sądem trzymano.

Przy końcu września przybyliśmy do Irkucka; a zatem z Tobolska do Irkucka szliśmy dziewięć miesięcy, i z czystym sumieniem powiedzieć możemy, że cały nasz dziewięćmiesięczny pochód z aresztami, był to jakby jedna fabryka i jedna sprzedaż fałszywych pieniędzy.

Ile to tysięcy przez ten czas puszczono w obieg, ile to biednych wieśniaków oszukano, a ile to nahałek poodbierały ich grzbiety, jeśli ośmielił się który pójść na skargę do żołnierzy lub do oficera, że mu ten lub ów aresztant, płacąc za jakiś towar, fałszywego rubla wściubił, tego trudno nam oznaczyć.

Oficer etapowy ze swoją komendą żyją z aresztantów, nie tylko sprzedając im swoje produkty do życia, ale pobierają od nich regularną opłatę, już jakby prawem przyjętą, a mianowicie:

1. Od sprzedaży pieniędzy.
2. Od pozwolenia grania w karty.
3. Od niezamykania izb na dzień.
4. Od pozwalania na rozpustę.
5. Od golenia głów *kandalszczykom*.
6. Od zaniechania posieleńców przykuwania do żelaznego drąga.
7. Od pozwolenia picia wódki.
8. Od brania *podajania* (jałmużny).

Wysokość opłat zależy od ilości głów, i dochodzi ogółem od 15 do 25 rubli na etap; oprócz sprzedaży pieniędzy, na co służy każdorazowa umowa.

Przytoczyłem tu fakta trudne do uwierzenia. Jednakże nie byłem ich sam jedynym świadkiem, jest nas wielu współtowarzyszy jednej niewoli i niedoli, którym Opatrzność dozwoliła odzyskać swobodę; tych więc powołuję na świadectwo prawdy.

Wspomniawszy w początkach tego rozdziału o gubernatorze Petersburskim, księciu Suworowie, nie mogę pominąć kolegę niewoli, który, pomimo że żyd, odznaczał się szlachetnością duszy, szczerem i otwartym sercem, poświęceniem i koleżeństwem, dla którego nieraz narażał swe życie wobec Rosyi. Był nim Maurycy Ritter, człowiek wysokiej inteligencji i sławny znawca nowożytnych europejskich i starożytnych wschodnich języków; był on tak krótkowidzący, że bez okularów literalnie ruszyć się nie mógł, mimo to gotów był każdej chwili rozpocząć największą awanturę z Rosyanami w obronie kolegów. Służąc w legii zagranicznej, dostał się z wieloma naszymi i Włochami pod Krzykawką do niewoli. Gdy ich z Olkusza do Kielc dostawiono, zostali przyprowadzeni przed rosyjskiego generała Csengerego, znanego ze swej gwałtowności i brutalności. Pierwsze słowa, które generał wrzasnął, były:

— *Szapki dołoj!* (Czapki na dół!).

Wszyscy odkryli głowy, nawet cudzoziemcy nierozumiejąc, ale widząc co inni robią, przejęci złowrogiem spojrzeniem generała, pozdejmowali czapki; jeden tylko Maurycy Ritter, w powstaniu znany jako Krasnopolski, został z nakrytą głową.

— A ty co za pan? — zapytał z wściekłością generał Csengery.

— Żyd! — odpowiedział z zimną krwią Ritter.

— Co ty żyd, i nie zdejmujesz czapki?

— Nie jestem przyzwyczajony zdejmować czapki, osobliwie przed człowiekiem, tak źle wychowanym jak ty jesteś generale.

— Ach ty! — tu nastąpił znany rosyjski wykrzyknik — ja cię nauczę, zasiekę!... różgi podawać! — wrzeszczał, piejąc się ze złości generał.

Żołnierze rozbiegli się po różgi; tymczasem generał Csengery ochłonał, i niespodziewanie krzyknął: „Czapki na głowy!“ — a chodząc tam i napowrót przyspieszonym kro-

kiem, stanął nagle przed Maurycym Ritterem, i już łagodniejszym głosem zapytał:

— Skąd pan jesteś?

— Jestem poddany państwa austriackiego.

— Ho, ho, po panu widać, że to nie w pierwszej bandzie pod Krzykawką byłeś?

— Daruj jenerale, ale nie będąc muzykantem, nigdy w bandach nie służyłem.

— No, to gdzie pan przedtem byłeś?

— Odbyłem całą kampanię z jenerałem Langiewiczem.

— To musisz pan dobrze pamiętać, jak ja wam pod Grochowiskami strzepałem skórę.

— Pozwól jenerale, że ja memu optykowi w Paryżu, od którego okulary sprowadzam, wytoczę proces.

— A to dlaczego?

— Że mi fałszywe okulary przysłał, bo ja sam w jednym miejscu i to w małym zagajeniu, na krańcu lasu, 60 waszych zabitych naliczyłem, a nad wieczorem — prawda, że zdaleka — ale przez te szkła widziałem, jak pan generał ku Pinczowu umykał.

— Ho, ho, jaki to z niego filozof — obróciwszy się, rzekł Csengery do stojących za nim oficerów.

I tak mu Ritter zaimponował, że odprawiwszy całą parętyę do więzienia, jemu przeznaczył pokój w hotelu, dając mu żandarma do strzeżenia.

W Petersburgu, na dworcu kolejowym, odwiedził nas wyżej wspomniany książę Suworow, i gdy wypytywał się nas o nasze rodziny, dokąd jesteśmy skazani i kto nas sądził, rozmowa zesłała aż na rządy Murawiewa. Pogadanka toczyła się w języku francuskim, którym Ritter wyśmienicie władał, więc do niego obrócony Suworow zapytał:

— A co panowie sądzicie o Murawiewie?

Ritter odpowiedział bez namysłu:

— Czytałem niedawno w jednym z dzienników francuskich, że akademia francuska szukała wyrazu na *une espèce*

*de canaille*, przeznaczając sto tysięcy franków nagrody. Na to jeden z uczonych wyrzekł „Murawiew“, i jemu została nagroda przyznana.

Na tę odpowiedź, podał mu Suworow rękę i wyszedł.

Ritter, będąc awanturniczego usposobienia, bardzo często siebie i całą partycę narażał na nieprzyjemności, czego jednak dla jego szlachetnego serca i poczucia godności Polaka, za złe mu brać nie mogliśmy.

Kilku oficerów etapnych mieli na twarzach dowody porywczosci Rittersa! Jedna z najnieprzyjemniejszych takich awantur odbyła się na półetapie pod samym Krasnojarskiem.

Gdy już nas straż Krasnojarska odebrała od poprzedniej, i na półetapie w Zelediewie umieściliśmy się, jeden z naszych kolegów, nieodżałowany ś. p. Antoni Midowicz, poszedł na strażnicę prosząc, aby świeżej wody do picia przyniesiono, komendant ofuknął go znaną rosyjską klątwą. Ritter usłyszał ten wykrzyknik rosyjski, a będąc gorączką, uderzył zaraz po karku komendanta, krzyknawszy:

— Jak śmiałeś coś podobnego Polakowi powiedzieć?

Komendant odskoczył w tył i wyciągnął szablę; ale Ritter lotem błyskawicy wpada na niego, wydziera szablę i skacze na tapczan, wywijając w prawo i w lewo. Powstał krzyk, na który wybiegliśmy z naszej izby. Widzimy po drodze uciekających kozaków ku Krasnojarsku, jedni na oklep konno, drudzy pieszo z okrzykiem: „Polacy mordują!“

Po zniknięciu całej straży, spostrzegliśmy, że nam zostawiła broń, część koni i rządowe pieniądze na wydatki aresztanckiej partyi, które naczelnik naczelnikowi za pokwitowaniem i pod własnym rachunkiem wydaje. Zrobiliśmy wojenną naradę, co tu dalej począć? Nas było 50, aresztantów zaś przeszło 400. Ale wtedy byliśmy już bardzo respektowani przez towarzyszących nam łotrów, bo będąc przez nich ustawicznie maltretowani, cierpieliśmy czas jakiś przez to bardzo. Poznawszy jednak ich dobrze, wiedzieliśmy, że niema żadnego innego środka, jak siłą pięści wywalczyć so-

bie u nich, jeśli już nie rodzaj poszanowania, to przynajmniej bojaźni.

Stało się to w sposób następujący:

Urządźwszy, co i jak począć, czekaliśmy tylko na sposobność, która się zaraz drugiego dnia nastąpiła. Po przybyciu na etap, jeden z naszych, kupiwszy garnek mleka i niosąc go do izby, został z umysłu potrącony, garnek wypadł mu z rąk, rozgniewany uderzył napastnika, i to było hasłem ogólnej bójki, przy której rozpoczęciu straż konwojna uciekła za bramy więzienia i tam na alarm strzelając, posłała o pomoc ludzi ze wsi. Myśmy do bójki jak jeden stanęli na placu, złodzieje już z początku zaczęli uciekać, a gdy ich starosta, chłop barczysty i silny, rozbójnik z zawodu, został przez naszego młodzieutkiego Józefa Czechowicza o ziemię powalony i cały skrwawiony, prosił o darowanie mu życia; taki popłoch między złodziejami powstał, że w parę minut oprócz jedenastu rannych, leżących na ziemi, nikogo z nich nie było na podwórzu. Wszystko schowało się pod tapczany, błagając o darowanie życia. Z naszych było dwóch z przeciętymi głowami, ze strony aresztantów zaś musiano tych jedenastu odwieźć do najbliższego szpitala.

Od tego czasu nietylko między złodziejami, ale i wobec konwojującej straży mieliśmy niezmierne poszanowanie, a nasze położenie wskutek tego o wiele się polepszyło.

Rzekliśmy tedy złodziejom, że kozacy uciekli, a oni są teraz pod naszym dozorem i biada temu, któryby chciał uciec. Pozamykaliśmy ich w izbach i poszliśmy na spoczynek, rozmyślając jakby tu wybrnąć z tego fatalnego położenia.

Jeszcze spaliśmy, gdy nadedniem usłyszeliśmy niezwykły ruch przed więzieniem, otworzyliśmy bramę i zobaczyliśmy przed sobą majora z sotnią kozaków, który zapytał:

— Co to panowie zrobiliście?

— Nic — rzekliśmy krótko. Poznaliśmy też zaraz po całym obejściu się z nami w majorze porządnego człowieka, więc opowiedzieliśmy jemu jak właściwie rzecz się miała.

Oddaliśmy majorowi zostawioną broń, konie, kasę i aresztantów w porządku. Podziękował nam major i razem z nim ruszyliśmy do Krasnojarska. Gawędząc całą drogę, poznaliśmy w nim szlachetnego i poczciwego człowieka.

W Krasnojarsku przed więzieniem oczekiwał na nas gubernator Zamiatin z wojskiem na prędcie zebraniem.

Major zdał mu raport, przedstawiając całą sprawę na naszą korzyść. Wtedy rzekł do nas Zamiatin:

— Proszę was, nie buntujcie się, bo co ja bym tu z wami zrobił, dział nie mam i dlatego u mnie nie możecie się buntować, a jako gubernator muszę winnych ukarać i tego, który komendanta straży uderzył, zamknąć każę do „sekretnej“.

Sprzeciwialiśmy się temu wyrokowi gubernatora. Wtem wystąpił Ritter, oświadczając, że on jest ten, który uderzył komendanta, poddaje się wyrokowi i prosi nas, abyśmy nie stawiali oporu.

Ritter, będąc w katordze, narażał się na wiele nieprzyjemności wobec Rosyan. Stawiono go po raz drugi pod sąd, a władza, chcąc mu dokuczyć, wysłała go, jako żyda, do Akatui, gdzie było tylko kilkudziesięciu naszych księży.

Tu Ritter, pomimo że mojżeszowego wyznania, umiał sobie przez swoją szczerłość i koleżeństwo zjednać ogólne uznanie i szacunek, i żył w największej zgodzie, niosąc rozmaite koleżeńskie usługi naszym księżom starcom.

Słyszałem, że jako poddany austriacki wrócił do kraju. Chcąc przynajmniej uścisnąć dłoń tego szlachetnego kolegi, staraliśmy się dowiedzieć o jego terażniejszym pobycie; nasze starania jednak były dotąd bezskuteczne.

## II.

### Kopalnie żelaza i huty w Pietrowsku. Więzienie w Siwakowej i komendant, wojskowy starszyna (major) Zaborowski.

Przybycie do Irkucka. Pietrowsk. Rozgiędiejew. Więzienie Dekabrystów. Spis więźni w Pietrowsku. Witołd Marczewski. Mikołaj Epstein. Franciszek Zbijewski. Zarząd. Wyjazd do Siwakowej i Domy. Budowa statków. Stawianie mieszkań. Księża i szlachta polska przy pracy. Mała Warszawa. Urządzenie Siwakowej. Kradzieże w Rosyi. Akordowe roboty. Katałaszk. Franciszek Sokołowski. Wzięcie koszar w Rawie. Partya Lichtańskiego. Awantura w Siwakowej. Rozprawa publiczna. Ososko i Szlezinger. Sąd w Czycie i wyrok. Zaprzestanie robót. Parafie Siwakowskie. Odprawianie nabożeństw. Budowa kaplicy i jej zabranie. Kapitan Łytkin. Wywiezienie księży. Powódź. Kupiectwo czyckie. Przeniewierstwa. Wyślanie na posilenie. Straty. Sokołowskiego śmierć.

W Irkucku zastało nas rozporządzenie, aby wszystkich ze stanu szlacheckiego wysyłać nadal podwodami wiejskimi, dając na dwóch jednego konia i 15 kopiejek dziennie, inni mają iść piechotą i pobierać 10 kopiejek dziennego żołdu.

Z mocy tego rozporządzenia położenie nasze polepszyło się nieco i nie wiem nawet, czy moglibyśmy byli pod dawnymi warunkami zająć do Nerczyńska. Byliśmy tak z głodu wynędzniali i obdarci, że prawie boso i nago przybyliśmy do Irkucka, sprzedając dla zaspokojenia głodu po drodze, co się tylko dało. Dla wyjaśnienia naszej nędzy przytoczę, że nikt z nas nie miał całej koszuli na grzbiecie, ani ubra-

nia wierzchniego, a wielu nawet było bez surdutów i pantalonów, nie mówiąc o podartych butach. Tyle szczęścia naszego było, że działo się to latem. Generalnym gubernatorem całej zachodniej Syberyi był Korsakow, syn poboczny Mikołaja, człowiek jeszcze młody i ludzki, i jeśli nam nic dobrego nie robił, to i na złe obchodzenie się jego z nami skarżyć się nie możemy.

Tu nas posortowawszy, wysłano jedną część do Usoli, a mnie z Leonem Grzesieckim do Pietrowska, gdzieśmy już naszych około stu zastali.

Więzienie w Pietrowsku, budowane podług własnoręcznego planu Mikołaja, było długoletnią straszną męczarnią dekabrystów; dzieliło się na dwa skrzydła ze strzelnicami, ostrokołem zamkniętymi, ze sześcioma kwadratowymi podwórzami, poprzedzianymi wysokimi ostrokołami. W środku zabudowania kuchnia, szpital i rodzaj magazynu, czyli budynek przeznaczony na składy żywności. Komendantem był tu *asaula* (kapitan) kozacki Rozgiełdiejew, człowiek ludzki, prawy i nadzwyczaj honorowy, nie był to Rosyanin, lecz rodowity Sybirak, jak sam siebie nazywał. Jego ludzkość najlepiej przedstawi następujące zdarzenie. Po spaleniu się i zwinieciu więzienia politycznych przestępców w Pietrowsku, generał-gubernator irkucki polecił mu urządzić pocztę rosyjską przez Mongolię do Chin, a to z Kiachty aż do Pekinu. Gdy się wywiązał z tego ku zupełnemu zadowoleniu przełożonych i gubernator Korsakow, dziękując mu za oddane usługi, mianował go komendantem więźni politycznych w Aleksandrowsku nad Angarą, niedaleko Usoli, Rozgiełdiejew salutując, powiada:

— Proszę Jego Ekscellencyi uwolnić mnie od tego obowiązku.

— A to dlaczego?

— Bo nie chcę być katem.

Korsakow rozgniewany zapytał się:

— To może pan dymisyę weźmiesz?

— Nie pozostaje mi nic innego, jak prosić o zupełne uwolnienie z wojska.

— Dobrze — odpowiedział generał-gubernator.

Bogaty kupiec irkucki, Łonin, dowiedziawszy się o dymisji Rozgiełdiejewa, znając jego prawy charakter, prosił go o przyjęcie posady zarządcy kopalni złota z roczną pensją kilku tysięcy rubli i przyzwoitem utrzymaniem. Rozgiełdiejew, będąc na tym stanowisku, nie zapomniał o nas i wielu za wdzięcza mu utrzymanie i pomoc w pracy na Syberii.

Wszyscy ze stanu uprzywilejowanego, to jest szlachta i uczeni w Rosyi, mają te prerogatywy, że podczas pochodu są wolni od kajdan, zato po przyjściu na miejsce przeznaczenia, pierwszą czynnością władzy jest zakuwać ich w kajdany, co też na nas ściśle wykonano.

Poczem w następujący sposób byliśmy poumieszczani w Pietropawłowsku:

Lewe skrzydło, numer celi:

7. Witołd Marczewski, Mikołaj Epstein.
8. Hrabia Edward Czapski, hrabia Witołd Kosakowski.
9. Tadeusz Sadowski, Józef Psarski, Alfons Parvez.
11. Leon Niemirowski, Stanisław Sankowski.
12. Jan Zaremba, Tutakiewicz.
13. Andrzej Świątkowski, ksiądz Kowalewski, ksiądz Stanisław Korecki, Roman Twardzicki (szwagier generała Bema, ten sam, dla którego żony i córki, będących na Syberii, Węgrzy przed kilku laty zbierali składki).
14. Stanisław Grochowski, Józef Zarzycki, Stanisław Wojciechowski, Popławski (wieśniacy).
15. Paweł Naprawsky (Węgier), Henryk Chowaniec, Michał Brodzki (szewc z Krakowa), Zegarkowski.

Prawe skrzydło, numer celi:

1. Franciszek Woźniacki, Franciszek Draszkovics (Węgier, kapitan austriacki), Ignacy Kowalski, Józef Nowacki.
4. Zygmunt hrabia Sumiński, Stanisław Wroński.

5. Jan Grabowski, Kołodziejczyk.
6. Paszko, Artiuk (Rosyanie), Łukasiewicz, Zacharski.
7. Romanowski, Stanisław Zaleski, Wojciech Godliński.
8. Kondradzki, Jan Sokołowski, Szaflarski.
9. Prokopowicz z towarzyszem.
10. Edward Lemiszewski, Wyszyński.
11. Bracia Piotr i Stefan Jankowscy, Kazim. Skwierczyński.
12. Maciej Rudnicki, Wojciech Falendis, Józef Bystrzyński (mieszczanie z Krzeszowa).
13. Iwanicki, Czernikow (Rosyanin).
14. Józef Kaliszewski, Dobrzycki, Adamski.
16. Józef Ponczyński z dwoma towarzyszami.
17. Ksiądz Firmin Mędrkiewicz, Edward Czapski z 2 tow.
18. Ksiądz Józef Stecki, ksiądz Polikowski, Godlewski.
19. Księżę Giedroją, Augustowski, Urbankiewicz.
20. Kazimierz Trepka, Jan Dąbrowski.
21. Michał Koryciński, Ubysz.
22. Dr Miecz. Cześnicki, Jan Zaleski, Henr. Nowakowski.
23. Franciszek Sokołowski, Jan Sakowicz.
24. Ludwik Zielonka (Adolf Jankowski), Marek Sikorski.
25. Ksiądz Piwarski, ksiądz Aleks. Jankowski, Kostkiewicz.
26. Wysocki, Cytowicz, Kolasiński (zagon. szlachta litewska).
27. Konst. Siciński, Klemens Grabowski, Ludwik Lewiński.
28. Orłów, Szczur (Rosyanie).
29. Józef Ardecki, Krysiński, Puciński, Krajewski.
30. Józef Sitkowski, Młocki, Niemirycz.

W szpitalu:

Krasuski (pułkownik rosyjski), Golian (brat księdza z Krakowa, major z roku 1831).

Wrócili w roku 1865 do kraju:

Aleksander Skulski, Leon Grzesicki.

Umieściwszy się w wyżej wymieniony sposób, pracowaliśmy w dzień już to rozbijając rudy, już to znosząc z le-

jarni lub fryszerek żelazo, za co nam do 20 kopiejek dziennie płacono, zrzekliśmy się zaś innych należytości, jak mąki, ubrania i t. p. Aby jakiś ład i porządek między sobą zaprowadzić, ukonstytuowaliśmy się w następujący sposób, głosując kartkami.

Z wyboru wyszli:

Starostą, Leon Niemirowski. Kasyerem i naczelnikiem robót, Witołd Marczewski. Zarządcami ogólnych funduszków, Mikołaj Epstein, i L. Zielonka (Adolf Jankowski). Gospodarzem, Stanisław Sankowski.

W Pietrowsku, pomimo różnicy przekonań, urodzenia i wykształcenia, dzięki Witołdowi Marczewskiemu, który nam swą głęboką nauką, prawością i nieskazitelnością charakteru, przez cały nasz pobyt w Sybirze, jak słońce przyświecał i swoją dobrocią i szlachetnością ogrzewał, panowała między nami zgoda, jedność i koleżeństwo, żyliśmy razem jak bracia, pracując i kształcąc się nawzajem i tak:

Mikołaj Epstein urządził tu szkołę dla początkujących, sprowadza z mozołem potrzebne książki; Marczewski, hrabia Czapski i Sokołowski Franciszek urządzają wieczory naukowe, na które zbiera się znaczna liczba słuchaczy, Czapski wykłada dzieje literatury ojczystej, Sokołowski historię polską i powszechną, w szczególności angielską, hiszpańską i holenderską; Marczewski inżynierię, budownictwo i mechanikę, ksiądz Polikowski historię Kościoła świętego i t. d.

Ponieważ w Pietrowsku była znaczna liczba ludzi bardzo zamożnych, więc tylko mała część naszych chodziła na roboty. Ze zarobionych pieniędzy szło 10% do kasy ogólnej. Każdy zaś musiał złożyć 50% od majątku jaki miał przy sobie, a wszyscy byli obowiązani 25% oddawać z przysyłanych pieniędzy; oprócz tego jeszcze Epstein, odbierając rozmaitemi zakazanymi drogami z kraju znaczne zasiłki, dzielił się niemi prawdziwie po bratersku, a czynił to tak szlachetnie, że co prawa ręka dała, lewa o tem nie wiedziała. Chcąc być sprawiedliwym, muszę tu dodać to, że przez swą

dobroć serca i hojność Epstein szkodził nawet ludziom prostym, którzy, przyzwyczajawszy się do wygodnego próżniackiego życia, brzydzili się później wszelką pracą.

Mając taką organizację w Pietrowsku, nie dziwota, że żyliśmy tu dobrze i wkrótce po tej ciężkiej, pieszej wędrówce z Tobolska do Irkucka, przyszliśmy do siebie.

Mieliśmy z początku kucharza i piekarza, później sprawowali to nasi, za osobnem wynagrodzeniem, musieliśmy tylko dla siebie i do kuchni drzewo rąbać, nastawiać samowary i chodzić do obierania kartofli, które tu dla braku innych jarzyn były naszą codzienną strawą. Codziennie było 15 po kolei odkomenderowanych przez Marczewskiego do skrobania kartofli. Rano już o godzinie 8. zawiadamał nas dzwonek o tej czynności, a było czemu się napatrzeć i nasłaniać, jak nasi panowie, książęta, hrabiowie, prałaci i t. p. wyruszali do tej pracy. Z początku póki jeszcze u panów były w zapasie rękawiczki, robota ta szła jeszcze jako tako, później wielu od tej roboty się ościągało, tym więc zanoszono do celek podwójną porcyę do obierania. Gdy już nam wszystkim takie obieranie kartofli dojadło, stanęła rada, czyby nie było lepiej obierać już ugotowane, co też do końca robiliśmy, pomimo, że palce się lepiły, a kartofle porządnie parzyły.

Obiady jadałiśmy każdy w swojej celce, przy większych uroczystościach narodowych i kościelnych wspólnie w sali szpitalnej. We wigilię Bożego Narodzenia zamiast opłatkiem, dla braku tego, łamaliśmy się chlebem; ten dzień jak i pierwszy dzień świąt Wielkanocnych, były dla nas bardzo smutnymi. Wielu z naszych było już ludzi starszych, którzy pozostawili w kraju żony i dzieci, a każdy z nas to rodziców lub rodzeństwo, a od tych wszystkich dzieliła nas przestrzeń przeszło tysiąca mil, sroga jednostajna niewola i tęsknota za krajem, która wielu przyprowadziła później do szaleństwa.

Co niedziela ksiądz kanonik Polikowski odprawiał na korytarzu prawego skrzydła nabożeństwo, przyczem miał zawsze kazanie, które nas do łez wzruszało.

Straż nad nami trzymali kozacy Buryaci, niesforna dzicz mongolska, która co rok zmieniała się. Było to wojsko niemające wielkiego wyobrażenia o karności wojskowej, byli więcej naszymi posługaczami jak wartownikami. Gdy taki Buryat z karabinem chodził po korytarzu, a zawołało się „nastaw samowar!“ to rzucał w kąt karabin i biegł do samowaru, bo był pewny, że dostanie herbaty. Między nami był junkier z wojska rosyjskiego, Litwin, Edward Lemiszewski, bardzo wesół i lubiący płać rozmaite figle; on to nieraz brał całą wartę i na podwórzu mustrował; biada było temu kozakowi, któryby się odważył nie słuchać jego komendy, bo podług praw wojskowych, żołnierz stojąc już raz w szeregu, nie może bez pozwolenia wystąpić z niego i musi słuchać ślepo rozkazów komenderującego. Lemiszewski znając przepisy wojskowe i wybornie musztrę, nieraz całymi godzinami ćwiczył biednych Buryatów, którzy prawie padali ze znużenia i wypełniali najdziwniejsze jego rozkazy. A jak im imponował swą wiedzą wojskową, najlepszy dowód, że gdy przybycie gubernatora Dittmara zapowiedziano w Pietrowsku, wybrano najdzielniejszych Buryatów, postawiono w tym czasie na strażnicy i pouczono ich jak mają broń prezentować. Lemiszewski widząc to, a spostrzegłszy z daleka gubernatora, przybliżył się do kozaka stojącego na głównej warcie i mówi: „Nie wierz temu, co ci mówił kapitan, wasz ataman jest bardzo dobry i uczynny człowiek, daleko większą mu przyjemność zrobisz, jeżeli zamiast broń prezentować, karabin rzucisz na ziemię, czapkę zdejmiesz i pozdrowisz go swoim językiem *mendu more* (dzień dobry). Kozak, wierząc więcej Lemiszewskiemu jak swemu kapitanowi, uczynił to i pozdrowił gubernatora po swojemu. Można sobie wystawić przerażenie biednego kapitana, zdziwienie jenerała i nasz ogólny śmiech.

Tu ponieśliśmy dotkliwą stratę. Zamożny pan i znany ze swej prawości i poświęcenia dla ojczyzny, obywatel ziemski z Królestwa, Franciszek Zbijewski, najlepszy kolega

i opiekun, z otwartą kieszenią dla biednych, z wylanem sercem dla nieszczęśliwych, zasłabłszy, po krótkich cierpieniach przeniósł się do wieczności, zostawiając w kraju żonę i córkę. Umarł na rękach swego przyjaciela Tadeusza Sadowskiego z Poznańskiego, którego zrobił sukcesorem tych ruchomości, które miał przy sobie. Wynosiło to wszystko około 1000 rubli, które Sadowski do kasy ogólnej w Pietrowsku złożył, i tym sposobem ś. p. Zbijewski przyczynił się razem z Mikołajem Epsteinem do założenia kasy bratniej, która była bardzo wiele pomocną do polepszenia bytu starców i słabych, nie będących w możności pracować.

Pochowaliśmy go na cmentarzu w Pietrowsku, z kajdanami, jakie miał na sobie, na świadectwo niewoli i męczeństwa. Szczeremu temu koledze ustawiliśmy też nadgrobek, który niech świadczy o miłości ojczyzny prawego Polaka, tracącego dla dobra tejże wszystko najdroższe w tem życiu, żonę, dzieci, dostatki; spieszącego na jej obronę z gotowością poniesienia śmierci, lub, co gorsza, by złożyć swe kości w niewoli na bezludnych pustyniach Sybiru.

To krótkie wspomnienie niech będzie dla Ciebie ś. p. Franciszku wyrazem naszej wiecznej pamięci i czci dla Ciebie, a osłodą dla tych najbliższych Twemu sercu, którym nawet i to szczęście nie zostało w udziale, aby mózdz zamknąć Twe powieki do wiecznego spoczynku.

Po roku przeszło naszego pobytu w Pietrowsku przyszedł rozkaz, aby wszystkich z uprzywilejowanego stanu wysłać do Siwakowej, co też zaraz z początkiem roku 1866 wykonano.

Siwakowa, siedziba komendantury spławu, 32 wiorst od miasta gubernialnego Czyty oddalona, a 12 wiorst od grzbietu gór Jabłonowych, leży nad spławną rzeką Ingodą, na równinie, opartej na zachód o modrzewiowe lasy, ciągnące się po odnogach gór Jabłonowych, a z innych trzech stron ma okiem nieprzejrzane stepy, które od wschodu rzeka Ingoda przecina.

Władza rosyjska w Irkucku, przy wielkim napływie naszych do robót za Bajkał, nie mając już gdzie nas pomieszczać, przeznaczyła Siwakową i siedem wiorst od niej z drugiej strony Ingody położone Domny, dawną fabrykę świec i mydła kupca Łanina, na tymczasowe pomieszczenie więźni politycznych. Siwakowa mająca tylko dwa zabudowania, gdzie najwięcej 300 osób pomieściłby się mogło, nie była w stanie dać 760 naszym schronienia, których władza Irkucka, mimo protestu gubernatora zabajkalskiego kraju i atamana kozaków Dittmara, do Siwakowej pchnęła.

Komendantura spławu była bardzo intratną i korzystną posadą, a był komendantem kapitan Zaborowski. Siwakowa tuż nad samą Ingodą, w bliskości cudnych modrzewiowych lasów, była siedliskiem wyrobu statków, które ładowane w Czycie rozmaitymi produktami, dostawiały na wiosnę żywność całemu krajowi Amurskiemu. Na budowę jednego galaru rząd przeznaczał 700 rubli. Drzewo nie kosztowało nic, dostawa, do której rząd dostarczał inwentarz i zaprzęgi, przy dobrej administracji kosztowała bardzo mało, a do roboty tych statków używano rekrutów, którzy prawie za darmo pracowali; oprócz tego tartak parowy rządowy dawał darmo rżnięte materiały. Obliczywszy do tego różne inne części, oprócz drzewa potrzebne do budowy statków, kosztował taki galar najwięcej rubli 300, a zatem 400 rubli najmniej na jednym statku miał komendant czystego zysku, a że 80 statków rocznie był obowiązany dostawić, zatem co najmniej miał 32.000 rubli rocznego dochodu. Był to więc ładny dochód, o który się nawet generałowie dobijali.

Zaborowski, jako kapitan, potrafił przez swoje pochlebstwa i intryki osiągnąć ten smaczny kęs chleba, a razem z tą komendanturą powierzono mu z podwójną pensją komendanturę więźni politycznych, dając do pomocy dwóch ludzi, nieokrzesanych prostaków: kapitana Łytkina i za *urad* chorążego (t. j. mniej jak podporucznika) Taskina. Zaborowski, objąwszy komendanturę nad nami, umiał sobie przez

swoją judaszowską uprzejmość i grzeczność zjednać początkowo, jeśli nie ogólne, to przynajmniej u niektórych wybitniejszych jednostek zaufanie, i nawet jaki taki szacunek. Zwoławszy tych do siebie, oświadczył im najpierw swą sympatyę dla nas wszystkich, i zaczął ubolewać nad smutnem naszym pomieszczeniem i w ogóle nad nieszczęśliwym losem całego naszego narodu. Zapewniał, że on już o naszym pomieszczeniu po kilka razy donosił do jenerał-gubernatora, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi, a więc narażać się nie może, dlatego radziłby nam z najlepszego swego serca, abyśmy sobie pobudowali ziemianki — rodzaj domów do połowy wystających z ziemi — a on nie tylko ofiaruje nam do tego wybrakowane belki i deski, lecz da nawet daremnie rządowy inwentarz do przywiezienia drzewa z lasu. Ogół nasz, nie będąc natenczas obznajomiony dokładnie z kruczkami polityki rosyjskiej, wychwalał bezinteresowną życzliwość komendanta, i zaczął budować dla siebie więzienia.

Już w połowie kwietnia 1865 roku, wiara nasza, pomimo silnych mrozów, wzięła się żwawo i energicznie do budowania domów czyli ziemianek. Ziemia była jeszcze zamrzniętą, palono więc ognie, aby lżej było kopać i prędzej szła robota.

Bardzo mała część naszych pracujących obecnie tak ciężko, była dawniej przyzwyczajoną do robót tego rodzaju, a jednak teraz pracowali, wydobywając ostatnie siły.

Każdy chciał jak najprędzej ująć od robactwa koszarowego i tej okropnej ciasnoty; każdy wzdychał do swego własnego kącika, aby przynajmniej nie marnotrawić tego drogiego czasu, i w wolnych od prac fizycznych chwilach poświęcać się nauce; każdy od dawna wzdychał do samotności, aby mózdz podumać i pomarzyć spokojnie. Nic dziwnego więc, że robota mimo wycieńczenia sił, pęcherzy na rękach, obdartych nóg i lichego ubrania, szła szybkim krokiem naprzód. Cieszyliśmy się widokiem naszej pracy po pewnym czasie... Już ziemianki z ziemi wyglądają, w niektó-

rych już i dach ziemią się pokrywa... w innych już okna i drzwi się wstawiają. Nasi kowale dmą miechem, kujaą młotami, wyrabiając okucia do okien i drzwi; tam znowu stosy cegieł, już wyrobionych, zabierają do stawiania pieców i kuchni. Pomiędzy tymi wszystkimi cieślami, stolarzami, kowalami, ślusarzami, murarzami i t. p. nie było nietylko ani jednego fachowego człowieka, ale wielu z tych nie miało ani wyobrażenia, co to jest rękoma pracować. Do czegoż nie doprowadzi energia i silna wola? Dobrze mówi nasze polskie przysłowie: „bieda nauczy wszystkiego“.

We dwa miesiące, przeszło sześćdziesiąt domów było już na ukończeniu, rozszerzono granicę więzienia, przenosząc na 1½ wiorsty parkany; pobudowano kanały, rowy do ściekania wody. Siwakowa zamieniła się w małe miasteczko.

Zaborowski, widząc to, ledwo swoim oczom wierzy, aby ludzie niepracujący w ten sposób, mogli w tak krótkim czasie tyle, że tak powiem, cudów dokazać, chodzi, zaciera ręce z radości i uśmiecha się, mówiąc: *Jej Bohu Polaki młotdzy* (dalibóg Polacy zuchy). Pochlebia to naszej wierze, podwajają swoje siły i dokazują rozmaitych sztuk, przyozdabiają domki, gdzieś nad oknami i drzwiami pokazuje się i rzeźba, przed domami ogródki i sztachety, sadzą się drzewa, co wielką jest osobliwością w Syberyi. Zaborowski znowu się uśmiecha, znowu chwali głośno, a w duszy powiada... „głupcy!“

Budowanie ziemianek pociągało za sobą nietylko fizyczne wysilenie, ale i straty materialne; trzeba było przecież kupić żelaziwo, postarać się o szkła do okien, ruszta do pieców, to znowu nie wszyscy byli tak zręczni, aby mogli sami sporządzać okna lub drzwi, więc potrzeba było kazać zrobić, a to wszystko wymagało gotówki, a dochodów znikąd. Władza dawała nam na życie 2 pudy (80 funtów) razowej spleśniałej mąki i 90 kopiejek miesięcznie, z tego musieliśmy potrzeby żołądkowe zaspokajać, ubierać się, bo przeznaczone rządowe ubranie zabierał w monecie kome-

dant; przesyłane nam z kraju rzeczy i pieniądze szły w bezdenną otchłań kieszeni Zaborowskiego. Podczas tego pierwszego roku pobytu naszego w Siwakowej, na 760 osób, pośród których większa połowa była zamożną i mającą rodziny, nikt nie odebrał ani jednej litery, ani jednego grosza od swoich; wiemy, że najbiedniejsze rodziny ujmowały sobie najniezbędniejsze potrzeby, ostatnim groszem dzieląc się ze swoimi do katorgi wysłanymi, taki krwawy wdowi grosz pożerała ta jedna gadzina społeczeństwa ludzkiego.

Gdy już Siwakowa się uporządkowała, Zaborowski zdał raport do Czyty i Irkucka, że on, działając swoim wpływem na Polaków, zmusił ich do postawienia sobie mieszkalnych domów, na co rząd ani grosza nie wydał, i przytem miał sposobność do zauważenia, że naród ten nadzwyczaj zdolny do robót ciesielskich, będzie zatem użytecznym bardzo rządowi przy stawianiu i dostawie statków zbożowych na Amur.

Władza irkucka przysłała Zaborowskiemu za jego gorliwość i poświęcenie się dla rządu podziękowanie i dwa tysiące rubli gratyfikacyi, zarazem oznajmiła, że został już do Petersburga na wojskowego starszynę (majora kozaków), przedstawionym. Niedługo też i czekał Zaborowski na szlify majorskie, których w tak krótkim czasie krwawym polskim potem się dorobił.

Nie będę tutaj opisywał organizacyi i wszystkich przejść ogółu Siwakowskiego, gdyż mógłbym wobec Rosyi narazić wielu naszych biednych braci, zostających jeszcze w szponach tyрана; dam tylko powierzchowny obraz wystawionego przez naszych tego małego miasteczka Siwakowej.

Jeśli każdemu z nas najmniejsza pamiątka wywieziona z kraju, była darem drogim, przypominającym nasz ojczysty kraj, to też nie mogliśmy się oprzeć pokusie, aby nasz mały gródek nie ochrzcić nazwiskiem miasta, przewodniczącego wszelkim ruchom narodowym.

Nasz gródek przezwaliliśmy „Małą Warszawą“ i podzieliśmy na dwie części: na Stare i Nowe miasto, było tam

i „Krakowskie przedmieście“, ulice: „Senatorska, Królewska, Miodowa, Poselska“, a nawet „Żelazna brama“.

Zdawało nam się, że chodząc w obrębie parkanów po ulicach naszego miasteczka, jesteśmy u siebie, oddychamy naszym polskim powietrzem.

W „Małej Warszawie“ wychodziły dwa dzienniki: jeden polityczny, drugi poświęcony sprawom domowym, była ogólna biblioteka i czytelnia, gdzie po całodziennej pracy odbywały się literackie wieczory; była szkoła dla chcących się kształcić, w której wielu z naszych, przybyłych na Sybir bez najmniejszej nauki, nabyło i początki rozlicznych nauk, i gruntownej wiadomości dziejów ojczystych; był teatr, kilka kawiarni z jednym bilardem, kręgielnia i gimnastyka; były i sklepy przez ogół urządzone; bito wieprze wykarmiane w więzieniu, wyrabiając rozmaite przysmaczki, po które Rosyanie z Czyty przyjeżdżali; była fabryka świec i mydła dla własnego użytku. Cały ogół zabrał się do pracy. Widziałeś ludzi wysokiego rodu i znanych z bogactw i wykształcenia, pracujących fizycznie ciężko i dziwnym oddających się zatrudnieniom; między innymi widziałem dwu książy Gedrojciców i Jana Sakowicza jako pastuchów przy wołach, zakupionych na wypas dla naszej komuny. Wojewoda płocki pan Grabowski bijał wieprze. Młodzieniec zamożnych rodziców, wypieszczony i wychuchany, o którym śpiewaliśmy:

„W samowary siwakowskie  
Dmucha pan Gwiazdowski“

usługiwał w kawiarni; akademicy kijowskiego uniwersytetu wyrabiali buty i trudnili się krawiectwem, a ludzie uczeni — jak Dybowski Benedykt, Maryan Dubiecki, Alkanowski — odejmując sobie od ust, zakupują od chłopów różne okazy do nauki historii naturalnej, wypychają takowe, badają, i innych pouczają. Widzisz też, jak w sztuce ciesielstwa wodzi rej hrabia Tyszkiewicz, człowiek wielkiej siły, energii i wielkiej pracy. Ludwik Lewiński urządza teatr, a w nim między

innymi występują: Morgulec, Wołyniak, i Gwiazdowski, z takim talentem, że najpierwsza scena ich by się nie powstydziła. Stary Gerwazy Gzowski i Franciszek Daleski, po raz drugi znajdują się w robotach na Syberji, świecą swoim przykładem, zachęcając do pracy i wytrwałości.

W Siwakowej był ruch jak w ulu, wszystko się krząta i prawie każdy jak może pracuje; lecz ogół, podzielony na dwa stronnictwa, urządza polskim sposobem sejmiki, pali mówki i t. d., z tej wewnętrznej naszej niezgody korzysta tylko Zaborowski.

Kradnąc nasze z kraju przysyłane pieniądze, nie wydaje nam przynależnego ubrania, o które nawet nie upominamy się, bo część ogółu, zaślepiona w poczciwości Zaborowskiego, nie chciałyby mu upominaniem się przykrości sprawić. Zaborowski, widząc, że my coraz więcej obdarci, i jaka czarna bieda nas gniecie, oświadczył się sam, że powodowany niby litością nad nami, proponuje zarobek, wprawdzie nie wielki, ale pewny. Cóż było robić? Pomimo rządnej naszej gospodarki, z pobieranych miesięcznie 90 kopiejek i 80 funtów razowej stęchłej mąki, trudno było wyżyć, bielizna i ubranie podarte, buty już uważane jako zbytek, na nogach zaś świecą własnego pomysłu różnorodne chodaki i drewniane krypcie, wzięliśmy się więc rażno do roboty statków, ciosano, heblowano, objano pakułami i smarowano już gotowe statki dziegciem, ścinaliśmy w lasach modrzewie, które z odległości 30 wiorst przywoziliśmy; stawialiśmy sągi rąbane, nie używając pił, tylko siekiery, a każdy z nas pół sąga był obowiązany wystawić... każdy robił, co i jak mógł. Pierwszy miesiąc wypłacono nam należytość akuratnie, na drugi podwyższono roboty, a zapłaty ujęto, później otrzymaliśmy jeszcze mniej... a już w miesiącu październiku i listopadzie przy silnych mrozach, pracowaliśmy od świtu do nocy za darmo. Stawialiśmy wreszcie opozycję, która dzięki zabiegom Zaborowskiego, nigdy nie mogła być przez cały ogół popartą.

Później zadawano nam zbyt ogromne wydziały, tak, że przy największych wysileniach niemożliwe było ich wykonać, a za to wsadzano nas do tak zwanej *katałazki*, rodzaju ziemnego więzienia, mającego przestrzeni dwa kroki kwadratowe, gdzie dla wygody w samym środku był słup, tak, że o leżeniu i ruszaniu się nie było można i myśleć. Tam nieposłusznych wsadzano na dni 8 o suchym chlebie i wodzie. Takich *katałazek* był aż cały tuzin z miliardami różnorodnego robactwa. Miałem też przyjemność osiem dni, mając obok siebie prof. Dubieckiego, Czekanowskiego, Ostrowskiego, księdza Koryckiego, Zdanowicza, i kilku jeszcze innych, których już nie pamiętam, w tej mordowni przesiedzieć.

Poczcivi koledzy, ile mogli, starali się o nas pamiętać, i nam ten ciemny i ciasny żywot osładzać. I tak, gdym zażądał od straży zaraz pierwszego dnia wody, przyniesiono mi konewkę, którą do tej ciasnej dziury wstawiono. Podniosłem konewkę do picia i łyknąłem coś letniego w smaku wody. Nie wiedząc i nie widząc co to jest, postawiłem prędko konewkę na ziemi i usłyszałem, że w konewce coś chlupnęło, zanurzam tedy rękę i wyciągam dobrze zakorkowaną butelkę, otwieram, kosztuję i znajduję najlepszą w świecie gorącą herbatę. Tego samego dnia wieczorem przysłano nam przez żołnierzy świeżutki chleb, nie będąc głodny odkrajałem małą przylepkę i to była kolacya. Chleb, aby uchronić od robactwa, namacawszy w górze na słupie gwoździ, uwiązałem, a wyciągnąwszy się, o ile te 2 kroki i kochany słup pozwalał, położyłem się spać. Rano, gdy się jeść zachciało, biorę chleb, chcę krajać, ale czuję, że jest mokry, zmaczać go nikt nie mógł, chowam go więc pod kozuch i wołam na chodzącego koło naszych drzwi żołnierza, aby mnie na dwór wypuścił. Wyszedłszy z kapralem zaglądam powoli pod kozuch, a tu kawał pieczeni wygląda. Kochani koledzy piekli nam umyślnie chleb z mięsem. Nadmieniam, żeśmy pierwsi kosztowali tej *katałazki*, następcy nasi byli już z figlami tymi obznajomieni. Te przez Zaborowskiego z nami popeł-

niane nadużycia trwały aż do grudnia, do dnia, w którym partya Lichtańskiego z Nerczyńska przybyła do Siwakowej i wywołała awanturę, którą autor „o Horożanie“ w swej „Czarnej księdze“, nie będąc naocznym świadkiem, a słysząc tylko od drugich, nie całkiem dokładnie opisał. Pułkownik, o którym tam mowa, jest to ten sam major Zabrowski, którego z grzeczności nazywano pułkownikiem. Autor „Czarnej księgi“ wymieniając Lichtańskiego, nie wspomniał ani o Franciszku Sokołowskim, ani o Szlezingerze i Ososce. Nie będę opisywał początku tej awantury i przebiegu całej sprawy Lichtańskiego, gdyż jest wiernie opisaną w „Czarnej księdze“, tylko uzupełnię co do tych trzech.

Franciszek Sokołowski, syn byłego zamożnego kupca z Warszawy, wychowany od dziecka w szkole kadetów w Petersburgu, wstąpił w roku 1853, jako pierwszy uczeń i oficer do siemionoskiego gwardyjskiego pułku, później do szkoły sztabu, i widzimy go już w roku 1860 jako kapitana jeneralnego gwardyjskiego sztabu, przebywającego w Warszawie na urlopie u swej rodziny. Jak sam opowiadał, wychowany w szkole rygoru Mikołajowskiego, dopiero w roku 1860 poczuł się być Polakiem, i dopiero wtedy wziął się do nauki języka, literatury i historii polskiej. Człowiek wielkiej inteligencji, władający mową i piórem, mówiący ośmioma językami, do tego zamożny, miał przed sobą świetną karierę wojskową i dyplomatyczną. Ledwo co wybuchło powstanie, a widzimy go już jako szefa sztabu w oddziale Jeziorańskiego. W wyprawie na Rawę, w której osobiście dowodził, wstąpił się Sokołowski, gdy bowiem Rosyanie zamknąwszy się w koszarach, nie chcieli się poddać, gotując się do obrony, Sokołowski zagrzany patryotyzmem ze szablą i z rewolwerem w rękę zbiera strzelców, i sam na przedzie prowadzi ich na koszary, z okrzykiem „niech żyje Polska!“ Pomimo gradu kul wywała okno i wpada pierwszy pomiędzy struchlałych Rosyan do koszar. Ze wstydem muszę wspomnieć, że nasza wiara nie wpadła za nim. Sokołowski walczył za-

jadle, i dopiero silnie poraniony padł pod oknem w koszarach. Rosyane przyszedli do siebie, i zaczęli naszych prażyć silnym ogniem. Gdy ta pukanina jakiś czas trwa, Sokołowski oprzytomniał, a trzymając konwulsyjnie pałasz w dłoni, zbiera wszystkie swoje siły, podnosi się, dwoma silnymi uderzeniami szabli obala dwóch koło okna stojących i strzelających Rosyan, wyskakuje oknem, i miał jeszcze siłę zawołać „Wiara naprzód, podpalać koszary!“ — i upadł bezprzytomny. Zawieziono go do blizkiego dworu, gdzie przez Rosyan wytropiony, poznany, pomimo dwudziestu kilku ran ciężkich do szpitala na cytadelę przewieziony został. Tu prędko się wyleczył, i dzięki swym kolegom, a osobliwie mając ciotecznego brata, znanego renegata, jenerała sztabu Witkowskiego prezydentem miasta Warszawy — został tylko na lat 20 ciężkich robót w Sybir skazany. Człowiek ten rzeczywiście był żelaznego zdrowia, całą twarz miał tak porąbaną, że nosa prawie nie było, uszy i głowa literalnie posiekana, pierś cała bagnietami pokłuta, ręce na wylot poprzestrzeliwane. Rany podczas silnych sybirskich mrozów jeszcze bardziej na twarzy uwydatniły się.

Sokołowski umiał sobie takie poszanowanie zjednać, że komuna siwakowska, po ustąpieniu hrabiego Edwarda Czapskiego, jego na swego starostę powołała, i jemu tylko zawdzięcza, że awantury w Siwakowej nie przybrały większych rozmiarów.

Gdy partya Lichtańskiego utarczkę z Rosyanami prowadziła za parkanami więzienia, i bębny odezwały się na alarm, a ktoś w obrębie więzienia krzyknął „krew się leje“, to muszę przyznać, że pomimo niesnask wewnętrznych, jak było nas przeszło 700, wszyscy jak jeden stanęli, uzbrojeni w siekiery, łopaty, widły, i w to, co kto miał pod ręką. W jednej chwili cały parkan od strony koszar runął na ziemię, i nasza wiara stanęła na jakie 60 kroków oko w oko z stojącym już batalionem wojska. Jeden wystrzał karabinowy ze strony Rosyan, lub nierozważny krzyk z naszej, byłyby

spowodował straszną rzeź, i chociaż duchem i siłą byłoby zwycięstwo przy nas, to tylko smutne mogły być z tego następstwa. Sokołowski jednym rzutem oka spostrzegł groźne niebezpieczeństwo, wpadł jak strzała pomiędzy Rosyan i naszych, i krzyknął: „Panowie na miłość ojczyzny proszę was nie ruszać się dalej!“ Potem stanąwszy przed zgłupiałym i sinym ze strachu Zaborowskim, tuż naprzeciw Rosyan, zakomenderował donośnym głosem po rosyjsku: „Broń do nogi!“ co Rosyanie zaraz spełnili. Tym czynem przyczynił się Sokołowski do uśmierzenia z głupoty i barbarzyństwa rosyjskiego wyniku awantury.

Gubernator Dittmar dziękował Sokołowskiemu publicznie, ściskając jego dłoń, a pomimo to z rozkazu nadeszłego z Irkucka, okuto Sokołowskiego na nogi i ręce i wywieziono razem z Lichtańskim, Szlezingerem i Ososką pod głośny sąd do Czyty.

Osoško i Szlezinger, synowie Litwy, dwaj przyjaciele od lat dziecińczych, ukończywszy razem szkoły, na głos powstania pospieszyli w szeregi narodowe, razem do niewoli wzięci, sądzeni i na Sybir wysłani do kopalń nerczyńskich, razem też przybyli w partyi Lichtańskiego do Siwakowej, gdzie byli uczestnikami znanej awantury. Rosyanie chcieli koniecznie dojść, kto pierwszy uderzył kapitana Taskina, kto pierwszy odebrał karabin i złamał bagnet. Żołnierze poznawali. Nieszczęśliwym trafem wskazano na Szlezingera; Ososko, chcąc bronić swego przyjaciela, występuje i oświadcza, że Szlezinger nie mógł tego uczynić, bo ja stałem przed nim. Rosyanie przyczepili się do słów Ososki i odpowiedzieli: „To pewnie i pan musiałeś brać czynny udział, kiedy Szlezinger, stojąc dalej za panem, mógł bić kapitana i pierwszy odebrać karabin“. Tak i tym razem los nie rozdzielił dwóch serdecznych przyjaciół.

Sąd odbywał się w Czycie publicznie przy bardzo licznym udziale publiczności, dodani byli i obrońcy. Sokołowski, znając prawa rosyjskie, bronił się sam, miał dzielną

wymowę, publiczność zasypała jego jak i Lichtańskiego hucznymi oklaskami, a płeć piękna bukietami.

Sąd wojenny skazał Lichtańskiego, Ososkę i Szlezingera na pletnie i na całe życie do ciężkich robót. Resztę zaś, to jest całą komunę siwakowską i partyę Lichtańskiego na jeden rok noszenia kajdan. Pletnie zostały przez generał-gubernatora Korsakowa zniesione.

Najokropniejszy wyrok padł na Franciszka Sokołowskiego, który tak brzmiał:

„Franciszкови Sokołowskiemu za uśmierzenie buntu w Siwakowej sąd w imieniu rządu składa publicznie podziękowanie, ale ponieważ z tego wszystkiego wykazuje się, że Sokołowski pomiędzy swymi towarzyszami ma wielki wpływ, którego mógłby kiedyś na złe użyć, więc go wysłać należy do kopalń nerczyńskich, i nałożyć, jak innym, kajdany“. Nie jestże to czysta ironia sprawiedliwości rosyjskiej, przewidującej przyszłość?

Komuna siwakowska dowiedziała się dopiero od przybyłej partyi Lichtańskiego, że naszych w kopalniach nerczyńskich nie używają do robót, dlatego postanowiono na ogólnem zebraniu w tym względzie wypowiedzieć posłuszeństwo, co przez starostę oświadczone.

Zaborowski nie dowierzał oświadczeniom i przyjętym zwyczajem, dobosze o godzinie 6. rano chodzili po naszym miasteczku bębniąc, aby iść do roboty; trwało to przez dni kilka, a gdy się nikt nie pokazywał, zaniechano tej komedyi bicia w bębny co rano.

Tak bezsilną jest wszędzie Rosya. W różnych naszych przeszło sześćioletnich praktykach z Rosyą doszliśmy do tego przekonania, że jeżeli spostrzeżono, że między nami jest jedność i zgoda, wtedy nietylko nam ustępowano, ale nawet nieraz naszym śmiesznym i niedorzecznym wymaganom, jako aresztantów, czyniono zadość.

Czyby coś podobnego w państwie jako tako zorganizowaniem cierpiano i tolerowano? Dzieje świata pouczają

nas, że w narodach lęklivych, słabych, niepewnych swoich kroków — podłość, niczemność, a zarazem chytrność najbardziej rozszerza się; dlatego też i dzieje Rosyi nacechowane są barbarzyństwem, okrucieństwami i takimi podłościami, na które każdy człowiek wzdygać się musi.

Wspomniałem już, że nasze miasteczko podzieliliśmy na Stare i Nowe miasto, i ustanowiliśmy dwie parafie. Parafią Starego miasta zawiadował ksiądz Girgolewicz z jednym wikarym, parafią zaś Nowego miasta ksiądz Kowalewski z księdzem Pomiechowskim. Nabożeństwa odbywały się w koszarach, a zamiast dzwona używaliśmy do zwoływania wiernych grzechotki. Odbywanie nabożeństwa w koszarach było bardzo niewygodne i niestosowne, raz z przyczyny braku miejsca, po drugie, że w każdej izbie były urządzone kuchnie angielskie, a wynikający stąd okropny swąd przeskadzał nabożeństwu.

Od dawna przemyśliwaliśmy jakimby sposobem wybudować kaplicę; wiedzieliśmy, że Rosyanie tak prędko na to się nie zgodzą, a robiąc w skrytości, nie uda się.

Zaborowski wiedział, że my w koszarach odprawiamy nabożeństwa, i z jakimi przykrościami są takowe połączone; a że i jemu zależało, abyśmy jak najwięcej budowali się, będąc przekonanym, że długo w Siwakowej nie pozostaniemy, więc razu jednego zaproponował nam wystawienie kaplicy, wyrażając się, że on to sam widzi, jak my nie mamy gdzie naszego Pana Boga chwalić, a w koszarach jest bardzo niewygodnie. Pozwolił więc nam wystawić sobie obszerną kaplicę, gdzie moglibyśmy mszy świętej słuchać, i do tego pozwolił w lesie drzewo ścinać, a do przywiezienia z lasu potrzebnego budulcu pozwolił nawet użyć rządowych zaprzęgów.

Wiara z radością, klaszcząc w dłonie, przyjęła do wiadomości szlachetność i dobroć Zaborowskiego. Księża zajmują się składkami, każdy z nas ściska pas, odejmując gębie, i niesie co może na ołtarz ofiary; zebrano 250 rubli,

i zabrano się szczerze do pracy. Każdy z nas dokłada ostatnich sił, las trzeszczy, drzewa padają, a woły rządowe zwożąc je, upadają ze znużenia, sami rzniemy tarcice, obrabiamy belki, i tak idzie szparko robota, że w przeciągu tygodnia staje zrąb.

Ach jaka to śliczna kaplica będzie! Jak to błogo i przyjemnie będzie mieć swój własny kącik do chwalenia Pana Boga! opowiadamy sobie. W drugim tygodniu stanął dach, okna, drzwi i ołtarz, ozdobiony takimi rzeźbami, że i niejedna katedra pozazdrościłaby ich. Kaplica gotowa. W pierwszą niedzielę odbędzie się jej poświęcenie: chodzi wiadomość z ust do ust. Wszyscy się cieszą, wszyscy z radości skaczą jak małe dzieci. Bo czyż niema się czego radować?... We dwa tygodnie stanął dom Boży, do którego się wszyscy przykładali; dom Boży, w którym zebrane dzieci jednej narodowości z nad Dniepru, Dźwiny, Bugu, Wisły i Warty, reprezentując wielki naród Polski, będą mogły wznosić swe modły do Najwyższego o pomyślność biednej ojczyzny!

Nadeszła wreszcie długo oczekiwana niedziela. Ksiądz kanonik Stecki ma celebrować i poświęcać kaplicę. Radość nie do opisania. Zbieramy się wszyscy, z bijącym sercem oczekujemy tej chwili, w której ksiądz Stecki w asystencji duchowieństwa po raz pierwszy wyjdzie ze zakrystyi, a ksiądz kanonik Polikowski z ambony wypowie słowo Boże!... Jakaż ciężka boleść nas ogarnęła, gdy na rozkaz Zaborowskiego, wpada kapitan Łytkin z wojskiem, rozpędza nas, i w imieniu prawa zabiera kaplicę na użytek rządu! Ledwo od jego chciwości zdołaliśmy uratować aparata i przyrzady do odprawiania mszy świętej, z największemi trudnościami wprowadzone w tajemnicy z kraju.

Protestowaliśmy przeciw temu popełnionemu gwałtowi, chodziliśmy do Zaborowskiego, który nas z miną zafrasowaną, jak zawsze, bardzo grzecznie przyjął, oświadczając, że on temu nic nie może zaradzić, bo ktoś doniósł do wyższej władzy, że my budujemy kościół, a stamtąd przyszedł

rozkaz zamknięcia i zabrania na skarb wybudowanej kaplicy. Prosiliśmy, aby nam ten rozkaz pokazał, odpowiedział politycznie, że to jest sekretne rozporządzenie, więc nie może. Ale nie dosyć jeszcze tego, bo wkrótce po tym wypadku zabrano nam wszystkich księży, i wywieziono do kopalń nerczyńskich, do Ekatui, gdzie Rosya urządziła, jak się sama wyraziła, klasztor dla polskich księży. I tak pozbawiono nas jedynej duchowej pociechy, słuchania mszy świętej i słowa Bożego. Był wprawdzie rządowy ksiądz w Irkucku, ale ten z przyczyny wielkich obszarów, mógł zaledwie co parę lat w jednym miejscu się pokazywać! Z kaplicy naszej, która kosztowała nas tyle pracy i życie jednego brata Żmudzina, który siekierą skaleczywszy się w kolano, dostał gangreny, z czasem urządzono garnizonową cerkiew.

Działo się to w roku 1866 przed samem powstaniem Zabajkalskiem, gdy już nam ogłoszono manifest, łagodzący lata katongi na połowę, a wszystkich zasądzonych do ciężkich robót na lat cztery i sześć puszczono na posilenie do guberni Irkuckiej.

W tym czasie wielkie deszcze nawiedziły kraj Zabajkalski, trwając przeszło dwa miesiące. Dachy nasze ziemią kryte, przepuszczały wodę, która rześistemi kroplami spływała do izb, aby się choć zwierzchu od deszczu uchronić urządzano w pokojach płócienne namioty. Ingoda zaczęła z łożysk występować, i woda spodem dobywała się do ziemianek. Teraz dopiero uczuliśmy jak niepraktyczne było budowanie tych ziemianek na pół w ziemi i pod dachami ziemią pokrytymi. Prawda, że przez długą ostrą zimę uczuwaliliśmy błogie ciepło, a podczas krótkiego lata śród upałów przyjemny chłód, za to, kto chciał teraz spokojnie całą noc przespać, aby nie być zalany wodą, musiał cały Boży dzień kubłami wodę ze swej ziemianki wylewać, a obudziwszy się rano, spostrzegł wodę pod podniesionym tapczanem na głębokość przeszło trzech stóp. W każdej takiej ziemiance były porobione rusztowania, aby wstawszy rano, móżdż przez okno

dostać się na dwór, i wziąć się na nowo do wylewania wody. Takie ustawiczne wylewanie wody trwało do dwóch miesięcy. Można sobie wystawić rozpacz naszych, gdy do tego jeszcze z powodu niezwyčajnej wilgoci powstał między nami skorbut, który dzięki zapobiegliwości naszych doktorów, został w stosunkowo krótkim czasie stłumionym.

Ja natenczas mieszkałem z Jarosławem Grotgerem, bratem ś. p. Artura, i poddanym francuskim Niementowskim, synem byłego kapitana wojsk polskich z roku 1831. Ziemiańska nasza na wyżynie zbudowana, była oprócz piwniczki wolną od wody, a dach pokryty ziemią, kilka stóp grubą, dobrze ubitą nie przepuszczał deszczu. Sprowadziło się do nas kilkunastu kolegów, umieszczając się, jak tylko można było. Zaczęły się dni ładne, Ingoda opadała, wiara wzięła się do podreperowania i wysuszania uszkodzonych ziemianek, a my tryumfujemy z naszego domku, który tyle biedy przetrwał. Naraz zauważyliśmy, że na suficie naszej ziemianki, który był bielony, pokazują się jakieś brunatne znaki, nie zwracaliśmy na to wielkiej uwagi, aż raz w nocy poczuliśmy spadające krople deszczu. Wybiegamy na dwór, śliczna pogoda. Wynieśliśmy więc rzeczy, medytując nad nieszczęśliwym losem, bo przy najpiękniejszej pogodzie w naszej stancyjce przez dni kilka lał deszcz na dobre. Woda w dobrze ubitej naszej ziemi na dachu przesiąkała powoli aż do sufitu, tam znalazłszy opór w szczelnie połączonych deskach, zrobiła sobie znaczny zbiornik wody, która dopiero po jakimś czasie, uczyniwszy wyłobienia, zasilala nas nieproszonym pokarmem. Było można wprawdzie temu prędko zaradzić zrzucając ziemię z dachu, ale odstraszało nas powtórne narzucanie i ubicie ziemi, co nie mało pracy wymagało.

Zaborowski znieawidzony był w końcu przez naszych, pogardzony przez samych Rosyan, którzy już jego grzeczną, uśmiechniętą i judaszowską postać mieli sposobność poznać, a nadto gubernator Dittmar, jako człowiek prawy i honorowy pogardzał nim.

Kupiectwo i mieszczaństwo Czyckie, już po sprawie Lichtańskiego i Sokołowskiego, zienawidziło Zaborowskiego tak, że odmawiano mu po handlach kredytu, a gawiedz miejska witała go każdym razem kocią muzyką. Zaborowski do tego wszystkiego był pijakiem i szulerem, a kasa spółwu była w nieczystym stanie. Na nasze skargi, że pieniądze i listy pochodzące z kraju giną, Dittmar zarządził na poczcie ścisłą kontrolę, tak, że przy końcu odbieraliśmy dosyć regularnie wiadomości i pieniądze z domu; pomimo tego działy się jednak nadużycia, i gubernator był zmuszony pułkownika sztabu, Francewicza, posłać do Siwakowej dla zrewidowania kasy. Wykazało się, że deficyt w kasie spółwu wynosił około 12 tysięcy rubli, a z naszych pieniędzy, które już pod kontrolą nadchodziły, przywłaszczył sobie Zaborowski 800 rubli, i te zostały nam natychmiast przez Francewicza wypłacone.

Gubernator Dittmar był tak oburzony, że gdyby nie ojciec żony Zaborowskiego, bogaty kupiec z Irkucka, który zaraz ten deficyt pokrył, Zaborowski byłby z pewnością oddany pod sąd.

Za karę został przeniesiony do Aleksandrowska na placmajora nerczyńskich kopalń przy pułkowniku Knoblochu. Od tego czasu straciła Siwakowa swego opiekuna, za to zaraza ta nawiedziła nerczyńskie kopalnie, gdzie jednak, jako podrzędna figura, przy takim Knoblochu nie miał już tego powodzenia.

Przeniewierstwo w Rosyi jest do tego stopnia posunięte i tak tolerowane, że jeśli który z dygnitarzy się przekradnie, to wtedy gubernator, a jeśli był nim gubernator, to minister nadaje mu intratną posadę, gdzie może formalnie kraść i tamten deficyt pokryć, jak to miało miejsce z pułkownikiem Iwanowem, o którym później.

Manifest z roku 1866 uwolnił wielu z katorgi, i wszyscy ci, których Zaborowski swoim słowem honoru zapewniał, że zostaną na posieleniu w Siwakowej, aby się tylko budo-

wali, już nie w obrębie więzienia, ale za małą rzeczka wpadającą do Ingody, ponieśli bardzo znaczne straty.

Byli to ludzie po większej części bogaci, którzy się całkiem zagospodarowali, poobrabiali pola i ogrody. Wysyłając ich, nie dano im nawet czasu do spieniężenia gospodarstw, które jak nasze zamożne dwory wyglądały. Rozumie się, że wszystko to zabrali Rosyanie.

Największe straty ponieśli: Wojczyński, Lewiński, hrabia Czapski, ksiązę Giedrojc, hrabia Kosakowski, Daleski, Niemirowski, hrabia Tyszkiewicz i wielu jeszcze innych ludzi, lubiących pracę i wzorowy porządek w gospodarstwie.

Aby dać wyobrażenie o rządzie rosyjskim, wspomnę jeszcze raz Franciszka Sokołowskiego, ofiarę barbarzyństwa rosyjskiego.

Po długich latach katongi dostał się na mieszkanie do jednej z środkowych gubernii Rosyi, gdzie zajmował się tłumaczeniem historycznych dzieł angielskich i francuskich. Wypadki na Wschodzie wywołały wojnę Turcyi ze Serbią. Generał Czerniajew spieszy z licznym zastępem Rosyan do Serbii, i obejmuje naczelne dowództwo. Rząd rosyjski szuka ludzi zdolnych, a oko jego pada na Sokołowskiego; proponują mu, czyby się nie udał oswobadzać z pod jarzma tureckiego Serbów. Sokołowski, po tyloletniej niewoli, chciwy i sam wolności, przyjmuje propozycję rządu, wymagającego od niego słowa honoru, że po skończonej kampanii powróci. Sokołowski jedzie do Serbii, walczy jako szef sztabu Czerniajewa, a ksiązę serbski dekoruje go własnoręcznie. Po skończonej wojnie, wierny danemu słowu, wraca na miejsce swego wygnania i oddaje się swojej cichej umysłowej pracy.

Pobywszy lat parę na miejscu, prosił rząd, by dla poratowania zdrowia pozwolono mu się przybliżyć do swej rodziny, której opieki potrzebuje.

Z Petersburga, z trzeciego oddzielenia, taką dano odpowiedź gubernatorowi, który poparł osobiście prośbę Sokołowskiego:

Z całego postępowania i zachowania się proszącego widać, że to jest człowiek wielkiego charakteru; a sam powrót jego z Serbii dowodzi, że jest wielce honorowy. Tacy ludzie są najniebezpieczniejsi i dlatego nie mogę się do jego prośby przychylić. Rozkazuję, aby go na północ do archangielskiej gubernii wysłać i tam rozciągnąć nad nim ścisły dozór.

Gdy oznajmiono Sokołowskiemu rozkaz wyjazdu do Archangielska, przyjął tenże na pozór obojętnie i długo w nocy pracował. Rano znaleziono go z rewolwerem w ręku, z roztrzaskaną głową, leżącego w kałuży krwi.

Ludzi takiego charakteru i takiej nauki niewielu jest na tym świecie, dlatego Polska straciła w nim jednego z najdzielniejszych synów. My, cośmy mieli szczęście znać go bliżej, i podziwiać to wzniosłe serce, przytomność umysłu i niezachwianą wiarę w odrodzenie ojczyzny, straciliśmy jednego z największych przyjaciół i przewodników dla świętej sprawy wolności.

Bądź pewny szlachetny przyjacielu i niezrównany kolego, że pamięć twoja głęboko wryła się w naszych sercach; wszystkie twoje bezinteresowne działania dla twych kolegów i współtowarzyszy niewoli, pozostaną w pamięci do dnia, w którym Najwyższy nas powoła do siebie i złączy na wieki.

Gdy komuna siwakowska zaczęła się już ruszać i swoją niechęć do robót głośno okazywać, wtedy Zaborowski, mając mnie za głównego sprawcę tego okazanego nieposłuszeństwa wobec władzy, dlatego że z ś. p. Franciszkiem Sokołowskim mieszkałem i przyjaźniłem się — przyszedł pewnego poranku do nas, i oświadczył, że ma rozkaz wysłania Adolfa Jankowskiego (Zielonkę) do Czyty.

Uskutecznilo to natychmiast, nie dając mi nawet czasu pożegnania się z kolegami i przyjaciółmi.

Na tem mojem przeniesieniu źle nie wyszedłem. W Czycie zastałem bardzo wielu dawnych znajomych z Pietrowska, a pomiędzy nimi Witolda Marczewskiego i Mikołaja Ep-

steina, mieszkających na ówczas w Kitowie pod Czytą, gdzie i wydany przez nasz ogół w Siwakowej, Ludwik Żychliński z galicyjaninem Barabaszem, który mu usługiwał, przebywał.

Dobrze mówi przysłowie: „Że góra z górą nie zejdzie się, ale człowiek z człowiekiem zawsze“. To też niewymowną radość sprawiło mi dwóch moich dawnych dobrych znajomych i kolegów, których niespodzianie w Czycie zastałem. Jednym z nich był nasz brat Litwin, Zimnoch, którego poznałem w Sycylii w Gidach Garibaldego. Razem przebyliśmy całą kampanię w roku 1860 we Włoszech, następnie byłem z nim dłuższy czas w Paryżu, razem udaliśmy się 29. stycznia 1863 roku do powstania, razem przybyliśmy do Krakowa i stamtąd udaliśmy się do oddziału Langiewicza. Dopiero ostatnia bitwa pod Grochowiskami rozłączyła nas, aby w dwa lata później aż w odległej Syberii mózdz sobie przypomnieć minione czasy lepszej przeszłości i pokładanych nadziei. Zimnoch, Litwin czystej krwi, przyjacielski, serdeczny, w bitwie odważny i przezorny, całe życie idąc prostą drogą, nie umiał udawać, a oczy jego były otwartą księgą duszy. Udając się do powstania, zatrzymaliśmy się w Monachium; młodzież tamtejszej szkoły sztuk pięknych zaopatrywała nas w paszporta. Mnie dostał się paszport ś. p. Henryka Redlicha; Zimnochowi, znanego artysty Buchbindra; na nieszczęście Zimnoch nie mógł się wyuczyć tego nazwiska, i ciągle „Buchbindra“ przemieniał na „Binderbucha“. Na granicy w Salzburgu jakoś nam poszło szczęśliwie z tym Buchbindrem. Przed samym Krakowem pytamy od czasu do czasu Zimnocha o nazwisko, i zdawało się, że już został dokładnie obznajomiony z swoim nowem nazwiskiem. Tymczasem w Krakowie, gdy komisarz policji przystępuje do wagonów i każdego z nas pyta o nazwisko, oglądając paszporta, przychodzi i do Zimnocha, i pyta:

— Jak pańskie nazwisko?

A Zimnoch na to: Binderbuch.

— Jak? jak? — zapytuje się powtórnie komisarz.

— Binderbuch, Buchbinder, Binderbuch... niech dyabli porwą wszystkie niemieckie nazwiska!... Jestem Zimnoch, emigrant z Paryża, i jadę do Królestwa, rób pan ze mną co chcesz.

Po takim oświadczeniu przyaresztowano kochanego Litwina, a że to było z początkiem powstania, i mieliśmy znajomości w Krakowie, więc za poręczeniem dwóch tamtejszych obywateli jeszcze tego samego dnia wypuszczono z pod „telegrafu“ naszego Zimnocha.

Drugim był galicyanin, Nadmiller, wychodźca z kampanii węgierskiej z 1848 roku, a w roku 1863 major i dowódca kawalerji w oddziale „Dzieci Warszawskich“. Z tym pracowaliśmy razem w warsztatach kolejowych w Stratford pod Londynem.

W Czymie byliśmy pomieszczeni w koszarach artyleryjskich, i wzięliśmy się wszyscy do rzemiosła, które pod światłem kierownictwem Marczewskiego wkrótce zakwitło i wprowadzało w podziw tamtejszych mieszkańców. Mnie z Nadmillerem przyszło w udziale wyrestaurować młyn parowy na wyspie pod Czytą, który od lat kilku popsuty i zdezolowany, był gniazdem sów i schronieniem bydła zimową porą. Gdyśmy się tej roboty podjąć nie chcieli, zaczął Marczewski nas do tego nakłaniać, a obiecując nam swoją pomoc, tak przekonywająco do nas przemówił, że wkońcu zdecydowaliśmy się rozpocząć tę pracę.

Pod kierownictwem Nadmillera, za wskazówkami Marczewskiego wzięliśmy się do pracy. Dodano nam robotników, aresztantów cywilnych Rosyan, a władza tamtejsza obiecała nam stałe zajęcie z pensją 1.500 rubli rocznie dla Nadmillera, a dla mnie 1.200, co w naszym położeniu było złotą górą; wzięliśmy się energicznie do dzieła, i już czwartego miesiąca naszej pracy pokazał się dym z komina.

Rosyanie nie wierzyli naszemu talentowi mechanicznemu, a oglądając naszą robotę — widząc przedtem bezskuteczną pracę innych, sprowadzonych przez rząd mechani-

ków do odrestaurowania młyna — powtarzali ustawicznie: „*Jej Bohu* (Dali Bóg) z tego nic nie będzie!” — co nas w nienajlepszy humor wprowadzało.

Gdyśmy pierwszą próbę zrobili, która dzięki Marczewskiemu, nad nasze spodziewanie się udała, procesyami schoździli się Rosyanie, nie tak młyn jak nas oglądać, powtarzając między sobą: *Wot Polaki, u nich wsio doktory!*

Po puszczeniu młyna w ruch, odniosła się władza czycka do Irkucka, aby nas zatrudnić stale przy młynie; niebawem nadeszła odpowiedź, że nie wolno politycznych trzymać przy mące we młynie, (obawiano się abyśmy nie zatruli) i przysłano z Irkucka młynarzy i maszynistów Niemców. Zapłacono nam wprawdzie za naszą pracę, ale zawsze nie tyle, ile ona warta była.

Gdy się tak nasza sława „inżyniersko-mechaniczna“ rozniosła, zawezwano nas do reperacji parowego tartaku w Siwakowej, tam przybraliśmy sobie do pomocy Kaczyńskiego, kijowianina i warszawiaka Szteka; a pod kierownictwem Nadmillera wkrótce puszczonej został tartak w ruch. Za to zostaliśmy też samo osobno wynagrodzeni.

Po ukończeniu tej roboty odwieziono mnie do Czyty, a że przyszło rozporządzenie z Petersburga, żeby nas w miastach dalej nie trzymano, wysłano zatem jedną część na wolne mieszkania do Kinonu, drugą do Tarasunia; mnie zaś do kopalń nerczyńskich, z łaski Zaborowskiego z osobnem pismem do tamtejszej komendantury, przedstawiającem mnie jako człowieka niespokojnego. List ten za trzy ruble odkupiłem od konwojującego mnie uradnika kozackiego, a przybywszy do Aleksandrowska zostałem wysłany do Kadai.

#### IV.

### Kopalnie nerczyńskie i ich komendanci.

---

Nerczyńsk. Generał Szyłow. Aleksandrowsk. Akatuja. Kotumara. Klitszka. Ałgatsz. Kadaja. Generał Woroncow. Porucznik Jelski. Brygadyer Iwanow. Dr Paszkowski. Opór przeciw robocie. Kapłaczy i Jelski. Historia Karola XII. Nasi naturaliści. Kradzieże Rosyan. Zaborowski. Denuncyacye. Gubernator Dittmar. Alarm w Aleksandrowsku. Dr Orłowski. Dr Dworzaczek. Rewizya w Ałgaczu. Pułkownik Knobloch i jego polityka. Wyjazd na posielenie. Stepy Buryackie. Odwlekanie manifestu. Rozboje Sybiraków. Komendant Szostakow. Włóczęgi. Urządzenie wewnętrzne w Kadai. Kamieniecki. Szmidecki. Pawłowski. Paszkowski.

Tak zwane zawody nerczyńskie, oddalone od powiatowego miasta Nerczyńska przeszło 200 wiorst na zachód ku rzece Arguń, która razem ze Szyłką tworzy Amur, są kopalniami złotej i srebrnej rudy.

Tam przy końcu roku 1864 — po napełnieniu solarni, zwanej „Usola“ przed Irkuckiem 200 ludźmi naszymi, i fabryki żelaza w Pietrowsku już za Bajkałem, 100 ludźmi naszymi — wysyłano wszystkich bez wyjątku, czy to do kopalń, czy fortec lub fabryk skazanych. Na komendanta przysłano z Petersburga generała żandarmeryi Szyłowa, rygorystę w całym znaczeniu tego słowa, ale człowieka prawego, który na stolicę swego państwa wybrał Aleksandrowsk, gdzie znajdowało się kilka zabudowań zdolnych do pomieszczenia więźni politycznych. Najpierw zabrano pomieszkania urzędników pod nazwą numer 1. i 2., gdzie naszych 100 pomie-

szczono, później koszary kozackie z miejscem na 100, dalej biura, fabrykę pod nazwą kantorku, gdzie pomieszczono 60, w końcu policją gdzie 20 pomieszczono; więc w Aleksandrowsku znajdowało się razem 280 osób. Od Aleksandrowska 18 wiorst oddalona leżała w górach Akatuja, dokąd wysyłano naszych księży, i tych, którzy osądzeni byli na karę, tam pomieszczono razem 110 osób. Kotumara, oddalona 46 wiorst, mieściła w sobie 105 naszych, ta wkrótce spaliła się, a wszystkich — tak zwaną partyę Lichtańskiego — przeniesiono do Siwakowej. Klitszka, oddalona 160 wiorst, mieściła 35 naszych, Ałgatsz, oddalony 60 wiorst, miał 100 i Kadaja, 128 wiorst, z dwoma więzieniami, dokąd nas 105 zasłano. Było zatem z początku roku 1866 w kopalniach nerczyńskich około 800 więźni politycznych.

Szyłow, jako żandarm z Petersburga przysłany, nieobznajomiony dokładnie z wszystkimi tamtejszemi złodziejstwami, jakie się działy w tych stronach, oburzał się na wszystko; a sam — jak wspomniałem — będąc człowiekiem prawym, kraść nie pozwalał. Za jego bytności wydawano jak najregularniej nasze należytości, dostawaliśmy kozuchy, sukna i niezłe płótno na bieliznę, a do tego parę rubli na uszycie, co razem czyniło ogólnej wartości 26 rubli, przytem najważniejszy warunek naszego życia, mąka, była sucha i dobra. Szyłow był wszystkim urzędnikom solą w oku, a jako generał żandarmeryi i z ramienia cara przysłany, trudny orzech do zgryzienia. Najpierw zaczęła się wojna z władzą górniczą. Górnictwo skarżyło Szyłowa do Irkucka. Generał-gubernator Korsakow, dla swego własnego interesu sprzyjał górnictwu, a Szyłow po 20-miesięcznem panowaniu — nie chcąc kraść — ustąpił i odjechał do Petersburga. Z początku byli nasi radzi z wyjazdu Szyłowa, który wszystkim dogodzić nie mógł, później pokazało się jednak, że ponieśliśmy przez jego ustąpienie stratę niezaprzeczoną.

Na miejsce Szyłowa władza Irkucka przeznaczyła na tymczasowego komendanta, pułkownika kozackiego Woron-

cowa, człowieka słabego charakteru, a przytem nadzwyczaj ograniczonego, było to czyste narzędzie władzy irkuckiej, jak pułkownika Kupienki i innych. Na adjutanta przydano mu naszego eksrodaka, porucznika Jelskiego, łotra w najwyższym stopniu, tego samego przypominamy sobie młodzieńcem, jak jeszcze podczas manifestacyi w Wilnie, klęcząc wyśpiewywał pod Matką Boską Ostrobramską „Boże coś Polskę“, później brał czynny udział w organizacyi, a przy wybuchu powstania wstąpił w szeregi rosyjskie. Znając naszą organizacyę, wtajemniczony w najskrytsze plany, był bardzo pomocnym Murawiewowi, który uwzględniając jego zasługi, prędko nadał mu stopień oficerski i ozdobił krzyżami. Jelski był po trzykroć zdrajcą, bo nie tylko że zdradził ojczyznę i swych przyjaciół, ale i wiarę, przechodząc na prawosławie. Mało było mu ofiar między Polakami, szukał ich jeszcze między Rosyanami, swymi kolegami oficerami. Z tymi poszło mu trudniej, bo jako szpiega natłukli i z pułku wypędzili. Jelski, nie mogąc już więcej broić w kraju, łakomy czynów i bogactwa, podał się do służby w odległy Sybir, i tam poznałem go w roku 1866, jako porucznika i adjutanta generała Woroncowa.

Władza irkucka, bardzo zadowolona z swego komendanta, aby go nadal na tej posadzce utrwalić, postarała się w Petersburgu o stopień generalski. Nas tymczasem obkradano nielitościwie; nie dostawaliśmy już naszych ubrań, odjęto nam stróży i woziwodów, czyli przeznaczone na to pieniądze, gdyż funkcyje te wypełnialiśmy sami. Listy z kraju nie dochodziły nas, pieniądze przepadały, a w naszych nam od rodzin przysłanych ubraniach — chodziła cała komendantura, poznawano znaki na bieliźnie i chustkach do nosa, krzyczano, skarżono się — ale był to głos wołający na puszczy. Wszelką najmniejszą skargę uważano za bunt, wsadzano do katałaszkii, lub wysyłano między księży do Akatui, jak się wyrażali ironicznie „na rekolekcyje do klasztoru“.

Kazano nam własnoręcznie naprawiać darmo własne więzienia, na reperacyę których znaczne fundusze były prze-

znaczone. Reperacye tych budowli powierzone zostały brygadyerowi drugiej kozackiej brygady, pułkownikowi Iwanowi, który jako brygadyer czyli naczelnik pewnego zabajkalskiego okręgu, przekradł się, straciwszy 20 tysięcy rubli rządowych. Korsakow, chcąc wyratować Iwanowa, oddał mu reperacyę wszelkich nerczyńskich zabudowań, wyznaczając ogromne sumy. Z żołnierza, a przytem człowieka prostego, zrobiono budowniczego, który obowiązany był deficyt 20 tysięczny w swej kasie w jak najkrótszym czasie pokryć.

Iwanow od lat dziecinnych, jeszcze z kantonistów, przyjaciel Woroncowa; jako synowie żołnierzy, dosłużyli się w linii stopni wachmistrzów. Przy organizacji Amuru przez Murawiewa Amurskiego, podali się w Sybir, gdzie im nadano stopnie oficerskie, tu obaj razem dosługiwali się aż do pułkowników. Woroncowa był szczęśliwszy, bo po nadaniu mu komendantury więźni politycznych, otrzymał wkrótce szlify generalskie. Nasz nowo mianowany generał protegował Iwanowa, z czego ze strony władzy wynikały nadużycia; a nasi nie chcąc darmo naprawiać swych więzień, stacjali ustawicznie z władzą ustne utarczki.

Działo się to tak do miesiąca października 1866 roku. Mnie naówczas przeniesiono do Kadaj, kopalni srebra, siedm wiorst od Mongolii i rzeki Arguń położonej. Z Aleksandrowska do naszego komendanta sotnika (porucznika), Szostakowa, nadszedł rozkaz, aby nas siłą przymusić do reperacyi więzienia. Dr Paszkowski, nasz starosta, odpowiedział wręcz, że nie jesteśmy tak niedorzeczni, abyśmy dla siebie stawiali lub naprawiali więzienia.

Szostakow o naszej stanowczej odmowie zdał raport do Woroncowa, skąd przyszła odpowiedź, aby Dra Paszkowskiego odesłać do Aleksandrowska, a zaczyńszczyków (tych co pierwsi oponując dali zły przykład) okuć na gołe nogi i ręce, osobno zamknąć i tak trzymać do dalszego rozporządzenia. Szostakow, jako człowiek ludzki i nie zły, tylko pijak, jakich mało nawet między Rosyanami, był w przykrem

położeniu. Znał nas bardzo dobrze i wiedział także dobrze, którzy to z nas najwięcej oponują, jednak do wypełnienia Aleksandrowskiego rozkazu nie chciał sam ręki przykładać, tylko działał w porozumieniu z jedną częścią naszych legalistów. Cały ten smutny przebieg sprawy, przedstawiający w bardzo niekorzystnym świetle większość naszych w Kadai, pomijam dziś dla różnych przyczyn milczeniem; dość, że padł los na dziewięciu naszych, w drugim więzieniu, w średniej izbie mieszkających, i to: rejenta Łazowskiego, Franciszka Zgórka, Szwajcara Kaplaczego, Wiktora Opolskiego, Kupczyńskiego, Tytusa Świerczyńskiego, Lewińskiego, Frykarda i na mnie. Włożono nam kajdany na ręce i nogi, zamknięto drzwi na sztaby, przy drzwiach postawiono żołnierzy i trzymano nas tak na pół porcyi aż cztery miesiące. Było to ze strony władzy wielkie nadużycie przeciw prawu, bo najwyżej można tylko kogoś 8 dni głodzić — trzymając na pół porcyi. Żądaliśmy, aby generał do nas przyjechał, który jest obowiązany na każdorazowe żądanie więźni zjawić się — ale nadaremno. Jelski trzymał nas w swoich szponach, a mając umysłową przewagę nad Woroncowa, robił z nim, co mu się żywnie podobało; zresztą Woroncowa mało zajmował się sprawami, żył hucznie, a otoczony awanturnikami, popijając wódkę, rządził w Aleksandrowsku, jak sułtan w seraju.

Razu jednego zawitał do nas Jelski, niby jako protektor i pośrednik pomiędzy Woroncowa a nami. Ubolewał nad naszym nieszczęśliwym losem, chwalił bardzo generała, uniewinniał go, że to wszystko nakazuje mu robić jego stanowisko, dlatego on, t. j. Jelski, radzi nam, abyśmy się ze skrucną poddali prawej władzy i przeprosili Woroncowa, bo nawet i jemu samemu, t. j. Jelskiemu jest bardzo przykro, gdy nas tak widzi dźwigających kajdany i głodzonych.

Kaplaczy, który stał najbliżej Jelskiego, oburzony tą judaszowską mową do najwyższego stopnia, zsiniał ze złości, a pokazując palcem drzwi, rzekł z kiepska po polsku:

— Wynos się łotrze, gdyż my daleko szczęśliwsi w tych to kajdanach, wygłodniali, wynędzniali, jak ty podły człowieku w twojem lokajskim carskiem ubraniu!

Jelski nie wyszedł, ale uciekł za drzwi.

Na trzeci dzień przyszedł rozkaz, aby Kaplaczego dostawić do Aleksandrowska, tam trzymano go dwa miesiące w ciemnym areszcie, a potem wywieziono na „rekolekcye do klasztoru akatujskiego“.

Nam wkrótce udało się przesłać prywatną drogą skargę do pułkownika żandarmeryi do Irukucka, na którą zjechał żandarm kapitan Hess, wysłuchał naszą skargę, kazał rozkuć i drzwi otworzyć.

Jelski, który opanował słabego Woroncowa i trzymał go w swoich sidłach, nabił mu głowę rozmaitemi głupstwami i niedorzecznościami, opowiadając, że on (Jelski) znając nas bardzo dobrze, jest pewnym, że my kiedyś bunt zrobimy, wyłamiemy się z pod władzy, kozaków wyrzniemy, a generała i wszystkich oficerów powywieszamy. Biedny Woroncow czuł już stryczek na szyi, truchlał na samo wspomnienie buntu, rozchorował się, i podał się do dymisyi. Nie mówiąc już o wykształceniu generałów rosyjskich, ale tylko o ich rozumie zwykłym, to najlepsze wyobrażenie o nich daje Woroncow. Razu jednego przychodzi do nas prosząc, aby mu dać co czytać, bo się bardzo nudzi. Właśnie na wierzchu leżała historia Karola XII, której mu pożyczono. Po kilku tygodniach przychodzi Woroncow, i dziękując za wypożyczenie, mówi:

— Co za śliczna historia Karła Chi.

Rosyjski generał nie znał cyfr rzymskich i czytał dwańście jako „chi“, potem opowiadał nam jakby to dobrze być tym Karolem Chi.

— A to dlaczego? — pytamy się.

— Oto panowie, człowiek mógłby się tak krótko podpisywać „Chi“, bo to teraz dają mi tyle do podpisywania, a ten „Woroncow“ to jest taki długi, i tak mnie zmęczy, że potem ani wódki napić się, ani nic jeść nie mogę.

Drugim razem przyszedł do więzienia do pokoju, gdzie nasi naturaliści mieszkali, którzy nabywając rozmaite zwierzęta i ptaki, wypychali takowe. Otworzywszy drzwi i zobaczywszy zwierzęta i ptaki stojące na półkach, rozwarł gębę, oczy wytrzeszczył, a wzięwszy w obie ręce poły od płaszcza, skurczył się, a machając powoli połami płaszcza, podkradał się, aby nastraszyć ptastwo i zwierzątka. Ale jakie było jego zadziwienie, gdy pomimo jego ruchów, blizkiego podejsia, a w końcu wołania „a szy a szy“, wszystko stoi i nie rusza się. Obróciwszy się do stojących za nim dwóch oficerów i naszego komendanta, powiedział:

— Widzicie panowie, jaki to chytry naród ci Polacy, nawet dzikie ptactwo i zwierzęta wyuczają posłuszeństwa; lepiej to stoi w szeregu jak nasi Kozacy!

Nasi podeszli ku niemu i tłumaczyli, że to wszystko nieżywe, lecz wypchane. Nie wierzył, macał, brał do ręki, oglądał, a w końcu prosił, aby mu dano jednego ptaszka, a on to swojej krasawicy *Szaszce* pokaże. „Niech podziwia, jakiego ja to umnego narodu jestem komendantem, bo ciągle mi gada, że ja *staryk i durak!*“

Dano mu kilka okazów, co go niezmiernie ucieszyło. Innym razem przyszedł do nas z pułkownikiem Iwanowem. Było to latem, prosiliśmy go, aby nam pozwolił raz na dzień iść do kąpieli do rzeczki, płynącej tuż niedaleko od więzienia.

— Nie mogę — odpowiedział — mnie czytał Jelski prawa, a tam w paragrafach niema nic o kąpaniu się.

— Pozwól im — rzekł na to Iwanow — prawda jak to było nam przyjemnie jak nam wachmistrz Krasow pozwalał pójść do rzeki koszule wyprać.

— Tak, tak, to prawda — rzekł Woroncow — ale wiesz ty, ten Krasow, to był wielki podlec, ile on to nas po mordach nabił.

— Ciebie daleko więcej tłukł jak mnie.

— Ciebie więcej — rzekł już zniecierpliwiony Woroncow! — I zaczęła się na dobre sprzeczka wobec nas, czy

generał, czy pułkownik więcej brał po twarzy, aż Iwanow zakończył mówiąc:

— Prawda tyś teraz generał, a ja pułkownik, to ja więcej brał.

Te fakta są aż za nadto jaskrawym dowodem wykształcenia pewnej części generałów i pułkowników rosyjskich.

Po Woroncowie, który tak się bał stryczka, nastąpił pułkownik Iwanow, jako tymczasowy komendant.

W gruncie był to nie zły człowiek, ale miał tę jedną wadę, że bardzo wiele pił, a jeszcze więcej kradł, ale nie dziwota, jest to wada, z którą prawie każdy Rosyanin na świat przychodzi, nie jego więc w tem wina. Był to człowiek nietylko niewykształcony, ale i głupi, miał tylko tę jedną wyższość nad Woroncowa, że miał tak zwany chłopski rozum.

Na początku jego rządów przysłano na placmajora znanego nam Zaborowskiego. Iwanow pod wpływem dwóch takich filutów jak Jelski i Zaborowski, sam nic robić nie mógł. Długo Iwanow opierał się im swym chłopskim rozumem, ale wkrótce wyższość umysłowa wzięta górę, i pułkownika okulbaczone jak największego osła.

Szelmostwa robione za Woroncowa powiększyły się, wydawano nam z magazynów mąkę czerwoną i spleśniałą, ubrania całkiem wydawać zaprzestano, a listy i pieniądze przysyłane z kraju topniały między Rosyanami. Był nasz materialny pogorszył się znacznie, a z brakiem funduszków upadały nasze fabryki mydła, świec, papierosów, wyroby kiełbas i szynki, a wszystko to zakupywali z największą chęcią kupcy, wysyłając te towary nad Amur. Podniosła się i drożyna później. Na niezbędne potrzeby życia trzeba było do pobieranego miesięcznie żołdu i mąki dodawać, a nie było z czego.

Zaborowskiemu i Jelskiemu zachciało się gratyfikacyi i awansów, ułożyli na prędcę plan, że wykryją między nami spisek, który ma doprowadzić do wybicia się z pod pano-

wania rosyjskiego, i utworzenia niezawisłej Rzeczypospolitej sybirskiej.

Niejaki Władykin, Rosyanin i były oficer, a potem w naszych narodowych szeregach, zesłany do robót, znajdujący się między naszymi w Aleksandrowsku wybawił ich z kłopotu. Poznał swój swego prędko. Przebiegły Władykin poznał zamiary Zaborowskiego i Jelskiego, i stanął jako denuncyant, poparty przez nich przed Iwanowem. Władykin zeznał, że Polacy w Piątek Wielkanocny — było to 1867 roku — przygotowują powstanie, Aleksandrowsk będzie spalony, żołnierstwo i chłopci wyróżnione, a oficerów i komendanta chcą powiesić. Iwanow, znając nas, nie chciał wierzyć. Wtedy Władykin na dowód — wyciąga list z kieszeni, pisany niby to ręką Witolda Marczewskiego, byłego naczelnego inżyniera drogi żelaznej warszawskiej, o którym już wspomniałem, człowieka wielce poważanego tak u nas, jak i u Rosyan, list, którego autorem był sam Władykin. List ten pisany był niby z Czyty, gdzie się Marczewski naówczas znajdował, a ułożony w stylu proklamacyjnym, wzywał nas wszystkich do ogólnego powstania, wybicia się z pod panowania rosyjskiego, i urzędzenia z Syberii niezawisłego państwa. Władykin twierdził, że list ten czytany był publicznie przez starostę Czerwińskiego. Zaplątał do tej sprawy wiele osób, znajdujących się poza obrębem nerczyńskim, których nawet osobiście nie znał, ale słyszał, że są ludźmi poważanymi i noszą pomiędzy nami dobre imię, jak Leona Niemirowskiego, Kazimierza Trepkę, Mikołaja Epsteina i wielu innych. Dra Orłowskiego, o którym wiedział, że ma paręset rubli przy sobie, robi kasyerem nowego rządu.

Ta denuncyacja narobiła wielkiego harmideru. Iwanow telegrafuje do Czyty i Irkucka. Gubernator Dittmar przyjeżdża natychmiast niespodziewanie w nocy, aby się osobiście przekonać o wszystkim. Władykin potwierdza uczynione zeznanie całkowicie, Dittmar temu nie wierzy, ale środki ostrożności przedsięwziąć musi. Całą kozaczyzną zabajkalską po-

wołano pod broń, do każdych kopalń, gdzie się nasi znajdowali, wysłano po batalionie kozaków, a chłopom nakazano pospolite ruszenie. Marczewskiego w Czycie krępują, kują i na odwach wsadzają, dostaje tam tyfusu i mało co życiem nie przypłaca, lecz ludzki Dittmar, znając go bardzo dobrze, rozkazuje na swoją odpowiedzialność z odwachu go wypuścić i na wieś do Kinonu pod Czytą odesłać, gdzie go staraniom naszych doktorów oddano.

Aleksandrowsk w oblężeniu, wojska co niemiara, na śledztwo z Irkucka zjeżdza pułkownik generalnego sztabu, Francewicz, bada Władykina i naszych, ale nic wy badać nie może.

Ohryskę, znanego wydawcę *Volumina legum* w Petersburgu, i Dra Dworzaczka, u którego znaleziono ustawę naszego koszarowego urzędnika się wewnętrznego, o której godzinie wstawać, kiedy do obiadu siadać, a kiedy spać i t. p. wywożą na Jakuty, gdzie ich pod najściślejszą tajemnicą jako numeru trzymano, gdzie też swój męczeński żywot zakończyli. Drowi Orłowskiemu odbierają jego własne pieniądze, chowane na czarną godzinę, wsadzają do ciemnicy, gdzie długi czas przesiadywał.

Nadchodzi Wielki Piątek. Podług Władykina jako hasło do powstania ma być wzniecony pożar, jeden z felczerów, któremu Władykin swój plan odkrył i złote góry obiecywał, podpala magazyn wójta. W Aleksandrowsku straszny strach i gwar, pospolite ruszenie ucieka w lasy, jedna część kozaków ucieka za niem, a drugiej z kwater wygnać nie można, nasi to widząc śmieją się i siedzą spokojnie. Magazyn szybko bardzo zgorzał, bo nie było komu ratować, szczęście, że był położony za wsią, gdyż cała wieś ogołocona z ludzi, stałaby się była pastwą płomieni. Chłoptwo i kozacy widząc, że nasi cicho siedzą i jakoś do rznięcia się nie biorą, powoli zaczęli wracać. Iwanow poznał teraz, że to był egoistyczny plan Władykina, kazał go skuć i wsadzić do osobnego więzienia, pomimo protestacy Zaborowskiego i Jelskiego.

Z powodu mającej się odbyć rzezi w Aleksandrowsku, opowiadała nam później Pani Wołyńska, Rosyanka, żona kapitana i dozorca więźni, że taki strach ogarnął wszystkich, iż cała komendantura była gotowa do ucieczki, a ona sama — śmiejąc się teraz ze swej niedorzeczności — tak się przełękała, mając głowę nabitą tą rzezią, że czuła już nóż Polaków na gardle.

Taką to powszechną panikę wywołała ta łotrowska trójka, z której Władykin stawiony drugiego dnia przed Iwanowem tłumaczył mu, że Polacy wiedząc o przygotowanej obronie, odłożyli powstanie na inny dzień i przyrzekł dowiedzieć się o terminie przyszłej rzezi. Wypuszczono go i trzymano go w szpitalu odosobnionego, bojąc się naszej zemsty.

A gdy już późniejszy termin, przez Władykina podany minął, i nasi do rznienia się nie zabierają — Władykin popierany przez tę szlachetną parę, robi doniesienie, jakoby nasi w Ałgatszy, przygotowywali się do powstania, i w swojej kuźni wyrabiali broń, ale że on sam musi być obecnym przy rewizyi, bo tutejsi kozacy szukać nie umieją. Przebierają go za kozaka i cała komisya rewizyjna na czele z Zaborowskim wyjeżdża do Ałgatszy, odbywa się tam najściślejsza rewizya, ale oprócz jednej kosy, którą włościanin Algacki dał do naprawy, nic nie znaleziono. Zaborowski korzystając ze znalezionej kosy, robi przedstawienie Iwanowi, że kuźnie we więzieniach są rzeczą nader niebezpieczną. Iwanow, wydaje rozkaz zabrania kuźni po wszystkich więzieniach, przez co ponieśliśmy znowu znaczne straty, bo i włożony kapitał w narzędzia, i pozbawiono nas zarobku, który zasilał znacznie ogólną kasę.

Dittmar odjeżdżając, rozkazał, aby o czynionych denuncyacyach Władykina zdawano szczegółowe raporta. Po przedsięwziętej rewizyi w Ałgatszy, kazał go okutego dostawić do Czyty, gdzie go wsadzono do więzienia pomiędzy zwyczajnych zbrodniarzy. Władykin, chcąc i tam sobie łaskę dozorca więzienia zapewnić, denuncyował aresztantów, którzy z nim

nader dyplomatycznie się obeszli. Udając jakby nic o tem nie wiedzieli, weszli z nim w stosunki przyjazne, i wciągnęli do robienia fałszywych pieniędzy. Władykin, łakomy na grosz, wziął się chciwie do tego nowego zajęcia, fałszerze działając sami ostrożnie, tak pokierowali, że władza czycka, będąc już zła na Władykina, za sprawienie jej tylu kłopotów, biedy i pisaniny, prędko go za robienie rubli przyłapała, różgami oćwiczyła, i do osobnego więzienia pod śledztwo osadziła, gdzieśmy go wracając do kraju jeszcze zostawili.

Gubernator Dittmar — sam człowiek ludzki, prawy i pełen inteligencji — otoczył się ludźmi młodymi, prawymi i samą inteligencją z najwyższych sfer arystokratycznych, którzy dla prędkiego awansu podawali się do kozaków zabajkalskich. W linii lub gwardyi służąc, chcąc zostać pułkownikiem, trzeba następujące stopnie przechodzić: 1. praporczyk, 2. podporucznik, 3. porucznik, 4. sztabs-kapitan, 5. kapitan, 6. major, 7. podpułkownik, 8. pułkownik — w kozakach zaś: 1. za urad chorąży, 2. sotnik, 3. asała, 4. wojskowy starszyna i już 5. pułkownik, a jeszcze do tego, gdy który z młodych oficerów podaje się w Sybir, idzie tam o jeden stopień wyżej — więc i nie dziw, że widywaliśmy tutaj takich: hrabiego Demidowa, Szeremetiewa, Sumorokowa, księcia Golicyna, Trubeckiego i innych, mających lat zaledwie dwadzieścia kilka, a już pułkownikami sztabu kozackiego. Ci sami później przenoszą się w tych stopniach, lub już jako generałowie do Rosyi.

Całe otoczenie Dittmara pogardzało takimi ludźmi jak Władykin, i całe szczęście nasze, że takich ludzi, pomimo zbioru osób rozmaitych zasad i przekonań nie było oprócz Władykina i to Rosyanina. O jednym, jedynym tylko podobnym z bolem serca wspomnieć mi wypada człowieku, który w walce narodowej roku 1863 zajmował jedno z wybitniejszych stanowisk, jako naczelnik „dzieci Warszawskich“, pełen inteligencji, a którego nazwisko obecnie zamilczam, nie chcąc plamić dobrze zasłużonego rodu w dziejach naszych

ojczystrych. Człowiek ten przez mściwość za wyrządzoną mu obelgę przez część komuny siwakowskiej, zeszedł; później na prostego szpiega, denuncyując tych, z którymi żył najbliżej, lub swoich kuzynów, będąc później w Kitowie pod Czytą. Ofiarami jego podłej zemsty byli właśnie ci ludzie, którzy w jego obronie ustawicznie stawali, ludzie najszlachetniejsi, jak: Witold Marczewski, Mikołaj Epstein, Kazimierz Trepka i wielu jeszcze innych. Gubernator Dittmar oddał nam w nasze ręce dowody jego popełnionej zbrodni, i ten człowiek, pełen intelligencji, energii i niezaprzeczonego męstwa, który mógłby być kiedyś chlubą narodu, wkońcu odepchnięty od naszych, pogardzony przez samych Rosyan, którzy go samego między chłopstwem wioski Aleksandrowsk, sto kilkadziesiąt wiorst położonej od Czyty, umieścili, musiał aż do powrotu do kraju tam przebywać. Figurował on jakiś czas w Krakowie jako lord Wiliam. Znał go i Lwów z procesu rozwodowego, który opierał się aż o sąd karny. Pisywał pamiętniki, z których nie jedno jako zupełnie zmyślane usunąć należy.

Jak generał Dittmar pogardzał ludźmi nikczemnymi, wykazuje następujące zdarzenie:

Jeden z naszych, Werbichowski, czy to z podłości, czy też z głupoty, czy chcąc się podchlebić Rosyanom, lub jakąś ulgę w katordze wyrobić, czy nawet powodowany nadzieją uzyskania kilkunastu rubli, które Rosyanie w takich razach dają, dość, że podał prośbę do gubernatora, że chce przejść na prawosławie. Dittmar przyjeżdża do nas, woła go w obecności naszej, i odzywa się do niego, i to nie przez „pan“, jak był zwykł każdemu, choć najprostszemu mówić, ale przez „ty“, temi słowy:

— Ty chcesz przejść na prawosławie, wiedz o tem, że nasz kościół prawosławny ma w swoim gronie już dosyć nikczemników, nie chcę przez ciebie ich powiększać! — I z pogardą odwróciwszy się, zaraz wyszedł.

Władza irkucka, której nietaktowne i głupie postępowanie Iwanowa narobiło tyle kłopotów i tyle pracy, nagliła

Petersburg o zamianowanie nowego komendanta w miejsce tymczasowego Iwanowa. Niebawem został przysłany pułkownik Knobloch, Niemiec czystej krwi, człowiek stary z młodą żoną, marzącą zostać jaknajprędzej generałową. Knobloch rygorzysta, obeznany ze wszystkimi gałęziami administracji rosyjskiej, Niemiec, wychowany w rosyjskiej szkole szalibierstwa, wziął po odebraniu komendantury sam wszystko w swoje ręce. Widząc to Jelski, przeniósł się do Czyty, gdzie go aż za nadto dobrze znano, żył jako adjutant placu w samotności, pogardzony przez Rosyan: Zaborowski zaś jako major placu, został przy Knoblochu mało znaczącą figurą, prosił więc tożsamo o przeniesienie, ale dla niego nie było nigdzie innego miejsca, i ów głośny i wiele mogący były komendant spławu, musiał poddać się pod surowe rozkazy Knoblocha, który nikomu nie wierząc i nie ufając, wszystko sam robił, najmniejszy świstek papieru, najmniej znaczące rozporządzenie, przechodziło przez jego ręce.

Knobloch jako Niemiec, słodziutki, grzeczniutki aż do uniżoności, z ciągłym uśmiechem na twarzy i ustawicznie kłaniający się, wszelkie nasze prośby przyjmował i wszystkim prośbom obiecywał jak najsolemniej zadość uczynić, a ani razu słowa nie dotrzymał, tak, że już później zaczęliśmy sobie z Niemca żartować i różne prośby wymyślać, i tak jeden prosi: „Panie pułkowniku, ja bym chciał do kraju wrócić“. — Drugi zaś: „Panie pułkowniku, ja proszę o wyasygnowanie mi 10 tysięcy rubli“. — Trzeci: „Proszę o dostawienie nam ekwipażów i koni wierzchowych do wyjeżdżania na przejażdżkę“. Inny zaś, jak Franciszek Zgórek, prosi: „Panie pułkowniku, ja proszę, aby mi tu cara sprowadzić, mam mu bardzo ważną i tajemniczą wiadomość powiedzieć!“ Na to wszystko odpowiadał zawsze Knobloch:

— Bardzo dobrze panowie, podajcie na piśmie prośbę, a ja wam damę moje słowo honoru, że będę się starał zadość uczynić waszym prośbom. Odjeżdżając każdym razem bardzo grzecznie żegnał się z nami, a chociaż z tych pro-

szących żaden takiej niedorzecznej prośby na piśmie nie po-  
dał, jednak tak wszystkich dobrze zapamiętał, że każdemu,  
ale dopiero po kilku miesiącach porządnie starał się doku-  
czyć. Najlepiej przy oddawaniu nas Knoblochowi zaopinio-  
wał o nim Iwanow swym chłopskim rozumem. Widząc Kno-  
blocha słodziutkiego, grzeczniutkiego i ciągle kłaniającego  
się, Iwanow, stojąc w pośród nas na drugim końcu izby,  
rzekł pokazując palcem na niego ze znaczącym uśmiechem:

— Panowie to taki pies, który szczeka, a nigdy nie  
ukąsi, zobaczycie wy kiedyś tego Niemca, jaki to z niego  
będzie łotr!

Po kilkumiesięcznym pobyciu Knoblocha przyszło ob-  
jaśnienie o zastosowaniu w sprawie naszej manifestu wyda-  
nego jeszcze w roku 1866, przy sposobności ożenienia się  
następcy tronu z duńską księżniczką Dagmarą, które wielce  
przeraziło pułkownika, a jeszcze bardziej jego żonę, wyglą-  
dającą dla swego męża szlif generalskich, bo przy zastoso-  
waniu manifestu większa część naszych wyszłaby na posie-  
lenie, a dla zostających może jeszcze kilkudziesięciu w ko-  
palniach nerczyńskich, nie trzymanooby osobnego komendanta  
z tą masą oficerów i pisarzów, pobierających podwójną pen-  
sję, a Knobloch niepobywszy na tem ważnem stanowisku  
ani roku, nie mógłby się spodziewać oczekiwanego ge-  
neralstwa.

I gdy dopiero w miesiącu marcu 1868 roku wyszło to  
półtora roku oczekiwane objaśnienie manifestu, to Knobloch,  
aby nie utracić komendantury, jeszcze go zrozumieć nie  
chciał, podawał różne zapytania do Irkucka, i po nadejściu  
odpowiedzi, zamiast trzystu, którzy mieli wyjść na posielenie,  
zaledwo 53 uwolnił i wysłał do Irkucka, wbrew rosyjskim  
przepisom, piechotą. Prawo rosyjskie wyraźnie powiada, że  
polityczni przestępcy, wysyłani z jednego miejsca na drugie,  
będąc w drodze, używają swych praw posiadanych przed  
wyrokiem, a podług tego należy się żołdu dziennie 15 kopie-  
jek, a co najważniejsze na dwóch jeden koń.

Z Nerczyńska do Czyty musi się przejeżdżać odludne stopy buryackie, 500 wiorst ciągnące się. Piechotą trzebaby było tę podróż odbywać przeszło miesiąc pod najgorszymi warunkami, bo przez całą tę drogę niema ani jednej wioski. Co trzydzieści kilka wiorst na nieprzejrzanym okiem stepie bez żadnych dróg, znajdują się więzienia czyli etapy i jakiś budynek, mający być pocztą, obok niego zaś kilka jurt (chat) buryackich. Każdą aresztancką partyę, która obowiązana jest na cały miesiąc wziąć ze sobą suchary, prowadzi jedna i ta sama straż z Nerczyńska do Czyty, bo tam niema osobnych etap komendnych.

Dla uniknięcia tej uciążliwej podróży musieliśmy wydobyc nasz ostatni grosz, zaoszczędzony w robotach o głodzie, któryśmy przechowywali na pierwsze zagospodarowanie się na posiedzeniu, i złożywszy się, kupiliśmy aż do Czyty *podorożne*, prawo jechania pocztą, co nas od osoby po 17 rubli kosztowało.

Te 500 wiorst odbyliśmy w przeciągu trzech dni, jadąc tylko dniem. Rzeczywiście, że jazda była szalona. Przyjechawszy na stację, do każdego tarantasu sprowadzają po trzy dzikie konie prosto z tabunu, które popętane za wszystkie nogi, zaprzęgają; gdy już wszystko gotowe, pasażerowie usadowili się, i Buryat na koźle, trzymając lejce, zawoła „gotów“, a obróciwszy do jadących, „trzymajcie się“, wtedy naraz, znanym tylko Buryatom sposobem, pęta zlatują, i konie z kopyta, co wyskoczyć mogą, ruszają w największym pędzie. Tak przelatuje się całą stację. Dojeżdżając do etapu, woźnica skierowuje swój ekwipaż na długi rząd słupów, wbitych w ziemię, w te uderza koń hołobłą, i staje. W tej chwili przypadają Buryaci, łapią konie, pętają, odprzegają i puszczają w stopy, a inni trzymając w pogotowiu świeżą trójkę, opowiedzianym sposobem zaprzęgają. Takim to sposobem, z małymi tylko na pocztach przystankami, idzie ta szalona jazda dalej i dalej.

Jadący muszą się mocno razem trzymać i uważać, aby co nie zgubić, bo zatrzymanie koni w stepie jest niepodobieństwem; potrzeba też mieć w pogotowiu w butelkach wodę, aby przy zapaleniu się osi, nie trzeba się czem innem posługiwać, narażając się na skręcenie karku.

To półtora roku odwiekane zastosowanie do nas manifestu wykazuje, jak w państwie rosyjskiem nawet najwyższe rozkazy bywają wypełniane, i jaką ulgę te szumno frazesowe manifesta przynosiły. Niechby tylko przyszedł rozkaz wystania nas na Kamczatkę lub Sachalin, wtedy byłby z pewnością bardzo zrozumiały i wykonany natychmiast. Ale co to znaczy w Rosyi kilkaset osób półtora roku bezprawnie w więzieniu trzymać, kiedy tysiące wysła się na Sybir bez sądu, a drugie tysiące jęczą po kopalniach, najwięcej dla tego, że brak im paczki rubli do uniewinnienia się. Przestępcy polityczni mają zawsze jakąś nadzieję powrotu do kraju, zwyczajni przestępcy muszą się na wieki ze swą rodzinną ziemią pożegnać.

Człowiek taki ginie moralnie i chociaż z gruntu nie był zepsutym, to idąc dłuższy czas z największymi zbrodniarzami, ci i inne okoliczności wyuczają go różnego złego; a Syberya podaje sposobność zastosowania teoryi do praktyki. Sybirak taki, jak się sam publicznie wyraża, woli zabić człowieka, jak zwierzę; ostatnie może dać tylko skórkę, u człowieka najlichsze ubranie zawsze coś warte. Żaden z nich nie umie pacierza, ale za to pop — nie rodzice — nauczył go bić pokłony i nieskończone razy żegnać się. Sybirak siadając i wstając od stołu, żegna się; idzie zabijać człowieka — żegna się, a zabiwszy go, znowu żegna się, dodając tę formułkę: „Boże odpuść“, bo po tych słowach, w przekonaniu jego, sumienie jest czyste, a on gotów w każdej chwili taką samą zbrodnię popełnić po raz drugi i setny.

Mówię tutaj o Sybirakach, ale tylko o takich, którzy albo sami, albo ich ojcowie lub dziadowie z Rosyi zostali zesłani; bo Sybiracy pokoleń tamtejszych, to naród

dobry, łagodny i gościnnie, wielu z nich znajduje się jeszcze w swym pierwotnym stanie, jak: Ostiacy, Samojedzi, Jakuty, Tunguzy, Kałmucy, Buryaci; niektórzy z nich, jak Barabińcy, całkiem się zmoskwicili.

Komendant nasz w Kadaje, Szostakow, był to człowiek poczciwy i wykształcony, skończywszy akademię inżynierską w Petersburgu, wysłany został jako inżynier do kopalń nerczyńskich. Brak towarzystwa uczynił go pijakiem. Nam, co mógł tylko zrobić dobrego, to czynił z przyjemnością, a największy dla niego był zaszczyt, gdyśmy go do więzienia zaprosili na wódeczkę, a chociaż był to trunek zakazany w więzieniu, nie wypytywał się jednak skąd go mamy, i nawet sam dostawę, o ile mógł, ułatwiał. Codzień z każdego więzienia mogło nas po trzech pod strażą wychodzić na wieś za pokupem żywności. Razu jednego — gdy przyszła nowa straż kozacka, która się co rok zmieniała — poszło nas trzech z *uradnikiem* (podoficerem) na wieś za pokupami, między którymi i trzy flaszki wódki kupiliśmy. Uradnik, widząc to, powiada do nas:

— Panowie, prawo nie pozwala wam mieć wódki w więzieniu.

— To nie wódka — odpowiadamy.

— Nie, to wódka!

— No, kiedy nam nie wierzysz, to chodź z nami do komendanta.

Przychodzimy do Szostakowa, kolega Cezary Kamieniecki, były rotmistrz kirasyerów, mówi do niego:

— Panie komendancie, ja niosę lekarstwo, a *uradnik* mówi, że to wódka.

Szostakow bierze flaszkę, odkorkowuje, wacha i mówi:

— Tak, to lekarstwo — a dając powąchać *uradnikowi*, bije go po twarzy i krzyczy: wachaj, co to jest!

Uradnik salutując, odpowiada:

— *Wasze Błahorodie* — lekarstwo.

— A widzisz łajdaku, że to lekarstwo!

Tak samo zrobił z drugą i trzecią flaszką. Oddając nam tę wódkę, przeprasza nas jeszcze za niepoznanie się na lekarstwie przez uradnika. Gdy idziemy z tą wódką do więzienia, uradnik, idąc za nami z opuchniętą twarzą, pyta nas:

— Powiedzcie panowie, co to jest, taki zapach ma jak wódka, a jednak jest to lekarstwo?

— Oto widzisz, nam jest wszystko wolno; to jest dla was wódka, a dla nas lekarstwo.

Od tego czasu sprowadzali nam sami kozacy to lekarstwo.

Szostakow bardzo często przesiadywał u nas w więzieniu, osobliwie przy końcu każdego *tretiego* (w Rosyi rok dzieli się na trzy *tretie*, t. j. na trzy części po cztery miesiące, a oficerowie pobierają żołąd co *treti*). Mieliśmy z nim nieraz wiele kłopotu, wódka jest tam bardzo droga, cena sztofa (około litra) dochodziła czasami do rubla, a on piłby ją jak wodę. Wkońcu pozwalaliśmy sobie z nim różnych figli. Dla niego wódka była zawsze pod kluczem naszego starosty, Dra Paszkowskiego, do którego Szostakow zawsze się udawał z prośbą o jeden kieliszeczek.

Gdy tak pewnego razu prawie ze łzami błaga naszego starosty o kieliszek wódki, ten mu na to odpowiedział, że wtedy da mu tylko, jeżeli ogół zezwoli. Szostakow sam lata po izbach i zwołuje nas do starosty; gdyśmy się zeszli, zapytuje nas Paszkowski, czy pozwalamy temu pijanicy dać kieliszek wódki. — Dać, dać! — odezwały się jedne głosy. Ale wnet inne dodały: Dać pod warunkiem, że nam byczka (taniec rosyjski, rodzaj kozaka) zatańczą!

— Dobrze --- odpowiedział komendant — ale niema muzyki!

— Muzyka się znajdzie! — rzekliśmy.

I w tej chwili jedni za grzebienie, drudzy za przykrywy od garnków, inni się biorą do gwizdania. Muzyka taka odzywa się, a nasz komendant w prysiudy, aż pot leje się z czoła... wszystko to za kieliszek wódki!

Szostakow, jako komendant więźni politycznych, pobierał podwójną pensję, a oprócz tego, jako naczelnik kopalni srebrnej rudy w Kadaje, miał znaczne dochody. Wszystko pochłaniała sybirska żytniówka.

Każdy naczelnik takiego rudnika ma największe dochody z aresztantów kryminalnych, zesłanych do robót, których setkami prowadzi w ewidencji, gdy ci tymczasem podróżują po całej Syberii: to jako *brodiagi* (włóczęgi) ku Tobolsku, to jako tacy pędzeni powtórnie na Sybir na osiedlenie; a to z następujących przyczyn:

Gdy taka partya pędzonych aresztantów, osądzonych do kopalń, czy to na całe życie, czy na pewien przeciąg czasu, przychodzi na miejsce przeznaczenia, to już na drugi dzień większa jej połowa ucieka. Wie o tem dobrze naczelnik, bo jest zwyczajem, że odbierając, odzywa się do nich w te słowa: „*Rabiata* (dzieci), jak będziecie uciekać, proszę was, nie zabierajcie kajdan, bo muszę się niemi rządowi wykazać“. Jest to prawdziwy fakt, że kajdanami każdej chwili musi się wykazać z powierzonych mu aresztantów prywatnych, wyjąwszy politycznych; o tych nikt go nie zapyta nigdy.

Zbrodniarze ci organizują się w małe kupki od trzech najwyżej do ośmiu ludzi, a mając przy sobie zaoszczędzonego nieco grosza z partyi podczas pochodu na Sybir, puszczają się manowcami, w miejscach bezpiecznych zaś, publicznym gościńcem. Po wsiach przed każdym domem jest urządzona wystawka, a na niej mleko, chleb, kwas dla tych nieszczęśliwych, jak się wyrażają o nich tamtejsi mieszkańcy. A że w Syberii każda wieś jest na parę wiorst naokoło otoczona ogrodzeniem, aby bydło nie zapodziało się w stepach, Sybiracy przy takich ogrodzeniach stawiają domki, gdzie w razie zamieci lub silnych mrozów, ci nieszczęśliwcy znajdują przytułek. Zbrodniarze ci między sobą dla biednego grosza mordują się nawzajem, tak że zaledwie połowa ich dochodzi z powrotem do Tobolska. — Mieszkańcom dają

spokój, bo biada im, gdyby coś najmniejszego we wsi zginęło.

Wtedy cała ludność wsiada na koń, robią obławy z psami i każdego nadybanego włóczęgę bez miłosierdzia zabijają.

Gdy taki aresztant dojdzie szczęśliwie do gubernii Omskiej lub Tobolskiej, to już się dalej nie zapuszcza; przedstawia się w upatrzonym sobie miasteczku powiatowym biedny i głodny i prosi o pomieszczenie. Na zapytanie, kto jest i skąd? — odpowiada krótko: „Nie wiem“. Wtedy zamykają go do więzienia i jako włóczęgę skazują na posilenie w najodleglejszą część Syberyi.

W każdej partyi, pędzonych na Sybir, jest na 400 ludzi takich włóczęgów najmniej 30, a zapisani są jako „niepomny ojcostwa“ nr 1, „niepomny ojcostwa“ nr 2 i t. d. Tych piętnowano dawniej na ramieniu słowem *brodiaga*. — Takie okazy mieliśmy szczęście jeszcze oglądać.

Widzieliśmy takich włóczęgów już siwych, którzy po raz dziesiąty szli etapami, to jest najmniej lat 30 przepędzili na tej wędrownicy.

Pomiędzy tymi *brodiagami* jest jeszcze jeden szczególny rodzaj, o którym wspomnieć warto. Są to skazani do ciężkich robót fałszerze rosyjskich papierów publicznych. Ci uciekają też samo z robót, najczęściej pojedynczo, a najwięcej po dwóch, rzadko się zdarza, aby ich więcej razem było. Ich całym ideałem jest dostać się do gubernii Tomskiej, a nawet zadawalniają się gubernią Krasnojarską. Tam wyszukują sobie bogatych kupców, a nawet i chłopów, którzy posiadają w stepach swoje zaimki (rodzaj naszych folwarków) i przedstawiają im się jako zbiegli fałszerze. Czy to kupiec, czy włościanin wysyła ich na zaimkę; tam ich otacza wszelkimi wygodami, do których w pierwszym rządzie zalicza cię wódka i inne jeszcze przyjemności i zaczyna się fabrykacja rubli. Proceder ten jest jednak bardzo niebezpieczny i najczęściej kończy się zabójstwem fałszerza. W tym

wypadku musi mieć fałszerz bardzo delikatne czucie i zmysł spostrzegawczy, aby w danym czasie, po narobieniu fałszywych rubli, mógł się niespostrzeżenie ulotnić, bo jak cytrynę wyciśniętą wyrzuca się, tak i fałszerza, gdy gospodarz jego poczuwa się w dostatecznym posiadaniu fałszywych pieniędzy, morduje swego gościa bez najmniejszego skrupułu, aby nie mieć świadka swych zbrodni.

Jest to obrazek świadczący dobitnie o demoralizacji rządu rosyjskiego i jego urzędników, którzy dobrze o tych zbrodniach wiedzą i je tolerują.

Opuszczając Kadaję, muszę przedstawić wewnętrzne nasze urządzenie, nasz sposób życia wspólnego i nasze zatrudnienia. Jak już wspomniałem, w Kadaji były dwa więzienia. Każde z nich miało osobną organizację, było zatem dwóch starostów wybranych przez ogół i dwa gospodarstwa. Przy więzieniu, położonem na krańcu wsi, był mały szpitalik, urządzone na pięć łóżek, ale bez rządowego doktora i apteki. Gdy który z nas zasłabł, wołał zostać pomiędzy swoimi, więc i szpital ów zajęty był przez siedmiu naszych zdrowych. Ulokowali się w nim eks-wojskowi rosyjscy, przypominając sobie czasy swobodniejsze.

W ogólności pomieściliśmy się wszyscy dość wygodnie, dobierając się po izbach wedle zajęć, usposobienia i zapatrywań, i tak: zebrali się razem ci, którzy poświęcali się nauce; w innej izbie ci, którzy zajmowali się rzemiosłami; tu znowu politycy wielcy, którzy po całych dniach i nocach przeistaczali cały świat, a z dzienników, które odbieraliśmy wprawdzie dopiero po 8 miesiącach rozmaitemi drogami, ale za to nawet zakazane w Rosyi, wysnuwali takie rzeczy, które tylko bujna fantazyja, z myślą jak najprędzszego wydostania się z niewoli, stwarzać sobie mogła; tam zebrała się wesoła kompanijka, lubiąca rozmaite facecyjki, anegdotki i śmieszne opowiadania; w innej izbie karciarze, tam wist i preferans dudnił po całych dniach, a często po nocach, przeplatany czasami dla rozmaitości to dyabełkiem, to sztosikiem (karty

do grania wyrabialiśmy sami); wreszcie osobno ugrupowali się ludzie starsi i poważniejsi, lubiący spokój.

Po izbach byliśmy od 7 do 10 pomieszczeni, a każdy po kolei pełnił służbę dyżurnego.

Obowiązkiem dyżurnego było rano wstać, narać drzewa, napalić w piecu, nastawić samowar, śpiących pobudzić, izbę zamieść i inne niezbędne porządki porobić, w południe zaś obiad z kuchni przynieść i naczynia pomyć, czynność ta była najnieznośniejszą; wieczór toż samo, w piecu napalić i 4 do 5 razy samowar nastawić; piliśmy bowiem herbatę do późna w nocy.

W dzień chodziliśmy wolni w obrębie więzienia, do kuchni, piekarni, łaźni, naszych składów, na noc zamykano tylko korytarz, mogliśmy przeto nocą wspólnie się odwiedzać.

Takie ugrupowanie naszych, przy wzrastającej tęsknocie za krajem i przy ogólnem zdenerwowaniu, było bardzo pożądanem. Odwiedzając się nawzajem, było można w jednym miejscu coś pożytecznego i pouczającego usłyszeć, gdzieindziej się rozweselić, tu zabawić, tam o polityce pogawędzić; a nareszcie przy rozmaitych warstatach fizycznie pracować.

Kuchnią i piekarnią zajmowali się nasi za osobnem wynagrodzeniem.

Ponieważ w tamtejszej okolicy ciężka zima trwa nieprzerwanie około ośmiu miesięcy, więc w jesieni zakupywaliśmy od Buryatów bydło, biliśmy je i w magazynach przechowywali; wychodziliśmy na tem bardzo dobrze, bo funt najlepszego mięsa tylnej części wypadał nam po 2 kopiejki. Mleko zamrożone w workach dostawali nam Buryaci i okoliczni mieszkańcy, toż samo i zamrożone jaja, jak również i zwierzynę, którą za bajecznie tanią cenę nabyć było można. Za kopę kuropatw płacono 15 kop. (20 ct.), cietrzew, jarząbek i t. p. kosztował od 2 do 3 kop., głuszec 50 kop., sarna 75 kop. do 1 rubla, zające, które łapano na druty, były prawie bez wartości. Kuropatwy i zające są w Syberii zimową porą białe, i łowią się sieciami. Mąkę razową ży-

tnią dostawaliśmy z rządowych magazynów, na osobę 2 pudy (80 funtów). Produkt ten jest tam bardzo drogi, bo jeden pud kosztuje 2 do 3, a nawet czasami i 4 ruble; a że każdy z nas konsumował chleba miesięcznie w przecięciu z dwudziestu funtów mąki, więc resztę sprzedawano, a uzyskane pieniądze szły do ogólnej kasy. Dodawszy do tego pobieranego żołdu miesięcznie 90 kop. (złr. 1.20), można było przy dobrej administracji żyć jako tako i jeszcze zostawał jaki rubel miesięcznie na tytoń i herbatę, której funt najlepszego gatunku, czarnej z kwiatem, kosztował około rubla.

Bieliznę prał sobie każdy sam, pościeli nie mieliśmy żadnej; na kozuchu się spało, kozuchem lub płaszczem przykrywało się, a buty szły najczęściej pod głowę.

Ubranie, bieliznę i buty szyliśmy sobie sami, i pomimo że nie było między nami ani jednego rzemieślnika, wytwarzaliśmy rozmaite wyroby, które odchodziły aż nad Amur, osobliwie rzeźby nasze, w których przewodniczył Rejent Łazowski z Białej na Podlasiu i pułkownik huzarów rosyjskich Krasuski, były bardzo poszukiwane przez bogatych kupców.

Doświadczenie przekonało nas, że najrzęczniejszymi krawcami byli z pomiędzy nas dawni oficerowie rosyjscy i austriacy; szewcami studenci kijowskiego uniwersytetu; kucharzami i piekarzami obywatele ziemscy i gospodarze; cała Litwa zaś miała wielki spryt fabryczny — fabryki świec, mydła, papierosów, delikatesów wieprzowych i innych — były ich dziełem.

Nie obeszło się też w tej naszej praktyce bez komicznych epizodów.

Był między nami były rotmistrz gwardyi kirasyerów rosyjskich, człowiek zacny, szlachetny i najlepszego serca, ale arystokrata czystej krwi, ukrajiniec, Cezary Pilawita Kamieniecki, potomek hetmanów, z których ród Potockich się wywodzi. Lubił sam pracować, a w spełnianiu swoich obowiązków dyżurnego była to „chodząca gorliwość“. Pan

Cezary — pobłażliwy na wszystkie nasze wybryki i fantazyje — nie mógł nam przebaczyć naszego więziennego przemysłu, a gdy zobaczył, że szlachta nasza wzięła się do robienia świec, mydła i rzeźnictwa, osiadł na jego obliczu ciężki frasunek, chodził, wzdychał i szeptał: „O Boże wielki, co to się już między nami dzieje“. A gdy się już wieprzki podkarmiły i potrzeba było pierwszego zakłuć, nie mogliśmy znaleźć ochotnika między sobą do tej nie bardzo przyjemnej, ale koniecznej operacji; wybawił nas z tego kłopotu ś. p. Młodzianowski, syn zamożnego właściciela dóbr w gubernii płockiej, który później na posieleniu nieszczęśliwie znalazł śmierć w nurtach Angary, młodzieniec nadzwyczaj sympatyczny, szlachetny i poczciwy. Gdy ta pierwsza funkcya przez niego już została spełnioną, wpadł do nas pan Cezary blady jak śmierć z przerażonym wzrokiem i zawołał:

— „Straszne nieszczęście, niesłychane rzeczy się dzieją, koniec świata, szlachcic polski własną ręką wieprza zabił“ — i łyzy jak groch popłynęły po jego obliczu, złapał się za głowę i jak szalony wyleciał z naszej izby. Po chwili wraca z powrotem z twarzą więcej wypogodzoną, mówiąc:

— Chwała Bogu, herbu Dąbrowa! —

A gdy żądamy na te jego słowa wyjaśnienia, odpowiada nam, że właśnie szukał w herbarzu jakiego herbu Młodzianowski, i znalazł „Dąbrowa“.

— I chwałaż ci panie — rzekł — jest to wprawdzie także klejnot szlachecki, ale nie tak znakomity jak nasze, Pilawity, Toporczyki, Jastrzębcy i wielu jeszcze innych, któremi się nasza szlachta polska chlubi.

Obok niego mieszkał i z nim się zaprzyjaźnił chodzący kontrast naszego Pilawity, Ludwik Szmidecki, radca budowniczy miasta Warszawy. Jak tamten wysoki, jak to mówią, pokazny pan z miny i czupryny, tak ten mały, pochylony, z ustawicznym uśmiechem na ustach, słodziutki i grzeczniutki; jak tamten wylany, szczery, rozrzutny — tak ten skryty, nadzwyczaj oszczędny, a pomimo, że bardzo majątny,

liczący się z każdym groszem. Od lat kilku trzymał w skrzyni suszone bułki z Warszawy, które w wigilią Bożego Narodzenia i Świąt Wielkanocnych, między nas rozdawał, a z jaką czcią niósł każdy z nas tę okruszynę do ust! Były to te dni roku, jak również rocznica powstania z roku 1863, w których pan Ludwik otwierał swe serce, a wtedy oddałby wszystko, oprócz kilku skromnych pamiątek, i tych bułek, które przed paru laty wywiózł z Warszawy.

Otóż ten pan Ludwik chciał w przemyśle więziennym zakasować naszych braci Litwinów. Długo dumał, myślał, aż nareszcie wziął się do pracy. Patrzymy, sprowadza kamienie, własnoręcznie obrabia i buduje śrótownik, rodzaj naszego młyna do mielenia razowej mąki.

— A któż będzie ci obracał? zapytujemy go.

— „Oto właśnie w tem sztuka — pokażę ja wam, jak to trzeba z wszystkiego umieć korzystać, aby każdą siłę umiejętnie i odpowiednio mózdz użyć“.

Śledząc dalej naszego radcę w jego pracach, spostrześliśmy, że do puszczania w ruch swego młyna urządza system deptakowy.

Co to, pomyśleliśmy sobie, czy chciałby nas do tego zaprządz? — Ale nie, pan Ludwik miał inne plany.

Mieszkańcy tamtejsi używają bardzo mało mięsa, my zaś konsumowaliśmy tego znaczną ilość, dlatego też psy z całej wsi schodziły się do więzienia po ogryzki. Tych to, jako produktywną siłę, postanowił użyć nasz kolega i zadziwić azyatycki świat swym wynalazkiem. I rzeczywiście w części dopiął swego celu.

Cztery psy zwabione kawałkiem mięsa do jego deptaku, pracowały bardzo ciężko, bo urządzony przyrząd zmusza zwierzę przebierać ustawicznie nogami. Po trzech godzinach takiej pracy, pies wypuszczony z deptaku, wylatywał jak z łaźni parowej, a wzięwszy ogon pod siebie, czmychał co sił starczyło do domu. Wypuszczonych psów niczem w świecie nie było już można zwabić do więzienia.

Przez dni kilka, dopokąd wszystkie psy ze wsi nie przeszły przez deptak, Warszawiak tryumfował nad Litwą, która nie używała przyrządów mechanicznych, lecz pracowała ciężko rękoma.

Po paru dniach młyn przestał funkcjonować, a na dobytek nasz radca taki postrach rozsiał pomiędzy psi ród w Kadaji, iż gdy się pokazał we wsi, nabawiał psy takiego strachu, że wszystkie uciekały przed nim, jakby przed łapaczem, do swych kryjówek.

Szmidecki, nie tęgi psycholog psiego rodu, był za to znakomitym geologiem. A że Syberya nadzwyczaj bogata w minerały, korzystał też z tego, a powróciwszy przed kilkoma laty do kraju, przywiózł sławny zbiór minerałów, oceniony na przeszło trzysta tysięcy rubli. Będąc przed dwoma laty w Warszawie, odwiedziłem starego kolegę, mieszkającego na Lesznie, i podziwiałem między innymi okaz topazu takiej wielkości, że muzeum Brytyjskie ofiarowało mu zań 150.000 rubli. Jak mnie zapewniał Szmidecki, topaz ten wart jest o wiele więcej, jest to dopiero drugi okaz takich rozmiarów znaleziony na świecie.

Gdy już wspominałem o naszym geologu, nie wypada pominąć i astronoma kadajskiego, profesora kijowskiego uniwersytetu Pawłowskiego, który wykładał nam fizykę i matematykę.

Otóż nasz profesor, w braku fizykalnych przyrządów, postanowił obznajomić komunę kadajską z wiadomościami astronomicznymi i w tym celu, bez wiedzy Rosyi, nad ustępami, które były najwyżej położone, zrobił otwór w powale i urządził obserwatorium na strychu z dziurą w dachu, którą, jak również otwór w powale, zamykał sztucznie na dzień przed oczyma Rosyan.

Zrobiwszy dokładną mapę nieba, zabierał nas nocą przy najsilniejszych mrozach do swego obserwatorium i żądał abyśmy godzinami tam przesiadywali; a gdy dobrze przeziębnięci spuszczaaliśmy się powoli jeden za drugim po kar-

kołomnej drabinie, uchodząc do ogrzanych izb przed oratorskim zapałem profesora, nie mógł pojąć, jak można uczuwać zimno przy słuchaniu tak zajmującej nauki, i często nawet, gdyśmy już w najlepsze spoczywali w objęciach Morfeusza, wpadał do izb i nielitościwie wyciągał z ciepłej pościeli dla oglądania jakiegoś nadzwyczajnego zjawiska; potem znowu się gniewał, gdy który z nas przez nieodpowiednie szkła nie mógł zobaczyć tego, co jego oko widziało — gdyż miał tylko jedno — ale wytrawne i obznajomione dokładnie z konstelacją gwiazd.

Był to jeszcze młody, zacny, skromny i pracowity człowiek, który z największą chęcią udzielał swe ciężko nabyte i bogate wiadomości innym kolegom.

Nareszcie nie mogę pominąć Dra Stanisława Paszkowskiego, ucznia kijowskiego uniwersytetu, który, jak już wspominałem, był starostą naszym i przez Rosyan za karę do Aleksandrowska wywiezionym.

Był to człowiek dziwnego charakteru, a dziwniejszego jeszcze usposobienia. Ludzkość jego zamykała się w ścisłych granicach Polski. Jak dla swoich był z poświęceniem bez granic, tak, że gotów był na zawołanie ostatnią kroplę krwi oddać, tak znów dla Rosyan był nieprześląganym wrogiem, a że znał ich życie, zwyczaje i obyczaje na wskrós, tem nielitościwiej smagał na każdym kroku, wytykając ich barbarzyństwo i głupotę. Wzrostu małego, niepokazny, niedbający do tego o swą powierzchowność, a przytem wykształcony, wymowny, dowcipny i ironiczny, był postrachem całej starszyny rosyjskiej. Lekarz nadzwyczaj zdolny, przy wypełnianiu swych obowiązków sumienny, niósł każdej chwili pomoc swoim; był tak czułym i miękkim na cierpienia swych towarzyszy, że więcej bolał od nich samych. Natomiast Rosyanin mógł w jego oczach konać, nie ruszył się, nieraz gdyśmy wzruszeni, prosili go — „Doktorze ratuj go“ — odpowiadał zimno: „Nie, niech umiera, będzie jednego wroga mniej“.

Bogaci rosyjscy dygnitarze i kupcy, znając jego znakomite zdolności lekarskie a zarazem jego zapatrywania, udawali się do niego tylko w ostateczności.

Tych miał dokładny spis z oznaczeniem ceny, jaką ma zażądać, gdyby który z nich lub z rodziny udawał się o pomoc do niego. Od wyznaczonej ceny nie opuszczał ani grosza, a połowę przypadającej należytości kazał sobie wylizywać naprzód. Z tych pieniędzy nic nie zatrzymywał dla siebie, rozdawał jedną część pomiędzy naszych starców i niezdolnych do pracy, resztę składał do ogólnej kasy.

Byliśmy raz świadkami takiego jego postępowania.

W Kadaji był bogaty kupiec, któremu od dłuższego czasu żona chorowała. Jeździł z nią do Irkucka i radził się rozmaitych lekarzy, którzy udecydowali nieuleczalność. Zrozpaczony kupiec postanowił udać się do Paszkowskiego; przychodzi do więzienia i błaga:

— Doktorze, żona moja, matka czworga dzieci umiera, ratuj ją.

— Dobrze, jak się nazywasz?

— Jestem kupiec Poliwanow.

Na to wyciąga Paszkowski swoją notyskę, a znalazłszy nazwisko, mówi:

— Poliwanow zapłaci rubli 500.

— Dobrze panie doktorze, zgadzam się na wszystko, chodź pan.

— O nie, pierwej musimy zrobić umowę. Oto tak: Teraz zaraz dasz mi 250 rubli, kozakowi, który będzie mi towarzyszył, będziesz dawał trzy ruble dziennie, a wszystkie moje dyspozycje co do chorej muszą być ściśle i akuratnie wypełnione, jedno takie zaniedbanie upoważni mnie do zaniechania leczenia, a do tego będziesz mi obowiązany resztę 250 rubli wypłacić w takim razie natychmiast.

Gdy kupiec na wszystko się zgadza, i błaga: chodź pan jak najprędzej do chorej żony, odpowiada Paszkowski:

— Pójdę, ale daj 250 rubli.

— Dam doktorze zaraz w domu, bo nie mam przy sobie.

— Nie, ja wam nie wierzę, pieniądze złóż tu do moich rąk.

Poliwanow poleciał do domu, a gdy za chwilę przychodzi z pieniędzmi i wręcza je Paszkowskiemu, ten powoli przelicza i bystro patrząc mu w oczy zapytuje:

— A niema tu między nimi fałszywych?

Dopiero po zakłęciu Poliwanowa, że wszystkie są prawdziwe, udał się do jego chorej żony, którą też wkrótce szczęśliwie wyleczył. Pomimo tego umiał sobie zjednać taki szacunek i wdzięczność w tej rodzinie, że imię jego z czcią wymawiane było.

A jak się obchodził jako starosta z władzą naszą, przycząc tutaj pomiędzy wieloma innemi, dwa następujące zdarzenia, świadczące, jak Paszkowski znał swych wrogów, jak umiał ich traktować, i jakim był ich wrogiem.

Paszkowski należał już do tych szczęśliwców, którzy później przez Sybir nie szli piechotą, ale jechali tak zwanemi „podwodami ziemskimi“; tych zwaliśmy „konną partją“. W tej konnej partyi było naszych przeszło stu, a nasz doktor był ich starostą. Konwojował ją major gwardyjski baron Korf, Kurlandczyk, zacny i szlachetny człowiek. Nie szczęście chciało, że między tą partją był jeden niepoprawny pijanica, który naszych bardzo kompromitował i narażał na rozmaite nieprzyjemności. Korf, widząc jakiego kłopotu nabawia ten pijaczyna starostę, proponuje, aby tego pijaka zostawić na etapie, aby piechotą razem z zbrodniarzami szedł do miejsca swego przeznaczenia. Na to odpowiada Paszkowski:

— Daruj baronie, ale jabym Wam nie zostawił nawet polskiego łajna, a cóż dopiero mówić o tym pijaku.

Później, gdy był starostą w Kadaji, razu pewnego przyjeżdża komendant z Aleksandrowska, generał Szyłow, a gdy wszedł do jednej izby, robi Paszkowskiemu wymówki, że

podłoga w izbie nie jest czystą. Na to odpowiada Paszkowski z angielską flegmą:

-- Jak może być czysto, jeżeli taka świnia jak Pan wchodzi w kaloszach do izby, a do tego między „czesnych“ ludzi. Tę adnotację starosty zostawił Szyłow bez odpowiedzi, zauważyliśmy tylko, że później każdym razem zostawiał generał kalosze w sieniach<sup>1)</sup>.

W więzieniu trzymaliśmy całą menażeryę; mieliśmy oswojonego wilka, lisa, zającą, sarnę, jastrzębia, a nawet żurawie; oprócz zwierząt domowych jak psy, kury, gęsi, świnie, konie i krowy. Lis, który pomimo swej układności robił nam między kurami i gęsiami znaczne szkody, ale zawsze tak przebiegłe, że go długi czas nie mogliśmy na gorącym uczynku przyłapać, został w końcu śmiercią ukarany; jastrzęb zaś, toż samo nadzwyczaj przebiegły, w więzieniu naszym wobec kurczątki i gęsiątki chodził jak baranek niewinny, obławiał się tymi specyałami po wsi, gdzie mu przełamano skrzydło; a gdy i to nie pomogło, i jastrzęb, podskakując udawał się na łowy, znaleźliśmy go pewnego poranku z przetrąconymi nogami pod parkanem więzienia i musieliśmy uśmiercić. Najlepiej przyswoił się wilk, żyjąc z psami i naszą sarenką w jak najlepszej harmonii i zgodzie.

Do żurawi przyszliliśmy w następujący sposób:

<sup>1)</sup> Paszkowski, jak słyszałem, był później na posieleniu w Irkucku, nakładając haracz na chorych rosyjskich dygnitarzy i bogatych kupców. Opowiadano mi później, że tam żywot swój zakończył. Jeżeli by to prawdą było — co nie daj Boże — to Ojczyzna nasza poniosła niezaprzeczenie nie małą stratę, straciła w nim jednego z najwierniejszych swych synów, co ją ukochał całą duszą, gotów każdej chwili nieść dla niej w ofierze swe mienie i życie.

Jeżeli zaś Najwyższy zachował Cię przy życiu, i pozwolił oglądać Twoją ukochaną ziemię, to niech tych kilka słów wspomnień będą dowodem, że pamięć o Tobie nie zagasła w sercach naszych, a wdzięczność nasza za Twą dobroć, którąś otaczał naszych starców i biednych, towarzyszyć Ci będzie aż po za grobowe deski.

Pod zimę, gdy już miało ptactwo odlatywać, spostrześliśmy z więzienia w stepie żurawia smutnie chodzącego z zwieszoną głową, do którego przylatywały inne żurawie, otaczały go i jakby go oglądały. Udaliśmy się więc na step i zobaczyliśmy, że żuraw ten latać nie może. Niebawem udało nam się go złapać i zanieść do więzienia. Oględziny lekarskie wykazały, że żuraw miał zranione skrzydło. Dziwna rzecz, że ptak ten odrazu się oswoił, przybliżał się do nas, jakby szukając ratunku.

Nazajutrz zobaczyliśmy drugiego żurawia latającego nad więzieniem i siadającego na dachu. Trzeciego dnia zastaliśmy go już na podwórzu przy chorym samcu; była to samica, która się poświęciła dla swego towarzysza. Ulokowaliśmy ich w piekarni, skąd chodziły po całym więzieniu. Słaby żuraw za pomocą naszego doktora przyszedł prędko do siebie, a gdy z wiosną nadciągnęły żurawie, nasi mieszkańcy wylatywali do nich, wracając na noc do więzienia.

Spodziewając się, że z początkiem zimy zapewne razem z gromadą odlecą, zrobiliśmy cienkie i lekkie srebrne obrączki z napisem „Polacy, polityczni więźnie w Kadaji w okręgu Nerczyńskim na Syberyi“. Te umieściliśmy im na szyjach.

Jakaż to wielka była radość dla nas wszystkich, gdy z wiosną drugiego roku para ta zawitała do nas, ale już z potomstwem w okazów cztery. Nowi nasi goście znaleźli się tak oswojeni między nami, jakby nie ośmiomiesięczny czas, lecz jedna noc nas była rozłączała.

Wychodząc, niby to na robotę do tłuczenia rudy, do której wcale nie zabieraliśmy się, ale więcej dla zaczerpnięcia świeżego powietrza i przejścia się, cała nasza menażerya nie wyłączając i żorawi, jastrzębia, a nawet i prosiąt wychodziła z nami na przechadzkę, co dziwiło bardzo Rosyan.

Nie wiem dlaczego, ale najbardziej dziwowali się nad prosiętami.

Nasz komendant, Szostakow, był tak troskliwy o nas, aby się nam nic złego nie stało, iż na nasze ustawiczne prośby, aby nam zezwolił zwiedzić podziemne kopalnie, odpowiedział, że jest odpowiedzialny za każdego z nas, dlatego obawia się nas tam puścić, aby się któremu nie przytrafiło co złego.

Od czasu do czasu odbywały się rewizye w Kadaji, nakazywane z Petersburga telegraficznie. Dzień przedtem zawiadamiał nas o tem komendant, wskazując miejsce, gdzie zakazane rzeczy pochować mamy. I trza było widzieć tę wielką komedye, jak rano świtem kozactwo otaczało więzienie, a nasz komendant ubrany po formie, podejmował ścisłą rewizyę, burząc piece, odrywając podłogi, i przewracając wszystko, szukał tego wszystkiego zakazanego, co nam sam dostawiał.

A gdy po takiej rewizyi zdawał raport, że nic nie znaleziono, nadchodziła zawsze gratyfikacya i podziękowanie za sprężyste i energiczne postępowanie z więźniami politycznymi.

Przedstawiwszy nasze życie, zatrudnienie i urządzenie w Kadaji, muszę jeszcze wspomnieć o dwóch tam z nami przebywających więźniach politycznych, chociaż nie z naszej sprawy, mimo to ludziach wielkich poświęceń, wielkich zdolności i nieskazitelnego charakteru, przyjaciół Polski, a tem samem ofiar barbarzyństwa... Michajłowie i Krasuskim.

---

## V.

### Michajłow i groby w Kadaji.

Zasady Michajłowa. Uwięzienie. Sąd. Wysłanie w katoggi. Przyjęcie w Tobolsku. Pietrowsk. Pułkownik Daichmann. Wywiezienie. Życie w Kadaji. Śmierć Michajłowa. Grób i sąsiednie groby. Lityński. Ludwik Cairoli. Seweryn Wołoszyński. Pamięć męczenników.

Michajłow, znany z swoich prac i pism przeciw barbarzyńskiemu rządowi rosyjskiemu, należał do partyi „młodej Rosyi“, której był duszą i głową.

Podczas manifestacyi i rzezi dnia 8. kwietnia 1861 r. w Warszawie, Michajłow, naówczas profesor uniwersytetu w Moskwie, oburzony postępowaniem rządu, wystąpił publicznie w swoich pismach przeciw gwałtom popełnianym na bezbronnych narodzie i podał rządowi projekt pojednania się z Polską. Projekt ten, popierany przez wielu jego przyjaciół i równie z nim myślących, wywołał u rządu wielkie oburzenie, a w dziennikarstwie starej zaborczej matiuszki Rosyi naigrawano się z Michajłowa. Pisma Michajłowa krytykowano i rzucano nań pociski, które Michajłow odpierał z zimną krwią, z siłą wielką, z zręcznością i z wielkim taktem, odznaczającym się głęboką nauką, znajomością praw i historii tak narodu rosyjskiego jak i polskiego. Ta zimna krew i ze wszech miar umysłowa wyższość doprowadziła jego przeciwników do zajadłych napaści, mimo to w końcu pobici trafnymi dowodami, uledz musieli wyższości moralnej Michajłowa.

Michajłow miał przytem za sobą silną armię, która go przeciw napadom rządu rosyjskiego długo broniła. Armia ta, tak trudna nawet w lodowatej Rosyi do pokonania, składała się z płci pięknej. On to był bowiem z pierwszych, który żywo podniósł kwestyę emancypacji kobiet w Rosyi, a pisma jego serdeczne bez obłudy i fałszu, tchnęły wielką niezaprzeczoną prawdą. Michajłow zjednał więc sobie wielkie imię i ubóstwianie między tą niezwykłą armią. Dlatego też i Michajłow, mając za sobą tak silną łódź bezpieczeństwa, długo walczył z rozhukanymi bałwanami, które pochłaniając go bez przestanku, nie zdołały go jednak wciągnąć na dno otchłani. Ale jak morze, mające na dnie swoim wybuchające wulkany, zatapia najsilniejsze pancerniki, tak też i Michajłow, mając na oku dobro swej ojczyzny i ukochanego ludu, musiał wypowiadać często szczerą prawdę i wygłaszać swe zasady, które z natury swej były pociskami przeciw barbarzyńskiemu rządowi rosyjskiemu, pozwano go wreszcie przed sąd, by potem uwięzić.

Michajłow wiedział aż nadto dobrze, co go czeka, a mimo to za granicę uciekać nie chciał. Gdy przyjaciele jego błagając na kolanach dawali mu paszport i znaczne sumy do dyspozycji, a sam Herzen ofiarował mu w swoim domu gościnność w Londynie, Michajłow tak odpowiedział:

„Każdy wolnomyślny Rosyanin, to co mówi i pisze, powinien umieć i bronić, nie lękam się ni kajdan, ni Sybiru, bo tam nawet nie przestanę pracować dla mej kochanej i lubej ojczyzny, dla moich biednych, przygnębionych i niešťczęśliwych braci“.

A gdy stanął przed sądem w mieście Moskwie, to i tam wygłaszał jeszcze swe przekonania i między innymi wypowiedział te słowa do sędziów i do zgromadzonej publiczności:

„Oddajmy co nie nasze, zamknijmy się w naszych szczupłych granicach, a wtedy Rosya nietylko, że będzie wielką i silną, ale zakwitnie nauką i przemysłem, byt ludu polepszy

się, a wszyscy będziemy daleko szczęśliwsi, jak dziś jesteśmy“.

Michajłowa jako rewolucjonistę starającego się istniejący rząd obalić, skazano na pozbawienie wszelkich praw i 20 lat ciężkich robót w odległych kopalniach Syberii. Ciężki ten wyrok wysłuchał Michajłow z uśmiechem na ustach i z rozjaśnionem obliczem. Włożono mu ciężkie kajdany na nogi, a gdy mu je na zawsze zabijano, obrócił się do stojących koło niego oficerów i urzędników i rzekł:

„Nie macie pojęcia jak to błogo i przyjemnie cierpieć dla ukochanej ojczyzny“.

Nawet ciemni i dzicy mają poszanowanie dla rozumu i nauki. Generał-gubernator Moskwy oświadczył Michajłowowi, aby podał prośbę, a car ją uwzględni, za to on ręczy swoim generalskim słowem. Michajłow oburzony tą propozycją odrzekł: „Żądam sprawiedliwości, a nie łaski“.

W kilka dni po zapadłym wyroku, wyprowadzono Michajłowa z więzienia i popędzono na kolej żelazną w celu wywiezienia do Niżno-Nowogrodu, skąd etapnym porządkiem wysyłają zbrodniarzy na Sybir.

Żaden z panujących, wyjeżdżając, choćby dla oswobodzenia kraju od obcego napadu, nie miał tak serdecznego pożegnania, jak biedny zesłaniec.

Prawie cała Moskwa wyległa, a tysiące narodu pomimo gróźb, kolb, bagnatów i nahajek kozackich, odprowadzało swego ulubieńca. Każdy chciał choć raz jeszcze go zobaczyć, choć raz się pocieszyć jego widokiem, każdy szukał w jego oczach natchnienia i wytrwałości do wygłaszanym przez niego prawd, każdy z osobna chciał go uściskać i powiedzieć: „bądź zdrow nasz męczenniku i pamiętaj o nas choć w częście tak, jak my tu Ciebie wspominąć będziemy“. A lud biedny współczujący ten ogrom nieszczęścia przeciskał się, aby móżdż ucałować choć szaty jego. Gdy pochód zbliżył się do dworca i wsadzono więźnia jak jakie dzikie zwierzę do żelaznego i gęsto sztabami żelaznymi okratowa-

nego wagonu, powstał taki płacz i jęk pomiędzy ludem, że starszyzna i wojsko eskortujące od łez powstrzymać się nie mogły. Młodzież płacząc żegnała go w głos słowami:

„Bądź zdrow nasz ukochany druhu i opiekunie wolności!“

Starcy wyciągając ręce i robiąc w powietrzu znak krzyża świętego, błogosławili swego młodego obrońcę i opiekuna, życząc mu do tego straszego i długiego pochodu „wytrwałości i zdrowia“.

Pociąg ruszył, a ten biedny naród tak uroczyście odprowadzający swego kochanka, nie miał nawet przecucia, że już go więcej oglądać nie będzie.

Z Niżnego Nowogrodu do Tobolska wysłany razem z zbrodniarzami, umiał sobie Michajłow między tymi zjednać takie poważanie, że gdy ich nauczał o zasadach moralności i wykladał im dzieje, słuchali go całymi godzinami, a taka cichość panowała między tymi słuchaczami, że myślałbyś, że to nie słuchają żyjące istoty, ale jakieś automata z szeroko otwartymi oczyma, z jednym w jedno i to samo miejsce utkwionem spojrzeniem. Zbrodniarze pilnowali jego rzeczy, robili mu najlepsze miejsce do spoczynku, a że na etapach, osobliwie zaś na tak zwanych półetapach, gdzie się tylko przenocowuje, jest taka ciasnota, że przy partyi składającej się z 400 osób połowa nie ma się gdzie położyć i całą noc skurczono przesiedzieć musi, to żaden z nich nie miał śmiałości położyć się w bezpośredniej bliskości obok Michajłowa. Na nic nie zdały się prośby Michajłowa o zajęcie próżnego miejsca koło siebie. A gdy słabowity Michajłow strudzony całodziennym forsownym pochodem zasypiał ze znużenia, to w tej wielkiej, niewygodnej i ciasnej izbie, gdzie się tyle osób znajdowało, panowała taka uroczyście cisza, że brzęczenie muchy usłyszeć można było. Rozgłos sławy i niewinności Michajłowa rozszedł się lotem błyskawicy po całej Rosyi i Syberyi. Na każdym przystanku i w każdej wsi cisnął się biedny naród, aby zobaczyć, powitać

a zarazem pożegnać swego obrońcę i ofiarę barbarzyńskiego rządu.

Pędzenie Michajłowa etapnym porządkiem do Tobolska, było dla niego jednym tryumfalnym pochodem; po miastach, miasteczkach i wsiach nawet, nietylko sam lud, ale i klasa wykształceńsza i kupiecka robiły mu najrozmaitsze owacy, a przywitanie w Tobolsku przechodziło wszelkie oczekiwania.

Gubernator tamtejszy, poprzednik jeszcze gubernatora Zenowicza, człowiek z gruntu dobry i ludzki, nie mógł się oprzeć naleganiom płci pięknej, która na przybycie skazanego wydała świetny bal. Przywieziono go z więzienia do sali resursowej, w której portret cara zdjęto, a na to miejsce zawieszono Herzena i Bakunina, nad nimi zaś znajdowały się w kształcie girlandy kajdany Michajłowa, które mu z nóg zdjęto. Bal był wspaniały, narodu pełno, każdy z uczestników starał się choć na chwilę przybliżyć do tego wielkiego męczennika, płęć piękna rozebrała na kawałki kajdany, z których wykuwano pierścionki, kolczyki, broszki, natomiast ofiarowała mu w dowód pamięci miniaturowe drogocenne złote kajdanki pełne drogich kamieni. To nie przeszkodziło, że na dalszy pochód z Tobolska zakuto ponownie Michajłowa.

Michajłow wiedział dobrze, że takie przyjęcia mogą pociągnąć złe skutki dla przyjmujących go, nie chciał więc przyjmować zaproszeń, wymawiając się to znużeniem, to swą słabością, wkońcu przedstawił możliwe nieprzyjemności, i nie chciał stanowczo brać udziału w balu. Nic nie pomogły wszystkie jego przedstawienia, bo prawie przemocą powieziono go na tę uroczystość. Wkrótce też cała ta sprawa doszła do Petersburga. Zawezwano gubernatora do tłumaczenia się i oddano pod sąd. Mając silną protekcję u dworu, zdołał się o tyle uwolnić, że dano mu dymisyę, a że to był człowiek majątny, więc też i nie wyrządzono mu wielkiej krzywdy.

W Tobolsku była główna ekspedycja więźni w Sybir, tam zatrzymywano wszystkich po tygodniu, zdejmowano dokładny rysopis, mierząc jak rekrutów, oglądając nawet zęby, ubierano w aresztańską odzież, wpisywano w księgi zesłańców Sybiru, dawano numera i wykreślano z listy żyjących ludzi. Tak samo zrobiono i z Michajłowem, z tą różnicą, że obywatele tamtejsi wyprosili, ażeby mu pozwolono mieszkać w mieście. Chciano go nawet zatrzymać, aby mógł przynajmniej odpocząć po uciążliwej podróży i przyjść do siebie. Michajłow, który był rzeczywiście bardzo cierpiącym i potrzebował odpoczynku, nie chciał jednak dobrych ludzi narzącać na nieprzyjemności, nie przyjął zaproszeń i następnego tygodnia został dalej wyprawiony w drogę.

Przyjęcie Michajłowa w Tobolsku i z tego wynikłe następstwa, były już wiadome po całej Syberji, jednak to nie przestraszało poczciwych mieszkańców, aby po wszystkich miastach i wsiach nie przyjmowano go z tym samym zapamiętaniem i uszanowaniem co w Tobolsku. Cały naród rosyjski kochał go, szanował i ubóstwiał, to też i lud w Syberji nie chciał pozostać w tyle i dawał na każdym kroku do poznania, że umie oceniać naukę, szanować prawdę i ubóstwiać wielkość poświęcenia.

Po dziewięciomiesięcznej, nader przykrej, pieszej podróży, stanął Michajłow w Irkucku. Władza tamtejsza przeznaczyła go do kopalń i hut żelaznych w Pietrowsku za Baykałem.

Naówczas zarządzającym fabryką Pietrowską był pułkownik inżynieryi Deichmann, człowiek nadzwyczaj światły, ludzki i prawy. Zobaczywszy słabego Michajłowa, posłał zaraz do niego doktora, który oświadczył, że więzień jest tak osłabiony, iż się obawia u niego wycieńczenia sił. Pułkownik rozkazał go rozkuć i wypuścić z więzienia, przeznaczając mu na wsi wolne mieszkanie i wszelką swobodę. Pietrowsk położony w nadzwyczaj uroczej miejscowości, otoczony ze wszech stron szpilkowymi lasami, cieszył się nad-

zwyczaj zdrowym klimatem, więc byli też wszyscy pewni, że Michajłow prędko przyjdzie do sił, tembardziej, że mając spokojny kącik i staranną opiekę u pułkownika, mógł swobodnie pracować umysłowo, a fizycznie czerpać nowych sił.

Znaleźli się jednak ludzie złej woli, fałszywi pochlebcy. Ci nie mieli nic lepszego, jak zaraz donieść do Petersburga, że ów sławny rewolucjonista, Michajłow, skazany na 20 lat ciężkich robót, używa wszelkiej swobody, pracuje dalej nad swymi planami, szerzy propagandę i lud prawosławny buntuje przeciw białemu carowi. Wkrótce też nadszedł rozkaz z Petersburga, aby pułkownika Deichmanna oddać pod sąd, a Michajłowa pod największą odpowiedzialnością i pod silną strażą wysłać do kopalni nerczyńskich.

Pułkownik Deichmann po dwuletniem śledztwie został zdegradowany, pozbawiony wszelkich praw, utraty orderów i skazany na posilenie (nie powiedziano w wyroku gdzie, bo w Syberyi mieszkał). Pułkownik, będąc bardzo bogatym, a przytem mając rozliczne stosunki w Petersburgu, dostał za grube pieniądze ułaskawienie w ten sposób, że mu całą karę zmieniono na pięcioletnią daremną służbę i zarazem przeniesiono na profesora do inżynierskiej górniczej akademii w Petersburgu.

Administracya kopalni nerczyńskich wysłała Michajłowa do kopalni srebra w Kadaji. Tutaj na ustroniu, bez ścisłej rządowej opieki, zajął się szczerze oświatą ludu, urządził szkołkę, gdzie zbierał dźwiatwę i nauczał miłości prawdy i narodu. Osobliwie były tam dwie rodziny kupca Pietkowa i byłego urzędnika Fadieja, które szczerze pokochał, i które były jego rozrywką. Tu znalazł dorastające dziewczęta, mające początki nauki, te kształcił dalej i przysposabiał na cnotliwe obywatelki, wpajał w nie swoje zasady, zachęcał do pracy i pilności, zaszczepiał pojęcia patriotyzmu, nauczył je kochać wszystko co piękne i wzniosłe, wykształcił ich duszę, serce i rozum. Oba te domy pokochały go jak brata, a szanowały jak ojca.

W takim stanie zastali go nasi przybywający do Kadaji przy końcu roku 1864.

Michajłow prędko poznał się z naszymi, a że był to człowiek szczerzy i otwarty, wnet wszyscy go pokochali. W bardzo krótkim czasie zjednał sobie ogólną sympatyę i szacunek, a w przeciągu kilku miesięcy władał naszym językiem, jak rodowity Polak.

W Kadaji było naszych 110, i to pomieszczonych w dwóch więzieniach zaimprovizowanych na prędcie z rządowych zabudowań. Jedno więzienie znajdowało się prawie w środku wsi, drugie zaś na końcu, odległość jednego od drugiego wynosiła około 300 metrów. Michajłow, jako chory znajdował się niby w szpitalu, ale właściwie mieszkał na tak zwanych wolnych kwaterach u jednego z dawnych przestępców, a obecnie włościanina tamtejszego. Wówczas w Kadaji znajdował się między nami publicysta rosyjski Czerniszewski, za którego kongres literacki przed paroma laty we Wiedniu skruszał kopie, żądając dlań uwolnienia ze Syberii. Jakaż to wielka różnica była pomiędzy tymi dwoma synami jednej ojczyzny i męczennikami barbary rosyjskiej. Jak Michajłow, szczerzy, otwarty, nieprzyjaciel zaborczej polityki swego rządu, chciałby cały świat do swego serca przycisnąć, tak Czerniszewski, skryty, ponury, ze szkoły nowych tych liberałów rosyjskich, co wszystkiego chcą dla siebie, a nic dla drugich, wróg naszej narodowości i religii, przyznawał nam zaledwie Kongresową część Królestwa, twierdząc że wszystko reszta, to jest „prawdziwa Rosya“. Jak z Michajłowem łączył nas węzeł serdecznej przyjaźni, jednych przekonań i zapatrywań, tak z Czerniszewskim żyliśmy tylko tyle, o ile przyzwoitość i towarzyskie stosunki wymagały.

Ani jedno życzenie „dzień dobry“ i „dobrej nocy“ nie odbyło się bez Michajłowa, myśmy utworzyli dla niego nasze serca, a on dla nas swą wzniosłą duszę. Nieraz długo gawędziliśmy razem wieczorami. Szlachetny ten uczone ubo-

lewał zawsze nad swą ojczyzną i nad biednym ciemnym ludem, a ze łzą w oku opowiadał nam o swej siostrze mieszkającej w Moskwie... Jakież to wzniosłe chwile spędziłyśmy z tym wielkim mężem!... Unosił się nad naszą ojczyzną, że tyle lat już w niewoli, rozszarpana, gnębiona, demoralizowana, nie upadła na duchu, nie słabiej, raczej przeciwnie wzmacnia się, ożywia... często też zwykł był powtarzać:

„Wy daleko szczęśliwsi od nas, czas nauczył was wszystko mężnie znosić i cierpieć, a nam jeszcze i tego brak“.

Jeżeli władza rosyjska którego z nas gdziekolwiek przenosiła, Michajłow nigdy nie opuścił, aby się nie pożegnać, gdy przywieziono kogo z innych kopalni z serdeczną uprzejmością witał swego nowego współtowarzysza niewoli.

My, cośmy go codzien widywali, spostrzegaliśmy każdą razą zmianę na jego obliczu, a znając jego chorobę, przeczuwaliśmy, że niedługo nadejdzie ta smutna chwila, gdzie nam się przyjdzie z najlepszym naszym przyjacielem i towarzyszem pożegnać. Nasi koledzy obaj doktorzy: Paszkowski i St...wicz, twierdzili toż samo, dodając, że jedyny ratunek dla niego mogłyby jeszcze być żelazne kąpiele, które niedaleko gubernialnego miasta Czyty pod Tarsuniem się znajdowały. Staraliśmy się wszelkimi środkami, aby go tam wysłano, i tem pewniejsi byliśmy, że Rosya to uczyni, bo wówczas wielu z naszych do robót zesłanych tam się znajdowało, tymczasem władza rosyjska w Aleksandrowsku, gdzie się zarząd centralny zesłanych politycznych przestępców do kopalń nerczyńskich znajdował, odmówiła naszym staraniom.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że z obojętnem, ba nawet z radośnem okiem patrzyła władza w Aleksandrowsku na powolny zgon jednego z najdzielniejszych, najszlachetniejszych i najwykształceńszych swych obywateli, na człowieka, który wszystkich zarówno kochał, a kto go raz zobaczył i poznał, musiał szanować i podziwiać. Michajłow gaś po-

woli w naszych oczach. Czuł to bardzo dobrze, a że wiedział, że my go kochamy i szanujemy, przychodził do nas, aby nas nie martwić, zawsze z nastrojem radości na twarzy, z uśmiechem dla nas na ustach, jednak pod tą maską nieraz błysnęła łza w oku i mimowoli smutek osiadł na jego obliczu i nie chcąc nas zasmucać powtarzał ciągle:

„Czuję się niby coraz lepiej“.

Czasami nawet, aby dać nam dowód swych sił, improwizował ustępy ze swoich utworów.

Zresztą i widok nas, także szermierzy wolności, współtowarzyszy tej samej kaźni i szczerych druhów, na szlachetnej twarzy Michajłowa obudzał ożywienie, Michajłow czuł, że on pośród nas, chociaż w Syberyi, nie jest na puszczy, bo tak on, jak i my, jeden cel mamy, że między nami jest bardziej między swoimi, jakby gdzie wśród aksamitów i złotogłowi... Szczery Michajłow może i u schyłku smutnego, jednak najszlachetniejszego swego życia, nie miał na świecie serdeczniejszych, usłużniejszych i bardziej miłujących przyjaciół, jakich widział w nas. Świat rosyjski pięknie wyprowadził go w pochód sybirski... sprawił mu złote kajdany... my koiliśmy jego boleść wśród wygnania, dzielaliśmy jego myśli, smutki i uczucia. Wśród opuszczenia i wygnania od swoich... myśmy tego brata naszego po duchu... łzami naszymi, bolem serc naszych pożegnali na koniec żywota... i pamięć o nim między nami pozostanie na zawsze święta i wielka.

Michajłow nagle zaczął mocno kaszleć i tak upadał na siłach, że ledwie za pomocą kija, już nie przychodził, ale przywlekał się do nas do więzienia. Raz wieczorem mówił on:

„Przychodzę do was, aby moją strapioną duszę pocieszyć i pokrzepić, przy was czuję się być daleko silniejszym, przy was oddycham innym powietrzem, jestem swobodniejszy i rzeświejszy. Patrząc na was i na waszą miłość dla mnie, zdaje mi się, że długo jeszcze razem żyć będziemy,

boć każdy z nas ma swe plany przyszłości, pracując dla dobra ojczyzny i tej ziemi co go wykarmiła i wypiastrowała“.

Żeby nas rozweselić opowiedział nam tym razem jeden z mało znanych ustępów z życia Iwana groźnego, który wygrzebał w archiwum w Moskwie. Odwiedziny te głęboko wryły się w naszych sercach, była to ostatnia jego pogadanka u nas i w naszym kole.

Już na drugi dzień tak osłabł, że nie mógł się podnieść z łóżka. Nasi doktorzy dzień i noc przepędzali przy jego łożu, a my będąc zamknięci, przekupując żołnierzy, wymykaliśmy się co najwięcej po dwóch, aby choć na chwilkę naszego druha odwiedzić i pocieszyć. Z radością przyjmował takie odwiedziny, silił się do wstawania, a nie miał już mocy!

Doktorzy widząc, że stan chorego z każdym dniem się pogarsza, wobec braku wszelkich zaradczych środków, przepowiadali bardzo blizką katastrofę.

Michajłow w tak nazwanym „wielkim zawodzie“ nerczyńskim miał rodzonego brata kapitanem inżynierii górniczej; posłaliśmy po niego, oznajmiając mu niebezpieczny stan naszego przyjaciela. Wkrótce też przybył wezwany z odalonego o 200 wiorst Nerczyńska. Szostakow zaś, nasz komendant, dał znać do komendantury głównej w Aleksandrowsku o niebezpieczeństwie Michajłowa. Teraz dopiero przysłano stamtąd rządowego doktora Łebediewia z pułkownikiem żandarmeryi i kilkoma wyższymi oficerami dla ścisłego zrewidowania mieszkania Michajłowa i zabrania wszelkich papierów i pism. Ścisłe wypełniono rozkaz, nie zważając nawet na smutny stan chorego, ale oprócz książek dozwolonych rosyjską cenzurą, nic nie znaleziono. Michajłow znał dobrze rząd, czując się już bardzo słabym, oddał nam wszystkie swe pisma i wskazał gdzie i jakim sposobem mamy je wysłać. Rosyanie podejrzewali nas o ukrycie tych pism, zrobiono po więzieniach ścisłą rewizję, lecz bezskutecznie. Pułkownik żandarmeryi, który czuł dobrze, że pisma

Michajłowa muszą być między nami, przyszedł do nas, prosząc, abyśmy choć kilka arkuszy i to jakichkolwiek prac pisanych ręką Michajłowa oddali, gdyż z Petersburga z trzeciego oddziału będzie miał wiele nieprzyjemności, bo mu nie uwierzą, aby Michajłow, znany z wielkiej nauki i pracy, nic po sobie nie zostawił. Odpowiedzieliśmy na to ich zwyczajem: „Nic nie wiemy, nic nie widzieliśmy i też nic nie słyszeliśmy, aby Michajłow coś kiedykolwiek w więzieniu pisał“.

— Ha, kiedy tak panowie to będzie bieda — rzekł pułkownik.

— Ale nie nasza! — odpowiedzieliśmy.

Takim to sposobem skończyła się sprawa pism po ś. p. Michajłowie.

W wigilię śmierci, gdy kilku z nas przyszło odwiedzić Michajłowa, tenże rzekł do nas:

„Pocieszałem was długo, że będziemy razem żyć i pracować dla dobra ogółu, lecz dziś po raz pierwszy muszę wam powiedzieć, że godziny życia mego są policzone, proszę was mieć mnie w swej pamięci... Oj biedna ta moja ojczyzna! ile to jeszcze ofiar krwi będzie musiała ponieść, nim stanie na stanowisku odrodzenia i przejrzy, ile to krzywd swej siostrze Polsce wyrządziła!... Bracia po duchu! proszę was nie zapominajcie o mnie, jutro... ach jutro, a to najdalej w południe przyjdźcie do mnie, ale tak wszyscy, jak najwięcej... mnie to bardzo cieszy, czem więcej was widzę, tem się więcej raduje serce moje... przychodźcie... proszę was bardzo!“

Na drugi dzień w południe z pozwolenia komendanta naszego, Szostakowa, zebrało się naszych bardzo wielu w mieszkaniu dogorywającego Michajłowa, który spoczywał oparty na rękach naszych nieodstępujących go lekarzy. Śmiertelna błądź pokrywała jego oblicze, pierś pracowała ciężko. Zobaczywszy nas, rozjaśnił oblicze... uśmiech zawitał na ustach i dał znak powitania głową.

Mieszkańcy kopalni, dowiedziawszy się o strasznym stanie swego nauczyciela, oblegli dom, cisnęli się do jego łóżka gwałtownie. Każdy chciał choć raz jeszcze oglądać tego iście świętego męża i jego anielskie oblicze, każdy chciał ucałować rękę swego dobroczyńcy.

Michajłow nie chciał jeszcze umierać, pragnął żyć, by mózdz zbierać owoce swojej pracy. Ciężko walczył ze śmiercią, zrywał się, przecierał swą wychudłą ręką czoło i oczy, powtarzając często. „Duszo mi... duszo!“ Wreszcie położył się i tak leżał spokojnie, jakby chciał wszystkie swoje ubiegające siły zebrać, bo po chwili podniósł się, pogardliwie spojrzął na stojących do koła siebie oficerów, obrócił głowę ku nam i rzekł donośnym głosem po rosyjsku:

„Ubili mnie!... Panowie, proszę was pochowajcie mnie między sobą, ja między tem byłem, pokazując palcem na otaczających go oficerów, leżeć nie chcę“. Położył się, a spostrzegłszy u wszystkich nas łzy w oczach, wypogodził twarz, uśmiechnął się i wymówił już cichym głosem ostatnie słowa do nas po polsku: „Dziękuję wam Bracia za wszystko“.

Przymknął oczy, i spokojnie zasnął na wieki.

Taki to był zgon ulubieńca ludu rosyjskiego, człowieka, który kochał swój naród i swoją ziemię. Wysłano wielkiego męża w lodowaty Sybir, aby, jak sam powiedział, „ubić go“. Z czartowskim zadowoleniem spoglądano na powolne męki i konanie swej ofiary.

Toż Michajłow, który swoją ojczyznę i swój naród do szaleństwa kochał, z którego ust nikt nigdy żadnej skargi nie usłyszał, nie wahał się w ostatniej chwili swego żywota dla swych rosyjskich prześladowców wypowiedzieć gorzkie słowa: „Ja między tem byłem leżeć nie chcę!“

Obecni Rosyanie, usłyszawszy te słowa, nie dowierając swym uszom, z zdziwionem okiem spoglądali na siebie, to na nas, jakaś cześć mimowolnie ogarnęła ich, widząc w nas jakieś wyższe istoty, do których Michajłow natchniony widokiem śmierci przenieść się pragnie. Wedle ich widzenia

szlachetny ten mąż, oddawszy naukę, a w końcu życie dla dobra swego narodu i ojczyzny, po śmierci, nie czując się pewnym pomiędzy swoimi, szukał przytułku u wrogów swego rządu, pomiędzy Polakami, których pokochał jak braci, a którzy nawzajem nauczyli się go kochać i szanować.

Śliczne i urocze jest to miejsce, które pokrywa groby naszych trzech męczenników Polskiej sprawy. Nie mógł też i Michajłow dla siebie godniejszego miejsca wybrać.

Kadaja, sześć wiorst od granicy mongolskiej oddalona, położona pomiędzy górami, mająca do 200 domów, które trzema ulicami, prostemi, jak wojsko w linii wyciągnięte stoją, podług carskiego przykazu budowana, opiera się na północ o dwie spojone z sobą, wysoko sterczące, jak bliźnięta, góry, które się łączą granitową skałą, sięgającą do połowy wysokości tych gór. Jest tam taka harmonia pomiędzy tą boską budową, i taka wzniosła piękna estetyczność w tej surowej i gołej naturze, że człowiek mimowoli schyla czoło i korzy się przed majestatem Bożym.

W tem to uroczem miejscu, na tej granitowej skale, skąd widok rozciąga się aż na Mongolią, i gdzie już trzy wysoko ku niebu sterczące rzymsko katolickie krzyże świadczyły o wiecznem mieszkaniu męczenników Polskiej sprawy, miał stanąć krzyż czwarty prawosławny, postawiony polską ręką synowi Rosyi, męczennikowi za taką samą prawdę i za taką samą wolność, jakiej pożądamy dla siebie.

Niedocieczone są zrządzenia Boskiej Opatrzności. W kraju odwiecznie polskim, na ziemi przesiąkniętej krwią tyłu jej synów, wróg, dla którego niema nic świętego, burzy krzyże tegoż biednego narodu, stawiając swe prawosławne. A jednak ci sami synowie Polski, ofiary, uszanowali narodowość i religię Rosyanina, i swojemi własnymi rękoma wzniesli znamię tego krzyża, w imię którego cały naród Polski tyle krzywd wołających o pomstę do nieba poniósł.

Nie śmieli Rosyanie opierać się ostatniej woli zmarłego, z zazdrością patrzyli na nas, z jaką pracą wzięliśmy się

do wykucia grobu w granicie. Po ośmiu, mieniając się bezustanku, pracowaliśmy trzy dni od świtu do ciemnej nocy, wykuwając żelazem grób. Praca ta mozolna i uciążliwa była ostatnią przysługą dla zwłok naszego szanownego towarzysza niewoli, prawosławnego Rosyanina. Żaden z nas nie żałował ani potu, ani rąk, każdy chciał się przyczynić do pomnika, który miał unieśmiertelnić cześć i pamięć Michajłowa.

Na pogrzeb przybył komendant kopalni nerczyńskich, generał Szyłow, który sam, chcąc się naocznie przekonać o śmierci Michajłowa, wbijał mu na sztorc swe palce w oczy, roztopiony lak lał na piersi i za paznokcie, obawiając się, czy śmierć jego nie jest udaną, aby go później nie usiłowano wykraść i wywieźć za granicę. Przepuszczenia godne baraniego rozumu pana generała.

Pogrzeb odbył się bardzo skromnie bez popa, przy urzędowym udziale władz i ludności całej wsi. Z naszych tylko dwunastu pozwolono towarzyszyć zwłokom do grobu naszego przyjaciela. Trumna Michajłowa była prosta z modrzewiowego drzewa, wykonana przez samouka, stolarza, naszego współtowarzysza Litwina, Bronisława Bołędzia, ozdobiona na wierzchu czarno pomalowanym krzyżem. Na wieku trumny przybiliśmy kajdany Michajłowa, jako godło męczeństwa. Przy wkładaniu zwłok do wykutego grobu panowała uroczysta cisza, nie było tam ani śpiewu cerkiewnego, ani mów pogrzebowych, tylko płacz i jęk zgromadzonego ludu z Kadaji i łzy nasze, świadczące o żalu i smutku, jaki po sobie zostawił ten męczennik narodu rosyjskiego.

Nie mogąc wszyscy oddać ostatniej przysługi zmarłemu, zgromadzili się nasi na gankach więzienia, z wzrokiem obróconym ku skale, kilka set metrów od więzienia oddalonej, gdzie sterczały wysoko ku Bogu wyciągając ramiona trzy krzyże naszych męczenników; tam zanosili nasi modły do Najwyższego o wybawienie naszej ojczyzny z niewoli i o oświecenie i natchnienie prawdą narodu, którego męczennika układaliśmy właśnie do wiecznego spoczynku.

Pierwszy z tych krzyżów, był zatknięty na grobie męczennika naszego Lityńskiego, zesłanego w roku 1846, ze znanej sprawy Dobrycz, Rozmanit, Deskur, zmarłego w roku 1855. On to pierwszy upatrzył sobie to miejsce, a przewidując bliską śmierć prosił o pochowanie go na tej skale, temi słowy pisanemi w liście do swego kolegi: „Najmilszy memu sercu Bracie! Znane Ci dobrze jest to miejsce, gdzie tyle przyjemnych chwil razem ze sobą spędziliśmy, marząc i gawędząc o naszej drogiej ojczyźnie i o wszystkich tak blizkich naszemu sercu, od których nas przemocą wydarto. Wiesz jak ulubione jest dla mnie to miejsce, osobiwie gdy podczas burzy niebo się otwiera, wypuszcza błyskawice, a grom po gromie uderza w tę granitową budowę, świadcząca o wielkości Boga. Znaną jest Ci moja choroba, podsycana tęsknotą za krajem. Nieubłagalne widmo śmierci zbliża się do mnie, nie obawiam się go, gdyż całe życie pracując dla ojczyzny i Boga, a wierząc w nieskończone miłosierdzie Jego, pragnę Go sam jak najprędzej oglądać, dlatego proszę Cię, mój Towarzyszu niewoli i Przyjacielu, gdy moja dusza opuści już to słabe ciało, to racz pogrzebać je w tej to skale, ale pamiętaj! *z obróconą twarzą ku mej ukochanej ojczyźnie, bo chcę widzieć jej zmartwychwstanie*“.

Drugie dwa krzyże są ofiar z roku 1863. Jeden z nich jest jasnym dowodem, że nietylko my sami stawaliśmy w szeregach dla obrony naszej ojczyzny, że nietylko sami boleliśmy nad jej nieszczęśliwym losem i upadkiem, ale mieliśmy przyjaciół szczerych u innych narodowości. Między niemi odznaczał się kraj, który także przez długie wieki rozszarpany, jęczał w niewoli, a obecnie zjednoczony i wolny, zwany rajem Europy, kraj nietylko bogaty w piękno przyrody, ale i w piękno sztuki, przemysł, bogactwa a do tego w zacne, pocziwe i nam sprzyjające serca. Kraj ten nie słowami, ale czynami dawał dowody swej przychylności dla Polski. Pola nasze pod Krzykawką, Fajstawicami i w wielu innych miejscach zbroczone są krwią najdzielniejszych i naj-

waleczniejszych synów tegoż kraju, a i kopalnie nerczyńskie świadkami, że tam wszystkie warstwy ludności i różne narodowości brały gorący udział w 1863 roku w oswobodzeniu naszej ojczyzny.

Wspomniane oba krzyże, stojące obok siebie, są jakby zawartem przymierzem między dwoma na dwóch przeciwległych krańcach Europy mieszkającymi narodowościami i należą — jeden do Włocha Ludwika Cairolego, a drugi zaś do Warszawianina, Seweryna Wołoszyńskiego — zmarłych w roku 1866.

Ludwik Cairoli ze szlacheckiego i znakomitego rodu i pan wielkiej fortuny, lat około 25, młodzieniec precudnej urody, wzrostu więcej jak średniego, z typem prawdziwie włoskim, a przytem wysokiego wykształcenia, należał nietylko z rodu i bogactwa, ale z zasad i pojęć do świata arystokratycznego i był jednym z najzjadliwszych przeciwników Garibaldiistów i Mazynistów.

Cairoli był wielce religijnym, manifestacje warszawskie i pastwienie się nad bezbronnym narodem wywarły na nim silne wrażenie. Gdy wybuchło powstanie narodowe w roku 1863, i generał Garibaldi otwarcie zaczął takowe popierać, Cairoli był jednym z pierwszych, który do starego wodza wolności na Caprerę spieszy, a całując rękę tego wielkiego patrioty i oswobodziciela Włoch, przeznaczając znaczne sumy do formowania włoskich legionów w Polsce i sam, rzucając swoje dostatki, swoją rodzinę i narzeczoną, godną tak szlacheckiego serca, którą ukochał całą swą wzniosłą religijną duszą, staje pierwszy w szeregi obrońców ujarzmionej Polski. Za jego to pieniądze spieszą Włosi pod dowództwem znanego z bohaterskich czynów przy oswobodzeniu Włoch i z głębokiej wojskowej nauki do Krakowa, gdzie wszyscy zaciągają się do oddziału Miniewskiego.

Nieszczęśliwa bitwa pod Krzykawką, w której opłakujemy zgon wielu naszych, pięciu Włochów i dwu Francuzów, a między nimi zasłużonego swej ojczyźnie Włocha, pułko-

wnika Nulo; była powodem zabrania do niewoli wielu z naszej młodzieży, a między innymi i Cairolego z siedmioma innymi Włochami, między którymi byli Venancio, Didie, Andrioli. Poprowadzono ich wszystkich do Olkusza, stamtąd do Kielc i dalej pod sąd wojenny do Radomia, gdzie wszystkich cudzoziemców, z pozbawieniem praw, skazano na lat dziesięć ciężkich robót do katorgi w Syberyi. Tu muszę nadmienić, że wszyscy skazani na pewien oznaczony czas do robót w Syberyi, zostają po odbyciu tej kary na wiecznym wygnaniu w Syberyi!

Cairoli, człowiek zamożny, mający rozliczne stosunki w świecie dyplomatycznym, byłby z pewnością uwolnionym, gdyby nie był wypowiadał zanadto szczerzej prawdy sądowi wojennemu i dostojnikom rosyjskim.

Przez te stosunki Cairoli odbierał z domu znaczne fundusze, które pomiędzy swych ziomków i naszych braci rozdzielał. Mając pieniądze, mógł łatwo, na wzór innych, za takowe sprawiać sobie rozmaite ulgi, jak to czyniło wielu z naszych w tej uciążliwej drodze pochodzący na Sybir, ale z życia jego słowo samolubstwo było wykreślone. Nadeszła pierwsza ciężka zima Sybiru. Nasi bracia z południa z zadziwiającą odwagą znosili uciążliwe trudy podróży, dobry humor i wesołość ich nigdy nie opuszczały; Rosyanom, którzy jak jakie zwierzęta przychodzili oglądać „zbuntowanych przeciw białemu carowi Italiańców“ płątali rozmaite figle.

Cairoli sam wątłej budowy, przyzwyczajony do wygod, zachęcał swych towarzyszy do wytrwałości, a z ich ust nie wyszło nigdy żadne narzekanie, lub skarga, że przez naszą sprawę tyle cierpią. Mężnie i z taką cierpliwością znosili trudy i ostre mrozy, które w gubernii tobolskiej i tomskiej przez miesiące zimowe do połowy marca w przecięciu do 30 stopni Reaumura dochodziły — co nam, nawet przyzwyczajonym do ostrego klimatu i zasp śnieżnych, przychodziło z wielką trudnością — że podziwiać ich musieliśmy. Prawda, że Cairoli miał u nich wielkie znaczenie i umiał do

wytrwałości zachęcać, a mówiąc kilkoma językami i nawet nieco po polsku, był ich pośrednikiem pomiędzy naszymi, którzy szli do Irkucka, skąd ich razem wysłano za Bajkał do Pietrowska.

W katordze nie wolno było więcej jak po 25 rubli miesięcznie z przysyłanych z domu, a deponowanych u komendanta pieniędzy odbierać, Cairoli więc wszystko rozdawał ziomkom swoim. Gubernatorem zabajkalskiego kraju, do którego Pietrowsk należał, był generał Dyttmar w Czyście, człowiek światły, łagodny i ludzki. Dowiedziawszy się, że Cairoli ma znaczne fundusze u komendanta w Pietrowsku i że z odbieranych 25 rubli wszystko rozdaje pomiędzy biednych swoich ziomków, pozwolił, wbrew wydanemu rozkazowi z Petersburga, aby Cairolemu wyjątkowo wydawano 75 rubli miesięcznie. Z tych pieniędzy Cairoli za ledwie parę rubli na swoją osobę wydawał, rozdzielając resztę pomiędzy swych ziomków i towarzyszy niewoli.

Włosi bardzo żywego i wesołego, a nawet awanturniczego usposobienia, wyjąwszy Cairolego i Venancia, zaczęli w Pietrowsku płać rozmaite figle i tak dokuczać Rosyanom, że nasz komendant, kapitan Rozgieńdiejew, człowiek prawy i honorowy, nie będąc w stanie dłużej z nimi wytrzymać, a nie chcąc doprowadzać do ostateczności, postarał się, że wszystkich Włochów, oprócz dwóch wyżej wymienionych, przeniesiono do kopalni nerczyńskich.

Cairoli chcąc nieść ulgę materyalną, a mając już wielki wpływ moralny na tych awanturniczo usposobionych rodaków, prosił także o przeniesienie go do kopalni nerczyńskich, dokąd go na początku roku 1865 razem z Venanciem, Andriolim i byłym pułkownikiem huzarów rosyjskich, Kra-suckim, wysłano.

Naczelna władza kopalni nerczyńskich, komendantura w Aleksandrowsku, wysłała ich do kopalni w Kadaji. Tutaj Cairoli zajął się wykształceniem swych ziomków, a sam oddał się nauce historii i literatury polskiej, kochany od nas

wszystkich. Odbierał często listy z kraju od rodziny, a najczęściej od swej narzeczonej, której kilka fotografii wisało nad jego tapczanem.

Przy końcu roku 1865 odebrał list z kraju bardzo pocieszający, a wkrótce telegram od swej narzeczonej, oznajmiający, iż powrót jego do ojczyzny uzyskany i że wkrótce spodziewa się go osobiście uściskać. Radość ta, do której nawet był przygotowany, tak go przejęła, że dostał zapalenia mózgu i mimo starań naszych lekarzy, w dni kilka zakończył nieprzytomnie swój żywot młodociany.

Włosi stracili w nim swego nauczyciela, opiekuna i dobroczyńcę, my szczerego, prawdziwego kolegę, a nasza ojczyzna jednego z największych jej przyjaciół i obrońców.

Cześć Tobie kochany Ludwiku! Grób Twój wykuty w granicę rękami towarzyszy niewoli i katorgi, krzyż cedrowy wzniesiony wysoko ku niebu, niech będą świadkami, że pamięć Twa nie zaginie nigdy we wdzięcznych sercach polskich.

Wartościowe pamiątki po ś. p. Cairolim, zostały wręczone wracającym do kraju Józefowi Czechowiczowi i Sztolcowi, ci zaś przez naszego towarzysza niewoli i katorgi, Lubomira Zambasowicza, obecnie urzędnika kolei łupkowskiej w Zagórzcu, odesłali te pamiątki siostrze zmarłego do Włoch.

Drugi, Seweryn Wołoszyński, syn urzędnika z Warszawy, człowiek nauki i pełen nadziei, pracował ciężko dla wyrobienia sobie stanowiska w świecie.

Ukończywszy chlubnie gimnazjum w Warszawie, udał się do Petersburga na wydział prawny, który ukończył, ozdobiony złotym medalem, powrócił do swego rodzinnego miasta, niosąc mu swą wiedzę i pracę w ofierze. Człowiekowi tak młodemu, a posiadającemu tyle gruntownych wiadomości, uśmiechała się przyszłość. Mieszkał u swych rodziców w Warszawie, których kochał nad życie. Wkrótce nadeszły wypadki warszawskie, a z nimi organizacja miasta. Wołoszyńskiemu powierzono stanowisko ważne i nader trudne.

Rząd narodowy mianował go jednym z inspektorów policji warszawskiej, która przez długi czas tyle zadziwiających cudów dokazywała. Przy wykryciu Rządu narodowego, został aresztowany i z wieloma w cytadeli warszawskiej osadzony. Nawał spraw i z powodu rozlicznych aresztowań wielki chaos w komisjach śledczych, uwięzienia i wykonywania wyroków śmierci na ludziach znanych ze swych wielkich poświęceń i wybitnego stanowiska w Rządzie narodowym, jak Traugut, Żuliński i inni, wybawiło od stryczka Wołoszyńskiego, którego skazano na całe życie do ciężkich robót w Syberji. Wołoszyński mając lat 24 był wzrostu maleńkiego, szczupły, włosów rudych, bez zarostu, wyglądał na 16-letniego chłopca, prawie jak dziecko, tak, że wszyscy nas odwiedzający gubernatorowie i generałowie rosyjscy, zatrzymywali się przy nim, pytając o wiek.

Wołoszyński w całym tego słowa znaczeniu człowiek wykształcony, pracował dziennie bez przestanku 18 godzin, 12 godzin poświęcał dla siebie, a 6 godzin dla kolegów, wielu z naszych zawdzięcza mu naukę języka francuskiego i niemieckiego. Nie mając żadnych podręczników, napisał z pamięci „Historję polską“, nie pomijając najdrobniejszego zdarzenia i żadnej daty, historję tę wykładał codziennie zbierającym się kolegom.

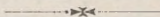
Praca ta nieustanna zabijała go powoli. Doktorzy zalecali mu odpoczynek, nie słuchał ich, nogi puchły, wkrótce dostał wycieńczenia sił, i umarł na tę samą chorobę co Michajłow. Jak całe życie jego, tak i zgon był cichy. Wyzionął ducha na rękach swych przyjaciół, Szwajcara Kapłaczego i Wielkopolanina Witolda Rzepeckiego.

Pisma jego, po części treści naukowej, jakoteż wiele ulotnych myśli wierszem i prozą pisanych, tchną uczuciem miłości i poświęcenia dla ukochanej ojczyzny, dla niej pracował i na jej chwałę złożył swe kości w odległej Syberji. Wiele poezji nacechowanych czystą, anielską miłością, poświęcone są ukochanej Maryni, Marynia ta była gwiazdką

jego i towarzyszką wszelkiej niedoli, przewodniczką w jego pracach, konając zastygły usta jego z imieniem „Marynia!“

Pisma te schowane w bezpiecznym od grabieży rosyjskiej miejscu, wyjdą kiedyś na jaw ku chwale i pożytkowi narodu polskiego.

Przyjm kochany druhu Sewerynie i Ty mężny wojownika, synu szlachetnego włoskiego narodu i Ty stary męczenniku nasz ojciec Lityński, jak również Ty serdeczny przyjacielu naszej przez Twoich ziomków gnębionej Polski, w dowód niezagasłej pamięci, tych kilka nieudolnym piórem żołnierza polskiego skreślonych wspomnień Waszego skromnego żywota, i Waszej męczeńskiej śmierci ku chwale Boga i Waszych Narodów! A kości Wasze za przykładem Lityńskiego zwrócone ku Waszym ziemiom, niech będą wzorem, jak dla wzniosłej idei ludzkości i wolności szlachetni obywatele żyć i umierać mają.



## VI.

### Krasuski, pułkownik huzarów rosyjskich.

---

Znajomości w Anglii. Wojna krymska. Wyjazd za granicę. Kampania Garibaldięgo. Uśmierzenie buntu. Sąd. Wystanie w Sybir. Rabunek dzieci. Śmierć żony. List do cara. Plany ucieczki. Mieszkanie w Aleksandrowsku. Ucieczka. Śmierć.

W Pietrowsku zastaliśmy już więźnia politycznego, byłego pułkownika huzarów rosyjskich, Krasuskiego.

Krasuski był rodem z Ukrainy, ojciec jego był generałem i posiadał znaczne dobra, syna wychowywał w Petersburgu w korpusie paziów. Krasuski mając lat 19, wyszedł jako oficer do gwardyjskiego pułku huzarów. W gwardyjskich pułkach mieścili się zwykle ludzie najbogatsi, hulaki i marnotrawcy, Krasuski jednak nie brał udziału w marnotrawnym i rozpustnym życiu swych kolegów, odsunął się od nich i poświęcał się wyłącznie studyowaniu historii i języków; języki: angielski, francuski, niemiecki, szwedzki i włoski znał zarówno dobrze jak rosyjski. Zostawszy w krótkim czasie rotmistrzem, powziął myśl zwiedzenia obcych krajów. Zwiedził Europę i poznał ludzi, między innymi Herzena, Maziniego i Stanisława Worcla w Londynie. Lubił polowanie, toż udał się do Afryki, gdzie na dzikie zwierzęta polował; skórę z tygrysa przezeń ubitego deptał swoimi nogami car Aleksander II.

Po dwuletnim pobycie za granicą, gdzie Krasuski poznał swoją przyszłą żonę, również Ukrainkę, ale pocho-

dzącą z krwi i kości polskiej, powrócił z nowemi wyobrażeniami do swego pułku.

Ożeniwszy się z Polką, wyuczył się po polsku. Przy niej odżyło w nim uczucie ukraińskie, często bawił w swoim majątku, na wsi uczył się poznawać lud ukraiński, rozmawiał się w nim, wyuczył się piosenek i dumek ukraińskich, i w krótkim czasie władał po rusku i tańczył kozaka z przysiadami jak prawdziwy Ukraińiec, a chcąc być bliżej tego ludu, przeniósł się jako podpułkownik do huzarskiego pułku, stojącego w Kijowie i jego okolicach. Przez ten czas żona przyniosła mu na świat dwóch chłopczyków, których całym sercem ojcowskiem pokochał i żył tylko dla ich dobra.

Nadszedł rok 1854, Krasuski wyruszył ze swoim pułkiem przeciw Turkom.

W bitwie pod Sylistryą porąbali go i pokłuli kozacy Czajkowskiego (Sadyka Paszy), leczyl się pod starannem okiem swej żony i przy boku, pociechy ojcowskiej, dwóch synków. Pod Sylistryą zdobył sobie krzyż św. Jerzego i stopień pułkownika. W krótkim czasie wyzdrowiał i objął na powrót dowództwo pułku, zamieszkując w Kijowie. Dla żołnierzy swych był więcej ojcem jak dowódcą, znał każdego po imieniu i ich rodzinne stosunki, zniósł w swoim pułku karę cielesną i starał się, aby jego oficerowie dobrymi przykładami wpływali na moralność żołnierzy. Zaprowadził dla podoficerów i żołnierzy szkółkę, z własnych funduszów założył pułkową bibliotekę, gdzie wieczorami zbierali się żołnierze szwadronami do słuchania rozmaitych ciekawych rzeczy, które czytali im oficerowie. Pułk ten był wzorem całej armii, pijaństwo nie było tam znane, i mało było takich, którzyby nie umieli czytać i pisać.

Krasuski wyjeżdżał co roku za granicę, tam poznając nowych ludzi, nabierał wiadomości o nowych prądach dążności społecznych i każdym razem ożywiony jakąś nadzieją lepszej przyszłości, młodszy na duchu i ciele powracał między swoich.

Rozgłos sławy pogromcy afrykańskich lwów Gerarda, pociągnął go także po raz drugi do Afryki; odszukawszy go tam, zaprzyjaźnił się z nim i przepędził razem cztery tygodnie pod niebem afrykańskim. Wracając stamtąd w roku 1860 poznał się z Garibaldiem i wstąpił w jego szeregi jako szeregowy. Przy zajęciu Sycylii był w legii francuskiej, później widziano go w gidach, przybocznej straży Garibaldiiego, a przy wzięciu Neapolu, był przy boku Garibaldiiego jako dowódca i przyjaciel poufny. Dopiero po skończonym urlopie powrócił do Kijowa.

Kampania Garibaldiiego zjednała mu wielu przyjaciół pomiędzy wolnomyślącymi Rosyanami i wśród młodzieży uniwersytetu kijowskiego.

Doniosło się to i do Petersburga. Car znał osobiście Krasuskiego, powołał go do siebie, pochwalił jego czynności, i dekorował gwiazdą św. Włodzimierza.

Nadszedł rok 1861. W okolicach Kijowa lud w niektórych miejscach wypowiedział posłuszeństwo, nie chciał pańszczyznować, obruszył się na popów i rządowi sprzeciwiał się w dawaniu podatków i rekruta. Do poskromienia buntowników odkomenderowano Krasuskiego.

Przybywszy na miejsce, gdy ujrzał lud zbrojny w kosy, widły, pałki i t. p., przygotowany na odparcie wojsk, Krasuski zatrzymał swoich żołnierzy, i odezwał się do nich:

„Dzieci! chociaż jesteśmy tu przystani z rozkazu rządu do poskromienia tych niby to nieposłusznych chłopów, którzy w obronie swoich praw stając, żądają tylko tego, co im się słusznie należy, nie możemy i nie śmiemy lekkomyślnie przelewać ich niewinnej krwi, tembardziej, że wszyscy między sobą jesteśmy braćmi, braćmi jednej narodowości, jednej ojczyzny, jednej i tej samej ziemi. Niejeden może z was ma tutaj brata lub ojca, niejeden z was może będzie się kiedyś znajdował w takim samym położeniu. My jesteśmy żołnierzami, mającymi tylko stawać w obronie kraju, naprzeciw nieprzyjaciół naszej ojczyzny, z równą bronią, ale ude-

rzać na bezbronnych prawie, byłoby to podłością, splamiłyśmy nasz mundur, a świat cały pogardzałby nami“.

Dał rozkaz zsiadania z koni i sam jeden podszedł do zdala stojących i zdumiałych chłopów. Pozdrowił ich po małorusku. Chłopi z początku nie ufając, pomалу zbliżyli się do pułkownika, a poznawszy rychło w jego mowie szczerłość, obstąpili go dokoła. On się ich wypytywał o wszystko, wysłuchał skargi i zażalenia, ubolewał nad ich położeniem, a wkońcu oświadczył:

— Chociaż dostałem rozkaz od generał-gubernatora, abym *zaczynszczykow* i najnieposłuszniejszych związał i do Kijowa dostawił, jednak pojmuję wasze położenie, i widząc, że za wami jest prawda i słusność, jako syn jednej ziemi i wasz brat, tego zrobić nie mogę, a żeby wam dać dowód mojej i moich żołnierzy ku wam przychylności, przez dwa dni zabawię pośród was moim własnym kosztem.

Zawołał starszyczkę i dał pieniędzy z rozkazem zakupu kilku beczek piwa i wódki.

Następnie znów zwrócił się ku włościanom i dobrodusznie przemówił:

— Chcę, aby między nami było wesoło i aby te dwa dni były świadkami naszego braterstwa i pojednania, sproście jak najwięcej z waszych stron okolicznych braci, gdyż wszyscy razem chcemy się cieszyć i radować, rozkwaterujcie moich żołnierzy, ręczę wam, że żadna krzywda nie będzie wam przez moich wyrządzoną, bądźcie spokojni, znam ja dobrze moje dzieci.

Chłopi porozbierali żołnierzy, a każdy chciał mieć jak najwięcej gości u siebie.

Wieczór zebrało się pełno narodu obojej płci, muzyka pułkowa grała, a pułkownik na czele ludu i żołnierzy wywijał kozaka i wyśpiewywał małoruskie piosnki; zabawa trwała długo i już był dzień dobry, gdy Krasuski otoczony starszymi gospodarzami, pouczał ich i wykladał im zasady miłości bliźniego i ojczyzny.

Na drugi dzień zebrała się olbrzymia masa narodu z dalszych nawet stron, pozapalano beczki ze smołą, muzyka grała, napitku nie brakowało. Pułkownik w zabawie był pierwszym, zachęcał do tańca i śpiewu, oficerowie, żołnierze i chłopci nosili go na rękach, a okrzykiem końca nie było.

Naród ucieszony, bo po raz pierwszy pomiędzy carskimi sługami znalazł prawdziwego przyjaciela i opiekuna, dawał rozmaite dowody uwielbienia i poszanowania całemu pułkowi.

Na trzeci dzień rano zebrali się wszyscy mieszkańcy okolicznych wsi dla przeprowadzenia wojska. Chłopi na pożegnanie postawili od siebie napitki, zastawiono stoły hałuszkami, pierogami i różnymi przysmakami ludu ukraińskiego, nie zapomniano nawet o koniach i dla nich było w dostatku owsa i siana. Koło wieczora dopiero wyruszył Krasuski ze swoim pułkiem do Kijowa, lud daleko odprowadzał wojsko, żegnał i błogosławił pułkownika.

Przybywszy do Kijowa zdał raport generał-gubernatorowi, że znalazł wszystko spokojnie i w porządku, nie miał zatem powodu kogokolwiekbyś aresztować i do Kijowa dostawiać. Ale znaleźli się ludzie uczynni, którzy już przedtem donieśli gubernatorowi o brataniu się pułkownika z ludem. W nieobecności Krasuskiego przedsięwzięto rewizję w jego mieszkaniu, znaleziono wiele kompromitujących go wobec rządu listów i pism rewolucyjnych; czekano tylko, aby Krasuski odłączył się od ludzi swego pułku, gdy się to stało zaraz go aresztowano i pod sąd wojskowy oddano.

W roku 1862 sąd wojenny skazał pułkownika Krasuskiego na pozbawienie wszystkich praw, utraty majątku, stopnia pułkownika i orderów, i na lat 20 ciężkich robót w kopalniach Syberyi. Ceremonia tego wyroku odbywała się publicznie w Kijowie; Krasuskiego przywiązano do słupa pod pręgierzem, kat złamał szpadę nad jego głową, pozdzierał pułkownikowskie szlify, które nogami zdeptał, poobrznął guziki od munduru, uderzył go w policzek i w twarz plunął.

Wtedy Krasuski odezwał się do stojących przy tej egzekucyi oficerów i żołnierzy:

— Przypatrzcie się jak szargają wasz honor żołnierski, jak poniewierają te same szlify, które wy nosicie; zapomniałem, że jesteście w państwie moskiewskiem, a nie rosyjskiem, gdzie każdego człowieka idącego drogą prostą i prawą, taka sama, jeżeli nie gorsza czeka nagroda.

Naród i wojsko przypatrywało się z oburzeniem na poniewierkę zasłużonego i powszechnie szanowanego człowieka. Krasuskiemu nałożono wreszcie aresztanckie ubranie i odprowadzono go do więzienia, skąd, nie pozwolewszy mu pożegnać się z żoną i dziećmi, wysłano go piechotą razem z największymi zbrodniarzami w Sybir.

Dopiero w połowie 1863 roku, Krasuski przybył do Irkucka, skąd go do Pietrowska wysłano. Przyzwyczajony do ciągłej czynności wziął się tutaj do pracy. Wykonywał artystyczne rysunki na drzewie, które później politurą pociągał: wyrabiał z korzeni drzew fajki i cygarniczki, śliczną rzeźbą przyozdobione; roboty te jego były poszukiwane przez bogatych kupców i wysokich urzędników. Był zawsze dobrego humoru i ciągle wesół, nucił ulubione piosnki ukraińskie, z których wiele było jego własnego utworu, a które nasi rodacy zebrali.

W kilka miesięcy po swem przybyciu na Sybir odebrał list, który zadał mu cios okropny, żona z boleścią macierzyńską doniosła mu, że po wywiezieniu jego w Sybir, zabrano jej przemocą dzieci z rozkazu samego cara i wywieziono do Petersburga. Biedna matka pojechała za nimi, znalazła je już umieszczone w korpusie paziów i nie pozwolono jej nawet widzieć się z nimi. Car zabrał te dzieci jako swoje, bowiem wedle *zakonow* (praw) rosyjskich, jakie wypisane są na tak zwanych *zerzałach* po urzędach, czytasz tam wyraźnie:

„Wszystko cokolwiek posiadasz, nawet dzieci twoje i sam, należy do najświętszej osoby carskiej“.

Na wiadomość odebraną ogarnęła Krasuskiego ciężka rozpacz, chodził jak błędny, zestarzał się, ciągle wzdychał i płakał. Po niejakiś czasie udało mu się przez rozmaite koleżeńskie stosunki, prywatną drogą odesłać list do cara, w którym znachodziły się między innymi i te słowa:

„Obdarłeś mnie ze wszystkiego, co kiedykolwiek posiadałem; pozbawiłeś mnie praw człowieczeństwa, jednak nie śmiesz i nie masz prawa pozbawiać mnie praw ojcowskich; dzieci są moją wyłączną własnością, a ich wychowanie tylko do mnie należeć może i powinno; nie proszę Cię o łaskę, bo jej nie potrzebuję, żądam tylko tego, co mi się prawem przez Boga nadanem należy“.

List doszedł swego przeznaczenia i car jednego poranku znalazł go w swoim gabinecie na biurku, wściekał się ze złości, a władza irkucka przez szefa żandarmów i naczelnika *III oddzielenia*, księcia Dołgorukiego, dostała srogie napomnienie, za dziwny porządek, kiedy więźniowie mają sposobność podawania niestusznych i ubliżających skarg aż do samego tronu.

Dzieci jednak, pomimo starań żony i wysokich stosunków u dworu, wydobyć już nie zdołano. Żona Krasuskiego, nie mając nadziei odzyskania dziatwy, zabierała się do wyjazdu na Sybir, aby w cierpieniach nieść ulgę swemu ukochanemu mężowi. Krasuski, nie chcąc żony narażać na przykrości podróży i na te wielkie niewygody, na jakie są żony zesłanych narażone, nie chciał zezwolić na to i na wszystko zaklinał, aby nie jechała za nim. Widać, że list jej nie doszedł, bo i w tych razach władza postępowała sobie z nami po barbarzyńsku, pozwalając tylko trzy razy do roku pisać, karząc przez to nie nas, ale tych, których w kraju zostawiliśmy. Krasuski wkrótce odbiera list, że żona jego opuściła już Petersburg i jest w drodze na Sybir do niego. Przeczował coś złego, bo wiadomość ta mocno go zasmuciła.

Nie wyszło parę miesięcy, gdy odbiera list od nieznanegoj ręki z Tomska, że żona jego w drodze zachorowała

na tyfus, a przybywszy do Tomsku, w krótkim czasie zakończyła swe smutne życie.

Ta bolesna wiadomość dobiła go do reszty, zrobił się posepnym, wesołość go opuściła, widocznie podupadł na duchu i zdziecinniał. Odtąd rozmaite plany przychodziły mu do głowy, ucieczki z Sybiru i wykradzenia synów z Petersburga, co chwila inaczej układał to w swej głowie, to znów jako kupiec... oficer odstawnym, to znów z bronią w ręku... miał się przedostać aż do Petersburga, byle dzieci wydostać i w daleki świat uprowadzić. Będąc dobrym grawerem i rzemieślnikiem, porobił sobie rozmaite pieczęcie, narobił paszportów, odstawnych, żołnierskich biletów i t. p. Wszystko to niezmiernie go cieszyło, uśmiechał się do siebie i pokazywał bliżej znajomym.

Zamiar jego ucieczki doszedł najpierw w Pietrowsku do wiadomości Rozgiełdiejewa, który nie chciał robić z tego użytku, ale też nie chciał, aby z pod jego straży zamierzał uchodzić Krasuski; postarał się przeto o wysłanie go do Nerczyńska, a komendantura w Aleksandrowsku posłała go do Kadaji, gdzie plany swej ucieczki Krasuski jeszcze podwoił. Tu już roił sobie uciekać przez Mongolię do Chin i w tym celu wyuczył się języka mongolskiego w mowie i piśmie, a największa jego radość była, gawędzić z Mongołami i badać ich zwyczaje.

W Kadaji wszedł w ścisłą przyjaźń z byłym oficerem austriackim, Franciszkiem Zgórkim, którego serdecznie pokochał i przed którym odkrywał wszystkie swoje plany ucieczki ze Sybiru, a później wykradzenia swych synów w Petersburgu. Zgórek, najlepszy kolega, energiczny i sprytny do wszystkich rzemiosł, wykonał mu całe ubranie żołnierskie, które wyglądało na pierwszy rzut oka jako zwyczajne ubranie, a w przeciągu kilku minut po odjęciu niektórych części, przeistaczało się w kompletny mundur żołnierski batalionów Amurskich; nawet czapka zwyczajna z daszkiem przeobrażała się w kilku sekundach w żołnierską, z wielkim

okrągłym wierzchem, z lampasem czerwonym bez daszka. W kuźni naszej odkuto mu tasak, do którego rękojeść i pochew sam sobie dorobił, nawet udało mu się nabyć wojskowy rewolwer.

Gdy się już tak przygotował do ucieczki, przychodzi dla niego z Petersburga niby rodzaj łaski carskiej, zmniejszenie kary na połowę, z wypuszczeniem na wolne mieszkanie w Aleksandrowsku, dokąd go zaraz przeniesiono.

Tutaj nastąpiła nowa era w ciężkim życiu Krasuskiego, był wolniejszym, mógł się cieszyć świeżem powietrzem i chociaż pokryjomu oddalać się o kilkanaście wiorst w lasy dla ulubionego niby polowania. Poznał wielu zesłanych i zamieszkałych tam Czerkiesów, których jako wrogów cara, całym sercem pokochał. Z nimi uganiał konno po stepach, z nimi polował, ryby łowił, a plany ucieczki co do sposobu powiększyły się w jego głowie. Mogąc na czas dłuższy usuwać się oczom władzy, kupił sobie konia i wózek, często jeździł, lubiąc najwięcej przebywać we wsi kozackiej Pura, 15 wiorst oddalonej od Aleksandrowska.

Chętnie widywał się z naszymi letnią porą przy kąpieli, bo do więzienia go nie puszczano; zimą zaś przychodził co dzień pod okna więzienia, aby móżdż choć skinieniem głowy swych znajomych pozdrowić. Na twarzy jego malowała się jednak tajona i straszna boleść, czułość, patrząc na tego człowieka, cień niedomagania umysłowego. Nadeszła wiosna 1868 roku, a z nią miesiąc maj, Krasuskim oładnęła jakaś gorączka, chodził prędko, a nie mogąc inaczej, ukradkiem coraz częściej widywał się z naszymi, dając do poznania, że wkrótce z nimi się pożegna, i że go więcej nie zobaczą, chyba tylko słyszeć o nim będą. Niektórzy z naszych chcieli mu wyperswadować tę manię smutnej ucieczki i ostro mu ją wypowiadali:

— Co ty pułkowniku zawsze tylko głupstwa pleciesz!

Na co on odpowiadał zawsze jednakowo:

— Zobaczycie i przekonacie się wkrótce.

Tymczasem raz zauważono, że nikt z naszych od paru dni nie widział Krasuskiego; jedni myśleli, że słaby, drudzy zaś, że zajęty polowaniem; nie było żadnego, któryby przypuszczał, że pułkownika już niema.

Dopiero w dziesięciu dniach po jego zniknięciu zrobił się harmider w Aleksandrowsku; kozacy konni latają jak szaleni, wyganiają chłopów do poszukiwania, a ze wszystkich ust rosyjskich słychać tylko słowa: „Krasuski uciekł“. Pułkownik Knobloch w rozpacz, a więcej jeszcze jego żona, bo jeneralstwo odlatuje, rozsyła telegramy, listy i gońców, nadaremno! W mieszkaniu jego zrobiono rewizję, brak tylko wszystkich listów, które starannie chował i wszelkich pism; reszta pozostała tak, jakby gospodarz miał zaraz powrócić.

W cztery tygodnie od tego wypadku, 4 wiorst od Pura, a dwie wiorst od traktu, idącego z Aleksandrowska do Kadaji znaleziono w lesie zwłoki człowieka z roztrzaskaną czaszką, z rewolwerem w ręku, twarz już zepsuta przez robactwo nie do poznania, wózek koło niego, a koń, który na długim sznurze przywiązany do drzewa wszystko koło siebie, o ile długość sznura pozwalała objadł, leżał jak szkielet wyschły bez życia. Koń i wózek były własnością Krasuskiego, z ubrania poznawano pułkownika, do tego znaleziono przy zabitym złoty zegarek, około 50 rubli i kartkę z napisem „Lepiej sobie życie odebrać, jak wrogom w ręce się oddać“. Podpisano „Krasuski“. Wtedy wypadek ten dał naszym do myślenia, albo to nie był Krasuski, lub jeśli on, to został zabitym przez Czerkiesów i z pieniędzy zrabowany, zostawiono zaś przy nim tylko dla pozorów zegarek i 50 rubli. Kartka mogła być także napisaną nie jego ręką, bo nikt jej z naszych nie widział; a opowiadali o niej tylko oficerowie. Podejrzenie to umotywowano z następujących przyczyn:

1. Krasuski chcąc uciekać, po trzech tygodniach znajdowałby się daleko dalej, jak 19 wiorst od Aleksandrowska.

2. Krasuski mając znakomite stosunki i nawet siostrę za gubernatorem czeykim, miał zawsze znaczne pieniądze

przy sobie, a wiedział dobrze, że chcąc uciekać musi przebyć około 2000 mil, a taka podróż znacznieszego kapitału wymagała niż 50 rubli, a w końcu:

3. Jeżeliby mu się ucieczka według jego planu nie udała, nic łatwiejszego, jak powrócić i powiedzieć: Wybrałem się na polowanie i zabłądziłem, żyjąc zwierzyną błąkałem się długi czas po odwiecznych lasach.

Taki wypadek wydarza się i rodowitym Sybirakom bardzo często.

Dziś po czterdziestu latach tragicznej śmierci tego człowieka, gdy wszystkie okoliczności na pamięć przywiodę, przychodzę do przekonania, że został dla rabunku zamordowany przez Czerkiesów, których jako wrogów carostawia pokochał, przed którymi się ze swymi planami ucieczki zwierzył i razem z nimi uciekać zamyślał.

O synach jego nie doszła nas żadna wiadomość; przypadkiem tylko, czytając raport Skobelewa o strasznych i zjadłych walkach pod Szypką, wyczytałem te słowa:

„Dziś znowu między innymi oplakujemy śmierć młodego, zdolnego i pełnego poświęceń kapitana generalnego sztabu Krasuskiego, który ugodzony kulą armatnią, padł tuż obok mnie“. Kto wie czy to nie był jeden ze skradzionych synów ś. p. pułkownika Krasuskiego.

## VII.

### Strażak warszawski.

---

Straż warszawska. W oddziale. Pobyt w Tarnowie. Oddział Mińskiego. Śledztwo. Osądzenie. Wyprawa po skradziony worek. Powrót. Awantura na etapie. Posilenie. Czytanie dzienników niemieckich. Funkcje lekarskie. Powrót do kraju.

W roku 1863 dziarska i tęga była młodzież straży pożarnej w Warszawie. Chłopiec w chłopca był jakby ulany, a wszystko to zwinne, odważne, przytomne i sprytne. Nie dziwota też, że każdy strażak był ideałem części płci pięknej w Warszawie, nie dziwota też, iż gdy który z nich do powstania czmychnął, odznaczał się tam odwagą, sprytem i przebiegłością. Gdy nieraz niejednemu w oddziale głód dokuczał potężnie, w torbie byłego strażaka było zawsze coś do przegryzienia, a manierka jego, pomimo częstego zagładania i częstunku kolegów, była niewyczerpaną. Kolega-strażak umiał sobie zawsze poradzić, czy to w obozie, czy to na kwaterze, czy w bitwie, zawsze wesół i pełen pomysłów. Umiał tak dobrze zabezpieczyć się od kul rosyjskich, jak i od głodu, a chociaż często wykpiwał się od uciążliwej służby obozowej, uchodziło mu to jednak u przełożonych bezkarnie, a co więcej, koledzy chętnie pełnili za niego służbę, bo wiedzieli, że im sownie wynagrodzi czarodziejska torba, manierka i kapciuch strażaka.

O takim strażaku jednym wspomnąć mi wypada. Był z nami więziony, wywieziony i na Sybir zesłany, a podawszy

się za poddanego austriackiego, osiadł w Galicyi, gdzie się obecnie cieszy wolnością, którą uzyskał sprytem strażackim.

Będąc najpierw w oddziale Langiewicza, po niefortunnym przejściu ex-dyktatora w Opatowcu do Galicyi, udał się nasz strażak do Tarnowa. Tam dostał kwaterę u państwa R., których syn, Mieczysław, był naówczas na wydziale medycznym w Krakowie. Na chlubę strażaka muszę powiedzieć, że nie zapatrywał się na naszych licznych naówczas pieczeniarzy, którzy syci sławy, spoczywali najczęściej na zdobytych wawrzynach, obsiadając gromadami nasze domy, a korzystając aż nazbyt z polskiej gościnności, ustawicznie wybierali się do różnych oddziałów powstańczych jak sojka za morze, bo nigdzie wybrać się nie mogli. Jeden dowódzca był dla nich za młody, a drugi za stary, ten za głupi, tamten uchodził za gbura, inny znów za słaby, te i tym podobne wynajdowali sobie przeszkody, byle mózr zabawiać się wesoło i nie narażać na kule rosyjskie.

Nasz strażak wyszedł z oddziałem Miniewskiego, gdzie wkrótce dostał się do niewoli i podał się za Galicyanina Władysława R., słuchacza medycyny na Wszechnicy Jagiellońskiej. W tym wypadku miał już szczęście, że przez pomyłkę zamiast „Mieczysław“ nazwał się „Władysław“.

Mieczysław R. jako jeden z organizatorów w Krakowie, był bardzo źle zapisany w komisji śledczej warszawskiej, a pułkownik Tuchołko, znany siepacz komisji śledczej rosyjskiej w Warszawie, wyraził się do W. R.:

— Wolałbym mieć pańskiego brata u siebie, którego mam przyjemność znać dobrze z fotografii i z naszych urzędowych zapisków“.

Podawszy się za akademika krakowskiego, nieszczęście chciało, że nasz terazniejszy Władysław R., jak miał wielką swadę w języku, tak też prawie żadnej w piśmie, a tu na domiar całego nieszczęścia żądają, aby pan akademik krakowski, to, co zeznał do protokołu, własnoręcznie potwierdził. Ale i w tym wypadku fantazyja nie opuszcza naszego

strażaka i na żądanie Tuchołki, aby protokół podpisał, odpowiada wręcz:

— Nie podpiszę!

— A to dlaczego? — zapytuje Tuchołko.

— Dlatego — odpowiada R. — że jako poddany państwa austriackiego, nie uznaję waszego rządu, a tem samem i waszego śledztwa.

Dość, że od podpisania się wywinął, ale zato skazany został na 12 lat ciężkich robót w kopalniach Sybiru.

W obejściu gładki, przytomny, a w szczególności sprytny jako szczery strażak warszawski, nawet u wielu z naszych przez długie lata uchodził za rzeczywistego akademika krakowskiego.

Jako fakt jego energii i sprytu przytoczę jedno zdarzenie, które trudne do uwierzenia, a przecież jest prawdziwe.

Jak już wspomniałem, z Irkucka wysłano nas za Bajkał podwodami wiejskimi, które często o paręset wiorst spędzano. Razu jednego na jednej stacyi pomiędzy Bajkałem a Czytą, jednemu z kolegów, zdaje mi się, Józefowi Sitkowskiemu, mieszkającemu teraz w Mysłachowicach, czy też Tadeuszowi Wyskidzie, mającemu obecnie zakład fryzjerski w Krakowie, ginie worek z rzeczami, mogący mieć wartości najwięcej parę rubli; jeden z furmanów złakomił się na takowy i zabrał ze sobą, wracając z powrotem do wsi odległej przeszło trzysta wiorst od tej stacyi, na której spostrzeżono brak worka.

Domniemany Władysław R. widząc to i żałując kolegę, któremu skradziono cały majątek, podejmuje się worek z rzeczami odszukać. Idzie do konwojującego nas *uradnika*, wmawia w niego, jakie on to będzie miał nieprzyjemności, jeśli poskarżymy się gubernatorowi w Czycie, że nam skradziono rzeczy i żąda od niego *szaszki* (szabli kozackiej). *Uradnik* daje mu ją, R. zawiesza na siebie i tak uzbrojony idzie na pocztę. Każę dawać sobie kuryerskie konie (konie trzymane wyłącznie na pocztach rosyjskich dla kuryerów, jadących

z depeszami). Pocztmistrz widząc, że R. niema upoważnienia do tego, wzbrania się dać, R. przemawia do niego w sposób przekonywujący, a praktykowany z wielkiem powodzeniem w Rosyi, „bije po twarzy“, zgłupiały z przerażenia pocztmistrz, daje konie kuryerskie. Takim sposobem od stacyi do stacyi dojeżdża nasz strażak do wskazanej wsi, przywołuje starszyznę i rozkazuje, aby worek natychmiast odszukano i zwrócono. Starszyzna początkowo zapiera się i twierdzi, że rzeczy we wsi niema, strażak przemawia do niego w ten sam sposób przekonywująco, jak do pocztmistrza. Po takim argumencie znajdują się rzeczy u jednego z chłopów, któremu R. każe odliczyć sto nahajek, a nie będąc pewnym, czy wszystkie rzeczy znajdują się w worku — jak się później tłumaczył — rozkazuje złożyć sobie trzysta rubli tytułem kaucyi.

Zabawiwszy się tam, w całym tego słowa znaczeniu, dobrze i wesoło, wraca nasz strażak tym samym porządkiem z powrotem i dnia piątego dogania naszą partyę, która już była ujechała kilkaset wiorst dalej.

Z tryumfem oddaje skradzione rzeczy, a z większym jeszcze naszemu staroście zabranych 300 rubli. Jakież wielkie spotkało go rozczarowanie! Zamiast podziękowania, został surowo skarconym za bicie chłopów, wesołą zabawę i za zabranie 300 rubli, które natychmiast gminie przynależnej zwrócone zostały.

Gdyśmy jeszcze szli piechotą etapami, na jednym etapie w gubernii tomskiej, na którym natrafiliśmy na oficera, zaiste rozbawione zwierzę, przyszło z winy tegoż do awantury, która mogłaby się była dla nas bardzo smutnie zakończyć, gdyby przytomność umysłu i zuchwałość naszego strażaka nas z tego kłopotu nie wybawiła. Gdy partya nasza miała już z etapu wychodzić, a oficer nie chciał dać przynależnej furmanki dla naszych chorych, i jeszcze nas zato ostatnimi słowami zbezczęścił, wtedy to kolega Franciszek Zgórek, o którym już wspominałem, gorączka jakich mało,

przyskakuje do oficera i uderza go w twarz. Oficer nieprzygotowany na taki „apuchtinowski“ pocałunek, odskakuje na bok i wściekły ze złości, krzyczy na żołnierzy „związać tego buntownika!“

Wtedy strażak z przybranym nazwiskiem przypada do oficera i głosem podniesionym krzyczy do niego:

— Ej! Ej! Bój się Boga... co robisz... radzę ci powstrzymać się... nie wiesz z kim masz do czynienia... też to Garibaldi. Takim odezwaniem się udało się strażakowi zatumanić oficera, bo nieco zmiękł, a bijąc się w piersi odpowiedział:

— Co mi tam Garibaldi, ja widziałem generał-gubernatora!

Na to przyskakuje znów do niego Zgórek i mówi:

— To ty wobec mnie taki *durak!* Ja samego twego *białego cara* widział!

Na takie oświadczenie Zgórką, oficer wyciągnął się jak struna, ręce spuścił, cofnął się parę kroków w tył i z głupkowatą miną wytrzeszczywszy oczy, przypatrywał się długo temu, który widział *białego cara* i po chwili głosem cichym i pokornym rzekł:

— *Cara* to ja jeszcze nie widziałem, i gdyby Bóg pozwolił mnie go kiedy oglądać, umarłbym szczęśliwy.

Na tem skończyła się ta cała awantura. Oficer dał dla naszych słabych żądanych podwodów, a eskortując nas do drugiego etapu, cały czas z ciekawością przypatrywał się z daleka Zgórkowi, jak sam powiadał:

— Trzeba zapamiętać sobie to oblicze, które miało szczęście oglądać wielkiego *cara*, tego boga na ziemi!

R. wyszedłszy po kilku latach na *posielenie* do jadyńskiej *włości* (gminy), zaprzyjaźnił się tam z popem. Ten na nieszczęście naszego strażaka miał syna, który jako celujący uczeń uniwersytetu petersburgskiego był na koszt rządowy wysłany za granicę dla dalszego kształcenia się i naówczas przebywał na uniwersytecie w Lipsku. Syn dowiedziawszy

się od ojca, że na wsi na posieleniu przebywa akademik sławnej wszechnicy jagiellońskiej, chcąc ojca obznajomić ze stosunkami kraju, w którym żyje i przebywa, zaczął ojcu przysyłać od czasu do czasu niemieckie gazety, w nadziei, że bawiący we wsi akademik krakowski, jako znający doskonale język niemiecki, będzie tłumaczem. Strażak nasz Władysław R., który nie miał najmniejszego pojęcia o niemieczyźnie i nie znał nawet liter, nie traci i tu fantazyi. Honor jego zaangażowany wobec popa, nie pozwala mu wyręczyć się naszymi, znającymi język niemiecki, tylko sam zabiera się do dzieła. I trzeba było widzieć jak godzinami nieraz fantazuje i prawi popu smalone duby, patrząc na litery niemieckie. Z początku chodzili nasi przysłuchiwać się temu arcyzabawnemu czytaniu, a że trudno było powstrzymać się od śmiechu, nie chcąc skompromitować naszego strażaka, który jako towarzysz odznaczał się prawym charakterem, poczciwością, gotów, choćby z narażeniem siebie samego, do każdych usług koleżeńskich, zaprzestali chodzić na te prelekcye, które miały może ten dobry cel, że R. przy swoich wymyślanych czytaniach wpajał w popa nienawiść do samodzielnego rządu carskiego. Domniemany akademik takie niestworzone rzeczy prawił, że po kilku tygodniach tych czytanek, pop stał się największym wrogiem carskim i przeklinał chwilę, w której się urodził poddanym carskim.

Pop, który podziwiał — jak się sam wyrażał — głęboką naukę naszego strażaka, szczycił się jego przyjaźnią. R. zaś korzystając z tego, rządził u niego w domu, jakby w swoim własnym.

Gdy w roku 1868, jako Galicyaninowi, oznajmiono powrót do kraju, cała rodzina popska z żalem i płaczem żegnała akademika krakowskiego, który wpoił w nich zasady i przekonania wcale nie licujące ze stanowiskiem rosyjskiego popa prawosławnego.

R. oprócz tego jako akademik wydziału medycznego musiał często spełniać funkcye lekarza, chirurga i akuszerza,

i z tych to praktyk wychodził zawsze szczęśliwie, a nawet w gminie jadyńskiej zjednał sobie imię sławnego doktora.

Osiadłszy w Galicyi, jął się pracy i wyuczył się rzemiosła w dziale przemysłu wprawdzie dobrze popłaconego, ale zostającego przeważnie w rękach jego największych wrogów, jeszcze z czasów strażackich, żydów, u których pomimo swej pracowitości, znajomości rzeczy i wielkiej rzetelności nigdzie długo na jednym miejscu wysiedzieć nie może i chociaż po dwakroć żonaty i ojciec dzieci, przenosi się, jak żyd tułacz, z miejsca na miejsce, nie mogąc pogodzić obowiązków służbowych z obowiązkami człowieka i honorem prawego Polaka.

## VIII.

### Ojciec Białkowski, znany w Sybirze jako „Ojciec Szelest”.

---

Dobroczynność. Powstanie 1830 roku. Przejście do Galicji. Powrót do miejsc rodzinnych. Niewola. Osądzenie. Powrót do kraju. Powstanie 1863 roku. Oddział Ruckiego. Bitwa pod Fajstławicami. Czyny bohaterskie. Białobodzki. Niedźwiedzki. Mykita. Wzięcie do niewoli. Pędzenie do Lublina. Wyszukiwanie i mianowanie starszyny. Pochód do Warszawy. Pułkownik Broniewski. Cytadela warszawska. Śledztwo. Opiekunki cytađeli. Nęđza podczas pochodu w Sybir. Sprzedawanie ubrań i kajdan. Krzeszowiacy. Bracia Wielhorscy. Woźniacki. Żywienie i odziewanie. Powtórny powrót do kraju. Zatrudnienie. Śmierć.

Któż z nas, będąc w powstaniu w roku 1863, w oddziale Ruckiego, nie znał starego ojca Białkowskiego, porucznika trzeciej kompanii, tak zwanej ptaszników, z powodu, iż zamiast w karabiny uzbrojeni byli w dubeltówki? Któż z nas będąc więzionym w Lublinie i w cytadeli warszawskiej, lub podczas uciążliwego pochodu na Sybir, albo będąc w robotach w Siwakowej i kopalniach nerczyńskich, a wreszcie na posiedzeniu i wracając z powrotem do kraju, nie znał starego ojca Romana Szelesta, tego prawdziwego wzoru starego żołnierza polskiego, tego naszego dobroczyńcy i opiekuna, który nieraz nas, podupadłych na duchu, pocieszał, słabych na ciele wzmacniał, głodnych karmit, nagich odziewał?

Zapewne powiecie szanowni czytelnicy, że to musiał być co najmniej magnat polski, mający do rozporządzenia tysiące, że mógł tylu kolegom tak wiele dobrego zrobić! O nie! Był to jeden z tych ubogich, maluczkich na ciele, ale bogatych na duchu męczenników Polski, z tych zakonników, którzy wstąpiwszy do klasztoru, wyrzekają się wszystkiego, rodziny i świata i poświęcają swe życie służbie Bożej. U niego klasztorem była Polska, a służbą po Bogu ojczyzna ukochana, którą umiłował nad wszystko, dla której przecierpiał cały swój wiek bez najmniejszej skargi, poddając się woli Bożej i Królowej Polski, Matki Boskiej, przed którą w 1830 r. uczynił śluby zakonne żołnierza polskiego, a którym pozostał wierny do końca. O nim to powiedzić można, że „żył i pracował dla ojczyzny *usque ad finem*“.

Białkowski był rodem z Wołynia i pochodził z dobrze zasłużonej dla kraju, podupadłej szlacheckiej rodziny. Gdy odgłos powstania Warszawy w 1830 roku odbił się aż za Bugiem, Białkowski, jeden z pierwszych, pędzi do Królestwa i zaciąga się do Krakusów, upraszając przedtem o pozwolenie udania się na Jasną Górę, gdzie na prośby swej ukochanej matki, której już więcej nie miał oglądać, czyni zakonne śluby żołnierza polskiego.

Po ustąpieniu wojska polskiego za granice kraju, Białkowski nie uchodzi z Galicyi, lecz zaznajamia się ze znanym patryotą Tytusem Trzeciekim, u którego jako Roman Szelest, Galicyanin, przebywa, a w nadziei prędkiego oswobodzenia kraju z pod jarzma rosyjskiego, jest łącznikiem emigracyi z Królestwem.

Nadchodzi rok 1831. Zawisza i Konarski spieszą do Polski, a za nimi i nasz Białkowski. W lasach łączyckich Rosyanie łapią go z bronią w ręku, skazują na tysiąc pałek i na całe życie do wojska na Kaukaz. Car Mikołaj na wyroku dopisał własnoręcznie „do śmierci szeregowym“. Tysiąc uderzeń pałką wytrzymał Białkowski, pół roku przeleżał w szpitalu lubelskim, a znaki od tego katowania miał na

ciele przez całe życie. Na Kaukazie, jako szeregowy przebył lat 25, pełne ćwierć wieku! W roku 1858 został ułaskawiony w ten sposób, że pozostawiono Białkowskiemu do wyboru, albo przyjąć stopień oficera rosyjskiego, albo jako szeregowy odejść z odstawką do domu. Białkowski przynosi wolność nad szlify oficerskie i z odstawką w rękę przebywa pieszo długą drogę z Kaukazu na Wołyń do domu.

Po 28 latach tułactwa i niewoli, wiele się zmieniło. Rodziców już nie zastał, a z liczne go rodzeństwa pozostał mu jedyny brat, który był zmuszony ująć do Galicji.

Całe tamtejsze obywatelstwo otworzyło zasłużonemu męczennikowi swe gościnne wrota, ale Białkowski szukał pracy, i znalazł takową u państwa O. w domu znanym z wysokich cnót obywatelskich, i pomimo wielu dziwactw, następstwa długiej niewoli i mąk, był tam poważany, szanowany, lubiany i uważany jako członek rodziny.

Zaledwie zaczął przychodzić do siebie po długiej niewoli i uciążliwej służbie żołnacza carskiego, nadszedł pamiętny rok 1863.

Ojczyzna woła swych wiernych synów do broni. Białkowski jest jednym z pierwszych; z kosą w rękę, wierny uczynionemu ślubowi, staje w jej obronie jako żołnierz polski, a nie chciw dostojestw, krwią swoją dosługuje się stopnia porucznika. Jako takiego poznałem na stanowisku wiernego syna ojczyzny w trzeciej kompanii trzeciego oddziału województwa lubelskiego. Wzrostu małego, oczu czarnych, przenikliwych, w których odbijały się resztki dawniej tryskającego ognia i życia, z wielkimi od ucha do ucha zawieszonymi już dobrze szpakowatymi wąsami. Trzymał się zawsze na uboczu, unikał gwaru i towarzystwa, a często zadumany, z oczyma utkwionemi w niebo, przesiadywał długie godziny na jednym miejscu, jakby szukał wspomnień dawnych, może jeszcze z lat dziecięcych, lub zanosił modły przed tron Najwyższego. Gdy jednak trąbka zagrała w obozie i echo rozniosło „do broni“, wtedy Białkowski wyprostował się i zda-

wało się, że jakaś nadziemska siła, w oczach powiększa tego przed chwilą skurczonego i zadumanego żołnierza. Oczy jego nabierają blasku młodzieńczego, a gdy podniósł w górę swą wybraną kochankę, „dubeltówkę“, i zakomenderował donośnym głosem „równaj się“, to czuł każdy, że ma przed sobą bohatera, który gotów był każdej chwili ponieść śmierć w obronie wiary i ojczyzny.

Nie będę tu opisywał przejść obozowych Białkowskiego, należy to do historii powstania, muszę jednak wspomnieć pobieżnie o ostatnim dniu naszego życia obozowego i o ostatniej walce naszej wiary w sprawie narodowej.

Było to 24. sierpnia 1863 roku, w jednym z najnieszczęśliwszych dni całego naszego powstania, gdzie zjednoczone oddziały Ruckiego, Wagnera (przedtem Wierzbickiego) i Krysińskiego pod dowództwem generała Kruka, zmuszone były przyjąć bitwę pod Fajstawicami z przeszło dziesięćkroć liczniejszą siłą Rosyi. Rosya do tej walki stanęła w takiej sile, jak nigdzie w całym powstaniu 1863 i 1864 roku. Po stronie Rosyi było 33 rot piechoty, 6 szwadronów ułanów, 8 sotni kozaków, 12 dział liniowych i bateria dział kozackich, pod dowództwem generał-gubernatora lubelskiego Chruszczewa, mającego przy sobie szefa sztabu pułkownika Sołohuba. Kozacy byli pod dowództwem pułkownika Emanowa z Janowa, a zatem siły Rosyi liczyły przeszło 10.000 ludzi. Po naszej zaś stronie: oddział Ruckiego liczący 500 ludzi, oddział Wagnera 400 ludzi, oddział Krysińskiego około 800 ludzi, i kawaleria generała Kruka z przeszło 100 końmi. Były to oddziały umundurowane, dobrze uzbrojone, a żołnierze dobrze wyćwiczony i w boju wypróbowany, zwycięzca z pod Chruśliny, Żyzyna i Chełmna. Było to wtedy, gdy w lubelskiem oprócz powyższych oddziałów, znajdowały się jeszcze oddziały: Ćwieka, Jankowskiego, Grzymały i Zielińskiego, na których pokładano wielkie nadzieje i uważano za zawiązek przyszłej polskiej armii, dlatego też stanowczo powiedzieć można, że poniesiona klęska pod Fajstawicami

była jedną z największych i najdotkliwszych w narodowym powstaniu polskim.

Zaraz po zaczęciu bitwy, kawalerya Kruka pod wodzą Łaskiego szczęśliwie się cofnęła, a Krysiński, który rozpoczął bitwę, gdy usłyszał, że oddział Ruckiego i Wagnera wszedł w akcyę ogniową, zostawia dla zamaskowania jedną kompanię o 100 ludziach pod dowództwem Włocha, kapitana Roseo, a sam cofa się spiesźnie. Oddziały Ruckiego i Wagnera pewne, że cały oddział Krysińskiego walczy, przyjmują właśnie bitwę w tej chwili, gdy całe siły rosyjskie jeszcze nie nadciągnęły i było można łatwo za Krysińskim jedyną wolną drogą cofnąć się ku Biskupicom w lasy kilkanaście mil ciągnące się. Roseo i jego kompania spełnia swoje zadanie po bohatersku, wstrzymując cały nawet Rosyan; Roseo sam ginie, a z całej kompanii ocala zaledwie kilku ludzi, którzy dostają się do niewoli. Jeden z nich, Władysław Raciborski, obecnie reprezentant Krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, zamieszkały w Zborowie, przebywał długie lata w robotach w Usolu pod Irkuckiem. Rucki, będąc od dłuższego czasu cierpiący, z kilkunastoma końmi eskorty odjeżdża przy rozpoczęciu bitwy ku Biskupicom, zdając piszącemu nieszczęśliwe dowództwo swego oddziału, w chwili, gdy kolumny rosyjskie popierane ogniem działowym z trzech stron przypuszczają atak, do lasu mającego około 80 morgów objętości, którego bronił oddział Wagnera i dwie kompanie Ruckiego; 200 piechoty i 100 koni oddziału Ruckiego stały dotąd w rezerwie na drodze ku Biskupicom, aby móżdż zasłaniać odwrót naszych strzelców partych przez Rosyan.

Gdy jedna kompania z oddziału Wagnera, pod dowództwem kapitana Franciszka Zgórka, stojąca na prawem skrzydle, celnymi strzałami raziła Rosyan, a ustawicznie i dobrze utrzymywany ogień dawał Rosyanom do przypuszczenia, że w tem miejscu są znaczne siły skoncentrowane i w ten punkt Rosya pchnęła znaczniejsze siły, spostrzegamy, że je-

steśmy już ze wszystkich stron otoczeni, bo i od strony Biskupic ukazały się oddziały rosyjskie. Rezerwa nasza była przymuszoną zmienić front i rozsypać się w tyraliery przeciw nadciągającemu nieprzyjacielowi, który zaczął nas prażyć gęstym ogniem karabinowym. Tyraliery nasze cofając się w porządku odpowiadali słabym ogniem, bo cały zapas naszej amunicji składał się zaledwie z sześciu ładunków na jednego żołnierza, wobec czego nie mógł być żaden strzał puszczony na wiatr.

Po półgodzinnej takiej pukaninie, zaprzestano nagle ognia karabinowego ze strony Rosyan, a równocześnie spostrzeżliśmy zdala chmury kurzu unoszące się wysoko w górę, które z błyskawiczną szybkością ku nam się zbliżały, była to oznaka nadciągania kawaleryi nieprzyjacielskiej.

Ledwo zdołaliśmy się sformować w kupki i szybciej ku lasku cofać się, przypuszcza pułk charkowskich ułanów na nas szarżę, a dojechawszy do nas na jakie 250 kroków, rozstępuje się nagle w lewo i w prawo, a przed nami ukazują się paszcze sześciu dział, które nas kartaczami witają. Dzięki wielkiemu pospiechowi, z jakim ten atak artyleryjski wykonany został, jedna tylko nasza kupka z 30 ludzi, pod dowództwem porucznika z wojska rosyjskiego, tak zwanych malinowych strzelców, który był jeszcze w rosyjskim mundurze, została do szczętu zniesioną.

Po takim obcałowaniu nas przez działa rosyjskie, nastąpiła ogólna panika, każdy starał się jak najprędzej dostać do lasku, leżącego o kilkadziesiąt kroków.

Gdy się to dzieje na tyłach, na przodzie oddział Wagnera po wystrzeleniu wszystkich naboju, mający jedną czwartą część zabitych i rannych, rozprasza się i dostaje do niewoli. Również i część oddziału Ruckiego, będąca na lewym skrzydle, a mająca czucie z jednej strony z oddziałem Wagnera, z drugiej zaś z mniemanym oddziałem Krysińskiego, dostaje się do niewoli po bohaterskich wysiłkach przebijania się z bagnetem w rękę przez okalający nas żelazny

krąg Rosyan. Wielu oficerów z wojska rosyjskiego, będących w naszych szeregach, odbiera sobie życie ostatnim wystrzałem rewolwerowym.

Kapitan rosyjski, a obecnie szef sztabu województwa lubelskiego, Białobodzki, którego własna rota chce wziąć do niewoli i woła nań: *Wasze Błahorodie poddajcie się* — odpowiada:

— Nie bierzcie mnie!

Pierwszego śmiałka, przybliżającego się do niego, kładzie trupem ostatnim nabojem rewolwerowym, a później ze szablą w ręku odpędza nacierających nań Rosyan, którzy, kochając swego dawnego naczelnika, widocznie chcieliby go jakimś cudem bożym ochronić, gdy wtem wpada pułkownik Emanow i krzyczy „strzelać do buntownika“, na tę komendę cała rota sypie ogniem do stojącego, już i tak rannego Białobodzkiego, który oparty o drzewo z rozjaśnionem obliczem oczekuje niechybnej śmierci. Białobodzki ugodzony 91 kulami pada, a wtedy nadciągające kozactwo rzuca się na zabitego dla obdarcia z odzienia.

Wojciech K., naczelnik żandarmeryi powiatu K., znany ze swej dzielności, odwagi i energii, z wystrzelonymi nabojami i ze złamaną szablą, będąc rannym, chcąc się uwolnić od niechybnego stryczka, błaga kolegów „zabijcie mnie!“ Widząc zbliżających się Rosyan, rozbiera się prędko do naga, rozrzuca swe ubranie i kładzie się między zabitych, jak gdyby już przez kozaków obrabowany. K. przeleżawszy tak między trupami do późnej nocy, uchodzi szczęśliwie.

Dowódzca kawaleryi Ruckiego, rotmistrz Niedźwiecki, chcąc jedną część kawaleryi uratować, dzieli ją na dwa oddziały, a oddając nad jednym dowództwo porucznikowi najstarszemu, Mykicie, nad drugim zaś obejmuje sam komendę i urządzi losowanie guzami na chustce, który oddział ma się poświęcić za drugiego. Los pada na oddział Mykity.

Mykita występuje naprzód, mając pod swoimi rozkazami porucznika Sinkiewicza, młodzieńca ślicznej urody

i nieustraszonego męstwa, i 50 jeźdźców, kwiat młodzieży województwa lubelskiego, po uściśnieniu się wzajemnym, uderza przy okrzyku „niech żyje Polska“ na cały pułk ułanów charkowskich. Robi się zamięszanie, z czego korzysta Niedźwiecki i przebija się szczęśliwie przez Kozaków. Mykita i cały jego oddział ginie śmiercią walecznych, ocala się tylko Babiński, którego koń kulą ugodzony pada i jeźdźca przywala sobą. Babiński dostał się do niewoli i został skazany na posilenie do gubernii jeniusejskiej; ocalał również i Jasiński, właściciel dóbr z Puhaczewa, ale ten okryty kilkunastoma ranami, stracił tam rękę.

Mógłbym jeszcze więcej takich bohaterskich czynów tego polskiego dramatu naliczyć, należą one jednak, jak powiedziałem, do historii powstania, powracam zatem do tej chwili, w której rozsypani rozbiegliśmy się po lesie.

Przy mnie od samego początku znajdował się Białkowski, dla informacji sygnałów rosyjskich, których nie znałem. Zrobiliśmy naradę, postanawiając utworzyć sobie drogę bagnetem do lasu biskupickiego, którego krawędź zajęła już i silnie broniła Rosya. Był to jedyny, najwięcej możliwy punkt wyjścia, bo z tyłu i po prawej stronie mieliśmy rzekę Wieprz, na lewo dwór Fajstławicki, gdzie skoncentrowana była cała dzicz rosyjska.

Zebrało się nas razem 80, uzbrojeni byliśmy bez różnicy w sztucce belgijskie, którymi ukompletowaliśmy się po zabitych, a gdy rozdzieliliśmy się ładunkami, okazało się, że na jednego wypadało aż dwa naboje!

Uklękawszy i zmówiwszy pobożnie pacierz, każdy z nas przygotował się na śmierć, i z modlitwą „Kto się w opiekę podda Panu swemu“ ruszyliśmy w zwartym szeregu biegiem ku stronie lasu biskupickiego. Rosyanie zaraz nas spostrzegli. Zagrały trąbki, Białkowski z zawieszoną swą kochanką „dubeltówką“ na plecach, ze sztucem w rękach, szepnął mi do ucha: „artylerya zagrała do strzałów“. Przed sobą mieliśmy łąn zboża, w który weszliśmy, utykając co

chwila to na naszych, to na rosyjskich trupach. Naraz huknęły działa, a świst w powietrzu przeleciał nad nami. Dzięki Ci Panie, wyrzekliśmy razem i ruszyliśmy dalej, spostrzegłszy, że kawaleria zabiega nam drogę, a i piechota już się zbliżała. Zachęceni bezskutecznymi strzałami Rosyan, podwajamy kroku, wtem z paszcz armatnich okazał się ogień, następnie huk, przeraźliwy świst i krzyk pomiędzy naszymi. Blizko połowa naszych legła w zbożu, częścią snem wiecznym, częścią jako ranni; reszta zaczęła w popłochu uchodzić z powrotem do lasku. Za tymi posłali Rosyanie dalsze strzały i znów ubyło kilku. Przy mnie pozostał tylko ojciec Białkowski, Francuz Władysław Jost, Krakowianin porucznik Leon Grzesiecki, Podlasiak Jan Zaremba, Konstanty Gliniecki i Prusak Kohlmann oficer wojska pruskiego.

Z przerażeniem popatrzyliśmy jeden na drugiego. Słońce miało się już ku zachodowi, pokładliśmy się na ziemię i postanowiliśmy chyłkiem powrócić do lasku, tam oczekiwać nocy i pod osłoną tejże próbować szczęścia, czyby się nie udało wydobyć z tej fatalnej matni. Gdy tak zwolna cofamy się, słyszymy za sobą wołanie „Rodacy na miłość Boską nie opuszczajcie nas!“, a tu już kawaleria pędzi ku nam. Białkowski przyskakuje do jednego rannego, bierze go na plecy, drugiego bierzemy we dwóch i tak co nam sił starczy, zdążamy do lasku, tej naszej warowni przeciw kawalerii. Wszedłszy w gąszcz, jął Białkowski z Grzesieckim opatrywać rannych, jeden miał nogę w kilku miejscach przestrzeloną, drugiemu wyrwał kartacz kawał biodra i brzuch przeciął. Ledwo wzięliśmy się do obandażowania ran, do których użyliśmy części naszych koszul, gdy usłyszeliśmy ze wszystkich stron przeraźliwy krzyk „hura“ i łamanie gałęzi. W jednej chwili zostaliśmy otoczeni przez piechotę rosyjską, z różnemi oznakami pułków, co było nasze szczęście, bo oddział jeden drugiemu zazdroszcząc, nie pozwolił nam nic złego zrobić, a wszyscy ustawicznie krzyczeli *nie ruszaj, naczałstwo zakazało*. Poprowadzono nas na folwark fajslawicki.

Rannych naszych nieśliśmy na płaszcach aż do ambulansu pod dworem, gdzie ich na ziemi pod gołem niebem opatrywano. Wielka polanka była całkowicie zasłaną naszymi rannymi.

Wprowadzono nas w tym czasie na gumna, gdy pułkownik Sołohub odbywał przegląd naszych wziętych do niewoli, a było wszystkich razem 663.

Żołnierzom rosyjskim, wziętym przez nas do niewoli, a później w naszych szeregach będącym, kazano poznawać naczelników i naszą starszyznę, bo do tego zaszczytu, nie bardzo przyjemnego wobec Rosyi, nikt nie chciał się przyznać. Na dwudziestu kilku Rosyan, będących z nami w oddziale, nie było ani jednego, któryby nas zdradził. Sołohub wściekał się ze złości, że na 663 wziętych do niewoli niema ani jednego oficera, któregooby należało przykładownie ukarać; a był między nami i naczelnik oddziału Wagner, o którego obawialiśmy się najwięcej, bo by się od stryczka z pewnością nie wywinął.

Jeden Rosyanin, były pisarz w kancelaryi Sołohuba, który służył w kosynierach, nie pomnę już nazwiska, a za waleczność i odznaczenie się w bitwach awansował na porucznika i z obozu już pisywał listy do swych dawnych kolegów, zachęcając ich do powstania, został poznany; a gdy na żądanie Sołohuba, aby wskazał mu naczelników i oficerów, odrzekł, wskazując sam na siebie: „oprócz mnie niema tu nikogo“. Został w naszych oczach natychmiast rozstrzelany. Była to straszna i bolesna dla nas chwila. Rodowity Rosyanin, pod wpływem idei wolności, walczył przy nas, jako prawy syn naszej ojczyzny i oto w oczach naszych poświęca się za nas, ponosząc śmierć męczeńską.

Po dokładnem policzeniu nas, nie mających przez cały dzień nic w ustach, ani nawet wody, zamknięto w dwóch wielkich stodołach, otoczonych wojskiem. Tu dopiero spostrzegliśmy, kto jest między nami, a których kolegów poznaliśmy na wieki.

Będąc okropnie zmęczeni, pokładliśmy się znużeni na ziemię, przemyślując, co to dalej będzie z nami. Białkowski poradził nam poprzemieniać nazwiska i aby się nie zdradzić pomiędzy sobą, dobrze zapamiętać. Białkowski został Galicyaninem jako Roman Szelest, ja Adolfem Jankowskim, moim ciotecznym bratem, którego nawet paszport miałem przy sobie, i t. d.

Rano zagrały bębny, kazano nam stawać w szeregi, dano każdemu po kawałku suchara i trochę wody i poprowadzono, właściwiej mówiąc popędzono do miejscowości zwanej Piaski luterskie, gdzieśmy przenocowali, a stamtąd do Lublina.

Do Lublina przyszedł rozkaz z Warszawy, aby naczelników i oficerów, wziętych do niewoli z oddziału Ruckiego i Wagnera, dostawić do śledztwa na cytadelę warszawską.

Władza w Lublinie w rozpaczy, że nie zdołała dotychczas wysledzić przywódców oddziałów, radzi sobie prawdziwie po rosyjsku.

Przychodzi gubernator Chruszczew z pułkownikiem Sołhubem, każe nam stanąć do szeregu i wybiera z fizjonomii dowódców; jednych zapisują bez naszej wiedzy na swoich spisach jako kapitanów, drugich jako poruczników, i tym sposobem wybrano około trzydziestu. Najgorzej wyszli ludzie pokaźni z wąsami i brodami. Wielu z nich będąc w oddziale szeregowymi, jak Jan Zaremba, Władysław Raciborski i inni, zostali przez Rosyan mianowani wyższymi oficerami, i temu mają zawdzięczyć, że się dostali do kopalń nerczyńskich i innych robót katorżnych <sup>1)</sup>.

O ile mogę sobie przypomnieć, zostali wybrani przez Rosyan oprócz powyższych dwóch: Roman Szelest, Franciszek Zgórek, Władysław Jost, ś. p. Adolf Szulc, ś. p. Wło-

---

<sup>1)</sup> Naczelnik oddziału Wagner, umiał taką niepocieszoną minę zrobić, że wysłano go, porządkiem administracyjnym, na mieszkanie do Rosyi.

dzimierz Lechowski, ś. p. Antoni Midowicz, Leon Grzesiecki, Konstanty Gliniecki, Ferdynand Bańkowski, Frankowski, Adolf Jankowski, Broniewicz, Babiński, Brzozowski. Wszyscy, oprócz trzech ostatnich i Franciszka Josta, byli Galicyanie.

Pod eskortą czterech rot piechoty, kilku sotni kozaków i dwóch dział, pod dowództwem podpułkownika Broniewskiego, człowieka ludzkiego, który się nie zapierał swego pochodzenia polskiego, wysłano nas do Warszawy.

Podczas drogi gawędziliśmy z naszym dowódcą i pytamy się go, coby z nami zrobił, gdyby który z nas uciekł?

— Jeszcze z tego miałbym sobie co robić — odpowiedział — mało mam przy sobie kozaków? a mało jest dworów po drodze? kazałbym przyprowadzić pierwszego lepszego szlachcica i wpakowałbym go między was, mógłby sobie krzyżeć, gadać, nikt by mu nie uwierzył i poszedłby tam, gdzie wy pójdziecie.

Nie chcieliśmy wierzyć twierdzeniu pułkownika, lecz przekonaliśmy się później, że w pewnych wypadkach, takie zarządzenia sobie komendanta praktykowały się, i niejeden został ukarany za to i poszedł w Sybir, że gdy inni przelewali krew, on jako wierny poddany carski siedział spokojnie w domu.

W cytadeli warszawskiej zostaliśmy pomieszczeni w tak zwanym „Starym magazynie nr 2“.

Los nasz był opłakany, obdarci, bez butów i bielizny, wielu obrabowani przez Rosyan z wierzchnich ubrań, wyglądaliśmy bardziej na zgrają żebraków i włóczęgów, jak na ludzi, którzy jeszcze niedawno temu, szczycąc się mianem żołnierza polskiego, walcząc pod sztandarem narodowym, byli w województwie lubelskim postrachem Rosyan.

Karmiono nas obrzydliwie, robactwo zagryzało nas prawie żywcem, pomocy z nikąd, bo z rodziną znieść się nie było możebnem, a do tego niepewność losu i wiele innych czynników przyczyniało się, że wielu się rozchorowało i kto

wie, czy niejeden z nas po dwudziestu kilku latach tych wspomnień, byłby przy życiu, gdyby nie ofiarność Warszawy, a w szczególności, naszych zacnych i godnych niewiast polskich. One, narażając się na różnorodne nieprzyjemności, tak ze strony brutalnych dygnitarzy-siepaczy, jako też i ze strony rozbestwionego żołdactwa rosyjskiego, z narażeniem swej własnej osoby, przedzierały się do nas pod rozmaitymi pozorami, to jako matki, to jako siostry, lub pod innymi postaciami, niosąc w darze nietylko pomoc materialną, ale znacznie potrzebniejszą i nieraz trudniejszą do wykonania, pomoc moralną. A umiały wszystko tak zręcznie wykonać, że mimo zwróconych bacznie oczu oficerów rosyjskich, także nam udzielały wiadomości, od których zawisłem było nieraz życie niejednego. Przez nie znieśliśmy się z naszymi rodzinami, one udzielały nam szczegółowych sprawozdań z komisji śledczej, co kto z naszych, będąc gdzieindziej więzionym zeznał, aby się z zeznaniami nie pokrzyżować, a badano nas bardzo szczegółowo, po dobremu i po złemu, używając rozmaitych środków, tak co do cywilnej organizacji województwa lubelskiego i podlaskiego, jako też, gdzie zostały schowane działa rosyjskie, zabrane przez nas pod Żyżynem, jak również co się stało z tamże zabranym prawie milionem rubli.

O badaniach w tej sprawie, jak również o naszym życiu w cytadeli warszawskiej, czytaniu wyroku i wywiezieniu, podam na innym miejscu.

Obecnie chcę tylko dowieść, że chociaż już blisko ćwierć wieku dzieli nas od tych wspomnień, to jednak pamięć tych bohaterskich poświęceń naszych najszlachetniejszych i najczcigodniejszych na świecie niewiast, Polek, nie zagasła w naszych sercach, a wdzięczność za doznane łaski i dobrodziejstwa, które z narażeniem własnej osoby i nieraz godności polskiej niewiasty nam w ofierze niosłyście, towarzyszyć wam będzie do grobowej deski. Nie mając dotąd sposobności złożyć wam zasłużonego hołdu i dzięki za wszyst-

kie wasze poświęcenia i starania około nas, składam wam dziś na tem miejscu, tak od siebie, jako też będąc tłumaczem uczuć mych kolegów, serdeczne dzięki i staropolskie „Bóg zapłać!“ W szczególności zaś zacnym opiekunkom „starego magazynu nr 2“ i „odwachu aleksandryjskiego“ pani Maryi Bauerfeind i ceniom ś. p. Pauliny Kraków i Apolonii Świeszewskiej, jak również godnym tej ostatniej córkom, a siostróm Jasia, naówczas uczennicom pensyi ś. p. Krakowowej, Eugenii Siemińskiej i Laurze B.

Ojciec Białkowski, a obecnie Roman Szelest, obznajomiony z rosyjskimi śledztwami, był nam tu bardzo pomocnym, dawał nam trafne objaśnienia i wskazówki, które nam wielce przydały się i niejednego ochroniły, jeśli już nie od niewoli, to przynajmniej od długiego śledztwa i nieprzyjemnych badań generałów rosyjskich, udających wobec nas najlepszych w świecie ludzi.

Gdy podczas naszej długiej wędrówki w Sybir, osobliwie w gubernii tomskiej, jeniseyskiej i irkuckiej, wyczerpały się wszystkie nasze zasoby wyniesione z kraju i po sprzedaniu wszystkiego, co się tylko spieniężyć dało, pobierając, jak już wspomniałem, trzy i pół albo cztery kopiejek żółdu, gdzie funt chleba razowego dochodził do 4 kopiejek, doszła nędza do najwyższego stopnia, a głód nam dokuczać zaczął straszliwie. Aby go choć w części zaspokoić, byliśmy zmuszeni uciekać się do środków nielegalnych, a nawet, że się tak wyrażę, do bezczelnych różnorodnych żądań, i tak: w pierwszym rzędzie żądaliśmy w każdym gubernialnem i powiatowem mieście całkowitych, aresztantom się należących ubrań, które składały się: z jednego płaszcza zwanego „hałata“, ze sukna siwego, a tak przeźroczystego, jak organetyna, z wyciętym na plecach asem karowym i literami oznaczającemi gubernię, z takich samych pantalonów, jednej siwej okrągłej czapki bez daszka, dwóch kawałków sukna na onuczki, z jednej pary trzewików bez napiętek, najczęściej z podeszwami z cienkiej skóry, z dwóch koszul zgrzebnych

i z takich samych dwóch dolnych ubrań, sięgających zaledwie do kolan, i z jednego worka, zimową porą zaś dodawano króciutki kożuszek i baranią czapkę w rodzaju czepka. Te na pierwszym etapie sprzedawaliśmy tamtejszym mieszkańcom albo żołnierzom. Za cały ten garnitur dostawało się dwa do trzy ruble, za kożuszek, zależało od jego jakości i długości, od 3 do 5 rubli.

Zabawne to było, gdy przychodzimy do jakiego miasta a naczelnik powiatu lub policmajster odbierając nas zapytuje:

— A gdzie wasze rzeczy?

Na to odpowiadamy mu krótko:

— Sprzedali!

— Jak śmieliście *kazienne* (rządowe) rzeczy sprzedawać, przecież to nie wolno.

— Będziemy się też pytać czy wolno lub nie, jak się jeść chce! — odpowiadamy.

Daleko gorsza była sprawa, gdy mamy już dalej iść w drogę, a sprawnik lub policmajster oddaje nas naczelnikowi konwojującemu, a my występujemy i oświadczamy:

— Nie pójdziemy!

— A to dlaczego? — zapytują nas.

— Oto dlatego — odpowiadamy — że nam należą się *kazienne* rzeczy.

Na takie nasze żądanie wściekłość ogartywała urzędników. Z początku grozili, później prosili, a gdy widzieli, że wszystko nic nie pomaga, przetrzymywano nas nieraz do wieczora, wkońcu jednak wydano rzeczy, któreśmy na pierwszym etapie znowu sprzedawali.

Lepiej jeszcze od nas wychodzili z nieuprzywilejowanego stanu, zakuci w kajdany, bo ci oprócz rzeczy mieli do sprzedania i kajdany, które znów chłopci kupowali dla żelazniwa. Najwięcej w tym względzie dali się we znaki Rosyanom „Krzyszowiacy“, mieszczenie z Krzeszowa nad Sanem, którzy z początkiem powstania rozbili straż pograniczną. Między nimi odznaczał się herkulesową siłą, nieskazitelnym

charakterem, szlachetnością i dobrocią serca, Maciej Rudnicki, po nim Wojciech Falendysz i Bystrzanowski.

Na zapytanie:

— Gdzie kajdany?

Odpowiadali tak samo węzłowato:

— Sprzedali!

Ale trzeba było widzieć zdumienie urzędników, gdy już po wydaniu rzeczy, taki sprawnik lub policmajster zadowolony, że się przecie pozbędzie raz tych „przeklętych Polaków“, występują Krzeszowiacy i wręcz oświadczają:

— Nie pójdziemy!

— A to dlaczego? — zapytują ich.

— A to dlatego — odpowiadają — bo nam należą się kajdany!

Na takie oświadczenie, następuje nowa historia, nowe groźby, nowe prośby, które wkońcu nie doprowadzają do niczego. Rozzłoszczony urzędnik woła kowala, wybiera najcięższe kajdany i rozkazuje zakuwać na gołe nogi. W to graj naszym Krzeszowiakom, bo czem kajdany cięższe, tem parę kopiejek będzie więcej, z obojętną miną dają się zakuwać, uszedłszy zaledwie paręset kroków, rozbijają kajdany, chwają do worków i sprzedają na pierwszym lepszym etapie wedle ciężkości za 60 do 90 kopiejek za sztukę.

Oprócz tych używaliśmy jeszcze innych środków do zaspokojenia głodu, o których teraz, aby nie kompromitować żyjących, zamilczam, a które użyte zostały li tylko dla wzajemnego ratowania się od głodowej śmierci.

Przy tej sposobności muszę wspomnieć o dwóch braciach, Michale i Mieczysławie hrabiów Wielohorskich z Białej Rusi, którzy jadąc na swój własny koszt, przyjechawszy do Aczyńska, a zobaczywszy naszą partyę obdartą i wynędzniałą, przyłączyli się do nas, oddając co mieli do ogólnego użytku. Wkrótce wyczerpały się i te zasoby, a obydwaj Wielohorscy zarówno obdarci i wynędzniali przybyli razem z nami do Irkucka, i w takim to stanie zastała pani Wielo-

horska swego męża Michała i szwagra Mieczysława. Pani Wielohorska była to jedna z tych niewiast Polek, które niepomne na żadne trudy i przykrości, spieszą tam, gdzie ich powołują obowiązki dobrej żony, matki i prawej obywatelki kraju. Wielu z naszych, będąc w robotach w Usolu, uczuwało tam błogiego wpływu i rozpostartą opiekę naszych szlachetnych i czcigodnych Polek.

Również muszę wspomnieć Dra Woźniackiego, chirurga szpitala Bonifratrów w Lublinie, który był z nami w Pietrowsku, a którego w spisie więźniów z Pietrowska pominąłem. Był to jeden z najlepszych kolegów, który nie tylko, że nas w chorobach pielęgnował i leczył, ale był niewyczerpanym w staraniu się o zaspokojenie głodu.

Po każdorazowym sprzedaniu kaziennych rzeczy, żyło się dni kilkanaście jako tako, zapijając kirpiczną <sup>1)</sup> herbatę z mlekiem, bez cukru, i nasycając się chlebem a od czasu do czasu kawałkiem mięsa.

Ojciec Szelest zauważył już to nasze życie nad stan, a sam będąc przezornym i obznajomionym z życiem żołnierza rosyjskiego, umiał otrzymane rzeczy zawsze dobrze spieniężyć, niektóre zatrzymywał, przerabiał i potem obdzielał najbardziej potrzebujących, a jeśli spostrzegł, że już niejednemu i herbaty brak, wtedy wyjmował z worka swoje zapasy cegiełkowej herbaty, wcześniej rano wstawał i rozniecał ogień, gdy już nas do marszu budzono, każdy ledwo otworzywszy oczy, dostawał miseczkę gorącej herbaty, a gdzie już i chleba brakło, kawał onegoż. Dla chorych potrafił zawsze wydobyć kawałek mięsa i tak chory dostawał posiłny rosół. Takim sposobem, odejmując sobie od ust, sam nie wysypiając się, karmił i ubierał nas, czuwał nad słabymi, pocieszał upadłych na duchu, a jak było nas w par-

<sup>1)</sup> Kirpiczna herbata wyrabia się z różnych odpadków herbacianych, którą prasują w kształcie cegiełek, dodając dla trzymania się w całości bydłęcą krew. Jest tak twardą, że z trudnością się kruszy, potrzeba ją skrobać ostrym nożem.

ty 50, nie było ani jednego, któryby nie doznał jego dobroczynnej ręki. Będąc później w robotach, tak samo wysługiwał się nam, to gotując, to obszywając.

Gdy oznajmiono zagranicznym powrót do kraju, a między tymi i ojcu Szelestowi, cieszył się jak dziecko, obiecując sobie spocząć na rodzinnej ziemi.

Powróciwszy do kraju wziął się na stare lata do pracy i chociaż koledzy mający rodziny a później stanowiska, zapraszali go do siebie, to nigdzie długo miejsca nie zagrzał. Natura jego czynna i przedsiębiorcza wymagała ustawicznego ruchu i pracy. Koleją nie jeździł, z jednego końca Galicyi na drugi przenosił się piechotą. Zrobić podróż z Krakowa do Tarnopola do kolegi Leonarda Menżyńskiego, budowniczego tamże, było dla niego zabawką. Przystane pieniądze na podróż odrzucał, a zrobiwszy siedemdziesiąt mil piechotą, zabawił zaledwie parę tygodni w Tarnopolu, aby stamtąd napowrót piechotą udać się do kolegi Józefa Sitkowskiego w Mysłachowicach pod Trzebiną za Krakowem, gdzie dłuższy czas przebywać lubił. Gardził wygodnymi mieszkaniami, sypiał na twardym tapczanie, mając pod głową maleńką skórzaną twardą poduszkę, a przykrywając się burką.

W roku 1881 odwiedziłem kolegę Sitkowskiego i zastałem tam ojca Szelesta, który pomimo usilnych próśb państwa Sitkowskich, mających aż nadto obszerne mieszkanie, aby razem z nimi pod jednym dachem zamieszkał, wybudował sobie u nich w ogrodzie rodzaj ziemianki, z maleńką izdebką, gdzie mógł tylko tapczan i mały stoliczek stanąć i tam przemieszkował latem i zimą, wyrabiając fajeczki drewniane, ozdabiane rzeźbą, i szczotki do sukien i włosów, które w Krakowie między kupcami spieniężał, a mając do tego 10 złr. z Komitetu Weteranów, utrzymywał się z tego, nie chcąc być nikomu ciężarem. W roku 1883 zaczął upadać na zdrowiu, a czując blizki koniec, pomimo protestu kolegów, udał się do szpitala do Krakowa, gdzie niebawem zakończył swój męczeński żywot i pochowany został we wspól-

nym grobie Weteranów polskich z 1831 roku. Z ojcem Białkowskim, inaczej Romanem Szelestem, wstąpił do grobu jeden z tych cichych męczenników naszej narodowej sprawy, którego życie było jednym pasmem poświęceń się dla drugich. Widać, że Pan Bóg wynagradzając ten męczeński żywot wysłuchał jego często powtarzaną prośbę: „Dozwól mi Boże poledz w boju lub umrzeć w Krakowie“.

## IX.

### Męczennica Gudzińska.

---

Odwach aleksandryjski. Odwiedziny. Panie Świeszewska i M. Bauerfeind. Czytanie wyroków. Gudzińska. Kowalski. Konfirmacja. Komisya śledcza. Męczeństwo Gudzińskiej. Wypowiedzenie prawdy. Pędzenie na dworzec. Ostatnie pożegnanie. Zamordowanie szpiega. Jan Karłowicz. Aresztowanie. Tobolsk. Przybycie do Irkucka. Usola. Roboty. Choroba. Zaślubiny. Tomkowił. Śmierć. Mogiła.

Pamiętny był dla nas dzień 26. listopada 1863 roku.

Tegoż dnia rano wszedł do nas oficer służbowy z listą i wywołałszy, o ile sobie mogę przypomnieć, Grzesieckiego, Zgórkę, Glinieckiego, Raciborskiego, Zarembę, Josta, Szelesta, Broniewicza, Brzozowskiego, Babińskiego, Bańkowskiego, Frankowskiego, ś. p. Lechowskiego, Szulca, Midowicza i mnie, kazał nam zebrać się i pod eskortą przeprowadził nas na odwach aleksandrowski. Byliśmy wszyscy więźni do niewoli pod Fajstawicami.

Zaledwie tam ulokowaliśmy się, gdy przychodzi do mnie oficer z oznajmieniem, że siostry chcą się ze mną widzieć. Domyślałem się zaraz, że to są nasze poczciwe i zacne opiekunki. Poszedłem i zastałem panią Świeszewską z córkami, które wiedziały już o naszym przeniesieniu i ze smutkiem oświadczyły, że dziś w nocy będzie nam wyrok ogłoszony i zostaniemy zaraz wywiezieni w Sybir. Wiadomość ta nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia, boć na to byliśmy wszyscy przygotowani od samego początku. Wkońcu oświadczyły mi szlachetne opiekunki, że pani Marya Bauer-

feind ma już wyrobione pozwolenie widzenia się z nami do dnia na pragskim dworcu kolei żelaznej i obdzieli partyę naszą ile możności ciepłą odzieżą. Pożegnawszy się z nimi i podziękowawszy za wszystkie dobrodziejstwa i starania o nas, wróciłem do kaźni z napełnionym koszem warszawskich przysmaczków i oznajmiłem otrzymaną wiadomość kolegom, którzy przyjęli ją obojętnie, bez widocznego wzruszenia.

Tej nocy spać nie kładliśmy się. O godzinie dziewiątej wieczór, jak zwykle, przyszła *powierka* (straż dla sprawdzenia więźni), i w niczem, ze strony Rosyan, nie dano nam do poznania, że to ma być ostatnia noc spędzona, chociaż w więzieniu, ale zawsze w ukochanej Warszawie. Gdy już i północ minęła i niektórzy niedowierzając puszczonej pogłosce wywiezienia nas tej nocy, spać się pokładli, usłyszeliśmy naraz niezwykły ruch na korytarzach, drzwi naszego więzienia otwierają się z łoskotem i wchodzi do nas w pełnym uniformie komendant placu cytadeli warszawskiej z rozkazem, abyśmy się zaraz zbierali i z wszystkimi naszymi rzeczami wychodzili.

Wprowadzono nas do jakiejś wielkiej sali sklepionej, gdzieśmy najpierw spostrzegli wielu generałów rosyjskich z wieloma oficerami, wszyscy w pełnych uniformach, a oprócz tych znajdowało się w sali już około 30 więźni. Między nimi uderzyła nas w oczy postać kobiecea ubrana w czerni, jeszcze młoda, z wyrazem twarzy, którego do śmierci nie zapomnę, bo wyczytałeś na niej tyle boleści, tyle cierpień, tyle przebytych mąk i tortur, że dziś jeszcze mimowoli pięść podnosi się do ukarania tych siepaczy, pastwiących się nad kobietą bezbronną. U nóg tej kobiety leżał młodzieniaszek, tożsamo z napiętnowanym cierpieniem, okuty w kajdany.

Niewiastą tą była pani Gudzińska (na imię, o ile sobie przypominam, Anna), właścicielka piwiarni w Warszawie, a u nóg jej chłopiec używany niegdyś u niej do usług, ułomny na nogi, Kowalski. Witał on swą panią, którą po kilku miesiącach niewidzenia, zobaczywszy, uczcił w ten sposób.

Najpierw wywołano grupę pierwszą, to jest: Broniewiczza, Babińskiego i Brzozowskiego. Ci zostali osądzeni „za udział w powstaniu na posilenie w odległe gubernie Syberyi“. Później Raciborskiego i Zarębę, tych za udział w powstaniu jako oficerów na lat ośm ciężkich robót do odległych fortec sybirskich. Później przyszła kolej na nas resztę zagranicznych. Wyrok wydany na nas opiewał mniej więcej w następujących słowach:

„Tych a tych poddanych państwa austriackiego, za przejście granicy państwa rosyjskiego z bronią w rękę i za udział w powstaniu, co jest dowodem, że zostali schwytani w bandach powstańczych pod Fajslawicami, skazuje się na posilenie w odległe gubernie Sybiru“.

Tak nas osądził sąd wojenny połowy.

Wyroki takie confirmował namiestnik Berg lub jego zastępca generał Korf.

Najzabawniejszą była nasza confirmacja, którą przytaczam dosłownie:

„Ponieważ zeznania podane do protokołu N. N. i N. N., poddanych państwa austriackiego są bezczelnem łgarstwem, przeto skazać ich jak Zarembę i Raciborskiego na ośm lat ciężkich robót do odległych fortec Sybiru“. Podpisano *Korf*.

Taka confirmacja wyroku charakteryzuje najzupełniej bez żadnych objaśnień cywilizację państwa rosyjskiego. Później czytano wyroki innym, wkońcu zaś przystąpiono do odczytania wyroku Grudzińskiej i Kowalskiego, które słuchaliśmy z natężoną uwagą. Wyrok opiewał jak następuje:

„Grudzińska A., rodem z Warszawy, mężatka, lat 22, właścicielka piwiarni, za zamordowanie wiernego sługi carskiego (nazwiska nie pomnę), którego zdradą i podstępem do swego łoża zwiabiła i tam jak się zdaje przy współudziale sztyletników skrytobójczo zamordowała, a współników szkodliwych dla państwa nie wydała, zostaje skazaną na całe życie do ciężkich robót w odległej części Sybiru. Kowalskiego, rodem z Warszawy, lat 17, kelnera z zawodu, za

współdział w tem morderstwie, ze względu na jego małoletność, skazuje się na 12 lat ciężkich robót Sybiru“.

Po wysłuchaniu tego niegodziwego wyroku występuje pani Gudzińska, a obracając się do nas odzywa się głosem podniesionym:

— Panowie! Przypatrzcie się dobrze tym siepaczom, zbirom, łotrom i zbójom. Muszę tu w oczy tym oprawcom opowiedzieć wam, jak mnie męczono, głodowano i wkońcu śledziami karmiono, a wody nie dawano, obnażono mi ciało i siekano różgami od głowy do pięt, a gdy już ciała kawałki odpadały, obracano na wznak i bito po piersiach i po brzuchu. Takimi to sposobami chciano odemnie wymusić zeznania i wydania współników.

Następnie zwróciwszy się do generałów, odezwała się jeszcze głośniejsze:

— Co, może nie prawda? Może chcecie jeszcze widzieć dowody waszej zbrodni, wołającej o pomstę do nieba? Bądźcie przeklęci wy carskie zbiry, bo wiecie, że Bóg jest sprawiedliwy! Macie mnie tutaj, zabijcie, bijcie na nowo i katujcie, z chęcią zniosę teraz wszystkie tortury, bo wypowiedziałam wam, podłe katy, szczerą prawdę przy obecnych tu szlachetnych świadkach.

Na to gwałtowne wypowiedzenie, które jak grom po gromie uderzało na zebranych carskich dygnitarzy, a byli między nimi i znani nam ze śledztwa: generał Witkowski i Tuchołko, pobledli ci panowie i wynieśli się ostentacyjnie ze słowami: „istna waryatka!“

— Tak waryatka — odpowiedziała Gudzińska — że Bóg najdobrotliwszy udzielił łaskawie jej tyle mocy, że nie uległa ani waszym świetnym obietnicom, ani zadawanym przez was mękom.

Przystąpiwszy do pani Gudzińskiej oświadczyliśmy jej nasze współczucie, wyrażając, że poczytujemy sobie za szczęście i łaskę nieba, być pędzonymi na Sybir w towarzystwie tak zacnej i szlachetnej Polki.

Pomiędzy wieloma, mającymi być razem z nami wywiezionymi, niewymowną radość sprawił nam jeden z najdzielniejszych i najwaleczniejszych przewódców Wojciech K., o którym wspomniałem, że pod Fajstławicami, udając zabitego, uszedł szczęśliwie. Otóż Wojciech K. został na drugi dzień w nocy, jadąc na wozie jako spokojny obywatel przyaresztowany przez oddział rosyjski i nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności poznanym. Dowódzca oddziału R. kazał go zaraz powiesić. Gdy już po dwakroć ciągnięty na drzewo, urywał się i spadał na ziemię, a działo się to w obecności jego żony, która na ten widok zemdłała, dowódzca oddziału rosyjskiego zdjęty dotąd niewytlumaczoną litością, uwolnił go od powieszenia i jeszcze tyle dobrego zrobił, że nie dostawił go do Lublina, gdzie by go to samo czekało, ale odesłał do Warszawy z raportem, że Wojciecha K., jako szeregowego z bronią w rękę wziął do niewoli. Na podstawie tego raportu został skazany na lat 6 do robót w Syberyi, a obecnie powróciwszy w rodzinne strony cieszy się wolnością. Nazwiska jego i zbiegu okoliczności, przez które został poznanym a później ze Sybiru uwolnionym, nie mogę podać obecnie z powodu żyjących jeszcze osób, mieszkających w Królestwie Polskiem.

Wyprowadzono nas na podwórze, gdzie zastaliśmy już naszych około 200. Byli to skazani bez sądu na wywiezienie w głąb Rosyi tak zwanym „administracyjnym porządkiem“.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wywarło na nas pędzenie otoczonych piechotą i kozakami, a w pierwszym rzędzie żandarmeryą, która nas z kolei sama miała eskortować. Prowadzono nas nocą ulicą Freta i Starem miastem. Brzęk kajdan, szcęk szabel i odgłos kopyt końskich, odbijał się głucho po bruku warszawskim, na odgłos ten otwierały się nad nami okienka, w niejednym usłyszałeś przeraźliwy jęk i rozpaczliwy krzyk, lub wysunęła się w bieli ręka, żegnając nas w cichości krzyżem świętym na długą drogę. Na to wszystko wrzeszczeli kozacy przeraźliwym krzykiem

„nie wolno, zamykaj okno“ i nie jedna szyba pchnięta kozacką lancą z brzękiem upadła na ziemię.

Dniało już gdy nas doprowadzono na dworzec kolei żelaznej na Pradze, gdzie już oczekiwały naszego przybycia nieprzejrzane tłumy ludu, które kozacy, nielitościwie bijąc nahajkami, starali się rozpędzić.

Na dworcu jeszcze raz nas wywoływano i do wozów aresztanckich, mocno okratowanych, jak bydło wsadzano, między nami pomieszczono i panią Gudzińską.

Gdy się już umieściłem w wagonie o dwóch małych zakratowanych okienkach, słyszę wołanie: Adolf Jankowski. Wydrapawszy się do okienka, ujrzałem pułkownika żandarmeryi biegającego i wołającego mnie. Przez pukanie w okno dałem znać gdzie jestem. Pułkownik rozkazał mnie wypuścić i poprowadził do poczekalni, gdzie zastałem znaną mi panią M. Bauerfeind z kilkoma jeszcze paniami, wszystkie popłakane. W obecności pułkownika pożegnałem się ze szlachetnymi opiekunkami, które obdarzyły naszą partyę po części ciepłym ubraniem, bielizną, żywnością i pieniędzmi. Gdy o 8. rano dzwonek do odjazdu odezwał się, a przeraźliwy świst lokomotywy oznajmił odejście pociągu, powstał taki lament i jęk pomiędzy publicznością na dworcu, że ten głos rozpaczny a zarazem zgrozy pozostanie w naszej pamięci do śmierci jako dowód uczuć patryotycznych miasta Warszawy.

Z początkiem powstania 1863 roku, został w Warszawie skazany na śmierć przez Rząd narodowy pewien szpieg rosyjski, nadzwyczaj szkodliwy sprawie narodowej, ale i nadzwyczaj ostrożny, przebiegły i tak przenikliwy, że było niepodobieństwem dla naszej policji przycupić go na osobności, aby mózgi wykonać wyrok Rządu narodowego. Jegomość ów od czasu do czasu zachodził do piwiarni pani Gudzińskiej, znanej ze swego patryotyzmu, spodziewał się więc tam czasami coś usłyszeć, coś podejrzanego zachwycić. Był to jeden z tych szpiegów, który najwięcej żeru dostawiał śledczej komisji warszawskiej.

Przy tych wszystkich przymiotach wytrawnego szpiega miał jedną wadę, że nie był obojętnym na wdzięki kobiece, ale i w tym wypadku, będąc wielce przenikliwym, kierował się nadzwyczajną ostrożnością.

Nie uszło to uwadze naszej policyi, kierowanej mądrze i sprężysto przez ś. p. Jana Karłowicza, znanego jako „Biały Janek“. Wobec nieustającej bacności wroga dokazywała, że tak powiem, cudów, i doszło też, że pani Gudzińska, jako urodziwa niewiasta, nie może być obojętną wspomnianemu szpiegowi; postanowiła więc przy pomocy właścicielki piwiarni ułoić ptaszka. Szpieg ten chodził zawsze uzbrojony, a zgraja agentów czuwała zdala nad jego bezpieczeństwem. Cała sprawa wobec takiego gracza wymagała wielkiej przeczności i sprytu, jak również wielkiego poświęcenia i heroizmu ze strony kobiety, do takiego czynu wezwanej. Mogła to uczynić tylko niewiasta z zaparciem siebie samej i miłująca ojczyznę nad wszystko!

Rozkaz Rządu narodowego, aby się starała wszelkimi możliwymi środkami przywabić do siebie szpiega rosyjskiego, aby uniemożliwić mu obronę i odciągnąć od strzegących go agentów, był dla Gudzińskiej święty.

Położenie pani Gudzińskiej było okropne. Musiała bowiem wobec największego i podłego wroga ojczyzny, a zatem i własnego, udawać zakochaną, odsunąć wszelką podejrzliwość i zdecydować się na krok taki, na jaki tylko Judyta, znana nam z pisma świętego, zdobyć się mogła.

Szpieg został zamordowany w łożu Gudzińskiej, wykonawcy wyroku uszli szczęśliwie.

Gdy w parę godzin po dokonaniu wyroku spostrzegli ajenci, pilnujący osobę szpiega, jego dłuższą i niezwykłą nieobecność, wpadli do mieszkania pani Gudzińskiej i tam znaleźli zamordowanego swego naczelnika, którego jeszcze nie zdołano uprzętnąć. Panią Gudzińską zaraz aresztowano, a z nią Kowalskiego, który właśnie w izbie gościnnej nocował, lecz poszczególnych czynów nie znał.

W śledztwie chciano zmusić p. Gudzińską do wydania wykonawców wyroku i tych, z którymi była w zмовie. Jak widzieliśmy wszystkie męki i tortury na nic się nie przydały. Gudzińska okazała wobec komisji śledczej takiego wielkiego ducha i tyle wielkiego męstwa, że największe czyny bohaterskie na polu bitew maleją wobec tej kobiety, drugiej Judyty polskiej.

Gudzińska została razem z nami wywiezioną i do Tobolska żandarmami dostawioną. Ludzki gubernator, Zenowicz, widząc jej cierpienia i słysząc o jej strasznych przeżyciach w cytadeli warszawskiej, oddał ją staraniom doktorów w tobolskim szpitalu, którzy oświadczyli, że uciążliwa podróż piechotą do Irkucka mogłaby ją zabić. Zenowicz wyśtarzał się prywatnie o potrzebne dla niej fundusze, aby mogła na swój koszt pojechać do Irkucka <sup>1)</sup>.

Było to w miesiącu czerwcu 1864 roku, a zatem na samym początku przybycia naszych do robót w Syberji.

<sup>1)</sup> W Tobolsku byli, o ile sobie przypominamy, zatrzymani chwilowo: Roman hr. Bniński z Wołynia, który swoim kosztem postawił szwadron kawalerji pod Różyckim, skazanym był na 24 lat katorżnych robót, żona poszła za nim w Sybir. Adolf Klisiewicz z Galicyi. Franciszek Nartowski z Galicyi. Rzepecki. Michał hrabia Sołtan. Dr med. Jasiński. Dr med. Tomkowicz. Dr med. Fomberg. Dr Rymkiewicz, weterynarz. Rogojski. Adam Wolff. Reutt Gustaw. Kostek. Romuald Padlewski. Padlewski rozstrzelany w fortecy kijowskiej. Książę Massalski. Hrabia Tyszkiewicz. Hilary Korzeniowski. Kamil hr. Komarnicki. Dr med. Onuczyn, Rosyanin. Sieremiatnykow, Rosyanin. Greczyn, Rosyanin. Śliminger. Jabłoński. Müller, były kapitan austriacki. Chamcow, kapitan wojsk rosyjskich. Chamiec Adam. Obmiński, rosyjski oficer. Adam Zajączkowski, oficer rosyjski. Książę Gedroic z rodziną. Dr Skulski, weterynarz. Książę Radziwiłł Adam. Krokowski. Włodzimierz Malczewski. Arnold Zamorski, jeszcze wówczas o kulach z przyczyny ciężkiej rany w boku. Zatorski. Znamirowski. Maryan Sokołowski z Królestwa. Ci przebywali dłuższy czas w Tobolsku, z czasem jednak zostali prawie wszyscy wysłani w dalsze strony, tysiące zaś innych zesłanych przechodziło przez Tobolsk pędzeni dalej.

Z Gudzińską postąpiono tam nadzwyczaj surowo, okuto ją w ciężkie kajdany, pomieszczono z największymi zbrodniarkami i używano do najcięższych robót. Kazano jej szurować podłogi i prać solą nasiąknięte wory tak latem jak i zimą w rzecznej wodzie.

Po przybyciu naszych w większej ilości do Usoli, za ogólnem staraniem, uwolniono Gudzińską od tych ciężkich robót i pomieszczono ją osobno. Nieco później przyszło za wiadomienie urzędowe, że mąż jej zmarł w Warszawie. Pani Gudzińska posmutniała bardzo i widocznie upadła na duchu.

Poniesione męki w cytadeli warszawskiej, okropna podróz, później ciężka kilkomiesięczna praca, dobiły to wątłe ciało o wielkiej szlachetnej duszy. Siły opuszczały ją z każdym dniem coraz więcej.

Bracia po duchu rozciągli nad swą siostrą staranną opiekę, co dzień trzech po kolei ją obsługiwało, a gdy już nasi doktorzy oświadczyli, że niema dla niej ratunku, aby okazać jej zasłużoną cześć i uznanie, jeden z najzamożniejszych i z najinteligentniejszych zesańców w Usoli, August Tomkowił, uprosił ją o oddanie mu ręki. Gudzińska uznaniem tem do głębi wzruszona, zdecydowała się oddać swą rękę Tomkowiłowi.

Wkrótce też na łożu boleści pobłogosławiony został przez naszych księży związek małżeński wobec liczych świadków, braci katorżników.

Była to chwila uroczysta, chwila złożenia hołdu zasłużonej cnocie i poświęceniu dla sprawy ojczystej.

Działo się to 1866 roku, gdy widmo śmierci rozpostarło swe skrzydła nad męczennicą narodu polskiego. August Tomkowił, jako mąż, a z nim jego przyjaciel Władysław Świszczowski czuwali dniem i nocą, by jako można ułagodzić męczeński żywot polskiej niewiasty. Tomkowiłowa gasła widocznie, mąż klęcząc u łoża błagał Najwyższego o miłosierdzie, a koledzy cisnęli się do jej łoża, aby móżdż ucałować jej ręce w dowód głębokiego szacunku i uznania.

Nawet oficer i straż uszanowali cnotę i wielkość poświęcenia, nie śmiał z nich żaden wejść do przybytku panowania anioła śmierci; zaledwie zdala przypatrywali się oni męczennicy, ofierze barbarzyństwa rosyjskiego. Czując blizki swój zgon, przyjąwszy Sakramenta święte z rąk brata po duchu, księdza katorznika, żegnała się z otaczającymi, upraszając, aby jej do trumny włożono szczyptę polskiej ziemi, którą ze sobą przyniosła.

Jak całe jej życie było ciche i skromne, tak też spokojnie zasnęła w Bogu w pierwszy dzień świąt Wielkanocnych, podług kalendarza greckiego, na rękach swego męża i przyjaciela Władysława Świszczowskiego. Grób, trumna i ostatnie ubranie na wieczny odpoczynek było dziełem rąk naszych katorzników.

Pochowana na tamtejszym cmentarzu, a krzyż postawiony na jej grobie ręką męża przy współudziale całej usolskiej komuny katorzniczej, świadczy wymownie o jej zasługach dla kraju i o wdzięczności narodu, który je oceniać potrafi. Bądź pewną szlachetna męczennico, że choć przeszeń tysiąca mil rozdziela twe kości od rodzinnej ziemi, którą tak gorąco ukochałaś, to pamięć Twego poświęcenia nie zaginie nigdy w wdzięcznych sercach Twych rodaków.



## X.

### U s o l a.

---

Żupy solne. Mieszkańcy. Komendanci żup i więźniów politycznych.  
Spis skazańców w Usoli. Żony towarzyszące mężom.

Usola, wieś położona na lewym brzegu Angary, oddalona 66 wiorst na wschód od Irkucka, była od długich lat siedliskiem przestępców cywilnych, skazanych do robót sybirskich, którzy zatrudnieni byli przy tamtejszych żupach solnych, dlatego też ludność jej stanowili wyłącznie zesłańcy, których ojcowie a nawet ich dziadowie do robót tamże zostali skazani.

Z początkiem roku 1864 zaczęła się Usola z wolna napełniać naszymi skazańcami i już w miesiącu sierpniu roku 1864, gdy nasza partya przybyła do Irkucka, a z której bracia Wielhorscy, Raciborski i Świszczowski zostali tam wysłani, było naszych 66; później po napełnieniu kopalni nerczyńskich Siwakowej i Pietrowska wzrosła liczba do 112, wkońcu po sprawie zabajkalskiej było naszych około 350.

Komendantem żup solnych do roku 1867 był Nekrasow, od roku zaś 1867 pułkownik Turow. Komendantem zaś więźniów politycznych do roku 1866 był Borysławskoj, który przez ten czas awansował z porucznika na majora, później od roku 1866 nastął asaufa kozacki Praszutyński. Byli to wszyscy ludzie poczciwi, którzy o ile możności starali się obowiązki służbowe pogodzić z obowiązkami ludzkości. Nasi z początku pracowali ciężko od świtu do nocy, później wy-

dzielano roboty akordowe, do których dobierano się wedle sił i że tak powiem zamiłowania przymusowego, co kto robić wolał. Najcięższą robotą była tak zwana *okołodka*, t. j. odbijanie z kotłów osadu, który czasami i do 12 cali grubości narastał. Pracę tę trzeba było wykonywać na gorących kotłach, bo wtedy osad lżej odlatywał. I nawet w tej robocie doszli niektórzy nasi, jak Świszczowski, Frankowski i inni do takiej doskonałości i szybkości, do jakiej nawet Rosyanie po długich latach robót nie mogli doprowadzić.

Usola było to jedyne miejsce, dokąd w większej gromadzie zsyłano takich naszych, którzy bądź z rodzinami już przybyli, bądź rodziny do nich później zjechały.

Stanowisko wybieralnego starosty naszego przez cały przeciąg czasu pełnił Aleksander Oskierko, który ten trudny urząd wobec Rosyan i naszych rodaków spełniał z wielkim taktem i poświęceniem swojej osoby.

Nie będąc sam w Usolu, mogę tylko, dzięki pamięci kolegi Władysława Świszczowskiego, obecnie sekretarza Rady powiatowej w Gródku, podać nazwiska niektórych naszych tam zesłanych, o ile pozwolił mi na to upłyniony przeszło dwudziestoletni okres czasu. Mianowicie byli tam:

Aleksander Oskierko, do którego przyjechała narzeczona, panna Grabowska z Litwy, a z którą wziął tam ślub. Bolesław Oskierko, brat stryjeczny Aleksandra. Michał hrabia Wielhorski z żoną, żona przybyła później, a zobaczywszy męża i brata jego obdartych, nagich i wynędzniałych, o których poświęceniu dla naszych już wspomniałem, załała się łzami gorzkiemi. Mieczysław hr. Wielhorski, brat Michała. Stanisław Wielobycki. Łucyan Wielobycki, Ukrainiec z Kijowa. Antoni Rozmanit, kupiec z Warszawy, obecnie znany przemysłowiec, który założył na wielką skalę fabrykę i plantację cykoryi pod Krakowem. Władysław Zamościcki. Roman Rogiński, były dowódca w początkach powstania. Franciszek Lipski, który później będąc na posiedzeniu w Talminie, został tam przez Rosyan obrabowany i w straszny sposób

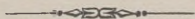
zamordowany. Kukliński. Klimontowicz, Litwin, były kapitan wojsk rosyjskich. Bonifacy Krupski z żoną. Ksiądz Syrwit. Ksiądz Jacewicz, o tych już wspominałem. Ksiądz Stulgiński ze Żmudzi. Ksiądz Morelski. Aleksander Sochaczewski ze szkoły sztuk pięknych, izraelita. Szpitzmann, izraelita. Gustaw Paprocki, izraelita. Henryk Wohl, izraelita. Jakób Afanasiewicz Uszakow, oficer rosyjski ze sprawy wydawnictwa *Zemla i Wola*. Jan Gielg, Galicyanin. Maryan Kułakowski, Galicyanin. Ksawery Koboska, Litwin. De Croix z żoną. Ulaniecki. Hrabia Bniński z żoną i dzieckiem. Lipomann z żoną i dziećmi. Skaczkowski, Żmudzin. Roman Szymański. Dr Wysocki, lekarz. Dr Ignacy Trzaskowski, lekarz. Dr Łucyan Migurski, lekarz. Dr Jarocki, lekarz. Jarocki, kapitan z żoną. Rolke z żoną. Dr Władysław Sypniewski, lekarz. Dr Lasocki, lekarz. Michał Gruszecki z żoną. Smoliński z żoną i córką Urszulą. Kiejsiewicz, strażak warszawski, ożenił się tam ze służącą pani Smolińskiej. Ksiądz Grodzicki. Ksiądz kanonik Kaczorowski. Jankowski, z tęsknoty za krajem dostał pomieszania zmysłów. Ortyński, 70-letni staruszek. Frankowski z Warszawy. Bogusławski z Warszawy. Kręcki. Michał Gruszecki z żoną, zesłany po raz drugi w Sybir. August Tomkowit, ożenił się z panią Gudzińską. Marcin Pióro i brat tegoż Pióro. Paczyński, wyrabiał piwo. Dr Samuiło, lekarz. Władysław Raciborski, o którym wspominałem. Jan Nepomucyn Skirecki. Ilnicki, mąż poetki Maryi Ilnickiej, został w Usoli przez Rosyan obrabowany i zamordowany. Ksiądz Dellert. Roman Katerla. Ponczyński, piekarz z Warszawy. Pawłowski, Warszawiak. Profesor Hausmeister z Warszawy. Stadler z Warszawy. Burzyński z Warszawy. Winkler, junker z wojska rosyjskiego. Dąbrowski, junker z wojska rosyjskiego, Warszawiak. Złotkowski z żoną. Kamiński z Lublina. Markowski, kupiec z Warszawy. Abakanowicz. Pokubiata. Piotrowski Michał. Geniusz z żoną i dorostłymi dziećmi. Weryha Darowski. Zaleski Józef. Zalescy (dwaj bracia). Łączyński. Kościuszko. Wasilewski, Ukrainiec. Raczyński,

aptekarz. Hryniewiecki, technolog. Sołtan Adam. Książę Włodzimierz Czetwertyński, był jednym z pierwszych, którzy zostali zupełnie ułaskawieni. Zienkowicz. Józef Popowski, obecnie poseł do Rady państwa we Wiedniu i także członek komisji wojskowej. Kostro Józef. Hładysz. Wolski z żoną i dziećmi, umarł w Syberyi. Bartoszewicz z żoną i dziećmi. Walicki. Waga. Szolc, ogrodnik. Popiel, ten jako ułaskawiony powracał do kraju, a dojechawszy już do Permy, zdybuje się w policyi z drugim Popielem tegoż samego imienia, który to właśnie był ułaskawionym, Popiela z Usoli przeto wracając porządkiem etapnym z powrotem i biedak niesłusznie musiał po raz drugi odbywać drogę piechotą ze zbrodniarzami w Sybir. Antoni Jeleński, były marszałek wileński. Władysław Wołodźko, były kapitan artyleryi. Władysław Świeszczowski, o którym już wspominałem. Zabawski. Łoziński z żoną z domu Straszewską i z dwojga dziećmi, on umarł w Syberyi, a ona, powracając do kraju z dziećmi, poniosła w drodze śmierć, przez uniesienie koni, pozostawiając same sieroty, o których losie nic nie wiemy. Dr Łagowski, lekarz, ze synem Michałem, który uczęszczał do gimnazjum w Irkucku.

Z kobiet były osobno: Pani Gudzińska, pani Kirkor i panna Gurowska.

Los naszych niewiast, towarzyszących swym mężom na wygnanie był bardzo przykry, bo nietylko, że ponosiły zarówno z nami wszelkie niewygody życia katorżniczego, ale oprócz tego przymuszone były zrzec się wobec rządu wszelkich im przysługujących praw wolnych ludzi państwa rosyjskiego.

Było to wielkie poświęcenie ze strony naszych pań, na które tylko zdobyć się mogą nasze zacne i godne niewiasty Polki, miłujące nad wszystko swoją ojczyznę, i tych mężów, którzy jej wiernie służą.





SERYA DRUGA

---

POŠIELENIE

SERYA DRUGA

POSTILLE

## I.

### Na posieleniu.

Przybycie do Czyty. Przyjęcie Korsakowa. Nasi rządzą miastem. Teatr. Balet. Iluminacya. Przyjazd. Baykał. Przeprowa latem. Przeprowa zimą. Posolsk. Listwiniczna. Podróż Angarą. Wiadomości od brata. Posielenie. Ołonki. Zatrudnienie. Życie Sybiraków. Życie nasze. Panomarowa. Pogadanki z popem. Popełniane zbrodnie. Ukraińcy, Manasterski i Bejnarowicz. Kradzież koła. Nieproszony gość. Wiadomość o powrocie do kraju. Podróż do brata do Tugutuji. Manifest.

Dzięki nienasyconej chciwości rosyjskich czynowników, przebyliśmy w katordze półtora roku więcej, niż się należało, i dopiero po długich kołataniach z naszej strony, wysłano nas w połowie marca 1868 roku z Kadaji przez Aleksandrowsk do Czyty, dokąd przybyliśmy 25. kwietnia, ogołoceni z ostatniego grosza wskutek podróży przez stępy buryackie.

Dzięki gubernatorowi czyckiemu, nie zamknięto nas, dano więc i możność zarobienia sobie na dalszą drogę po kilka i kilkanaście rubli przez czas naszego zatrzymania w Czycie, na tak zw. „wiosnowce“, a to z powodu Baykału, nad którym stanęlibyśmy byli w początkach maja, w czasie, w którym przeprowa dla słabości lodu jest bardzo niebezpieczną, a czasami nawet niemożliwą.

Czyta była teraz przepełnioną rozmaitymi ludźmi. Zakupywano bowiem zabajkalską wełnę, która na wystawie paryskiej nagrodzoną została złotym medalem. Ładowano ją na statki, a spławiając Ingodą i Szyłką na Amur, dostawiano

do Ameryki. Oprócz tego była właśnie pora, gdzie żywność, broń i amunicję ładowano również na statki i wysyłano do kraju amurskiego. Ludzi do pracy był brak wielki, a wiara nasza, korzystając z tego, wzięła się do roboty, zarabiając wprawdzie po 60 kopiejek dziennie, ale zato pracując bardzo ciężko od świtu do nocy.

Równocześnie z przybyciem naszym do Czyty, spodziewano się za kilkanaście dni odwiedzin generał-gubernatora zachodniej Syberyi, Korsakowa, który udawał się na Amur, a stamtąd do Japonii dla traktowania o drugą połowę, u ujścia Amuru położonej wyspy Sachalin.

Podwładny mu gubernator zabajkalski i ataman kozaków Dytmar, chciał go jak jakiego króla przyjąć i osobliwości czyckie pokazać, a tu nie było czem się pochwalić.

Dytmar udaje się więc do nas z prośbą, mówiąc: „Ratujcie honor zabajkalski, gdzieście lat kilka przepędzili“. A gdyśmy jemu oświadczyli, że żaden z nas nie jest z zawodu rzemieślnikiem, a tu jest tyle do zrobienia, bo potrzeba koniecznie odnowić pałac gubernatorski i koło niego jakiś ogród zaimprovizować, odpowiedział: „Zawsze jednak lepiej zrobicie, jak nasi niedźwiedzie“.

Dytmar powierzył nam całe przyjęcie gubernatora Korsakowa, oddając do naszej dyspozycji wszystko co tylko zażądamy, zaczawszy od wojska, aż do kasy gubernialnej.

I nasi, którzy nie mieli przedtem wyobrażenia o tapicerstwie, objali ściany i meble ałasami, zakładali portyery i firanki; drudzy lakierowali drzwi i okna, inni znowu przyozdabiali wejścia malowidłami; dość, że w krótkim czasie cały pałac gubernatorski przeistoczono w prawdziwe cacko. Wielki plac przed pałacem, pokryty błotem, przemieniono w wielki angielski ogród, którego kłoby, trawniki i wielkie drzewa, z niestychanym trudem sprowadzone, zdołały. Urządził to nasz inżynier Korsoń, któremu i dyrektorstwo amatorskiego teatru powierzono; Dulęba urządził wodotryski, do których maszynę parową z tartaku siwakowskiego sprowa-

dzono; Neubaum, baletnik warszawski, urządził dziecienny balet; Zgórek, główny krawiec teatralny, fantazuje rozmaite kostyummy, którym cechę czysto polską nadaje; Wroński, malarz ze szkoły sztuk pięknych w Warszawie, maluje dekoracje, kurtynę i przyozdabia pejzażami salę, gdzie ma być teatr. Transparenta urządził tożsamo Korsoń; ognie sztuczne, oświetlenie teatru i iluminację całego miasta mnie powierzono. Zbieramy po całej gubernii muzykantów, ale większa połowa była naszych samouczków; nasz Pytlewski dyryguje całą orkiestrą. A wszystko to trzeba było w kilkunastu dniach prawie z niczego stworzyć.

Warto było też widzieć zamieszanie i ruch w Czycie. Wszędzie rozlega się głośno tonem rozkazującym język polski. Odbywają się w obecności naszej próby teatru amatorskiego, w którym arystokracja czycka występuje, zasięgając naszego zdania i z wdzięcznością przyjmując nasze, jak się wyrażali, „światło“ rady. Neubaum z dziećmi od 8 do 15 lat dokazuje cuda, a ucząc ich skakać, przemawia do nich niby po rosyjsku a raczej z kiepską po polsku, aż śmiech bierze słuchoać. Działwa tak polubiła Neubauma, że w krótkim czasie stworzyła dla niego odrębny język, którym z nim rozmawia; zresztą działwie w to grać, bo zamiast przy książce, przebywa po całych dniach w teatrze na lekeyach tańca, karmiona łąkociami i słodkim winem.

Miasto Czyta w kilkunastu dniach nie do poznania. Pracujemy po nocach, raz dlatego, aby dać Rosyanom poznać co potrafimy prawie z niczego wykonać, a powtóre dla samego gubernatora Dytmara, który prawdziwie ojcowskimi postępowaniem wobec nas, zasłużył sobie na ogólny szacunek i zjednał sobie naszą miłość i wdzięczność.

Urządaliśmy bramę, rodzaj łuku tryumfalnego, z napisami odpowiednimi, ale żeby nie po rosyjsku, umieściliśmy napisy łaćńskie, co się gubernatorowi i publiczności czyckiej bardzo podobało. Brakowało tylko w sali audyencyonalnej tronu, a przyjęcie byłoby nie gubernatora, ale króla.

Wreszcie nadszedł oczekiwany dzień przyjazdu generał-gubernatora. Czyta cała na nogach i my się nie mało uwijamy. Urządzono telegraf kozacki, który o zbliżaniu się wszechwładnego pana ma zawiadomić gorączkowo oczekujący naród czycki.

Nareszcie po południu nadjechał Korsakow, witany przed bramą tryumfalną przez gubernatora Dytmara, dygnitarzy i naczelników plemion, jak: księcia Tunguzów, naczelnika Buryatów, Jakutów, Kamczadalów i reprezentantów Mongołów, a wkońcu przez dziewice czyckie, poubierane w bieli, które przy stosownem przemówieniu, ale w języku francuskim, ofiarowały mu pyszny bukiet, rzadkość w tamtych stronach, osobiwie w tej porze.

Korsakow chciał jechać dalej tego samego dnia, ale deputacya z najpiękniejszych pań udała się z prośbą do niego, aby raczył pozostać do drugiego dnia i dziś jeszcze teatr swą bytnością zaszczyścić. Korsakow po długim namyśle i wahaniach ze swej strony, a usilnych prośbach i czułych spojrzeń z drugiej strony, dał się wreszcie nakłonić do pozostania.

Wieczorem oświetlono całe miasto i uiluminowano pod moim kierunkiem, a Dytmar oddał pod moje rozporządzenie dwie rotę (kompanie) wojska, ale co najzabawniejsza, że nie przedstawił mnie kapitanom, lecz mnie tych przedstawił z wyraźnem nadmienieniem, że wojsko ustawione w tyle teatru ma być w każdej chwili w pogotowiu do mego tylko rozporządzenia, i zakończył temi słowy:

— „Na dziś macie wszelkie rozkazy tylko od pana Adolfa Antonowicza Jankowskiego przyjmować i natychmiast je wykonać“.

Ostrożność musiała być ściśle zachowaną, dla braku straży pożarnej, a do tego były tam tylko dwie popsute sikawki i kilka beczek na wodę, które przedtem sami naprawiliśmy i te były obecnie w pogotowiu, dobrze już wypróbowane: co gorsza, Czyta cała drewniana, ludność pijacka,

nie przyzwyczajona do oświetlenia i urządzanych ognisk; łatwo mógł więc powstać pożar, a wina spadłaby wtedy na nas i z pewnością powiedziano, że Polacy umyślnie pożar wznieśli.

Z jaką ścisłością zostało wykonane rozporządzenie Dytmara, co do dwóch rot wojska wobec mojej osoby, dość powiedzieć, że gdy podczas przedstawienia teatralnego znajdowałem się za kulisami w rodzaju maszyneryi teatralnej, windując na drutach aniołków do nieba, przyszedł do mnie oficer służbowy zawiadamiając, że kapitan Makarow prosi się, aby mógł się ze mną zobaczyć. Wychodzę do sieni i zastaję jednego z moich podkomendnych kapitanów, który salutując uprasza mnie, aby im pozwolić pójść do tuż obok znajdującego się *kabaku* (szynku), dla pokrzepienia się, bo już parę godzin stojąc, bardzo przeziębli.

Teatr był przepiękny. Dla Korsakowa na samym proździe w pośrodku sali postawiono wygodną kanapkę, a przed nią stolik zastawiony jadłem, rozlicznymi napojami i przyborami do palenia. Podano program z zapytaniem, co ma być pierwszym: dramat, komedia, czy balet? Wybrał balet. Przedstawienie zaczęło się o godzinie 9-tej wieczór i trwało aż do 2-giej po północy. Byliśmy w rozpacz z lampami, które nam gasły i trzeba było je powtórnie zapalać.

Przedstawienie rozpoczęło transparentem z inicjałami Korsakowa, otoczonym żywymi aniołkami przy oświetleniu ogniem bengalskim. Trzeba było widzieć zdumiałe matki i ojców, gdy zobaczyli swą dźwiatwę unoszącą się w powietrzu z transparentem w górę i ginącą w obłokach. Zadowolenie ogólne i okrzyki „hura“ nie miały końca, Korsakow był zachwycony. Balet sam złożony z trzech części, t. j. węgierski, szkocki i chiński, trwał do godziny 12-tej, później dramat, wkońcu komedjka. Osobliwie balet powiódł się nadspodziewanie. Zgórek i Neubaum z patryotyzmu poubierali nawet Węgierki w kontusiki i krakuski, co jednak nie psuło całości, owszem dziewczątka wyglądały bardzo ładnie.

W teatrze za kulisami, tak podczas baletu, jak i amatorskich przedstawień, nie było słycać innej jak polską mowę. Dytmar za każdym spuszczeniem kurtyny przychodził do nas, a okazując swoje zadowolenie, serdecznie dziękował. Cała publiczność rozpływała się z radości, a okrzyki „hura Polaki“ powtarzały się często i gadano głośno i powszechnie: „Jaki to chytry ten naród polski, jak ich tu nie było, to nie widzieliśmy ani takich tańców, ani teatrów, albo te wody, bijące w górę, ani tych ogni sztucznych, ani iluminacji i transparentów; nawet skrzydła umią przyprowadzać, że nasze dzieci po powietrzu jak ptaszki fruują“.

Po teatrze urządono nam sutą wieczerzę z wykwintnemi winami, a zwyczajem rosyjskim szampan łał się strugami. Na początku wieczerzy był obecnym Dytmar, a wychyliwszy nasze zdrowie, dziękował jeszcze raz — jak się wyraził — „za tak cudne i estetyczne urządzenie“.

Na drugi dzień wyjechał Korsakow. Nam za te kome-dye Rosya hojnie wynagrodziła, tak, że nasze fundusze znacznie się podreperowały do dalszej podróży.

W Rosyi na wszystko istnieją rozkazy, bez względu nawet na to czy żywioły przyrody i Najwyższy w swym nie-docieczonym ustroju świata, rozkaz ten wypełnić zechce, i tak tam stoi: „Dnia 15. maja, podług greckiego kalendara, każdego roku ma pierwszy statek przepłynąć Bajkał od wschodu na zachód, to jest z Listwinicznej do Posolska“.

Ten rozkaz zastosowano do nas, i wysłano nas z Czyty tak, abyśmy 27. maja byli w Posolsku. Rozkaz carski zastał nieporządek, bo lód na Bajkale dopiero się łamał, a pierwsza przeprawa w najpomyślniejszym razie mogłaby dopiero nastąpić za parę dni.

Jezioro Bajkał 84 mil długie, do 10 mil szerokie, a do 500 stóp głębokie, największe jezioro górskie w świecie, położone jest 1332 stóp nad powierzchnią morza, a otoczone na południowej i na południowo-wschodniej stronie odnogą gór Ałtajskich, które ciągnąc się po jego brzegach, biorą

nazwisko gór Bajkalskich. Na północno-zachodniej części wpada do niego wyższa Angara, a poniżej Selinga wypływa zaś na południowo-wschodniej części niższa Angara. Angara, rzeka wspaniała i nadzwyczaj bystra, tak, że gdy się stoi w niej po kolana, trzeba być bardzo silnym, aby nie być przez prąd pochwyconym, i dlatego, jako też i dla licznych skalistych progów jest nieprzystępną dla parowych statków. Rząd rosyjski stara się o usunięcie niektórych najniebezpieczniejszych progów, bo przez otwarcie tej rzecznej drogi byłaby Syberia zachodnią połączona ze wschodnią przez Angarę, która przerywając przestrzeń około 2 tysięcy wiorst wpada pod miastem Jenisejskiem do Jeniseju.

Odległość Bajkału od przystani Listwicznej do Posolska wynosi 120 wiorst. Przy spokojnej wodzie odbywa się podróż statkiem parowym w ośmiu godzinach, przy niespokojnej trwa czasami i dni kilka, aż do zupełnego uspokojenia się Bajkału, bo z powodu skalistych brzegów od wschodu, a płytkości od zachodu, statki nie mogą dobić do przystani. Po Bajkale kursują dwa parowe statki i wiele kupieckich żaglowych.

Dla Buryatów i tamtejszych Sybiraków Bajkał ma jakiś urok nadprzyrodzony. Niech Bóg broni powiedzieć „jezioro“, tylko tak, jak tamtejsi mieszkańcy odchyliwszy głowy, mówią: „święte morze“. Jest przesąd, jeśli kto nazwie Bajkał jeziorem, ten musi w niem zginąć.

W Posolsku jest monaster (klasztor) zbudowany przez św. Sergiewa; ten będąc za kradzież koni wysłany na Sybir, awansował tam na prawosławnego świętego i jest patronem Bajkału. Jemu to każdy ze Sybiraków przebywający Bajkał składa ofiary. Monaster ten posiada wielkie bogactwa. Jechaliśmy tam przez Bajkał godzin 8, z powrotem 28. Będąc ulokowani na pokładzie, musieliśmy się wobec uderzających bałwanów dobrze trzymać, aby nie być zrzuconym do jeziora, bo takiemu żaden z marynarzy ani z Sybiraków nie podałyby ratunkowej dłoni.

Dla nich „święte morze“ potrzebuje ofiar... Tak samo przy najmniejszych falach nie wolno na statku prowadzić wesołych rozmów ani się śmiać. Kapitan statku, widząc nas śmiejących się, był tak oburzonym, że pogroził wrzuceniem nas do jeziora.

Jak Bajkał letnią porą przy najmniejszym wietrze nie jest zachęcającym do podróży, tak też i w zimie podróż nie jest bardzo przyjemną.

Od 15. listopada do 15. kwietnia, podług ukazu carskiego, odbywa się przeprawa po lodzie, tożsamo od Listwicznej do Posolska i odwrotnie.

Lód Bajkału jest gładki jak szkło, bo często tam panujące wiatry zdmuchują śnieg. Jednemi końmi przebywa się ta przestrzeń o 120 wiorstach. Na środku Bajkału wybudowana jest karczma, gdzie, podczas gdy konie odpoczywają, podróżujący może się ogrzać i posilić. Podróż po lodzie Bajkału jest o tyle niebezpieczną, że lód z powodu swej niezmiernej grubości, silnych mrozów i prądów wody pęka z przerażającym łoskotem, tak, że niczem najsilniejsza kanonada z dział, a pękając tworzy bezdenne szczeliny nawet do dziewięciu stóp szerokości. Konie tamtejsze, których wcale nie podkuwają, są tak przyzwyczajone do tego nagłego i niespodziewanego grzmotu i tych rozmaitych szczelin, że woźnica uwiązuje lejce do kozła sań, i oddaje siebie i swych pasażerów zupełnie roztropności i przezorności koni. Jeżeli konie nadbiegną nad taką szczelinę, która nie jest zanadto szeroką, to ją w szybkim biegu przeskakują; przy szerokich zaś same nawracają i szukają dla siebie wygodniejszego przejścia, a nie znalazłszy takiego, stają przed szczeliną i swem niespokojnem zachowaniem budzą śpiącego najczęściej woźnicę, który wozi zawsze przy saniach deski, robi pomost, przerzuca przez szczelinę, sam najpierw przechodzi, a za nim bez żadnego kierownictwa cały ekwipaż. Pomimo tej niebezpiecznej przeprawy, dzięki roztropności koni, rzadko kiedy zdarzy się jakaś katastrofa.

Bajkał jest bardzo rybny, obfituje w morskie cielęta, a osobliwie w omule, rodzaj zwykłych morskich śledzi, lecz kto wie czy nie smaczniejszych. Handel omulami, które się najwięcej wędzi, rozpowszechniony jest po całej zachodniej Syberii i Amurze. Corocznie wydobywają ich miliony i nie jeden bogacz Syberii zawdzięcza swój majątek omulom.

Przybywszy przed południem do Listwicznej, najęliśmy sobie statek ładowany kamiennym węglem i wraz z konwojującą nas eskortą popłynęliśmy Angarą jeszcze tego samego dnia do Irkucka.

Cudna, uroczą i malowniczą była to droga, wijąca się pomiędzy skalistymi górami dzikiej natury, pokrytymi odwiecznymi modrzewiowymi lasami. Angara jest tak bystrą, że 60 wiorst do Irkucka, bez użycia wiosł, pędzeni tylko jej prądem, przebyliśmy w sześciu godzinach, robiąc blisko półtora mili na godzinę.

W Irkucku umieszczono nas w więzieniu pod kluczem.

Po paru dniach udało się kilku naszym przez rozmaite starania i protekcyje zostać na posieleniu w samym Irkucku, dla reszty zaś przeznaczono Angarski trakt i pchnięto do Indyjskiej wołości (gminy) bałagańskiego okręgu.

W Irkucku dowiedziałem się, że mój rodzony brat, Kornel, zesłany również na Sybir, przebywał na posieleniu w Irkucku u kupca Ilija Stepanowicza Kuźniecowa, jako zarządca sklepu, a obecnie jako plenipotent jego znajduje się w okręgu irkuckim, gminie Ojockiej, we wsi Tugutuja.

Podług rozporządzenia, wydanego przez ministra spraw wewnętrznych, miałem prawo być wysłanym do brata, ale pomimo starań mych i kupca, władza nie uwzględniła mego żądania i kazała mi jeszcze raz podać prośbę do generał-gubernatora, co też uczyniłem.

Nie otrzymałem jednak żadnej odpowiedzi, i musiałem wyjechać do Indyjskiej gminy. Dowiedziałem się później, że pułkownik Knobloch wystawił mi złe świadectwo za czas pobytu mego w Kadaji, za rozmaite prośby, wystosowane

do niego. To miało być głównym powodem, że mnie nie chciano zostawić ani w Irkucku, ani złączyć z bratem.

Na mieszkanie przeznaczono mi wieś Ołonki, położoną między górami na prawym brzegu Angary i po obu stronach do niej wpadającej rzeczki Ołonki.

Jest to wieś wielka, zabudowana wielkimi, porządnymi, drewnianymi, po części piętrowymi domami; ma po środku cerkiew również drewnianą, stojącą na małym placu, gdzie się kilka dość porządných sklepów znajdowało. Domy między Angarą i górami, dla braku miejsca ściśnięte, tworzą jakby jakie miasteczko z wieloma ulicami.

Zastałem tutaj wiele dawnych kolegów i znajomych z Pietrowska i Siwakowej, wszystkich razem w Ołonkach było nas 90 osób. A że chłopci tamtejsi po największej części majetni, więc z niechęcią przyjmowano nas do domów; mnie udało się wraz ze Zgórkim wynająć przechodni pokój u włościanina Duchnikowa za opłatą 3 rubli miesięcznie; była to, jak na wieś, dość pokaźna suma, osobliwie dla nas, nie mających żadnych środków do życia, ani widoków zarobkowania w przyszłości.

Zgórek rzutny, przedsiębiorczy i zdolny do wszystkiego, jął się zaraz szewstwa i krawiectwa, robił naszym ubrania i buty; babom trzewiki, a chłopom koty, jest to rodzaj butów z żółtymi cholewami z baraniej skóry.

Nasi, jak mogli, płacili gotówką, od bab brało się to jaja, to mleko, masło, mąkę, chleb, słowem wszystko, co tylko do natychmiastowego skonsumowania lub gotowania użyteczne było, albo spieniężyć się dało.

Ja wyrabiałem papierosy i sprzedawałem po sklepach i szynkach, dostawiałem roboty Zgórkowi i odnosiłem je; zająłem się też domowym gospodarstwem, gotowałem obiady i przyrządzałem herbatę rano i wieczór. Później przyuczyłem się roboty ciesielskiej, a raz przez tydzień piłowaliśmy ze Zgórkim tarcice. Próbowaliśmy także robót polnych, kosiliśmy i zgrabiali siano. Ta praca była dla nas najcięższą,

bo brakło nam do niej wprawy; trudno nam było iść w zapasy z ludźmi, przyzwyczajonymi od dzieciństwa do robót polowych, a że ambicya nasza wymagała nie pozostawać w tyle, uczuwaliśmy przeto po całodziennej takiej pracy okropne zmęczenie, wskutek czego nie byliśmy zdolni na drugi dzień do roboty świeżej.

Życie w Ołónkach, jak na wsi, było dość drogie, funt mięsa kosztował 8 kop., cukru 75 kop., 40 funtów razowej pszennej mąki 2 ruble, 40 funtów razowej żytniej 1 rubla 50 kop., ziemniaki na wagę również bardzo drogie, a tego wszystkiego trudno było dostać za gotówkę, bo chłop mając się dobrze, woli zawieźć zbywający produkt do Irkucka, oddalonego 86 wiorst, i taniej sprzedać. Trudy swoje i furmankę nie rachuje, rogatek i akczyzy nie opłaca, bo tego tam nie znają, a przytem najważniejsza dla niego, że wódka w Irkucku jest o wiele tańsza i lepsza, i zaraz na wstępie znajduje tam wielu przyjaciół w rodzaju okpiszów, chyhających na przybyszów włościan, spoiwszy ich obdzierają rozmaitymi sposobami z ostatniego grosza. Po kilku dniach wraca taki Sybirak goły jak turecki święty, z bolem głowy, niewyczerpany zato w przekleństwach rosyjskich, któremi po powrocie, rodzajem podarunku z miasta, obdarza hojnie żonę i dzieci.

Biedna żona obowiązana jest zaraz nastawić samowar, łaźnię napalić, a godny małżonek nakarmiwszy się do syta, naparzywszy się w łaźni, spoczywa sobie po kilkudniowych trudach podróży, przemyśliwując, aby to jak najprędzej wynieść się z domu do miasta.

Bardzo wielu było między nami, których los znajdował się w opłakanym stanie. Było najwięcej takich, którzy przez rodziców w domu wychuchani i wypieszczeni, nie przywykli do życia praktycznego, do żadnego rzemiosła, nie powiem żeby nie chcieli, ale wziąć się nie umieli i brak im było energii i silnej woli w postanowieniach, że ten lub ów niczem nie zrażony podejmie się w pewnym kierunku fizycznie

pracować, bo nauczycielstwem zajmować się nie było wolno, a pójść za parobka do włościanina nie tak to tam łatwo. Włościanin niechętnie przyjmował naszego brata, który nie-nawykły do takiej pracy, jak w polu robić, zboże żąć, młócić, siano kosić, grabić i t. p. roboty wykonywać, a jeśli gdzie była jaka fabryka, rozumie się tylko gorzelnia, które tam na wielką skalę są prowadzone, lub młyn w bliskości się znajdował, to i tam, kto chciał się za prostego parobka dostać, musiał do Irkucka o pozwolenie pisać, na które czekać trzeba było przynajmniej rok cały.

Władza irkucka w samym początku obiecywała nam rozmaite zapomogi, i tak: najpierw powiedziano, że przez pierwszy rok pobierać będziemy żołądu po 3 ruble miesięcznie; później, chcącym się zająć gospodarstwem dadzą po 55 rubli tytułem zapomogi, a 55 rubli jako pożyczkę. To wszystko była tylko obietnica w słowach pułkownika Kupienki, który przy generał-gubernatorze miał wydział spraw politycznych posieleńców.

Po naszym przybyciu do Ołonek przyjechał w dni parę sprawnik i wypłacił nam na dwa miesiące żołądu po 3 ruble, i to było wszystko, cośmy, zagraniczni, przez cztero-miesięczny nasz pobyt na posieleniu otrzymali. Co zaś do zapomogi, to kazano nam podać prośbę do gubernatora w Irkucku, co też uczyniliśmy i dostaliśmy odpowiedź, iż tylko wtedy możemy dostać zapomogę, gdy się już do gospodarstwa weźmiemy. Ale jak się tu brać do gospodarstwa bez grosza i z gołymi rękami? Prawda, że ziemi dawano ile kto chciał i gdzie chciał, potrzeba ją jednak było pierwej wykarczować i obrobić, co samemu jest niepodobieństwem; później trzebaby ją było obsiać, na co trzeba znów zboże zakupić, i cały rok żyjąc z gotowego, czekać na zbiór, który mógłby i wymarznąć, jak się to tam często przytrafia.

Puszczono nas, jak błędne owce bez najmniejszej pomocy, pomiędzy rozbójników, złodziei i pijaków Rosyan, gdyż tych do prawdziwych Sybiraków zaliczać nie można.

Ze wsi bez zezwolenia *starszyny* (wójta) nie wolno było na krok oddalić się, lub korespondencję prowadzić.

Każdy starszyna obowiązany był co miesiąca zdawać główny raport do okręgu o naszym zachowaniu się. Zabijać, kraść, rabować, prowadzić życie hulaszcze, było poczytane za dobre zachowanie się; żyć skromnie, pracować, schodzić się razem na pogadanki lub naukę i modlitwę, zaliczało się do złego zachowania, gdyż tacy, jak się Rosyanie wyrażali, byli najniebezpieczniejsi dla rządu.

Pod takimi to okolicznościami wysłano nas na tak zwane „posielenie“, odbierając prawie wszelką możliwość zarobkowania, i utrudniając nasz byt; bo oprócz tego nie było jeszcze wolno zajmować się otwarcie handlem, ani żadnym zajęciem biurowym, nawet prywatnym, jak u kupców po sklepach i fabrykach.

Pozostawało więc tylko pójść za parobka, a jeżeli przyjęto, to za bardzo lichem wynagrodzeniem, a często nawet li tylko za mizerną strawę i być narażonym na słuchanie rozmaitych komplementów rosyjskich, przeplatanych dowcipkami przeciw naszej narodowości, i być świadkiem popełnianych zbrodni i występków, których każdy Sybirak, bez narażenia swego sumienia dopuszcza się wszędzie i zawsze.

W Ołonkach było bardzo wielu zamożnych włościan, mających nietylko ładne gospodarstwa, po kilkadziesiąt sztuk koni i bydła, po kilkaset owiec, pomieszkania, równające się naszym dworkom szlacheckim; a w oddaleniu wiorst kilkunastu do kilkudziesięciu letnie mieszkania tak zwane *zaimki* (coś w rodzaju naszych folwarków); także nawet po kilkadziesiąt tysięcy rubli gotówką, a żaden z nich nie doszedł do tego drogą prawną lub pracą, tylko przez zbrodnie, o których, kto, gdzie i jak popełnił, wszyscy we wsi wiedzieli. Wiadomo to jest każdemu popowi, *zasidatielowi* (urzędnik policyjny) i wszystkim wyższym urzędnikom, że ci zamordowali przejeżdżającego bogatego kupca; inni poborcę podatków z pieniędzmi lub kasyera magazynów składowych wód-

czanych; tamci znowu rozbili pocztę, przyczem 4 ludzi konwojujących zginęło, i tym podobne zbrodnie i morderstwa.

Niedaleko Ołonek, bo zaledwie w odległości sześciu wiorst, co się w Syberyi bardzo rzadko trafia, była mała wieś Panamarowa o dwudziestu domach. Chłopi tamtejsi byli tak bogaci, że chłopi ołońscy zwykli mawiać: „Pomimo, że nasza wieś jest tak wielką i bogatą to panamarowscy kupiliby nas całkowicie, i jeszcze pozostałoby im na pohulanek“.

Był tam między nimi Sybirak, Popów, który wydał jedną córkę za sowietnika do Irkucka, dla drugiej zaś, nieszpętnej blondynki, szukał Polaka, dając jej w posagu 50 tysięcy rubli gotówką, i to nie fałszywych. Jednak pomimo ogólnej biedy i znacznej liczby naszych, nie znalazł się amator, któryby się złakomił na nieszpętą dziewczynkę i tych 50 tysięcy rubli, które Bóg jeden może wiedzieć, jakim sposobem przysporzone zostały.

Znając dobrze tamtejszego popa, jednego z księży pokolenia młodszego, wykształceńszych, a nie pijaków, i żyjąc z nim bliżej, bywaliśmy nawzajem u siebie, i przegawędziiliśmy razem niejedną noc; gdyśmy się go pytali i dziwili jemu nawet, że on, jako człowiek prawy, wiedząc o wszystkich we wsi popełnionych zbrodniach, i widząc ciągle nowe powtarzające się, nie zawiadomi o tem władzy, rzekł:

— Myślicie, że władza o tem nie wie, wie ona lepiej od nas wszystkich, ale lepiej uniknąć pracy i niepotrzebnego pisania, które do niczego nie doprowadzą, gdyż zbrodniarze chętnie dzielą się ze swoją zdobyczą; z drugiej zaś strony, choćby tutejsza władza okręgowa wzięła się z energią i przeprowadziła rzecz sumiennie, to z pewnością wyższa władza w Irkucku kazałaby sobie dobrze zapłacić, i dla braku dostatecznych dowodów i z innych powodów uwolniłaby, więc sami przyznacie, że sąd okręgowy byłby głupi, gdyby odpychał od siebie zarobek kilku, a czasami i kilkunastu tysięcy rubli, które zawsze ktoś weźmie, a stan rzeczy nie zmieni się.

Rozboje i złodziejstwa w tych stronach powtarzały się często i nie było ani jednego tygodnia, żeby nie znaleziono w bliskości wsi kogoś zamordowanego.

Jak tam zabójstwa są rozpowszechnione, najlepszym dowodem, że w każdej gminie pobudowane za wsią domy, tak zwane „letniki“, szczelnie zamknięte, co zima świeżym lodem napełniane, i pilnowane przez wiejską straż. Służą one do przechowywania zamordowanych, dopóki nie zjedzie komisya, która dla ciągłych czynności i wielkich obszarów przybywa najczęściej dopiero po roku. Ale zdarza się po większej części, że gdy znajdą zamordowanego w rejonie pewnej wsi, to starszyna każe go pochować tajemnie, aby uniknąć pisaniny i kosztów podróży komisji, które zawsze gmina opłacać musi.

Złodziejstwa w samej wsi wykonują się nietylko między obcymi, ale zdarzają się i między swoimi. Największą chrapkę mieli na naszych, którzy skromnie i regularnie żyli i czysto się ubierali; a że tam po ubraniu sądzą człowieka, więc każdy z włościan był przekonany, że u Polaków pieniędzy jak lodu. Prawda, że wielu między nami było ludzi majątnych, którzy z kraju znaczne zasiłki odbierali; ale nikt ich nie składał, bo muszę na naszą chlubę powiedzieć, że w Ołonkach panowała między naszymi jedność, zgoda i braterstwo; jeden drugiemu o ile go starczyło pomagał, dzieląc się nieraz ostatnim groszem, czy to z kraju odebrany, czy też ciężko zarobionym. Bojaźń Rosyan przed nami, chroniła nas od kradzieży, a gdy kto pytał: „Dlaczego nie poszukasz szczęścia u Polaków?“ odpowiadali: „Bo Polacy biją mocno“. Zdarzało się, że złapawszy złodzieja na gorącym uczynku, oddawaliśmy go starszynie, który go zaraz wypuszczał; później zaś schwytawszy takiego pana, objaliśmy go porządnie, że na długie miesiące odeszła mu chętką szukać szczęścia u Polaków.

Żył między nami w Ołonkach Manasterski, Ukrainiec, syn bogatych rodziców, akademik kijowskiego uniwersytetu;

ten odbierał często z domu znaczniejsze sumy, i miał przy sobie przyjaciela Bejnarowicza, kolegę z uniwersytetu.

Byli to ludzie nadzwyczaj wesołego usposobienia, lubiący się bawić i czasami po ukraińsku pohulać sobie, przyciem koledzy w całym tego słowa znaczeniu i najlepszego serca. Będąc jeszcze razem w Siwakowej trudnili się z konieczności krawiectwem. Rozumie się, gdy flota rubli nadpłynęła, wtedy krawiectwo — nie tak jak to u nas mówią „szło pod stół“, ale pod sufit.

Odebrawszy pieniądze, Manasterski zaprasza kolegów na pogrzebanie przyrządów krawieckich, sprawia sutą wieczerzę, przy której po stosownem przemówieniu pakuje się przyrządy krawieckie, jak żelazko, nożyce, deski do prasowania i inne części, i z wielką okazałością zawiesza się na suficie w pośrodku izby; a gdy ostatnia dwudziestopięciurublowka poszła w świat, zapraszają się znowu goście i przy wieczerzy i przemówieniu, krawiecczyzna zdejmuje się z pod sufitu, przeprasza się ją uroczyście, i już na drugi dzień Manasterski z Bejnarowiczem pracują od świtu do ciemnej nocy, obszywając całą wieś, biorąc wszystko od chłopów i bab, co się tylko wziąć da. Otóż ten Manasterski odebrawszy z domu 500 rubli, zabiera się z Bajnarowiczem do gospodarstwa, kupują sobie konia i telegę (wóz rosyjski) na żelaznych osiach, koła kute mocno tak zwanemi tam podwójnemi szynami, które dla wysokiej ceny między chłopami tamtejszymi mało są używane. Koła te niezmiernie podobały się ołońskim chłopom, przychodzili, oglądali i nie mogli się nachwalić dobroci kół. Pewnego razu Manasterski z kolegą wyjechali w pole dla oglądania zasiewów i późno już wieczór przy pochmurnem niebie wracali do domu. Już w samym środku wsi, a niedaleko swego mieszkania wstąpili do kabaku, mając jakiś obrachunek z gospodarzem. Jako ludzie przezorni i znający się na złodziejskich sztukach Rosyan, uwiązali konia pod samem oknem, aby go z ócz nie wypuścić. Zabawiwszy małą chwilkę, wychodzą, odwiązują ko-

nia, a że było dobrze ciemno, spostrzegają dopiero gdy chcą wsiąść na wóz, że telega leży na ziemi bez kół. Ze zdumieniem spoglądał jeden na drugiego, pytając się nawzajem „a to co?“, gdyż zaledwie minut parę zabawili w kabaku, a kół już nie było. Dali znać natychmiast naszym, którzy się zaraz rozbiegli szukać kół po całej wsi, ale pomimo starannego poszukiwania i ofiarowania starszynie 25 rubli jak się znajdą koła, przepadły, i chociaż starszyna rad był dostać 25 rubli, to jednak zaraz nam oświadczył, że szkoda zachodu, bo koła się nie znajdują.

Innym razem poszliśmy ze Zgórkim w odwiedziny do naszego kolegi, jeszcze z oddziału Jana Zaremby. Wracając do domu wcześniej niż zwykle, spostrzegliśmy w domu, gdzie mieszkaliśmy, od strony naszej okno otwarte, gospodarstwa nie było, bawili na swoich zaimkach. „Ano coś się stało u nas — zawołał Zgórek — musiał być złodziej, ale bądźmy cicho, może jest jeszcze.

Podeszliśmy pod okno i usłyszeliśmy szmer.

— Jeszcze jest — rzekł do mnie Zgórek — idź z kluczem do drzwi i otwieraj po cichu; ale weź ze sobą pałkę i bądź ostrożny, a ja stanę w oknie.

Podszedłem do drzwi, włożyłem klucz i nagle otworzyłem, w tej samej chwili okazał się i Zgórek w oknie. Spostrzegliśmy zaraz znanego nam chłopca, przewracającego coś spiesznie w stoliku. Zapewne szukał większych pieniędzy, bo na jego szczęście na wierzchu stołu leżało kilkanaście kopiejek.

— Co tu robisz? — krzyknęliśmy prawie równocześnie.

Chłop podniósł się, spojrzął na nas i odpowiedział z najobojętniejszą miną.

— Przyszedłem w gości.

— Jakto w gości oknem, tak późno, wieczorem?

— Jak mogłem wejść drzwiami, kiedy były zamknięte, myślałem, że jesteście w domu, dlatego wszedłem oknem, które nie było dobrze zamknięte.

Na taką bezczelną odpowiedź Zgórek wskoczył do izby, złapał chłopca za barki, i zaczęliśmy go we dwóch należycie okładać. Chłop się prosił, że on nic nie winien, że on nie złodziej, że on nasz wielki przyjaciel. Nie zważając na jego gadaniny i na jego przyjaźń dla nas, dawszy dobrą nauczkę, wyprosiliśmy gościa od siebie już nie oknem ale drzwiami. Jeszcze był tak bezczelnym, że nas nazajutrz już nie wieczór, ale w dzień i to drzwiami odwiedził, i za wczorajszą awanturę przeproszał, uniewinniając się, że dlatego wszedł do nas jako gość oknem, bo był nieco podпиты.

Jeszcze w początkach czerwca dowiedzieliśmy się, że wyszedł carski manifest w rozległym znaczeniu, a między innymi z ustępem: „że wszyscy obcokrajowcy bez różnicy powracają do swych rodzinnych krajów“.

Radość dla nas była nie do opisania, cieszyliśmy się jak dzieci, że raz przecie po tak długim oczekiwaniu, po tylu przejściach zabłyśnie nam nadzieja rychłego oglądania naszej ziemi, naszego kraju kochanego, naszej ojczyzny, że będziemy mogli uścisnąć i przycisnąć do stęsknionego serca naszych najmilszych pozostałych w kraju.

Z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy tej upragnionej, błogiej chwili, w której nam tę radosną nowinę urzędnie ogłoszą, i w drogę do kraju wyszlą.

Przedtem jeszcze odebrałem od mego brata, Kornela, list, z ubolewaniem, że się nie mógł ze mną widzieć w Irkucku, że chciałby do mnie przyjechać, ale obecnie pilne zajęcia nie pozwalają mu użyć tej przyjemności, spodziewa się jednak mnie wkrótce odwiedzić i ma dla mnie u jednego z kupców przepyszne miejsce.

Nie mając nic lepszego do roboty, namawiam kolegę Henryka Chowańca, Galicyanina, aby mi w podróży do mego brata towarzyszył. A że to było latem, pogoda prześliczna, Henryk się zgodził. Bierzemy od starszyny na ośm dni pozwolenie, i puszczamy się piechotą w drogę do Tugutui 128 wiorst (przeszło 18 mil) odległej.

Przy cudnej pogodzie wyruszyliśmy o godzinie trzeciej rano, do 40 wiorst szliśmy traktem, później leśnemi i górzystemi drogami do Ojoka. Przechodziliśmy przez kilka wsi, zdybując wszędzie naszych dawnych znajomych i nieznanomych, którzy z tradycyjnie polską gościnnością nas wszędzie na odpoczynek i posiłek zapraszali.

Pierwszego dnia zrobiliśmy 85 wiorst i nocowaliśmy u naszych kolegów pod Ojokiem. Wstaliśmy bardzo rano, a podziękowawszy za gościnność, ruszyliśmy dalej. W oddaleniu kilkunastu wiorst od Tugutuji, zdybaliśmy przy wrotach wsi Jałowce jadącego naszego wózkem i jednym koniem. Ledwie zdołałem przypatrzeć się, kto to może być, gdy wózek nagle staje, właściciel z niego wyskakuje i rzuca mi się w objęcia. Był to mój brat, którego po pięcioletniem przeszło rozstaniu przyciskałem do mego serca, płakaliśmy i śmialiśmy się z tej wielkiej radości. Kornel, który jechał do młynów Kuźniecowa zaraz zawrócił. Przejeżdżając przez wieś Kojady, wstąpiliśmy do kolegi a jego przyjaciela, Litwina Korbuta, naówczas poety, trudniącego się tam handlem, który nas po litewsku boćwiną i kołdunami przyjął. Pożegnawszy serdecznego Korbuta, pojechaliśmy do Tugutuji, głównej siedziby mego brata, gdzie cztery dni przebyliśmy razem, opowiadając sobie nawzajem o przejściach i o naszej drogiej rodzinie. Ja zabrałem ze sobą moje listy, otrzymane z domu i z kraju, on mi zaś pokazywał swoje, które jak relikwie przechowywaliśmy, nosząc w skórzanej torbie na piersiach.

Brat mój był plenipotentem kupca Kuźniecowa z Irkucka i mieszkał obecnie w Tugutuji, gdzie Kuźniecow miał swój sklep i rozległe gospodarstwo. Kornel miał bardzo wiele zajęcia, bo nie tylko gospodarstwem i sklepem musiał się zajmować, ale oprócz tego, gdy Kuźniecow zawarł ze rządem kontrakt o dostawę zboża i mąki na Amur, musiał zboże zakupować, które mielono w młynach i potem gotową mąkę odstawiano do Irkucka, a do tego miał tylko jednego po-

mocnika naszego Kompita, który naówczas znajdował się przy sianokosach, odległych 60 wiorst od Tugutuji.

Z początku brat mój przechodził na posieleniu ciężkie koleje losu; on i kilku jego kolegów pocztywali sobie za wielkie szczęście, gdy mogli dostać miejsce prostych robotników w młynie, pracując 16 godzin dziennie bardzo ciężko, bo dźwigając worki ze zbożem i mąką. Później udało mu się z Franciszkiem Leszczyńskim bez ręki, obecnie kupcem w Tarnowie, przy pomocy Kuźniecowa, który dał im towar na kredyt, założyć sklepik we wsi. Dzięki Kuźniecowskiemu położenie ich o tyle polepszyło się, że nie pracowali tak ciężko, i do tego mogli jeszcze dać zajęcie kilku naszym. Kuźniecow od czasu do czasu zajeżdżał do naszych, podziwiał ich pracowitość, staranność i skrzętność, i tak upodobał sobie mego brata, że zaproponował mu pod bardzo korzystnymi warunkami miejsce w głównym składzie w Irkucku, zapytując go przedtem, czy jest biegły w piśmie rosyjskiem, a gdy mu brat oświadczył, że jako Galicyanin nie miał sposobności w szkołach uczyć się po rosyjsku, ale w Syberyi już się nieco poduczył, zabrał go ze sobą do Irkucka. Tutaj brat wziął się energicznie do pracy, w dzień pracując w sklepie, po nocach zaś ślęcząc nad rosyjskim językiem. I poszczęściło mu się, bo gdy Kuźniecow po miesiącu oświadczył mu, że chce jemu oddać prowadzenie sklepu i korespondencyi, mógł tę pracę przyjąć z czystym sumieniem. Wkrótce Kuźniecow, poznawszy bliżej mego brata, oddał mu do prowadzenia cały swój interes, a otoczywszy się samymi Polakami, zwykł był mawiać, że dopiero teraz po dwudziestu latach pracy, spokojnie zasypia, bo wie, że nie jest okradany.

Stosunek Kuźniecowa do mego brata był serdeczny, przyjacielski, i gdy zagraniczni uzyskali powrót do kraju, Kuźniecow wszelkimi sposobami starał się nakłonić brata mego do pozostania, ofiarując bardzo korzystne warunki, a gdy i te nie wywierały pożądanego skutku, chciał go wkońcu

uczynić współnikiem, ażeby tylko nadal mógł go zatrzymać przy sobie. Ale niczem w świecie niktby nie skłonił żadnego z nas do pozostania w Syberji; bo taka tęsknota ogarnęła nas za krajem, że gdyby nie ustawiczna praca, która myśli nasze odciągała od kraju i wspomnień rodzinnych, przyszyłoby chyba oszaleć z rozpacz, niepewności powrotu do kraju, przez co wielu już popadło w to nieszczęście.

W ogóle kupcy irkucy dobijali się o Polaków, bo znaną była pracowitość i rzetelność tychże w całej Syberji.

Zrobiwszy w półtora doby ośmnaście mil pieszo, byliśmy z Henrykiem bardzo zmęczeni i podbici kamienistą drogą, ale już po czterech dniach byliśmy tak zwawi, że mimo usilnych prośb mego brata, postanowiliśmy drogę z powrotem tożsamo pieszo odbyć, i drugiego dnia wieczorem zmęczeni na ciele, ale pokrzepieni na duchu i z kieszenią rublami przez mego braciszka napełnioną, stanęliśmy w Ołonkach, witani serdecznie przez naszych współtowarzyszy niedoli.

Przybywszy do domu zastaliśmy w urzędzie gminnym już drukowany manifest z poleceniem, aby od wszystkich zagranicznych znajdujących się w Ołonkach odebrać pismną deklarację, czy zamyślają wracać do kraju kosztem rządowym, czy na swój własny koszt. Podróż z Irkucka do Warszawy przy wielkich oszczędnościach we trzech razem, kosztuje na jedną osobę około 400 rubli. Suma to była dla każdego z nas śmiertelników tam majątkiem, więc mogliśmy marzyć tylko o jeździe na rządowy koszt, a znając już po części prawa więźniów rosyjskich, byliśmy pewni, że jako ludzie wolni w pełni nam przysługujących praw, będziemy wysłani jak najprędzej; tymczasem czekaliśmy jeszcze bardzo długo, a to z powodu opieszałości w wykonaniu manifestu, dzięki złośliwości i złej woli sprawnika okręgu bałagańskiego, z którym nam bliżej zaznajomić się wypada.

## II.

### Sprawnik bałagańskiego okręgu, renegat Wielohorski.

---

Organizacya gminna. Podatki. Sprawnik. Komitet opiekuńczy. Zapomogi. Kupienko. Wybiegi Wielohorskiego. Dostawa owsa. Roboty przy drogach. Grabieże włościan. Demoralizacya rosyjska. Metresy Korsakowa. Opłacanie naczelników. Sprawozdanie powiatowe. Zaręczyny. Dostawa zboża. Popi. Poświęcanie domów. Cuda. Czynnownicy.

Sprawnik jest naczelnikiem okręgu (powiatu), ma nieograniczoną władzę, bo jest naczelnikiem administracyjnym i sądowym, i w Syberyi, gdzie jego okręg równa się co do obszaru niejednemu wielkiemu europejskiemu państwu, można śmiało powiedzieć, jest panem wszechwładnym, rządzącym mieniem i życiem ludzkim.

Okręg każdy dzieli się na gminy (wołości), gminy na uczałki, te zaś na sioła.

W każdej gminie jest jeden urzędnik policyjny, zwany *zasidatielem*, płatny przez urząd. Wydział administracyjny bywa co trzy lata wybierany przez całą gminę. Naczelnik gminy nazywa się *gołowa*, i ma pod sobą dwóch kandydatów *wołośnych* (pomocników), potem jest starosta, i ten sprawuje funkcję poborcy podatkowego i często równocześnie jest i sędzią *mirowym*, mając dodanego pomocnika (kandydata). Ucząstek wybiera tożsamo co trzy lata ze swego grona starszyny, który ma pomocnika starostę do zbierania po-

datków, a każda w ucześnieku wieś wybiera dla siebie kandydata, rodzaj naszego wójta.

Wszyscy ci niby to większością głosów przez ogół wybrani, są po prostu figurami sprawnika, które mu się grubo opłacać muszą, i razem z nim okradają swoje gminy i wsie; pomimo to, że pochodzą z grona włościan, i razem z nimi piją i hulają, są jednak u nich w wielkiem poszanowaniu.

Jeżeli taki *gotowa* lub urzędnik gminny przyjeżdża do ucześnieku lub wsi, to *starszyna* i wszyscy obok niego stają z odchyleniami głowami, a taki urzędnik nietylko ma prawo bić po twarzy naczelnika ucześnieku lub wsi, ale często każe ćwiczyć różgami wszystkich, którzyby się dla niego okazali bądź niegrzecznymi, bądź też sprzeciwiali się choćby niesłusznym jego żądaniom.

Ci wszyscy wybierani dygnitarze nie umieją ani pisać, ani czytać; przeto gmina utrzymuje kancelaryę na czele z pisarzem *wołośnym* (gminnym) i z wieloma pisarzami. Pisarza takiego, tożsamo figurę sprawnika, utrzymuje gmina, płacąc mu w wielkich i bogatych gminach do 3.000 rubli rocznej pensyi. W niektórych gminach obowiązany jest on swoim kosztem utrzymywać pisarzy.

Łapowe takich pisarzy są bardzo znaczne i przewyższają o wiele pobieraną roczną pensyę. Musi on też ciężko opłacać się sprawnikowi, a jednak w kilku latach pisarz taki staje się bogatym kupcem lub właścicielem kopalni złota.

Każdy włościanin, czy to biedny, czy bogaty, opłaca rządowi 3 ruble podatku od duszy męskiej. Opłaty gminy są bardzo znaczne, zastosowane do bogactwa i dobrobytu włościan, a oprócz tego są jeszcze różne ciężary gminne, jak naprawa dróg, dostawianie rządowi furmanek, stróżów i t. p.

W okręgu bałagańskim, największym i najbogatszym w całej Syberyi, zwanym spichlerzem miasta Irkucka, nadzwyczajne podatki dochodzą do sum bajecznych.

Wielohorski, były Polak, pochodził z biednej rodziny, mieszkającej na Białej Rusi. Nie ukończywszy szkół, nie

posiadając przeto żadnych nauk, podał się w bardzo młodym wieku na urzędnika w Sybir, gdzie przebywał jako zasidatiel lat kilkanaście po różnych miejscowościach; będąc nadzwyczaj uniżonym i nadskakującym dla swoich przełożonych, a do tego gorliwie przychylny carskiemu rządowi, umiał sobie zjednać jego zaufanie, wszędzie go też protegowano i wyszczególniano, a gdy przeszedł jeszcze na prawosławie, został w opróżnione przez sprawnika Izmaïłowa miejsce, sprawnikiem najlepszego i najintratniejszego okręgu bałagańskiego.

Łakomy dostojęństw i chciwy bogactw wziął się z całą gorliwością do okradania nietylko włościan, ale i dwóch tysięcy Polaków, zostających na posieleniu w jego rozległych obszarach. Najwięcej włożył za skórę zostającym pod jego władzą Polakom. Ażeby się wykazać przed władzą, że on, chociaż był Polak z polskiem nazwiskiem, nie cierpi tego rodu polskiego, starał się nam jak najbardziej dokuczać i nietylko, że utrudniał nasz byt rozmaitymi przez niego dla lepszej nas kontroli wymyślanymi środkami, ale okradał nielitościwie, zabierając przez wyższą władzę przeznaczony żołąd i jednorazowe zapomogi.

W roku 1868 ze wszystkich kopalń przybyło nas do okręgu bałagańskiego około 1000. Generał-gubernator celem ulżenia w czynnościach gubernialnemu rządowi, mianował komitet opiekuńczy dla zesłanych więźniów politycznych i postawił swego zastępcę generał-porucznika Szałasznikowa na czele tegoż, dodając mu do pomocy pułkownika Kupienkę, któremu to właściwie powierzone zostały wszystkie nasze sprawy. Udaliśmy się przeto prosto do Kupienki, przedstawiając nasz opłakany stan, że wyszedłszy z robót po przeszło pięcioletniem więzieniu, jesteśmy pozbawieni środków niezbędnych do codziennego życia. Kupienko odpowiedział, że już przedtem wszedł w nasze położenie i polecił Wielohorskiemu, aby nam z góry wypłacił całoroczny żołąd po 3 ruble miesięcznie.

Mając takie zapewnienie Kupienki, udaliśmy się do Bałagańska do Wielohorskiego o wypłacenie nam przynależnego żółdu.

Wielohorski odpowiedział, że wprawdzie do niego przyszło rozporządzenie, aby nam wypłacił po 36 rubli rocznego żółdu, ale na to z Irkucka nie nadeszły pieniądze, a w kasie okręgowej niema, uznaje jednak nasze przykre położenie, bo wie o tem dobrze, że niektórzy nie mają nawet na kawałek czarnego chleba, dlatego powodowany litością, zalicza nam ze swych własnych funduszów po 6 rubli na poczet naszej należności i prosi o pokwitowanie odbioru.

A na zapytanie kiedy nam resztę i przeznaczoną zapomogę w kwocie 55 rubli wypłaci? – odrzekł — że nie wie, bo jak już nam powiedział, w kasie okręgowej niema pieniędzy; co zaś do samej zapomogi, to trzeba przedtem prowadzić gospodarstwo, a potem można się o nią upominać. Tłumaczyliśmy mu, jak można zaprowadzać gospodarstwo nie mając grosza w kieszeni, że gdybyśmy dostali na osobę 55 rubli, pozawiażywalibyśmy spółki w 4 lub 5 osób; a mając razem paręset rubli, z łatwością przyszłoby nam wziąć się czy to do karczowania lasów, czy też za gotówkę nabyć rolę, którą tutejszy chłop łaknący gotówki, osobliwie z wiosną chętnie sprzedaje za bajecznie taną cenę; wkońcu oświadczyliśmy, że nam pułkownik Kupienko wyraźnie powiedział, iż rozporządzenie co do wydania zapomogi posiełcom politycznym wysłał panu sprawnikowi.

Na to odpowiedział Wielohorski, że rozporządzenia jeszcze nie otrzymał i wątpi nawet, czy władza irkucka zdecyduje się tak prędko do wypłacenia nam zapomogi. Widząc, że Wielohorski nas okpiwa, posłaliśmy w sekrecie kolegę Sorokę, ucznia rosyjskiego uniwersytetu, jako delegata do Kupienki, aby się dokładnie dowiedział, jak się ma ta cała rzecz z naszą zapomogą.

Wkrótce powrócił Soroka z odpowiedzią, że nietylko mówił mu Kupienko, ale w zarządzie gubernialnym pokazy-

wali mu ekspedycję, że rozkaz o wypłacenie nam żołdu i równocześnie zapomogi przed paru tygodniami odesłano do sprawnika w Bałagańsku, a Kupienko nie chciał wierzyć, aby Wielohorski mógł takie niedorzeczności prawić, że w kasie okręgowej niema pieniędzy.

Z Ołonek do Bałagańska była daleka podróż, bo przeszło 100 wiorst, a że sprawnik objeżdżał obecnie swój okręg, postanowiliśmy na miejscu oczekiwać jego przybycia.

Niezadługo też nadjechał oczekiwany sprawnik. Udaliśmy się wszyscy do niego razem jak nas było 90, żądając aby nam wypłacił jeszcze przynależny żoład po 30 rubli i 55 rubli zapomogi na osobę. Przyjął nas bardzo grzecznie, ale co do zapomogi i żołdu oświadczył, że wprawdzie odebrał rozporządzenie wypłacenia nam przynależnych należności, ale dać nie może, bo na to niema pieniędzy, o czym już zawiadomił gubernatora, i spodziewa się, że potrzebne fundusze wkrótce nadejdą, dlatego uprasza nas o cierpliwość.

— Pan żądasz cierpliwości, a wielu z nas niema co jeść — odpowiedzieliśmy.

Na to dał nam dobrą radę, że niebawem zaczną się sianokosy i żniwa, będziemy więc mieli sposobność zarobkowania u chłopów.

Podziękowaliśmy za tę dobrą i szlachetną radę, o której nam było dobrze wiadomo, bo wiedzieliśmy, że Wielohorski nas dobrze zna, więc i wie, że prawie nikt z nas takich robót nie wykonywał, a zatem pierwszy zarobek będzie dla nas bardzo przykry, trudny, a pod względem finansowym bardzo drobny. Jeszcze raz nas solennie zapewniał, że pieniędzy niema i temi słowy pożegnał.

Wiedzieliśmy, że to był jakiś wybieg ze strony Wielohorskiego, bo jak mógł gubernator irkucki wydawać rozporządzenie wypłacenia pieniędzy, jeżeli wiedział, że w kasie okręgowej ich niema. Ale wtedy było już Wielohorskiemu wiadomo, że nas przeszło 60 zagranicznych z jego okręgu wyjedzie do kraju, więc będzie mógł za każdego 85 rubli

schować do swej kieszeni, a wkońcu było wielu takich, co z domu pobierając znaczne zasiłki, dla samego spokoju nie będą się upominać o kilkadziesiąt rubli.

Podczas ostatniego pobytu Wielohorskiego u nas, chcąc załagodzić niewydanie nam przypadającej należytości, wdał się z nami w rozmowę, pozwolił kilku naszym otworzyć sklepy, dał rozkaz starszynie, aby nam wydawał ośmiodniowe bilety do wyjazdu choćby w inny okręg, pozwolił nam przesiedlać się w okręg; radził, abyśmy sami nie korczo wali pola, gdyż taniej wyniesie kupować obrobione od włościan i rozmaite inne dawał nauczki, jak się mamy zachowywać wobec chłopów; a wszystko to niby z wielkiej dla nas przyjaźni i z najlepszego swego serca. Po wyjściu naszym zwołał chłopów i dawał wręcz przeciwne rozkazy: kazał nas dobrze pilnować, zakazał sprzedawać nam ziemi, mówiąc: „Niech pracują, niech korczą lasy i obrabiają pola; oni i tak tu długo nie będą, a rola czysta i dobrze obrobiona zostanie wam“. Zakazał starszynie dawać bilety do innego okręgu, a kupców tamtejszych namawiał, aby się wszelkimi siłami starali nam handel utrudnić, wyrażając się, że Polacy to są ludzie przebiegli, że przy nich schodzi się na żebraków...

Takie to rozmaite sztuczki wyrabiał z nami Wielohorski, a przekonawszy się, że umiemy upomnąć się o swoje, że żyjąc razem w koleżeństwie i zgodzie, jeden drugiemu dopomaga całym sercem, i że w danej potrzebie stajemy w zwartym szeregu, więc nie będzie mógł z naszej skóry ciągnąć wielkich korzyści, wziął się z podwójną energią do obdzierania włościan bałagańskich.

Wojskowa komenda irkucka potrzebowała kilka tysięcy pudów owsa, a gubernator powierzył dostawę bałagańskiemu sprawnikowi, ofiarując bardzo dobrą cenę. Wielohorski przyjeżdża do wsi Burieti, woła starszynę i rozkazuje mu dostawić 1500 pudów po nadzwyczaj niskiej cenie. Starszyna pokrobał się w głowę i powiedział, że u nich niema owsa.

Wielohorski na to nic nie mówi, jedzie do domu i daje rozporządzenie, aby wieś Burieti dostawiła natychmiast 90 ludzi i tyleż zaprzęgów do naprawy głównego krasnojarsko-irkuckiego traktu, leżącego na wschód, od Bałagańska 200 wiorst oddalonego.

Działo się to podczas sianokosów, gdzie dla braku ludzi i krótkości czasu każdy dzień jest bardzo drogi. Teraz dopiero poznał starszyna swój błąd i jak się wyraził, wolałby był dwa tysiące pudów owsa całkiem stracić, jak być wysłanym w takim czasie z całą wsią do naprawy dróg.

Cała wieś Burieti musiała przez trzy tygodnie być przy naprawie drogi, a najbiedniejszy gospodarz poniósł na razie kilkadziesiąt rubli straty, nieprzewidziane zaś w przyszłości. Inne wsie, widząc jaki los spotkał Burieti, dostarczyły owsa, a sprawnik schował do kieszeni po kilka tysięcy rubli.

W gminie Indyńskiej, która nosi nazwisko od przepływającej tam rzeki Indy, jest wieś Kamionka, stolica urzędu gminnego. Tam przy magazynach zbożowych były złe zamki. Na zakupno nowych zamków rozpisano podatek z głowy po 1 rublu, a że gmina Kamionka czyli Indyńska posiadała 9 tysięcy dusz, więc zebrano 9.000 rubli. Prawda, że kupiono bardzo dobre zamki, które już najwięcej po tamtejszych drogich cenach mogły kosztować 500 rubli, a więc 8.500 rublami podzielił się pan sprawnik z gołową.

W roku 1866, przy zaślubinach następcy tronu rosyjskiego z księżniczką Dagmarą, wyszedł manifest, kasujący wszelkie dawne zaległości w podatkach. Wielohorski otrzymawszy ten manifest nie ogłasza go, ale rozkazuje jak najprędzej i najenergiczniej ściągać wszelkie zaległości. Zabierano bydło, pościel, ulubione i niezbędne samowary; prawie wszystko, co wpadło w ręce poborców, wszystko to wystawiano na licytację, a zebrane pieniądze wpłynęły do kieszeni Wielohorskiego; musiała to być znaczna suma, kiedy tylko z jednego ucząstka ołońskiego ściągnięto 1.800 rubli, a w okręgu bałagańskim jest takich ucząstków około 50.

Po ściągnięciu zaległości odczytano chłopom manifest. Chłopi dopiero teraz poznali spryt swego sprawnika. Wielohorski nie kupił nigdy ani zboża, ani konia, ani krowy. Bydło musieli dostawiać mu darmo Buryaci, produkta zaś ziemne Rosyanie.

Jeśli miał gdzie przyjechać, to na tydzień przedtem dawał znać i całe chłopstwo, choćby najpilniejsza była w polu robota, musiało go oczekiwać. Każda wieś obowiązana była dla sprawnika i jego urzędników mieć stałe mieszkanie w najporządniejszym domu, które rocznie przez wieś było opłacane. Jeżeli sprawnik lub urzędnik zostawał już kilka godzin dłużej, to każdym razem jedna z najładniejszych dziewcząt, którą starszyna sprowadzał, musiała być na usługi tych panów. Żadna nie mogła się od tego obowiązku uwolnić, żadna prośba, żadne łzy nie pomogły, a w razie stanowczego oporu, który należał do rzadkości, sami rodzice dziewczynę zmuszają i sami prowadzą nieszczęśliwą ofiarę, obawiając się gniewu tych możnych a nikczemnych urzędników rosyjskich. Ten zwyczaj jest tam tak przyjętym, że starszyna lub kandydat podchodzi tylko pod okna domu, wywołuje głośno imię dziewczyny, i mówi do kogo ma się udać. Wszyscy we wsi wiedzą, gdzie dziś ta lub owa służbę przepędziła, a jeśli sprawnik lub który z jego siepaczy, był tak czuły, że na pożegnaniu wyszczególnił którą jakim podarunkiem, to powstaje zawsze wielka zazdrość między dziewczętami wsi. Tak jak w Rosyi wszystko ma swój porządek, tak i dostawa dziewcząt odbywa się po porządku i żaden dom nie może być ominięty!...

Demoralizacja pomiędzy ludem w Syberyi i całej Rosyi z powodu niewolnictwa i ciemnoty olbrzymia; zupełne kazirodstwo w rodzinach jest chlebem powszednim. Kąpanie się w łaźniach parowych, które znajdują się przy każdym domu, odbywa się wspólnie bez różnicy płci i wieku, bez wszelkiej żenady... Nieznajomy lub przybyły gość w dom idzie z całą rodziną do łaźni, a dla oznaki poszanowania

dziewczęta parzą, myją i wycierają gościa. Mężczyzna mając lat 18 żeni się, w 30 roku życia przez rozpustę staje się już niedołącznym; dlatego kobiety nie lubią tam mężczyzn ze zarostem, bo dla nich taki jest już *staryk*...

W guberniach: jenijskiej, irkuckiej i zabajkalskiej przechodziliśmy przez długie okolice, gdzie po wsiach całych panowały najstraszniejsze syfistyczne choroby; widzieliśmy tam całe rody bez nosów ze zgangrenowanymi twarzami, bez żadnej lekarskiej opieki. Ze wstrętem i obrzydzeniem, a zarazem chyba z litością tylko można się było tym nieszczęśliwym przypatrywać.

Takiemu ogólnemu zepsuciu rząd wcale nie zapobiega, owszem raczej przyczynia się do jego powiększenia przez swych dostojników. Bo to co się dzieje we wsi, dzieje się też samo po miasteczkach i miastach, tak w klasie niższej jak i średniej, tylko w daleko większych rozmiarach. Jeżeli taki generał-gubernator raczy swój łaskawy wzrok podnieść na jedną z dam miastowych, to nietylko, że to nie ubliża ani jej, ani mężowi lub rodzicom, ale są oni z tego dumni, i rozgłaszają to publicznie, aby u innych wzbudzić zazdrość o takie... wyszczególnienie! W całym państwie rosyjskim żadna żona lub córka jest skarbem, bo doprowadza do bogactw, dostojenstw i orderów...

Taki generał-gubernator nie zadawalnia się jednym „ideałem“, ma on ich zawsze w zapasie, i to najładniejsze żony i córki wysokich oficerów i urzędników, oraz bogatych kupców.

Generał-gubernator irkucki Korsakow, w gruncie człowiek nie zły, ale przesiąknięty nawskróś tamtejszym życiem, kawaler mający naówczas lat 40, urządzał się w tym względzie bardzo wygodnie. Każda z jego pań miała swoją barwę, gdy np. zapragnął dziś mieć u siebie kolor niebieski, to wtedy powiewała z pałacu gubernatora chorągiew niebieska, i było całemu miastu wiadomem, że dziś pani generałowa czy generałówna lub sowiećnikówna ta a ta jest gospodynią

domu u Korsakowa. Co to za radość, i co za szczęście bywa dla całej rodziny, że żona lub córka przepędza dzień dzisiejszy przy boku nieprawego syna cara Mikołaja.

Korsakow wychowany w Petersburgu w korpusie paziów a później w wojennej akademii, był adjutantem Murawiewa-Amurskiego, i gdy mu przypadło w udziale jako kuryerowi po zajęciu w roku 1854 kraju Amurskiego przez Rosyan zawieźć pocieszającą wiadomość do Petersburga, zrobił tę podróż w niesłychanie krótkim czasie, bo w 36 dniach na tak zwanych kuryerskich koniach, zabiwszy po drodze jednego pocztmistrza a trzech skaleczywszy, tylko z powodu opieszałości w wykonaniu obowiązków; zajechał na śmierć dwieście kilkadziesiąt koni, a ile nahajek porało grzbiety pocztylionów, tego toby już nikt nie doliczył.

Gdy przybył w nocy do Petersburga zastał cara Mikołaja na balu. Kuryer z depezsami ma rozkaz, że gdziebykolwiek car się znajdował, tam natychmiast po przybyciu depezę oddać musi. Korsakow wszedłszy do przedpokojów kazał się zameldować, a był tak znużony, że upadłszy na fotel zasnął twardym snem. Gdy car kazał go przywołać, nie było można Korsakowa dobudzić, Mikołaj zniecierpliwiony wpada do przedpokoju i widzi, jak jego świta stara się wszelkimi sposobami kuryera przebudzić, lecz napróżno, wtedy Mikołaj przybliżył się do Korsakowa i krzyknął z całej siły *Wasze błahrodie łoszati hotowe* (Wasza Wielmożność konie gotowe).

Na to czarodziejskie słowo zrywa się Korsakow, przeciera oczy, wyprostowuje się i przyszedłszy prędko do siebie, oddaje depezę z jedyną pocieszającą nowiną, którą Mikołaj podczas całej kampanii krymskiej odebrał. Dowcip cara, którym zaimponował całej swej świcie budząc Korsakowa, i radośna a szybka wiadomość spowodowały, że Mikołaj na miejscu mianował kapitana Korsakowa pułkownikiem. W roku 1860 był już Korsakow generał-porucznikiem, adjutantem carskim i generał-gubernatorem wschodniej Syberii.

Dawniej w Rosyi, gdy nie było jeszcze telegrafów ani dróg żelaznych, był osobny korpus oficerów kuryerów, których zadaniem było z błyskawiczną szybkością przewozić depesze z jednego krańca państwa na drugi. Na każdej stacji pocztowej były utrzymywane osobno tak zwane konie kuryerskie, przez komisję do tego oznaczoną wypróbowane. Kuryer taki leciał dzień i noc przywiązany pasami do kibitki; odpoczynek i pożywienie jego było podczas przeprzęgu koni, najczęściej w czasie tego zasypiał, a stereotypowa wiadomość: *Wasze błahorodie łoszati hotowe*, oprzytomniało kurjera. Wiedział o tem dobrze Mikołaj i doświadczył tego na Korsakowie.

Sprawnik Wielohorski był o tyle sprytny i mądry, że sam obdzierając chłopów, katując ich i demoralizując, nie zapominał o swych przełożonych. Regularnie co *treti* z dobrze wyładowanym, w srebro okutym i haftem przyozdobionym pugilaresem, wyjeżdżał do Irkucka i to do samego generał-gubernatora. Zdawał mu raport ze swoich czynności, a w dowód jak dobrze administruje oddany mu w zarząd okręg, zostawiał na stole spisane sprawozdanie z pugilaresem. Gubernator poznawszy rzetelną treść napchanego pugilaresu, inaczej go przyjmował, prosił siedzieć i kazał podać herbatę, a przy pożegnaniu zasłużonemu sprawnikowi podał rękę, i raczył nawet do drzwi swego gabinetu odprowadzić. Był to nie lada honor ze strony generał-gubernatora dla sprawnika.

Po takiej wizycie powracał Wielohorski do swojej stolicy Bałagańska pewniejszy siebie, okradając dalej nielitościwie biednych włościan i mieszczan, napychając swoją kieszeń i nowy pugilares dla swego przełożonego, i pojechał po raz drugi z takim samym sprawozdaniem. Gubernator był jeszcze grzeczniejszy, już ubolewał nad jego stanem kawalerskim i zaproponował mu korzystną partję; ładną i dobrze wychowaną dziewczynkę, jedną z jego dam kolorowych. I jak to biednemu sprawnikowi odpychać takie szczęście, i nie

żenić się ze znajomą gubernatora? Był to świetny interes tylko do pozazdrosczenia: Wielohorski też przyjął tę propozycję z uwielbieniem. Gubernator był jeszcze łaskawszy, odprowadził teraz aż do drugich drzwi i raczył go łaskawie zaprosić do siebie wieczorem na herbatę, gdzie będzie miał to szczęście poznać swoją przyszłą panią sprawnikową.

Wielohorski zachwycał się nad grzecznością, szlachetnością i dobrocią swego naczelnika, a w głowie jego przemykały się różne plany bogactw, dostojenstw; pełna pierś orderów, i umyślił sobie nowy projekt napełnienia swej kieszeni i trzeciego pugilaresu dla dostojnego przełożonego. Generał był bardzo grzeczny, a panna dla przyszłego mężulka nadzwyczaj uprzejmą, nadskakującą, a w oczach sprawnika zachwycającym aniołem. Pożegnanie było bardzo serdeczne, a nawet czułe.

Wielohorski ożywiony nowymi nadziejami, zaszczycony tak wielką łaską, zostania kiedyś mężem jednej ze znajomych pań gubernatora, zwołał do siebie wszystkich urzędników miasta i gmin, jakoteż bogatszych kupców i wybitniejszych mieszczan; opowiedział im, jaki go zaszczyt spotyka, że generał-gubernator jest bardzo zadowolniony z okręgu bałagańskiego, i upoważnił go, aby w imieniu jego złożył mieszkańcom podwładnego mu okręgu podziękowanie za wzorowy porządek i podniesienie dobrobytu.

Ale przytem równocześnie wydał sprawnik rozporządzenie na dostawę kilkadziesiąt tysięcy pudów żyta do rządowych magazynów po cenie 70 kopiejek za pud, gdy naówczas pud żyta dochodził do 1 rubla i 30 kopiejek. I nie czekając na odpowiedź tem ogłoszeniem zdumiałych obecnych, dał zaraz rozporządzenie, wiele każda gmina ma dostawić. Na gminę Indyńską wypadło 10.000 pudów. Zboże dostawiano prędko, za które generał-intendent zapłacił po 1 rublu, z jednej więc tylko gminy Indyńskiej miał sprawnik 3.000 rubli czystego dochodu, a do tego łaskę i przyjaźń generalnego intendenta, który toż samo miał kilka tysięcy rubli zysku.

Takimi to sposobami ustalał sobie Wielohorski byt materyalny i niezachwiane stanowisko tak wobec generał-gubernatora jak i innych dygnitarzy; a przyznać musimy, że miał do tego niepospolity dar. Zbierał ruble, z których jedną częścią zabezpieczał swoją osobę na przyszłość, drugą zaś poświęcał dla przychylnego sobie zjednania swych przełożonych.

Po roku panowania w Bałagańsku zaczął Wielohorski częściej bywać w Irkucku, składając każdym razem najuniżeńsze uszanowanie swemu naczelnikowi. Ten raczył go nawet odwiedzić, a z nim inni wyżsi dostojnicy i dygnitarze cywilni i wojskowi. Mieszczanstwo i chłopstwo widząc, jakie to grube ryby bywają u ich sprawnika, zaczęli go się bardziej obawiać, byli grzeczniejsi i uleglejsi, co Wielohorski umiał użyć na swoją korzyść, i był coraz więcej wymagającym. Małemi łapówkami już się nie zadawał. Wymyślał rozmaite podatki, reperacye dróg okręgowych, przymuszanie Buryatów do stałych siedzib, zaprowadzanie szkółek ludowych po wsiach, i inne tym podobne figle, jako łapki na ruble. Pomimo wygórowanego podatku na szkoły, nietylko że tych nie zakładał, ale oświacie ludowej był wręcz przeciwny, bo jeśli który z włościan lub mieszczan chciał kształcić swe dzieci, i dla zupełnego braku choćby tylko czytać umiających Rosyan, przyjął za nauczyciela Polaka, dając mu miżerne życie i jakiego rubla miesięcznie, to aby tylko nam dokuczyć i ten lichy zarobek odjąć, nakładał na nich pieniężne kary i pod największą odpowiedzialnością naczelnika wsi zabraniał naszym uczyć dzieci, czego w innych okręgach nie robiono. Na reperacye dróg nie wydawał ani grosza, bo do tego o kilka set wiorst spędzał włościan, nie bacząc czy to czas roboczy czy też zima. Czas roboczy w Syberyi jest bardzo drogi, bo trwa tylko cztery miesiące od czerwca do września, przez ten to krótki czas chłop musi pole obrobić, zasiać i zebrać, i paszę na długą zimę dla licznego bydła przygotować, do tego odległość pól do 20

wiorst, a łąk do 80 wiorst, utrudnia wielce roboty. Na sianokosy wyjeżdża gospodarz, lub jego żona z najemnikami, zabierając ze sobą żywność na parę tygodni. Zimą zaś robotą przy drogach dla silnych mrozów jest bardzo mozolna, ciężka, bo pierw muszą narąbać stopy drzew, które zapalają dla ogrzania ziemi, co jednak niewiele pomaga i potrzeba naprzód kilofami rozbijać ziemię, która zimą jest twardą jak skała.

Takimi i różnymi innymi represyjnymi środkami wydobywał Wielohorski ostatni grosz od mieszkańców okręgu Bałagańskiego, którzy gnębieni i obdzierani szukali pociechy i ratunku w gorzałce.

W żadnym okręgu nie było tyle składów wódczanych, tyle *kabaków* co w Bałagańskim. Sama wieś Ołonki licząca 900 dusz męskich miała 43 karczem, a we wszystkich tych przez całą dobę było ludno i gwarno. Każdy taki szynk (*kabak*) opłaca się sprawnikowi i gołowie, a tamtejsi karczmarze znani są jako ludzie najgorszego prowadzenia; są to najwięksi złodzieje i rozbójnicy.

Najlepiej daje się to widzieć w miesiącu grudniu, gdy chłopstwo powróciwszy ze swych *zaimek* do wsi, ma zboże w spichrzach złożone. Wtedy to gospodarz, gospodyni i ich dzieci, każde z osobna wynosi pokryjomu zboże do *kabaku*, oddając prawie darmo za wódkę. Każde z nich przesiaduje w osobnej karczmie, najczęściej chłopci razem, a ich matki z żonami i córkami w innym szynku, toż samo razem, racząc się po całych dniach *sztójami* (kwartami) tego drogiego, dla zdrowia i kieszeni szkodliwego trunku.

Oprócz tego gospodarz zaciąga jeszcze długi, a żona jego, co przez lato zaoszczędziła na *zaimkach* w kurach, maśle, jajach, serze, lnieniu, wynosi teraz to wszystko do *kabaku*.

Dopiero po zapustach wykazuje się opłakany stan ludności. Spichrze próżne, w sklepach, *kabakach* pełno długów, i wtedy to zaczynają się narzekania na ogólną biedę; chłopci zamiast zboża, młóćą swoje żony, a te znowu swe

dzieci. Schodzą się razem kobiety, żalą się i narzekają na swych mężów, a pochowane ostatki wynoszą pokryjomu do *kabaku*, zapijając ten gorzki żywot.

Przez cały post żyją nędznie, suchym chlebem, popijając czystą herbatę lub kwas, i pracują ciężko. Gospodarz bierze się do furmanek, jedzie z karawanem kilka tysięcy wiorst, dostawia do fabryk wódczanych to samo zboże, które z żoną i dziećmi nosił do kabaku i za bezcen przepijał; teraz tą dostawą wypłaca się z zaciągniętych długów, żona z dziećmi siedzi w domu, przędzie len, wyrabia płótno, zbiera masło, ser, ażeby na święta Wielkanocne spieniężyć i móż parę dni w szynku pohulać do syta.

Z wiosną wyjeżdża wszystko na zaimki, we wsi zostają tylko starzy i małe, do pracy niezdolne dzieci. Wieś sybirska już sama przez się jest smutną, niema ani jednego drzewa, ani jednej zielonej gałązki, zarzucona gnojem, którego tam do uprawy roli nie używają, lecz najczęściej na brzeg rzeki wynoszą, a ta go z wiosną zabiera.

Zima tam jest bardzo ciężką, a mróz 30<sup>o</sup> R. igraszką, ale zato we wsi gwarno i wesoło, i niema ani jednego wieczoru, aby w takiej osadzie, jak np. Ołonki, nie było w kilku domach urządzonych wieczorynków, śpiewów, tańców, pijatyk, a z tego i rozpusta; młodzież zasiada na ławach, znajdujących się w około izby, a płeć piękna usadawia się na ich kolanach.

Lato jest krótkie, ale bardzo dotkliwie. Panują tam okropne upały, ziemia pęka z gorąca; do tego panuje tam taka ilość muszek: komarów i tak zwanych tarakanów, że pierwsze swemi rojami zaciemniają słońce często. Po wsiach palą gnój, a powstały z tego dym nieznośny, odgania dokuczliwe owady. Największa ilość muszek jest w gubernii Krasnojarskiej. Ludność wychodząc do roboty w pole używa włósiennych masek na twarz, kobiety i mężczyźni noszą skórzane spodnie, u dołu szczelnie obwiązane, reszta zaś ciała, jeśliby nie mogła być dobrze okrytą, musi być wysmarowaną mo-

cno dziegziem. Najwięcej cierpi przez to bydło, które tylko nocną porą paść się może, i tak jest przyzwyczajone, że przy wschodzie słońca przybiega samo do wsi i chroni się pomiędzy dymiący gnój. Włóścianin udający się w podróż, musi całego konia i siebie dobrze dziegziem wysmarować, a pomimo tych środków ostrożności, zdarzało się nam nieraz widzieć bydło, mające boki do kości poobjadane; często się trafia, że gdy jaka sztuka bydła na pastwisku w lesie zabłądzi, to ją muszki literalnie na śmierć zagryzają.

Bóg, który mieszkańców Syberyi na takie ustawiczne dolegliwości codziennego życia naraża, obdarzył ich do tego takim nędznym rządem i takimi urzędnikami, jak Wielohorski i wielu innych jemu podobnych.

Naród sybirski w ogólności z gruntu pocziwy byłby wcale niezłym, gdyby go rząd nie okradał, nie obdzierał i nie demoralizował, zamiast ciemnoty zaprowadzał oświatę, przysyłał pocziwych urzędników, a co najbardziej oświeconych popów i nie pijaków. Lud tamtejszy nienawidzi popów i pogardza nimi do tego stopnia, że popa inaczej nie nazwie jak „brodaty, długowłosa dyabeł“. Dlatego też do cerkwi mało kto uczęszcza i podczas największych świąt, oprócz starych bab i dziadów, którym już śmierć w oczy zagląda, nie zobaczysz nikogo ze zdrowszych i młodszych, a ogłaszać naukę, lub prawić kazania w cerkwiach, jest rzeczą rzadko kiedy tam praktykowaną. Zdarzało się bardzo często, że gdy *archiej* (biskup) naznaczał rewizję cerkwi, nasi bracia z dawnych przez Rosyę zabranych prowincyi, umiejący dobrze po rosyjsku, wyrabiali popom kazania, a jeden z naszych, brat Litwin, były junkier z wojska rosyjskiego, Edward Lemiszewski, zesłany później do Minusiejskiego okręgu, takie popu kazania pisywał i na pamięć ich wyuczał, że archimandryta zdziwiony nauką i wymową popa, mianował tegoż po takim jednym kazaniu *protopopem*, t. j. dziekanem.

Lud sybirski jest bardzo zabobonnym, co właśnie stanowi główne źródło dochodów i bogactwa tamtejszych po-

pów. I tak każdy dom z obejściem i polami musi być przynajmniej raz do roku poświęcony z wielką paradą i okazałością, znaną w prawosławnej cerkwi. Do poświęcenia domu i pola musi być użyty obraz stojący na noszach, wyobrażający albo Matkę Boską, albo św. Mikołaja, lub jakiego większego świętego. Obraz ten przed rozpoczęciem nabożeństwa stawiają na środku cerkwi, a pomocnicy popa, diaki, mocno przymocowują go do podłogi za pomocą mechanizmu sznurowego, znajdującego się pod podłogą. Przed rozpoczęciem nabożeństwa pop umawia się z włościaninem o cenę, którą wedle swego bogactwa naprzód zapłacić musi, i wtedy dopiero zaczynają się modły. Po odprawieniu modłów pop przywołuje czterech silnych chłopów i rozkazuje podnieść obraz do wyniesienia. Chłopi dźwigają co sił starczy, ale obraz ani drgnie.

— Oto widzisz — odzywa się pop — jesteś wielkim grzesznikiem, Bóg nie chce wysłuchać moich modłów i widać, że ofiara którą dla Niego złożyłeś jest za małą.

Chłop pada popu do nóg, całuje jego ręce, i jeśli ma przy sobie ruble, kładzie na ołtarzu, a jeśli już przedtem oddał ostatni grosz, to obowiązuje się, całując krzyż, dać tyle a tyle pudów zboża, lub pewną ilość bydła. Pop zaczyna na nowo modły, a śpiew diaków roznosi się tonem żałośnym po całej cerkwi.

Po tych modlitwach pop woła cztery kobiety, każe im obraz dźwignąć, i o cudo! obraz się już rusza, unieść go jednak jeszcze nie można. Wtedy obraca się pop do zafrosowanego i zgłupiałego chłopca i mówi:

— Bracie kochany, musimy się szczerze pomodlić, bo Bóg dobrotliwy wzrusza się na naszą prośbę, ale widać, że ofiara dla Niego jeszcze za mała. Chłop pada do nóg popu i zebrze liłości. Pop jednak niezwruszony z podniesionymi oczyma do góry powtarza modlitwy i mówi:

— Bóg żąda jeszcze ofiary; nie żałuj, a stokrotnie będzie ci wynagrodzoną.

Chłop znowu obowiązuje się dać, to zboże, to bydło, a w dodatku kilka dni roboczych popu za wstawienie się jego za nim do Pana Boga. Następują na nowo modły i śpiew diaków; a gdy już pop czuje, że co tylko mógł, to zdał z chłopą, przywołuje cztery małe dziewczątka, i stał się cud wielki, bo obraz uniesiony idzie z procesją do grzesznika, któremu Bóg przebaczył, a którego pop haniebnie oszukał i obdarł.

Jest to fakt, którego byliśmy naocznymi świadkami, który tam jak i inne tego rodzaju bardzo często się powtarza, a których tu dla samej przyzwoitości podać nie mogę.

Wszystko to dzieje się dzięki ciemnocie ludności tamtejszej, a rząd stara się, aby ją i nadal w ogłupieniu i w tym zbydlęceniu zatrzymać. Gdy ludność gubernii krasnojarskiej, irkuckiej, jakuckiej, kraju zabajkalskiego i amurskiego przez swego gubernatora Korsakowa prosiła o utworzenie uniwersytetu w Irkucku, i na zapewnienie utrzymania tegoż złożyła dostateczne fundusze, a prośba poparta przez Korsakowa, osobiście przez tegoż carowi Aleksandrowi II wręczoną została, to car odpowiedział, że nie widzi potrzeby zaprowadzenia oświaty na Syberii; a minister oświecenia zgromił gubernatora za niepotrzebną jego gorliwość. Miasto Irkuck, które prowadzi znaczny handel z Chinami, a gdzie jest bardzo wielu bogatych kupców, mieszczan i wyższych urzędników, musi swoje dzieci, chcąc je wyżej kształcić, wysyłać do najbliższego uniwersytetu w Kazaniu, który tylko pięć tysięcy wiorst oddalony jest od Irkucka. Klasa średnia i biedniejsi muszą zadawałniać się gimnazjami, których w całej wschodniej Syberii jest aż dwa: w Krasnojarsku i Irkucku i to obsadzone profesorami pijakami, najczęściej wypędzonymi z wojska niższymi oficerami.

Dla włościan niema wcale szkółek, a jeżeli gdzie wybudowaną została kosztem gminy szkoła, to i ta stoi pustkami, bo niema komu uczyć. Taki ciemny naród, nie pojmujący, co to jest byt ogólny, nie umiejący ocenić własnego

stanowiska obywatelskiego i godności osobistej, widzący w swych urzędnikach jakichś ludzi wyższych, przystanych od białego cara, którego wyobrażają sobie panem całego świata, jakąś nadludzką istotą, zastępcą Pana Boga, mieszkającego gdzieś tam daleko, w raju Adamowym, w szczerze złotym Petersburgu, w kryształowym pałacu, nic nie jest łatwiejszego, jak grabić, niszczyć i demoralizować. Rząd ma z ludności ślepe narzędzie, a urzędnicy niewyczerpaną studnię bogactw i dostojęństw.

Jakie wyobrażenie o wielkości białego cara mają tamtejsi mieszkańcy, a nawet oficerowie niżsi i urzędnicy, to najlepszy dowód, że w przekonaniu ich inni mocarze świata są tylko podwładnymi gubernatorami cara, i gdy nieraz podczas pochodu naszego w Sybir rozmawialiśmy z etapnymi oficerami o wojnie krymskiej, niczem nie mogliśmy ich przekonać, że to była wojna prowadzona przez takich samych mocarzy jak ich car, który pobity prosił o zawarcie pokoju. Na to zwykle odpowiadali: Co to nam gadacie, też to nie była żadna wojna, tylko bunt, to było wtedy, jak się Anglik, Francuz i Włoch zbuntowali i poszli w pomoc arabskiemu carowi, który jest naszym lennikiem, ale car ich wtedy dobrze przetrzepał, tak że na kolanach prosili, aby ich w Sybir nie zagnano.

Nasz Wielohorski przeszedł wszystkich sprawników, on najlepiej poznał, jaką korzyść ciągnąć można z narodu ciemnego, i nie namyślając się długo wziął się energicznie do dzieła. Gdy został z biednego zasidatela sprawnikiem, widzimy go już po półtora roku jego panowania w Bałagańskim okręgu jako człowieka mającego znaczną gotówkę, a do tego miano wiernego sługi państwa rosyjskiego.

### III.

## Manifest carski z roku 1868.

Łaska carska. Dziennikarstwo europejskie. Siedem punktów manifestu. Znaczenie manifestu. Rozbiór krytyczny. Kolega Sawiniec.

Dnia 26. maja 1868 roku ukazał się w Petersburgu wydany przez cara Aleksandra II manifest nadzwyczaj szumny, dający całemu światu poznać wspaniałomyślność tyrana rosyjskiego.

Dziennikarstwo rosyjskie unosi się nad dobrocią cara, a hymny pochwalne podnoszą jego szlachetną wspaniałomyślność, która tak prędko umie zapominać i przebaczać największe zbrodnie i przestępstwa niepoprawnym Polakom. Gazety całego świata powtarzają z uwielbieniem carski manifest, którego treści nie rozumieją, a której nawet żaden ze znakomitszych prawników świata wytłumaczyć i rozwinąć nie byłby w stanie.

W manifeście tym, sposobem rosyjskim, o ile było bardzo wiele napisano, o tyle mało do wykonania, a był w przybliżeniu tej treści:

1. Manifest powyższy ma być zastosowany tylko do tych, którzy w Syberyi po raz drugi za polityczne przestępstwa nie byli pod sądem.

2. Wszyscy skazani do robót ciężkich wychodzą na posilenie, wyjąwszy naczelników powstania, wybitniejszych osób rządu powstańczego, żandarmów i tych, którzy należeli do zabójstwa, zabrania kas rządowych, rabunku lub

podpalenia. — Manifest ma być zastosowany tylko do tych, którzy przed rokiem 1866 do robót osądzeni byli.

3. Wszyscy zagraniczni bez wyjątku mają być natychmiast odesłani do swoich rodzinnych miejsc z tem zastrzeżeniem, że nigdy granicy państwa rosyjskiego nie przekroczą.

4. Wszyscy małoletni, którzy lat 20 przed osądzeniem nie liczyli, z wyjątkiem zasądzonych w roboty, powracają do kraju; i tak, małoletni z Królestwa Polskiego do swych rodzinnych miejsc; małoletni z Litwy, Rusi, Wołynia, Podola i Ukrainy do Królestwa Polskiego.

5. Wszyscy zasądzeni na mieszkanie w guberniach rosyjskich mają wolny powrót do kraju, zaś Litwini, Rusini, Wołyniacy, Podolacy i Ukraińcy do Królestwa Polskiego.

6. Wszyscy ci, których ten manifest zastał na mieszkaniu w Syberyi, mogą wyjechać do tych gubernii rosyjskich, które sobie wybiorą.

7. Wszystkich tych, których manifest zastał posieleńcami w Syberyi, przenieść do kategorii mieszkańców, i wolno im się zapisywać albo w mieszczany, lub w rządowe chłopcy, mogą sobie na mieszkanie wybrać jakąkolwiek gubernię sybirską, wolno im się zajmować wszystkim, wyjąwszy pracowania w urzędach, uczenia dzieci, pisania po gminach, a nadto jeszcze nie wolno im mieć głosu do wyboru gminnych urzędników.

Ażeby dać wyobrażenie, jak ten manifest rozumiała władza, jak mało był on znaczącym, jaka to tylko mała ilość korzystała z niego i dlaczego Rosya pokazała go światu, musimy przejść wszystkie punkta manifestu.

I tak: Co do pierwszego, to zapytujemy się, kto w Syberyi, a osobliwie ci, którzy byli zasądzeni do ciężkich robót, nie był po raz drugi pod sądem za polityczne przestępstwa? Najmniejsze nieposłuszeństwo, krzywe popatrzenie się na komendanta, żądanie swej prawnej należytości, dopominanie się własnych pieniędzy, posyłek i listów z domu, było uważane za bunt i oddawane pod sąd. Władza tamtejsza

aby wykazać, jak jest czynną i z jaką energią i sprężystością trzyma w korbach nieposłusznych i buntowniczych Polaków, wysyłała ustawicznie raporta do Petersburga, przedstawiając nas jako niepoprawnych, wyrażając się dosłownie po rosyjsku „zakorzeniałych Polaków“. Czyniła to wszystko dla swoich widoków i to po pierwsze: z obawy, aby nas tak prędko nie wysłano na posielenie, bo co wtedy stałoby się z tyloma komendantami, z całą zgają oficerów i urzędników, którym bardzo dobrze było przy nas, pobierali bowiem podwójny żołd, rozmaite gratyfikacje, a do tego jeszcze nas okradali; po drugie zaś: rząd w Petersburgu widząc, jak jesteśmy niespokojni i trudni do dozorowania, obsypywał w nagrodę położonych zasług urzędników nas dozorujących awansami i orderami, a w pierwszym rzędzie korzystał sam z tego. A ten żołd i te gratyfikacje dostawiała nasza biedna Polska w swych przedrozbiorowych granicach przez kontrybucję.

W robotach w Syberii było nas wszystkich około trzy tysiące osób, rachując w to kopalnie nerczyńskie z Karą, Piotrowsk, Siwakową, Domną, Kinon, Kitową, Czytą, Tarsoń, wszystko to w kraju zabajkalskim, później Usolą i zawód aleksandrowski pod Irkuckiem, wreszcie przeznaczonych do roboty drogi nad Bajkałem, nie wliczając w to zawód troicki obok Krasnojarska. Z tych 3000 osób było pod sądem przez tych parę lat około 2000 osób i tak: wszyscy użyci do robót około Bajkału w liczbie 800, cała Siwakowa, ze sprawy Lichtańskiego, osób 760, sprawa ekatujaska Rittera, Osieckiego, Szulca i wielu innych osób 60, sprawa nerczyńska z powodu Władykina osób około 250; oprócz tego różne inne sądy i wyroki jak w Algatszu, w Klitczce, Kadaji, śmiało więc liczyć można przeszło 2000 osób. Więc z tych mogło wedle punktu pierwszego korzystać około tysiąca, a dla tych jeszcze był punkt drugi na przeszkodzie.

Co do drugiego, to trzeba zważyć kogo Rosyanie wysłali do robót ciężkich? Wszystkich naczelników powstania,

organizatorów, przewodców, żandarmów i wszystkich, którzy brali wybitniejszy udział bądź w zbrojnym powstaniu, bądź w rządzie narodowym; resztę zaś z bronią w ręku schwytyanych i niższych urzędników rządu narodowego, wysyłano na posilenie, do rot aresztanckich, na mieszkanie w Sybir, lub w oddalone gubernie rosyjskie. Nic łatwiejszego nie było dla Rosyan, jak wszystkim z nas zarzucić przynajmniej choć jeden obciążający czyn zawarty na niekorzyść naszą w manifeście. Bo który to z nas będąc choć kilka miesięcy w oddziale, nie należał czy to pośrednio, czy bezpośrednio do zabrania gdziekolwiek i jakiegokolwiek kasy? któryż to znów będąc w oddziale w jednej lub drugiej bitwie, stojąc w szeregach obrońców ojczyzny nie zabił Rosyanina? Władza rosyjska przyczepiała się do najmniejszego drobiazgu, a pułkownik Knobloch, komendant kopalń nerczyńskich, bojąc się utraty szlif generalskich, nie wiem czy z tego tysiąca, do których manifest mógł być zastosowany, wypuścił choć połowę na posilenie?

Co do trzeciego, to wszystkich zagranicznych, nietylko że nie wysłano natychmiast, ale dopiero w sześć lub osiem miesięcy po ogłoszeniu manifestu, robiąc najrozmaitsze trudności, a niektórzy jeszcze przy końcu roku 1869 zostawali w Syberyi, jak: Michał Ostrowski, Dunin, Pazdanowski *alias* Menżyński i wielu innych; a ratusz warszawski był jeszcze w roku 1871 przepelniony naszymi zagranicznymi, powracającymi do domu i zatrzymywanymi tam nieprawnie.

Co do czwartego, to małoletni będący w gubernii krasnojarskiej, popowracali z małym wyjątkiem, z gubernii irkuckiej zaś do końca roku 1869, a zatem w 20 miesięcy po ogłoszeniu manifestu nie puszczono ani jednego, toż samo z gubernii tobolskiej. Z gubernii tomskiej bardzo mało kto powrócił; a było tam samych małoletnich przeszło 4 tysiące. Z powracających z gubernii krasnojarskiej, zawrócono wielu z powrotem z Petersburga, jak Niciengiewiczza, któremu zarzucono, że gdy mu wyrok ogłaszano, miał już lat dwadzie-

ścia i dni dwa, nie uwzględniając śledztwa trwającego rok przeszło, bo miał niespełna lat dziewiętnaście, gdy został aresztowanym. Takich jak Niciengiewicz było bardzo wielu, których nazwisk już nie pamiętam. Ci biedacy przebywszy tak długą podróż do Petersburga, wyniszczywszy się fizycznie i materialnie, bo straciwszy siły i zdrowie, i porzucający wszystko, czego się na wygnaniu pracą dorobili, aby się jak najprędzej dostać do kraju, zobaczyć i uściskać ukochaną rodzinę i znajomych, a wreszcie chociażby swe kości złożyć na ojczystej ziemi, musieli z powrotem porządkiem etapnym razem ze złodziejami i zbrodniarzami wracać. Tych nieszczęśliwych zdybywaliśmy w drodze podczas naszego powrotu do kraju, byli tak zbiedzonymi i mizernie wyglądającymi, że nie wiem czy połowa z nich dowlokła się do gubernii krasnojarskiej. Podróż taka w Sybir lub z powrotem, trwająca przeszło lat dwa, jest na świecie najsroższą i najcięższą karą, jaka tylko istnieć może. A zaco ich tak srogo karano? Przecież to nie ich wina była, że wysyłający gubernator źle zrozumiał manifest, lub że czysto z grymasu komisji śledczej warszawskiej, albo z osobistych widoków tamtejszych dygnitarzy, nie podciągnięto ich pod zakres wydanego manifestu.

Co do piątego, to z tych wysłanych w tak wielkiej liczbie, mało kto powrócił, i do dnia dzisiejszego jeszcze znajdują się w guberniach rosyjskich wysłani w roku 1863, i to nawet nie wyrokiem sądu wojennego, ale porządkiem administracyjnym.

Co się tyczy szóstego punktu, to z tych do roku 1870 powróciło wielu z gubernii krasnojarskiej, bardzo mała część z gubernii tomskiej i tobolskiej, a z gubernii irkuckiej ani jedna osoba.

Co do siódmego punktu, to tu jest największa łaska carska, tu wykazuje się największa jego szlachetność, dobrotliwość i wspałałomyślność. Przenieść kogo z innymi pojęciami i wyobrażeniami codziennego życia do kategorii

mieszczan lub rządowych chłopów, znaczy prawie tyle, co życie mu odebrać, bo będąc na liście politycznych przestępców, jest się przynajmniej zastoniętym choć w części przed grabieżą urzędników gminnych, i kar cielesnych; a jako mieszczanin lub chłop, musi się podatki opłacać, powinności odrabiać, jest się narażonym na największe pastwienia się panów urzędników, którym wolno za najmniejsze uchybienie przeciw władzy, lub tylko z niepodobania się czyjejs fizyognomii bić go różgami i pałkami, wsadzać w ciemnice i nakładać pieniężne kary. Co zaś do sposobu zajęcia, to to się także nie polepszyło. Nie mając potrzebnych zasobów materialnych nie można zająć się samodzielnie gospodarstwem, skazanym jest się na głodową śmierć, lub trzeba wziąć siekierę, łopatę albo kosę i pójść w służbę za parobka do włościanina i być u niego narażonym na tysiączne upokorzenia i nieprzyjemności, zaprzeć się swego honoru i sumienia.

Co się tyczy zaś wyrażonego w ukazie pozwolenia, że wolno naszym przenosić się i jeździć po całej Syberji, to do roku 1870 oprócz dwóch, którym za szczególnem staraniem i osobną protekcyą, pozwolono na swój własny koszt przenieść się do Tiumentia, nikt z proszących, a było takich do 200 osób, nie otrzymał pozwolenia i wszyscy ci jeszcze przez długi czas znajdowali się na dawnem miejscu.

Władza w tym wypadku nietylko że nie zastosowywała manifestu, ale działała wbrew rozporządzeniu ministra spraw wewnętrznych, który zezwolił wszystkim krewnym i powinowatym łączyć się ze sobą.

Taki to był manifest, o którym się tak szeroko naówczas dziennikarstwo europejskie, a osobliwie francuskie rozpisywało, twierdząc, że już w roku 1870, nie było ani jednego Polaka zesłanego w Syberji; a ile to naszych braci jęczy do dnia dzisiejszego w Turchańsku, Irkucku, w Karze i nawet na Sachalinie, gdzie ich do kopalń węgla kamiennego używają!

Klimat Sachalinu, o którym od wracających stamtąd oficerów słyszeliśmy, jest zabijający. Garnizony co pół roku zmieniają się, a brak świeżego pożywienia, które z Amuru sprowadzają, wywołuje szkorbut i inne długo trwające choroby, przynoszące strasznie męczącą śmierć.

Dopiero w roku 1867 wysłano na Sachalin pierwszego transporta zbrodniarzy. Posłano ich galarami z Czyty Ingodą do Szyłki, która razem z Argunem tworzy Amur. Trzeci transport, widząc co go czeka, i słysząc o klimacie tamtejszym i ciężkich tam robotach, nie mając nic do stracenia, uderzył na konwojujących kozaków, a zabrawszy broń, uszedł w góry koło Czyty, gdzie zbiegi przez długi czas trudnili się rabunkiem. Ta sama banda rozbiła się przez wewnętrzne niesnaski i puściła się na włóczęgostwo. Kilku z nich złapano i rozstrzelano.

Wspomniawszy o łaskach carskich, nie mogę pominąć kolegi z powstania, a później z robót w Siwakowej, tem więcej, iż był prawosławnym Rosyaninem, podoficerem z pułku gwardyjskiego imienia Franciszka Józefa, którego niestety nie pamiętam rzeczywistego nazwiska, albowiem znany był między nami jako „kolega Sawiniec“.

Był to jeden z tych szlachetnych Rosyan z wojska rosyjskiego, o których już wspomniałem w „Obrazkach z katorgi“, którzy wzięci razem z nami pod Fajstławicami do niewoli, nie wydali swoich dowódców. Został wzięty do niewoli w bitwie pod Sawinem przez oddział Ruckiego z kilkoma towarzyszami i dlatego przezwano go Sawińcem. Był to dzielny żołnierz, skromny w obejściu, wzorowy w wypełnianiu swych obowiązków, i był wachmistrzem w kompanii celnych strzelców, tak zw. gwardyi pieszej województwa lubelskiego. Gdy pluton Sawińca zajmował placówki, śmiało kładliśmy się na spoczynek, bo byliśmy pewni, że Rosyanie nas nie zaskoczą niespodzianie. Sawiniec był sądzony w Lublinie i jako jeniec powstańczy, który był niby przymuszony wstąpić w szeregi buntowników, skazany na lat 20 ciężkich robót w Syberyi.

Gdy nas z Pietrowska do Siwakowej przeniesiono, zastaliśmy tam naszego dawnego znajomego Sawińca, który wyczywszy się dobrze po polsku, uczył nas na nasze nabożeństwa, i poczytywał sobie za największą obelgę, jeśli go kto Rosyaninem przezwiał. Stał się duszą i sercem Polakiem.

Ojca nie znał, a matka była praczką na dworze cara w Petersburgu, a on, jej syn, jedynym szczęściem, nadzieją i pociechą w starości. Gdy los syna doszedł do jej wiadomości, czekała tylko sposobności, aby rzucić się carowi do nóg i błagać miłosierdzia. Plan swój przeprowadziła szczęśliwie przy końcu roku 1865, i widać w takim czasie, gdzie otoczenie Adlerbergowskie cara nie skąpiło temuż żądanym napojów.

Car Aleksander II był bowiem tak wielkim lubownikiem trunku rosyjskiego *wodki*, że otoczenie jego musiało mu wszelkimi sposobami usuwać ten napój.

Naówczas chodziły po Petersburgu powszechnie znane pogłoski, za których prawdziwość ręczono, że gdy carowi wzbroniono podawać tego trunku więcej, jak przepisali doktorzy, miał sposób wydostania wódki, temi kilkoma słowami: *Podaj wodku bo podpiszu Polszczu*. Tam się tak obawiano wskreszenia Polski, że na to zakłęcie dostawiano mu wódki, ile chciał.

Pewnego poranku na początku roku 1866 przybył do Siwakowej gubernator Dytmar ze swą świtą i popem: wszyscy ubrani byli w gali. Wojsko stanęło w paradzie pod bronią, i zawołano Sawińca. Przypatrujemy się zdala, co to będzie? Dytmar wyjmując z teki jakiś papier, zdejmując kasko, a za nim cała świta, i rozkazuje Sawińcowi zdjąć czapkę; dobrane biją carski marsz, a wojsko prezentuje broń. Po uciszeniu się, Dytmar czyta donośnym głosem akt łaski najmiłosćniejszego cara, którym Sawińcowi przebacza się wszystko, wraca się wszelkie prawa, a w dowód najwyższej łaski nawet stopień podoficera gwardyi carskiej, z przeniesieniem na lat 3 jako wachmistrza do zabajkalskich kozaków.

Po przeczytaniu tego manifestu, rozległo się we wojsku głośnie hura, a na obliczach gubernatora i całego jego otoczenia zaświeciła niekłamana radość. Jeden tylko Sawiniec stał ponury jak posąg, dopóki pop nie zbliżył się do niego, aby odebrać na nowo przysięgę na wierność carowi.

Natenczas przybliżył się Sawiniec do gubernatora Dytmara i rzekł głosem powolnym i tak głośno, żeśmy będąc oddaleni jakich 50 kroków, mogli wszystko dobrze słyszeć:

— Daruj generale, że w tych słowach do ciebie odezwać się muszę, do ciebie, dla którego ja i wszyscy moi towarzysze mają najgłębszą cześć i szacunek. Łaski carskiej nie przyjmuję, bo większy jest zaszczyt dla mnie być politycznym przestępcą, aniżeli sługą carskim.

Na te słowa wypowiedziane tak dobitnie, że całe wojsko słyszało, nastąpiła uroczysta cisza, którą po dobrej chwili przerwał Dytmar, odzywając się do Sawińca:

— Daję panu 6 dni czasu, abyś się nad tem zastanowił, coś powiedział, i zostawiam pana z księdzem, którego zadaniem powinno być, nakłonić pana do przyjęcia łaski cara.

Przez kilka następnych dni odwiedzał pop Sawińca, starając się go nakłonić do przyjęcia łaski carskiej, ale nadaremnie. A gdy po sześciu dniach przybył generał Dytmar po stanowczą odpowiedź, Sawiniec stał niewzruszenie przy swoich wypowiedzianych słowach.

Okuto go na ręce i nogi, a nie dając się z nami pożegnać, wywieziono podobno do Kary, od tego czasu pomimo naszych starań i wypytywań, zaginął wszelki słuch o zacnym i szlachetnym naszym współtowarzyszu powstania i niewoli.

Sawiniec dał nam przykład człowieka pojmującego należycie swoją godność osobistą, umiejącego jej bronić z narażeniem własnego życia.

Cześć niech będzie tobie zacny i szlachetny kolego Rosyaninie i towarzyszu naszej wspólnej niedoli!

#### IV.

### Starania o powrót do kraju.

---

Zwlekkanie manifestu. Walka z Wielohorskim. Podróż do Irkucka. Polacy w Irkucku. Kolega Sikorski. Odwiedziny Epsteina. Wizyta u gubernatora Erena. Naczelnik kancelaryi Łukianow. Naczelnik ekspedycyi Popow. Policmajster Dumański. Powrót do Ołonek. Przygotowania do odjazdu.

Przy końcu czerwca, czy też na początku lipca 1868 r., jak już wspominałem, przeczytano nam, zagranicznym, manifest, z żądaniem pisemnego własnoręcznego oświadczenia, czy kosztem rządowym, czy własnym, życzymy sobie powracać do kraju. Przestrzeń ośmiu tysięcy wiorst, nie pozwoliła nam wszystkim razem o własnych zasobach jechać, dlatego wszyscy z Ołonek, nie mając dostatecznych funduszków, podaliśmy się na koszt rządowy.

Manifest opiewał, aby nas natychmiast wywieźć za granicę państwa rosyjskiego, dlatego oczekiwaliśmy z największą niecierpliwością tego błęgiego dnia wyjazdu. Tymczasem mijały dni po dniach, mijały tygodnie, drugi miesiąc oczekiwania skończył się, a my z powodu, że lada dzień nas wywieźć mogą, bez żadnego zajęcia, żyjąc z uskładanego grosza z dnia na dzień, wyglądamy poczty, która ma nam przywieźć tę rozkoszną wiadomość opuszczenia na zawsze Syberyi.

Pięć lat minęło, jak opuściliśmy naszą ukochaną ojczyznę. Każdy dzień, każda godzina nawet, była dla nas drogą.

Każdy z nas chciałby w jednej chwili unieść się na skrzydłach, aby choć na chwilkę zajrzeć między swoich, jak się mają, co porabiają, aby ucałować naszą drogą ziemię i odechnąć polskim powietrzem. Niecierpliwość nie miała granic, a niepewność czasu wyjazdu dobijała nas. Chodziliśmy jak obłąkani, pytając się wzajemnie, co Rosya myśli z nami uczynić, kiedy nas jeszcze dotychczas nie wysyłają. A gdy już minął i trzeci miesiąc oczekiwania, ogarnęła nas rozpacz, a zarazem i gniew.

Na utrzymanie nasze nie dostawaliśmy, zarobku żadnego, a chłop wiedząc, że nas lada dzień zabrać mogą, nie chciał nawet za parobka przyjąć. Udaliśmy się przeto do Bałagańska do sprawnika Wielohorskiego, aby nas w drogę do domu wysłał; a jeśli tego nie chce lub nie może uczynić, to niech przynajmniej da jednemu lub dwom z nas bilet wolnego udania się do Irkucka, abyśmy tam u gubernatora postarać się mogli o najrychlejsze nas wysłanie, tem bardziej, że dowiedzieliśmy się, iż wszystkich zagranicznych, mieszkających w Irkucku, wysłano już do kraju. Przedstawiliśmy równocześnie sprawnikowi nasz opłakany stan, iż żyjąc w takiej niepewności, brak nam nawet chleba powszedniego, i prosiliśmy go jeszcze raz albo o jak najprędzsze wysłanie nas, lub wypłacenie żołdu i wydanie pozwolenia wolnego przejazdu do Irkucka, a będąc już bardzo zirytowani, wypowiedzieliśmy to krótko, ale cierpko i podniesionym głosem.

Wielohorski odpowiedział, że on sam oczekuje lada dzień rozkazu wysłania nas, żołdu przynależnego zaś dać nie może, bo w kasie niema pieniędzy, toż samo i przepustki do Irkucka dać nie może, bo w razie nadejścia rozkazu natychmiastowego wysłania, nie mógłby nas pozbierać. Na to odpowiedzieliśmy, że jeśli paszportu nam wydać nie każe, to sami pójdziemy ze skargą do gubernatora i naczelnika żandarmeryi, że nas nieprawnie zatrzymuje, żołdu nie wydaje i po prostu haniebnie okrada.

Wielohorski rozzłoszczony, żeśmy mu tę gorzką prawdę, nie obwijając w bawełnę, wypowiedzieli przy licznych świadkach i urzędnikach gminnych, rozkazał nas wsadzić do więzienia. Cierpliwość teraz przebrała u nas wszelką miarę, byliśmy przeto zdecydowani na wszystko; a gdyśmy sami do więzienia iść nie chcieli, a chłopci widząc naszą groźną postawę, przemocą brać nas bali się, przyprowadzeni do ostateczności rzekliśmy podniesionym głosem:

Pan nie masz prawa nas zamykać. Ukaz carski z 26. maja darowuje nam nasze winy popełnione wobec waszego rządu i uwalnia nas, od tego też dnia nie jesteśmy więcej polityczni przestępcy i więźnie, ale wolni poddani Jego Cesarskiej Mości, jedni cesarza austriackiego, drudzy króla pruskiego, dlatego żądamy, aby się z nami obchodzono, jak z ludźmi wolnymi, i tak jak nakazuje prawo rosyjskie.

Na taką stanowczą odpowiedź, zmieszzał się Wielohorski i zaczął nas przepraszać, tłumacząc się, że uniósł się zanadto gniewem, ale przytem oświadczył jeszcze raz, że żołdu nie wypłaci, i paszportu do Irkucka dać nie może; a jeśli już koniecznie chcemy jechać do Irkucka, to możemy udać się i bez jego pozwolenia pisemnego, a on przeciw temu nic mieć nie będzie.

Gdy się już i wrzesień miał ku końcowi, a o naszym uwolnieniu ani słychu, żołdu nie dają, większa część naszych prawie bez grosza, życie coraz droższe, a zajęcia żadnego, wysłali mnie koledzy do Irkucka, aby napierać tamtejszą władzę o najrychlejsze wysłanie nas, lub przynajmniej o wydanie nam przynależnego żołdu.

Poszedłem więc do Irkucka oddalonego 88 wiorst piechotą, bez najmniejszej legitymacji.

Przybywszy tam, było pierwszą moją czynnością udać się zaraz do tamtejszego policmajstra, pułkownika Dumańskiego, człowieka prawego i wyrozumiałego. Powiedziałem mu otwarcie, że przybyłem bez paszportu w celu starania się o najrychlejszą wysyłkę wszystkich zagranicznych z ba-

łagańskiego okręgu, i wytłumaczyłem się z jakich powodów nie mam paszportu. Dumański wysłuchał, dał mi kartę wolnego pobytu na dwa dni w Irkucku i oświadczył, abym gdy będę wracał, przyszedł do niego i uwiadomił go o rezultatach moich starań.

Dwa razy w tygodniu, we wtorek i w piątek, był dzień audyencyonalny w zarządzie gubernialnym u cywilnego gubernatora Erena dla wszystkich zesłanych politycznych. A że ja przybyłem we wtorek po południu, więc musiałbym być czekać do piątku, a kartę wolnego pobytu miałem tylko do czwartku, postanowiłem zatem na drugi dzień udać się do mieszkania pana Erena.

Mając dwa dni wolnego czasu, postanowiłem poodwiedzać licznych znajomych kolegów, mieszkających w Irkucku na posieleniu. Zapraszany wszędzie gościnnie zamieszkałem u byłego studenta heidelbergskiego uniwersytetu i właściciela dóbr z Kaliskiego, Kazimierza Trepki i Jana Sakowicza, właściciela dóbr z pod Białostoku, nadzwyczaj sympatycznych i szczerych kolegów, których znałem jeszcze z Pietrowska. Ci zajmowali się handlem.

Wyszedłszy odwiedzić znajomych mi kolegów, spostrzegłem zdaleka jednokonną dorożkę, a na koźle siedzącego woźnicę z czarnym zarostem, żywo gestykulującego i kiwającego już zdala na mnie. Przybliżywszy się, poznałem w nim mego towarzysza z jednej celi więziennej w Pietrowsku, Sikorskiego Marka, byłego ucznia szkoły wojskowej w Cuneo i kapitana z powstania. Dorożka i koń wyglądały nie bardzo pociągająco, osobliwie po koniu, jak również po jego panu widać było, że obydwaj prowadzą często żywot głodowy. Inaczej być nie mogło, bo kolega Sikorski zobaczywszy którego z naszych, idącego piechotą, zmuszał prawie gwałtem do wsiadania, i wioził go na požądane miejsce, a największą było dla niego obrazą, gdy który z naszych poważał się ofiarować mu przynależną za kurs należytość. Rosyan wozili niechętnie, a za żadne w świecie pieniądze nie przyjął do

swej dorożki umundurowanego Rosyanina, przez co narażał się nawet często na rozmaite nieprzyjemności. Pod takimi warunkami nie mógł nasz dorożkarz długo egzystować, i gdy w końcu jedyny koń padł, Sikorski porzucił dorożkarstwo i jął się blacharstwa, specjalnie zaś pokrywania dachów blachą żelazną. I na tem przedsiębiorstwie dobrze nie wychodził, bo płacił często swym pomocnikom, to jest kolegom, więcej jak sam zarabiał. Był to człowiek wielkiej szlachetności i wielkiej pobożności. Powróciwszy po dziesięciu latach niewoli do Warszawy, postanowił poświęcić się budownictwu i zaczął praktycznie jako murarz pracować, marząc ciągle o tem, aby zostać kiedyś księdzem, aby mógł poświęcić swe życie wyłącznie Panu Bogu i ludzkości. Przez kilka lat tej ciężkiej murarskiej pracy, widziano Sikorskiego chodzącego do roboty z kielnią, a zarazem i z książkami. Była to greka i łacina. Pracując ciężko na kawałek powszedniego chleba, przysposabiał się do stanu duchownego, i już w krótkim czasie swą mozolną pracą i wytrwałością doszedł do tego, że mógł zamaryć o wstąpieniu do duchownego seminarjum w Warszawie. Tam wykazał takie zdolności i takie zamiłowanie do służby Bożej, że już po trzech latach uznano go godnym święceń kapłańskich i mianowano go zaraz kapelanem kolonii rolniczych w Królestwie polskim. Było to wielkie uznanie ze strony władzy duchownej dla jego wytrwałej, nieskazitelnej pracy i bezinteresownego zamiłowania do służby Bożej. Gdy się władza rosyjska dowiedziała, że były katorżnik został zamianowany kapelanem kolonii, nie chciała go na tem stanowisku zatwierdzić, aż szczęśliwy traf, przy poświęceniu kolonii rolniczej, sprowadził byłego namiestnika, księcia Albedyńskiego do Sikorskiego. Przy urządzonej uczcie namiestnik i ksiądz kapelan, były katorżnik, zasiedli na pierwszym miejscu. Ksiądz Sikorski gładki w obejściu, wymowny, umiał przy sposobności przedstawić namiestnikowi swe położenie, i ten przyrzekł, że zachodzące trudności do urzędowego zatwierdzenia go, jako księdza, będzie

się starał usunąć, co też i uczynił. Później gdy rozgłos wymowy znakomitej księdza Sikorskiego rozniósł się daleko po kraju, został powołany do Warszawy, gdzie kazania jego ściągały tysiące publiczności. Popularność księdza Marka rosła z każdym dniem, a obawiając się jego wpływu, przeniósł go rząd rosyjski do Łowicza, gdzie go w roku 1883 odwiedziłem. Zastałem go rano w kościele przy odprawianiu mszy świętej, i pomimo że go znałem tylko z mocnym, czarnym zarostem i lat 15 nie widziałem, poznałem natychmiast po żywych ruchach, cechujących człowieka wojskowego. Radość nasza była wielką, nieklamaną, bo czyż mogło być inaczej? po tylu latach przycisnąć do serca kolegę, którego nie spodziewałem się widzieć księdzem, a do tego tak przykładowym kapłanem i sługą Bożym w całym tego wielkiego słowa znaczeniu. Żałowaliśmy obydwaj, że stosunki moje nie pozwalały mi natenczas dłużej jak jeden dzień u tego czcigodnego i skromnego kapłana zabawić. Jest to bowiem ten sam ksiądz, który przez Rosyan w czerwcu 1886 roku został w sprawie unickiej aresztowany i w cytadeli warszawskiej osadzony, a obecnie wywieziony na północ.

Gdy się koledzy dowiedzieli o mem przybyciu do Irkucka, zgromadził się na wieczór liczny zastęp naszych, tak mi dawniej znanych z katorgi, jak również wielu nieznajomych posieleńców. Długo w noc gawędziliśmy, to przypominając sobie ubiegłe czasy, to pocieszając się nadzieją szczęśliwej przyszłości.

W ogólności, naszym w Irkucku powodziło się dobrze, bo wytrwałą pracą i sumiennością, nieznaną w Rosyi, zjednali sobie ogólny szacunek i poważanie, czemu tylko zawdzięczyć należy, iż wielu naszych zajmowało u bogatych kupców i przedsiębiorców tamtejszych wybitne stanowiska. Najlepszymi rzemieślnikami byli nasi, najlepsze restauracje, cukiernie i piekarnie były dziełem naszych. Założono fabrykę świec i mydła, którą prowadziło dwóch Litwinów, ksiązę Gedrojc i Zygmunt Czechowicz, właściciel dóbr. Lekarze

nasi odznaczali się głęboką wiedzą i sumiennością w spełnianiu swych obowiązków. Wielu też było w Irkucku ludzi zamożnych, którzy odbierając z domu w stosunku do swej zamożności szczupłe fundusze, żyli sami skromnie, niosąc pomoc kolegom starcom, lub niezdolnym do pracy. Każdy pracował jak mógł, aby nie być ciężarem drugim i zachować dobre imię Polaka.

Odwiedzając dawnych znajomych i kolegów, zaszedłem także do serdecznego druha z Pietrowska, Czyty i Kitowy, Mikołaja Epsteina, który będąc ciągle pod ścisłym dozorem policyjnym, z umysłu najął sobie mieszkanie naprzeciw policyi, aby swych duchów opiekuńczych nie trudzić ustawicznym śledzeniem i nachodzeniem go. Będąc u niego, byłem przypadkiem świadkiem komicznego epizodu.

Oślawiony ze swych donosów na Syberyi L. Żychliński, w przejeździe ze swego ustronia Aleksandrowska do kraju, zatrzymał się w Irkucku, i był tak zuchwałym, że odwiedzał niby swych przyjaciół, którym przez swe donosy dobrze wlaź za skórę, między innymi przybył i do Epsteina, jednego z największych ofiar denuncyacji. Przybył, jakby nic nie zaśzło, a z wielkiej czułości chciał uściskać Mikołaja, który oburzony do najwyższego stopnia bezczelnością Żychlińskiego, mając dowody jego popełnionych zbrodni, wyrzucił go bez żadnej ceremonii za drzwi. Żychliński będąc już w sieniach, ruszył tylko ramionami i rzekł: „Jaki to obraźliwy człowiek, ciekawym czego się na mnie gniewa, żyliśmy dawniej w wielkiej przyjaźni, a teraz nie przyjmuje mnie“.

Ubawiły nas bardzo filozoficzne zapatrywania pana pułkownika Żychlińskiego na rodzaj nieprzyjęcia kogoś do swego domu. I napróżno oczekiwał Mikołaj wyzwania pana Żychlińskiego za doznaną obelgę.

Nazajutrz rano wziąłem się do spełnienia poruczonego mi obowiązku, i już o godzinie 9. rano udałem się do mieszkania pana gubernatora. Nie chciano mnie wpuścić, ale wetknąwszy w łapy kamerdynerskie rubelka, powiedziałem,

żeby mnie zameldował jako Polaka mającego pilny i ważny interes. Rubel i to słowo Polak z pilnym i ważnym interesem, skutkowało tyle, że gubernator raczył łaskawie powiedzieć, abym poczekał chwilę, póki się nie ubierze. Wkrótce też zawezwano mnie. Zastałem gubernatora siedzącego w szlafroku, pijącego herbatę, w rękach trzymał niemiecką gazetę. Ukłoniwszy się mu, zauważyłem, że zmierzył mnie od stóp do głowy, a następnie spytał tonem szorstkim, co mam tak pilnego, że dom jego nachodzę i nie daję mu spokoju.

Wiedząc, że jest Niemcem, zacząłem cel mego przybycia tłumaczyć po niemiecku. On jednak przerwał moją mowę i rzekł:

— Jestem urzędnikiem państwa rosyjskiego i tylko w języku urzędowym wolno mi przyjmować wszelkie prośby i zażalenia.

Tłumaczyłem się, że tym językiem jako zagraniczny władam bardzo źle, więc będzie mi trudno wypowiadać po rosyjsku moje zażalenia.

— To mów pan jak umiesz, powiedział.

Więc ja zaczynam po niemiecku.

— O nie! po rosyjsku mów pan do mnie.

Nie było więc innej rady, jak kaleczoną rosyjszczyzną wypowiadać nasze zażalenia, powód mego przybycia do Irkucka, i przeprosić, że w niestosownej godzinie śmiałem go w jego własnym domu nachodzić.

Wysłuchał wszystko uważnie, cierpliwie i odrzekł, że się bardzo dziwi, dlaczego nam sprawnik nie wydał jeszcze żołdu, i że nawet śmiesznością jest twierdzić, jakoby w kasie nie było pieniędzy, a co do wysłania nas zagranicznych, to da zaraz dziś jeszcze rozporządzenie, aby nas natychmiast wysłano, żebym się zatem jutro rano zgłosił do naczelnika ekspedycyjnej kancelaryi, pana Łukianowa, to tam dowiem się lepiej o szczegółach wyjazdu.

Znając Wielohorskiego i wiedząc, że on będzie chciał nam na złość czynić, i pod najgorszymi warunkami wystać,

zapytałem się gubernatora, jakim sposobem nas wysła? Na co odpowiedział, żebyśmy o to byli spokojni, że on nam jako gubernator nie da zrobić krzywdy, i daje swoje słowo honoru, że będziemy wysłani jako ludzie wolni, i wyraził się, „nie w rzędzie aresztantów“, że nie będziemy nigdzie zatrzymywani, dziennie pobierać będziemy 15 kopiejek i na dwóch jednego konia. Będziemy mogli jechać, jak się nam spodoba, dzień i noc, i wkońcu spodziewa się, że najdalej za trzy miesiące będziemy w domu. Podziękowałem mu za jego zapewnienie „honorem“ i przeprosiłem go jeszcze raz za moją natrętność.

Przy mojem pożegnaniu, gubernator powstał odkłonił się i powiedział:

— Życzę panu i jego kolegom jak najlepszego powodzenia w tej dalekiej podróży, i najprędzszego oglądania ojczystego kraju.

Drugiego dnia rano poszedłem do Łukianowa, który mi powiedział, że już dziś rano wysłał gubernator telegram do sprawnika w Bałagańsku z rozkazem natychmiastowego wysłania wszystkich zagranicznych, zostających w jego okręgu, a sposób wysyłki ma być ten sam, jaki mi wczoraj zapewnił gubernator.

Znając kręactwa rosyjskie, nie zadowolniłem się zapewnieniem Łukianowa, ale udałem się jeszcze do naczelnika pierwszego oddziału kancelaryi gubernatorskiej, pana Popowa, któremu oddane były wszystkie sprawy politycznych przestępców, a który znany był jako człowiek sumienny i prawy. Ten na moje zapytanie kiedy nas zagranicznych wyślą i jak, powtórzył mi daną odpowiedź Łukianowa.

Widząc, że wszystkie odpowiedzi tych panów są ze sobą zgodne, poszedłem do pułkownika Dumańskiego z rezolucją, prosząc o kartę wolnego przejazdu do Ołonek, aby się zabezpieczyć od napaści sprawnika Bałagańskiego, czego mi Dumański nie odmówił, życzył szczęśliwej podróży i bardzo grzecznie pożegnał.

Pożegnawszy się z kolegami, i odrzuciwszy natarczywą prośbę Sikorskiego odwiezienia mnie swoim koniem przynajmniej jakie dwadzieścia wiorst, zaraz tego samego dnia wziąłem kij w rękę, i pospieszyłem z powrotem do Ołonek, by zawiadomić o rychłym wyjeździe niecierpliwie mnie oczekujących kolegów, i stanąłem szczęśliwie drugiego dnia na miejscu. Radość z wieści o prędkim wyjeździe była powszechną, na który nie czekaliśmy długo, bo zaraz na drugi dzień po moim powrocie przyszło z okręgu rozporządzenie do gmin, aby wszystkich zagranicznych jak najprędzej dostawić do Bałagańska.

Było to pamiętnego dla nas dnia 2. października 1868 roku. Rano drugiego dnia mieliśmy już na zawsze opuścić Ołonki i tylu współtowarzyszy wspólnej niedoli, między którymi wielu było, którzy razem z bronią w rękę w narodowej sprawie walczyli, razem do niewoli wzięci, razem w więzieniu lubelskiem i w cytadeli warszawskiej siedzieli, tam sążeni, razem w Sybir zesłani, razem cztery lata w robotach katorżnych przesiedzieli i razem na posilenie przybyli.

Jak z jednej strony była wielka radość, że wkrótce ujrzemy nasz kraj rodzinny, naszą ukochaną ziemię Polską i uściskamy najmilszych sercu, tak z drugiej znowu żal nas ogarniał, że przyjdzie zostawić tylu dobrych i szlachetnych kolegów, tylu uczciwych i serdecznych przyjaciół, z którymi przez tak długi czas razem się żyło, razem się przebywało tyle zmian przykrego losu, a z którymi nawzajem pocieszailiśmy się, wyglądając lepszych czasów przyszłości.



W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasowe opinie i wyobrażenia o Polakach, które w rzeczywistości były bardzo niekorzystne.

SERYA TRZECIA

---

# POWRÓT DO KRAJU

SERVA TRZECIA

POWRÓT DO KRAJU

## I.

### Z Ołonek do Krasnojarska.

---

Pożegnanie kolegów. Bałagańsk. Pierwszy etap. Porządek obrotny. Koledzy na etapie. Wirchny Udyńsk. Telegraf do Irkucka. Sprawnik Prytków. Rozbójstwa. Smotrytel więzienia. Kapitan Bernard. Birusa. Kańsk. Sprawnik Popow. Posielańcy polscy w powiecie Kańskim. Galicyanin Krotochwil. Przybycie do Krasnojarska.

Smutny był to dzień 3. października 1868 roku, gdy od rana zaprzęgnięte konie oczekiwały z niecierpliwością rychło wsiądziemy na wozy, aby nas jak najprędzej wywieźć z grona najlepszych towarzyszy i przyjaciół, którzy zebrali się wszyscy, aby choć raz jeszcze uściskać nawzajem przyjacielską dłoń i powiedzieć: „Bądźcie zdrowi, i daj nam Panie Boże do prędkiego widzenia się w lepszych chwilach życia naszego“. Łzy cisnęły się nam z oczów, uściskaliśmy się jeszcze raz. Były to uściski serdeczne i szczere. Bieda i nędza przybliża ludzi do siebie; tam się dają dopiero poznawać prawdziwi, szczerzy, bezinteresowni przyjaciele! Płakaliśmy jak dzieci, i niewiem jak długo bylibyśmy trzymali się w objęciach, gdyby głos niecierpliwych furmanów „prędzej, prędzej panowie“ nie oderwał nas od tych serdecznych, ostatnich uścisków na sybirskiej ziemi. Siedliśmy na wozy i żegnani krzyżem świętym, ruszyliśmy w imię Pana Boga w długą, uciążliwą drogę.

Z Ołonek wyjechało nas siedmiu. Galicyanie: Franciszek Zgórek, Henryk Chowaniec, Józef Sitkowski, Leonard

Menżyński, Konstanty Gliniecki i piszący, oraz Wielkopola-  
nin Witold Rzepecki. Wszyscy byliśmy tego przekonania, że  
wigilię Bożego Narodzenia już w domu, pośród swoich ob-  
chodzić będziemy, ale niestety srogo zawiodła nas nadzieja!  
Drugiego dnia zabierając po drodze naszych, przybyliśmy  
już w piętnastu do Bałagańska.

Wielohorski przyjął nas grzecznie, ale z czartowskim  
uśmiechem, co nam zapowiadało złą wróżbę. Zawezwał nas  
do swego mieszkania, gdzie własnoręcznie przygotowywał  
papiery, zdejmował z każdego z nas dokładny rysopis, przy-  
czem stawaliśmy do miary jak rekruci. W parę godzin były  
już gotowe papiery, a furmanki zamówione dzień przedtem  
oczekiwały nas.

Poszliśmy do miasta posilić się, lecz wkrótce zawołał  
nas do siebie sprawnik, a żegnając się niby bardzo czule po-  
wiedziały, że ma rozkaz dostawić nas do pierwszego etapu na  
trakt główny, i że do etapu wsi Zimy wydaje nam na 2 dni  
żołdu 30 kopiejek, a w papierach naszych naznaczył wyra-  
źnie, iż z najwyższego carskiego ukazu wracamy jako wolni,  
„nie w rodzie aresztantów“, do kraju i że na etapach nigdzie  
nas nie będą zatrzymywać, lub jakiegokolwiek trudności robić.  
Chociaż poznaliśmy po jego mowie i minie, że w jego za-  
pewnieniach niema wiele prawdy, to jednak tak nam stanął  
kością w gardle, że zdecydowaliśmy się pod jakimibądź wa-  
runkami opuścić Bałagańsk z jego kochanym sprawnikiem.

Żądaliśmy, aby nam pokazał papiery i wydał przyna-  
leżny żołd za 4 miesiące po 12 rubli na osobę. Na to od-  
rzekł krótko, że w kasie pieniędzy niema, a jeżeli koniecznie  
domagamy się żołdu, to mamy poczekać kilka dni, dopóki  
z Irkucka nie nadejdą pieniądze, dokąd on zaraz pisać bę-  
dzie, co zaś do pokazania nam papierów, to te są już opie-  
czętowane i do naczelnika etapu wsi Zimy zaadresowane,  
przeto ich otwierać nie może.

Wielohorski wiedział aż nadto dobrze, że każda go-  
dzina jest dla nas drogą, a czekać parę lub kilkanaście dni

w miasteczku, bez żadnego utrzymania, było niemożliwym. Aby tylko jak najprędzej wydobyć się z Bałagańska, zrzekliśmy się naszego żołądu, co szanownemu sprawnikowi przyniosło do kieszeni kilkaset rubli, a błogosławiąc Bałagański i kochanego jego sprawnika, ruszyliśmy tego samego dnia wieczorem do traktu.

Jadąc całą noc stepami Buryackimi, gdy nad ranem znużeni drzymaliśmy na wozach, usłyszeliśmy wołanie po polsku „stój, stój!“ Przetarłszy oczy spostrzegliśmy w stepie pędzącego do nas na wozie Buryata. Zadziwiło nas przeto niemało polskie wołanie, i kazawszy stanąć, oczekiwaliśmy wołającego; ale jeszcze większe było nasze zdziwienie, gdy mniemany Buryat wyskakuje ze swego wozu i rzuca mi się na szyję. Wtedy dopiero po głosie poznałem swego dobrego znajomego, kolegę jeszcze z obozu, a później z podróży na Sybir, Wojciecha Krasnowolskiego, (obecnie mieszkającego w Lublinie), który będąc w robotach w Usolu, naówczas przebywał na posieleniu między Buryatami, trudniąc się handlem. Ubrany w kostyum buryacki, objeżdżał właśnie jurty buryackie i nadybał nas niespodzianie. Radość nasza była wielka, a pocziwy Krasnowolski chciał nas na drogę obdarzyć całym swym zapasem herbaty i cukru, z czego ku wielkiemu jego oburzeniu korzystać nie chcieliśmy, gdyż nam powracającym do kraju były już dni naszej niewoli policzony, jego zaś oczekiwała jeszcze straszna długa niepewność; nie mogliśmy zatem pomimo zakłęb i prósb Krasnowolskiego korzystać z serdecznej, szczerzej koleżeńskiej ofiarności. Podziękowawszy mu za nią i pożegnawszy się ze łzami w oczach, nie mogłem wtedy przypuszczać, że w czternaście lat później, bo w roku 1882 ten sam pocziwy kolega, powróciwszy dzięki niez mordowanym staraniom swej towarzyski życia w rodzinne strony, odwiedzi mnie ze swą godną małżonką podczas świąt Wielkanocnych we Lwowie. Dzięki ci za tę miłą duchową ucztę serdeczny przyjacielu i kolego!

Około południa przybyliśmy do Zimy; zostaliśmy oddani naczelnikowi etapu, któremu na wstępie oświadczyliśmy, że chcemy jechać dalej. Ależ jakie było nasze rozczarowanie, gdy nam naczelnik oświadczył, że on porządku transportowania więźni „obrotnym porządkiem“ zmienić nie może i nie śmie pod żadnym warunkiem, i że u niego na etapie jest już naszych siedmiu idących z Irukucka takim samym porządkiem obrotnym, a otworzywszy papiery dodał wkońcu i tę pocieszającą dla nas wiadomość, że sprawnik przysłał dla nas tylko po 10 kopiejek dziennego żołądu, i nie dał upoważnienia dawania nam podwód, a zatem będziemy musieli iść piechotą.

Transportowanie więźni „obrotnym porządkiem etapnym“ było dla nas, wracających do rodzinnych stron, dla których każdy dzień, wobec tej niezmiernej odległości, był drogi, czemś okropnem. Tym porządkiem idzie się dwa dni, robiąc po jednej stacyi, to jest jednego dnia idzie się z etapu na półetap, gdzie się nocuje, a nazajutrz na etap, gdzie się zostaje trzy dni i tyleż nocy, a to z następującej przyczyny: Partye aresztanckie bywają w Sybir wysyłane regularnie co tydzień z miasta Moskwy, gdzie jest główny punkt zborny wszystkich zesłanych więźniów; a więc każda taka partya oddalona jest od drugiej siedmiodniowym czasem. Na drugiej stacyi, która się nazywa „etap“, jest pewna ilość żołnierzy nazwanych „strażą etapną“ z naczelnikiem oficerem w stopniu od praporszczyka aż do kapitana. Ilość i jakość tych żołnierzy jest rozmaita. W Rosyi i w zachodniej Syberyi należą oni do komendy wojsk garnizonowych lub inwalidów, we wschodniej Syberyi do wojsk kozacych, a liczba ich dochodzi najwyżej do 60 głów na jeden etap. Na każdym etapie schodzą się raz w tydzień dwa konwoje ze swymi naczelnikami. Jeden przyprowadza aresztantów idących w Sybir i oddaje ich następnemu naczelnikowi, który przyszedłszy po partyę, przyprowadził ze sobą aresztantów idących w stronę przeciwną. Są to albo powracający do kraju, albo

idący z robót na posilenie, lub pod sąd do miast gubernialnych, a największą część z tych stanowią Sybiry, skazani za rozmaite zbrodnie do robót w fortcach rosyjskich, a nawet w Królestwie polskiem, jak do Modlina, Dębina, a dawniej i do Zamościa. Obie partye nocują razem na pół-etapie i na drugi dzień rano ci, co przyprowadzili aresztantów idących w Sybir, zabierają obrotnych na swój etap, gdzie ich trzy dni trzymają, to jest do tego dnia, w którym pójdą znowu na drugi półetap po następną partyę pędzonych w Sybir.

Takim sposobem wracając do kraju musieliśmy iść przez dwa dni, a trzy dni odpoczywając, pięć dni na każdy etap stracić, a że z Irkucka do Tobolska na przestrzeni trzecztyśięcy wiorst jest 60 etapów, licząc do tego w każdym gubernialnem mieście 10 dni zatrzymania, potem przy zamarzaniu i puszczaniu rzek co najmniej 30 dni straconego czasu, musielibyśmy iść do samego Tobolska co najmniej dwadzieścia miesięcy; a więc moglibyśmy naszą ojczyznę przy najlepszych warunkach najprędzej po dwóch latach marszu ujrzeć, wliczając w to podróż z Niżnonowogrodu do Warszawy koleją żelazną, a letnią porą do Niżnonowogrodu statkami parowymi.

Nie dziwota też, że taka odpowiedź naczelnika etapu nas bardzo przeraziła, osobliwie mnie, który będąc w Irkucku zapewniony słowem honoru gubernatora cywilnego, pana Erena, upewniałem tak samo moich kolegów o jak najkorzystniejszej i najspieszniejszej podróży. Naczelnik etapu Zimy był jeszcze o tyle dobry, że nas na etapie nie zamknął, pozwalając rozkwaterować się po wsi.

Po umieszczeniu, udaliśmy się do naszych kolegów na etap, i dowiedzieliśmy się od nich, że ich i jeszcze inne dwie partye, przed nimi wysłane, a złożone z dziesięciu i piętnastu naszych, pomimo zaręczenia tego samego gubernatora najuroczystszem słowem honoru, wyprawiono z Irkucka, aby się tylko pozbyć, jak się należało na podwodach,

ale już na drugim etapie naczelnik, nie mając pisemnego rozporządzenia, odmówił dania furmanek. Protestowali przeciw temu nadużyciu, ale nic nie pomogło, idą obrotnym porządkiem piechotą, i już dwa razy podawali pisemną prośbę do Irkuckiego gubernatora, przypominając mu dane słowo honoru, ale dotychczas nie mają odpowiedzi. Tym wydawano przynajmniej po 15 kopiejek dziennie, nam i to sprawnik urwał, zatrzymując dla siebie od każdego z nas po 5 kopiejek dziennie, a że nam na ręce naczelnika wydał żołąd na cztero miesięczną podróż aż do Krasnojarska, ukradł więc przeszło 140 rubli.

Podupadli na duchu, nie spodziewając się tak prędko ujrzeć nasz kraj ukochany, mając przed sobą przestrzeń siedmiu tysięcy wiorst i tyle trudności do pokonania, idąc w najgorszy czas podczas największych mrozów, śniegów i zawiei, roztopami, skutkiem czego nieraz całą pięć milową przestrzeń we wodzie wyżej kolan przebrnąć trzeba było, jakoteż mając do walczenia ze zwierzęcem obejściem i postępowaniem tamtejszych etapnych oficerów i rozbestwionych konwojujących żołnierzy i różnych smotryieli po więzieniach okręgowych i gubernialnych; powzięliśmy zamiar zaraz z drogi napisać grzeczną prośbę do gubernatora, przedstawić mu nasze smutne i opłakane położenie, a zarazem oznajmić, że w pierwszym okręgowym mieście Wierchnym Udyńsku, oczekiwać będziemy, nie ruszając się z miejsca, jego odpowiedzi. I daliśmy sobie słowo, do Udyńska znosić cierpliwie wszelkie niewygody, jak również wszystkie wyrządzone obelgi i szykany od gburowatych naczelników i żołnierzy etapnych.

Idąc w Sybir nie mieliśmy nic do stracenia, więc na każdym etapie za najmniejsze niegrzeczne słowo, wypowiedziane któremu z nas przez oficera lub żołnierzy, karaliśmy tych zuchwałych, a stąd przychodziło często do bójek, z których wiedzeni opatrnością Boską wychodziliśmy zawsze szczęśliwie cało.

Teraz zaś, wracając do kraju, kiedy każda chwila była dla nas zanadto drogą, łatwo moglibyśmy wypaść z granic cierpliwości, a uderzywszy oficera lub pobiwszy żołnierzy, popaść na nowo pod sąd i chociaż nic by się nam tak bardzo złego stać nie mogło, bo prawie każdy oficer etapny przyzwyczajony jest pobierać pocałunki „Apuchtinowskie“, i czem więcej jest wycałowany, tem i większą zasługę ma u swego cara, to mogliby nas jednak jakie pół roku lub dłużej zatrzymać w śledztwie, co dla nas spieszących do rodzinnych stron, nie byłoby wcale rzeczą pożądaną. Dlatego postanowiliśmy sobie na wszystko, co się koło nas i wobec nas dziać będzie, być obojętnymi, głuchymi i ślepymi; aby mózż się tylko jak najprędzej dostać do Wierchnego Udyń-ska, i tam gdyby nie było jeszcze odpowiedzi od gubernatora, coś stanowczego przedsięwziąć.

Po sześciu tygodniach nader uciążliwej podróży przybyliśmy, czyli raczej przywlekliśmy się do Udyńska. Sprawnikiem natenczas był tam pan Prytkow, były oficer rosyjskich ułanów, który chciał nas przemocą zamknąć do więzienia. Jakoś szczęśliwie zdołaliśmy się od tej przyjemności wywinąć, lecz zato musieliśmy sobie za własne pieniądze wynająć mieszkania w miasteczku, cośmy woleli zrobić z uszczerbkiem naszego żołądka, aniżeli dostać się do więzienia między tylu łotrów i to na dłuższy czas, bo rzeka Uda pokryta gęstą krą, czyniła przeprawę niemożliwą.

Było to w połowie listopada. Rozmieściwszy się po najętych mieszkaniach w mieście, udaliśmy się zaraz do sprawnika z zapytaniem, czy nie nadeszła do nas odpowiedź od gubernatora z Irkucka. Sprawnik dał nam nietylko przeczącą odpowiedź, lecz dodał, że ze swej strony nic dla nas zrobić nie może więcej, jak takim samym sposobem nas dalej do Krasnojarska wysłać.

Odpowiedzieliśmy kategorycznie, że dopokąd nie będziemy mieli odpowiedzi od gubernatora z Irkucka na nasze podanie, na dowód którego receptis nadawczy z poczty znaj-

duje się u nas, dopóty się nie ruszymy z miejsca, dlatego upraszamy go bardzo, aby telegrafował do Irkucka z zawiadomieniem, żeśmy przybyli do Udyńska, i oczekujemy odpowiedzi od gubernatora.

Na to odrzekł sprawnik, że on jako podwładny niema prawa wyższą władzę o coś zapytywać, ale pozwala nam od siebie prywatnie zatelegrafować.

Zapłaciwszy w biurze telegraficznem 2 ruble, posłałiśmy depezę do gubernatora Erena upraszając o odpowiedź na nasze podanie. Gdy tak czekamy jeden, drugi i trzeci dzień, a odpowiedź nie nadchodzi, telegrafujemy po raz drugi, płacąc i odpowiedź, co nas kosztowało 4 ruble.

Drugiego dnia otrzymał sprawnik telegram, aby nam wydawał nadal po 15 kopiejek dziennie, zaległą należność wypłacił i dał ciepłe zimowe ubranie (rozumie się aresztanckie), zaś o podwodach dla nas nie było żadnej wzmianki.

Udaliśmy się więc do sprawnika, przedstawiając mu, że podług znanych mu praw, wszystkim tym, którzy pobierają 15 kopiejek dziennego żołdu, należy się na dwóch jeden koń, jako należącym do stanu „uprzywilejowanego“, i odwołaliśmy się na reskrypt ministra spraw wewnętrznych z dnia 20. września 1866 roku do l. 42, którego odpis sprawnikowi przedłożyliśmy. Tu muszę nadmienić, że będąc po raz ostatni w Irkucku w kancelaryi pana Popowa dostałem od niego odpisy wielu rozporządzeń ministeryalnych wydanych na naszą korzyść.

Pan Prytkow, zbywając nas grzecznymi półsłówkami, przetrzymał nas jeszcze dni ośm, i po wielkich targach dał niby z łaski pod nasze rzeczy i chorych dwie furmanki, resztę musieliśmy sobie nająć.

Sprawnik czyniąc to, postąpił z nami nietylko nie po ludzku, ale i nieprawnie, bo gdy przyszło rozporządzenie z Irkucka, aby nam wydać 15 kopiejek dziennie, należało więc dać i furmanki, gdyż wedle praw rosyjskich 15 kopiejek dziennego żołdu upoważnia do żądania na dwóch jednego

konia. Czy Prytkow chciał nam na złość zrobić lub podchlebić się swoim przełożonym, u których jako okrzyczany łapownik „nie lubiący się dzielić“ był bardzo źle uważany, tego nie wiemy.

Aby dać jednak wyobrażenie o niesłychanych nadużyciach i zbrodniach, popełnianych pod opieką rządu w okręgu Wierchno - Udyńskim, opiszę stosunki tamtejszego więzienia.

Podówczas od kilku lat Udyńsk i jego okolica były widownią ustawicznych rabunków i zabójstw. Napadano przejeżdżających bogatych kupców, rozbijano i rabowano poczty, a nawet i mieszkańcy zaludnionej części miasteczka, pomimo miejskiej straży i miejscowego garnizonu, nie byli bezpieczni od napaści. Każdy zamożniejszy obywatel lub bogaty kupiec nie był pewnym ani swego mienia, ani swego życia. Każda noc dla wszystkich mieszkańców Udyńska i jego okolic była straszną, nikt bez pewnej trwogi i obawy nie śmiał zasnąć spokojnie, nikt nie był pewnym czy świtający poranek znajdzie go przy życiu i mieniu. Obywatele miasta donosili o tem do wyższej władzy w Irkucku. Zjechała komisya śledcza z żandarmeryą i policyą, odbywano po domach i okolicznych wsiach ścisłą rewizyę, ale wszystko nadaremnie. Rozboje powtarzały się częściej, a wykonywane z wielką śmiałością i zręcznością rzuciły jeszcze większy popłoch na mieszkańców. Nie wiem już jakim to trafem, ale powiedzieć można, że tylko prawdziwie cudem Bożym udało się mieszkańcom dojść śladu popełnianych zbrodni.

W tym kraju tak obfitym w zbrodnie, morderstwa i rabunki, najpierwszą oznaką każdego miasta choćby najmniejszego, jest u wjazdu stojący dom okazały, wielkich rozmiarów, z zewnątrz biały, porządnie wyglądający, z dachem oznaczającym niewinnie wytaczaną krew, koloru czerwonego. Jest to miejscowy kryminał, zwany *turma*, to jest wieża, lub *ostrog*, zamek.

Naczelnik, *smotrytiel* więzienia w Udyńsku, gdzie znajdowali się rozmaici zbrodniarze, wypuszczał ich z więzienia

w nocy na zarobek. Ci pod osłoną więziennej straży przez sześć lat dopuszczali się gwałtów i rabunków, uchodząc ze swoją zdobyczą do więzienia, dzieląc się tam sumiennie ze swoim protektorem, *smotrytiem* więzienia.

Nikomu nietylko że nie przychodziło na myśl, ale nikt nawet nie przypuszczał, aby w takim miejscu, jak w domu kary, przechowywały się dowody zbrodni i okrucieństw, które siały przez lat tyle postrach po Udyńsku i jego okolicach. Trudne do uwierzenia, aby w XIX wieku coś podobnego dziać się mogło, ale że w Rosyi wiek ten jest wiekiem postępu na drodze najwyższej demoralizacji i zbrodni, więc bezprawia takie były tu powszednim chlebem.

Komuna miasta po długim wahaniu zażądała ścisłej rewizji więzienia, na którą tamtejsza władza zgodzić się nie chciała, uważając to za demonstrację przeciw rządowi, a nawet za jawny bunt ze strony miasta. Miasto zawezwało potajemnie naczelnika żandarmeryi, który się naocznie przekonał, że dom kary, dom poprawy, był ogniskiem wszystkich tych popełnianych strasznych zbrodni.

Z urzędników wzięto tylko jednego *smotrytiela* pod sąd, właśnie za naszej bytności siedział w tem samym więzieniu, używając wszelkiej wygody, wychodząc nawet ze strażą na miasto, a znający stosunki, wszyscy twierdzili, że zostanie uwolniony, niby to dla braku dostatecznych dowodów.

Mieliśmy sposobność tego zbrodniarza oglądać; był to nie stary jeszcze, silnie zbudowany drab, chodził ciągle w mundurze, a ufny w swój pełny trzos był zawsze dobrego usposobienia, a nawet wesołego humoru.

Przybywszy z Wierchno-Udyńska na pierwszy etap, zastaliśmy tam na nasze szczęście naczelnikiem etapu Kurlandczyka, kapitana Bernarda, człowieka wykształconego, wyrozumiałego, a co się nadzwyczaj rzadko trafia pomiędzy oficerami etapnymi, i prawnego.

Ten, widząc nasze przykre położenie i nasz opłakany stan, wobec których nie mielibyśmy nadziei prędkiego oglą-

dania naszej drogiej ojczyzny, rozkazał gminie dać nam podwody, a do tego dał dwa listy rekomendacyjne, jeden do naczelnika następnego etapu, drugi zaś do naczelnika etapu, swego ziomka, w Birusi, położonego już na granicy gubernii krasnojarskiej.

Naczelnik następnego etapu, prosty Rosyanin, chociaż znany był jako wielki gbur i nieuczynny, ale zaszczycony serdecznym listem pana kapitana, nie śmiał opierać się jego prośbie, i wysłał nas na drugi dzień rano toż samo dwie stacye, prosto przez półetap na drugi etap. Tam idziemy śmiało wprost do oficera, i już nie prosimy, ale żądamy, aby nas zaraz dalej wysłał tym samym porządkiem jak przyjechaliśmy. Oficer nie mógł pojąć, jakim sposobem gmina może dawać furmanki, nie mając na to żadnego rozporządzenia. Długo nad tem myślał, dumał, kłął rosyjski porządek i wezwał do narady wachmistrza, któremu już przedtem daliśmy łapowe. Uradzono więc, że nas zatrzymywać nie można, i należy dalej wysłać tak, jak tam przybyliśmy.

Nazajutrz dano nam podwody i pojechaliśmy znów dalej do następnego etapu.

Takim to sposobem dojechaliśmy do granicy gubernii krasnojarskiej, zawdzięczając to panu Bernardowi, któremu za miesiąc oszczędzonego czasu i zdrowia dziękujemy najserdeczniej, a jego gościnność, uprzejmość i wyświadczona nam łaska pozostanie na zawsze nam w pamięci.

W Birusi, dokąd mieliśmy list od pana Bernarda, zostaliśmy naczelnikiem kapitana, którego nazwiska nie pamiętam, Niemca, człowieka wykształconego i zacnego. Ten nas bardzo uprzejmie przyjął i oświadczył, że wiadomo mu dobrze, jak dla nas każda chwila jest drogą; nie chce więc dłużej nas zatrzymywać i chociaż byłoby mu bardzo przyjemnie, gdyby mógł z nami wieczór przepędzić, to jednak odeszle nas wprost na następny etap, a że tamten naczelnik jest służbista w całym znaczeniu tego słowa, i gbur jakich mało, przeto daje nam do niego list z prośbą, aby nas na-

tychmiast dalej wysłał, a jeśli nam się uda szczęśliwie wyjechać stamtąd, to już do samego okręgowego miasta Kańska pójdzie nam gładko, gdyż na tamtej przestrzeni jest wielu naczelników ludzi ludzkich i postępowych. Podziękowawszy panu kapitanowi za jego grzeczność i dobroć, tego samego dnia jeszcze na całą noc ruszyliśmy do następnego etapu, wzięwszy sobie za hasło: „korzystajmy z czasu, póki korzystać się daje“.

Przybywszy na etap, tak umieliśmy trafić w słabą stronę tamecznego oficera, że przeczytawszy list kapitana, wpadł w dobry humor i oświadczył, że po trzydziestu latach wiernej służby białemu carowi, po raz pierwszy robi takie nadużycie wobec prawa, a to tylko dlatego, aby pokazać, jak on uważa tych *czesnych* ludzi, którym jego najszlachetniejszy i największy monarcha, pan całego świata i zastępca Boga na ziemi, przebaczył ich wielkie winy, i wspaniałomyślnie uwalnia, dlatego nie zatrzymuje nas dłużej na etapie, rozkazuje natychmiast dać potrzebne furmanki i na dalszy etap wysyła. Podziękowaliśmy bardzo za jego łaskawość, a zadowoleni z naczelnika, a jeszcze więcej ze siebie samych, tego samego dnia stanęliśmy na następnym etapie.

Z Udyńska wyjechaliśmy już na saniach, mrozy co dzień wzmagały się, i chociaż było dyabelnie zimno i podróż nie bardzo wygodna, bo na jedne małe sanie siadało nas pięciu, a furman szósty, to jednak z największą przyjemnością jechaliśmy dniem i nocą, pocieszając się, że co dzień bliżej jesteśmy naszej ukochanej ojczyzny.

W kilku dniach, po wielu kłopotach, których mieliśmy najwięcej ze strony włościan z tego tytułu, że nam muszą bezpłatnie i bez rozporządzenia wyższej władzy dawać podwody, dobiliśmy się do okręgowego miasta Kańska.

Tutaj poszło nam nawet daleko lepiej, niż się spodziewaliśmy. Sprawnik tamtejszy, pułkownik Popow, człowiek nadzwyczaj prędko i pasjonat, ale ze szlachetną duszą i uczciwym sercem, śmiało powiedzieć można był ojcem i opie-

kunem zesłanych tam braci naszych. W okręgu kańskim była największa ilość naszych zesłanych, bo dochodziła do czterech tysięcy osób, a cały okręg był tak naszymi przepełniony, że nie było najmniejszej wioski, gdzieby ich kilkudziesięciu się nie znajdowało.

Rząd, nie dając naszym żadnego utrzymania, utrudniał pobyt tak, że oprócz gospodarstwa, niczem innym zająć się nie było można. Nędza i głód dochodziły do najwyższego stopnia, a przyprowadzając naszych do ostateczności, mogły za sobą pociągnąć jak najgorsze skutki.

Nasi napastowali ówczesnych sprawników, którzy widząc rozpaczliwy ich stan, podawali się prędko jeden po drugim do dymisyi, aż wkońcu brakło już generał-gubernatorowi w Irkucku człowieka, któryby się podjął objąć to korzystne, ale ze względu na przepełnienie Polakami, nadzwyczaj niebezpieczne i utrudniające stanowisko.

Szczęśliwym trafem padło oko Korsakowa na Popowa, który był już znany jako człowiek energiczny, szlachetny i prawy. Popow wzbraniał się przyjąć tę posadę, ale gdy mu podano korzystne warunki, do tego podwyższono pensję, zgodził się i przybył do Kańska w czasie, kiedy stosunki między naszymi i władzą były nadzwyczaj naprężone, a okoliczności nadzwyczaj przykre.

Zaraz na samym początku zajął się szczerze naszymi. Za jego pośrednictwem dostało wielu u kupców stałe zajęcia, jak również w kopalniach złota; pozwolił naszym zajmować się drobnym handlem, zakupować bydło, dostawiać zboże dla rządu, wydawał bilety do wolnego przejazdu po całym kańskim okręgu i sąsiednich, i nietylko że dawał praktyczne rady, gdzie i czego czepić się mają, aby mieć przynajmniej choć jakiegokolwiek utrzymanie, ale sam osobiście ułatwiał naszym sprzedaż ich wyrobów; i tak: do wyrobu letnich kapeluszy słomkowych, do którego zawiązała się spółka z kilkunastu, przyczynił się tem, że najpierw siebie, całą swą rodzinę i służbę w te kapelusze ubrał, następnie wpy-

chał je wszystkim kupcom i mieszczanom, a wyjechawszy na objazd okręgu, rozwoził je, ubierając w nie najpierw wszystkich urzędników gminnych, a wkońcu i włościan. W krótkim też czasie kilka tysięcy kapeluszków wykonanych ręką polską, przyozdabiało głowy mieszkańców całego okręgu kańskiego. We wszystkich sklepach i karczmach nie było wolno sprzedawać innych papierosów, jak tylko wyrobu polskiego, każdy karczmarz obowiązany był pod utratą konsensu brać papierosy od naszych, które najczęściej sprawnik sam rozwoził, i krociami kupcom i karczmarzom wpychał, a ci jeszcze do tego kłaniając się nisko sprawnikowi, radzi nieradzi brać musieli. A niech Pan Bóg broni, jeśliby który z mieszkańców śmiał naszemu jaką krzywdę wyrządzić, lub choćby słowem obrazić. Samo napisanie skargi przez naszego do sprawnika wystarczało, aby sprawnik zaraz sam zjechał i przeprowadził śledztwo, które prawie zawsze na niekorzyść tamtejszych mieszkańców wypadało. A jednak pomimo tego widocznego opiekowania i protegowania naszych, tamtejsi mieszkańcy nie mogli dość się nachwalić sprawnika, jaki to jest człowiek przyjacielski, dobry, i jak z nimi po ojcowsku postępuje.

A że był człowiekiem dobrego i szlachetnego serca, a przytem nadzwyczaj porywczy i prędki, świadczy następujące zdarzenie:

Pewnego razu nasz Galicyanin Emil Kratochwil, naówczas młody chłopczyzna, przyszedł po jakimś interesie do sprawnika, który zajęty jakąś ważną i pilną robotą pisemną, był w złym humorze. Kratochwil podchodzi do sprawnika i mówi, co go do niego sprowadziło. Sprawnik ofuknął go niegrzeczными słowami, na co mu Kratochwil tą samą monetą, jeszcze z dodatkiem odpowiedział. Sprawnik przyprowadzony do ostateczności, zrywa się z miejsca, bierze Kratochwila za barki i chce go wyrzucić. Była to trudna sprawa, bo Kratochwil jako młody, zwinny, przytem silny, i także bardzo porywczego usposobienia, bierze też samo sprawnika za kołnierz, i zaczęło się na dobre borykanie, aż wkońcu Krato-

chwil silniejszy, wyrzuca sprawnika za drzwi z jego własnego mieszkania wobec zdumiałych urzędników i chłopów, i sam jak najspokojniej siada na jego miejscu. Wyrzucony sprawnik przychodzi prędko do siebie, wraca z uśmiechem na twarzy i mówi do obecnych włościan i mieszczan:

— My Słowianie, mamy krew gorącą — a potem obracając się do siedzącego sobie spokojnie Kratochwila — no panie Kratochwil, nie gniewaj się, ale pan jesteś dyabelnie silny, a krew masz czysto polską, taką jak ja, chociaż jestem Rosyaninem.

I na tych słowach skończyła się ta nieprzyjemna sprawa, z której inny na miejscu sprawnika z pewnością byłby skorzystał, a mszcząc się na naszym, wysłałby go być co najmniej na północ swego okręgu, do Turhańska.

Z tego wszystkiego widzimy, że sprawnik Popow, nie był z rzędu tych ludzi, co Wielohorski, Prytkow i inni krzewiciele rosyjskiej cywilizacji. Był to człowiek, któremu, chociaż Rosyaninowi, szlachetność, prawość, ludzkość i uczciwość charakteru przyznać musimy.

Chociaż za naszej bytności nie było sprawnika w domu, jednak urzędnicy tamtejsi, stosując się do swego naczelnika, byli przejści jego zasadami i postępowali tak, jak im prawo i sumienie nakazywało. Nie zatrzymano nas tam długo, wydano otwarte rozporządzenie do gmin, do natychmiastowego wydawania nam potrzebnych podwód i napisano na wierzchu naszych dokumentów: „Rozkazuje się wszystkim naczelnikom etapnym wysyłać niezwłocznie z etapów bez najmniejszego zatrzymywania“.

Z takimi dokumentami podróż nasza szła bardzo prędko, i prawie bez żadnych kłopotów; w kilku dniach stanęliśmy w gubernialnem mieście Krasnojarsku, gubernii Jenisejskiej.

---

## II.

### Z Krasnojarska do Tomska.

---

Policmajster Barszczow. List od brata Kornela. Inne prawa. Słowo honoru Erena. Dysputa z gubernatorem. Opór i siła. Pochód do Aczyńska. Sprawnik Zingbusch. Okręgowe miasto Maryańsk. Inne prawa. Rozdział. Przybycie do Tomska.

W Krasnojarsku zastaliśmy naszych zagranicznych więcei, którzy z Irkucka już po nas, przez nasze starania z Udyńska, na innych prawach wysłani, nas w drodze minęli, a w Krasnojarsku nieprawnie zatrzymani zostali, li tylko z powodu nadużyć tamtejszej władzy i różnych nieporozumień. Było także wielu małoletnich, wracających po tym samym manifeście co i my do Królestwa polskiego i do rosyjskich gubernij.

W Krasnojarsku stan rzeczy zmienił się na naszą niekorzyść, wsadzono nas do więzienia i zamknięto.

Napróżno protestowaliśmy i wołali, że my ludzie wolni, których car ułaskawił i że w naszych dokumentach napisano wyraźnie: „powracają do kraju nie w rocie aresztantów“.

Wszystko nic nie pomogło, wepchnięto nas siłą do więzienia zapełnionego największymi zbrodniarzami.

Zawezwaliśmy policmajstra pana Barszczowa, który po wielkich ceregielach pozwolił codziennie dwom z nas wychodzić do miasta. Ci byli obowiązani udawać się do kancelaryi ekspedycyjnej i tam o jak najprędsze i najkorzystniejsze wysłanie traktować. Żeby jednak nie każdy z osobna

znosił się z władzą, co mogłoby tylko wywołać nieporządek i jeszcze większe nieporozumienie, wybrano jednego jako starostę, który miał się udać do gubernatora i sowietników i starać się u nich o jak najkorzystniejsze wysłanie.

Zaufanie to padło na mnie; znając szelmostwa i kręctwa rosyjskich władz, wymawiałem się od tego trudnego i nieprzyjemnego obowiązku, ale nic nie pomogło, musiałem się wkońcu poddać woli ogółu.

Ponieważ więzienie krasnojarskie było przepelnione, pomieszczono nas jak śledzi na kurytarzach, gdzie przez cały Boży dzień wszyscy aresztanci snuli się, musieliśmy przeto mieć baczne oko, aby nas nie okradziono z naszych najniezbędniejszych rzeczy, innych bowiem nie posiadaliśmy.

Jeszcze tego samego dnia przyszedł do nas smotrytel więzienia z zapytaniem, czy niema między nami Adolfa Jan-kowskiego, bo doktor więzienny ma do niego list z pieniędzmi. Zaciekawiony bardzo listem, a jeszcze więcej pieniędzmi, których się nie spodziewałem od nikogo, udałem się ze smotrytelem do doktora pułkownika, który mi oznajmił, że w przejeździe przez Krasnojarsk był u niego mój brat i prosił go, aby się dowiedział o mnie i wręczył list z pieniędzmi.

Niewymowną radość sprawiła mi wiadomość o moim bracie Kornelu, który pisał w tym liście, że z kolegą Prinio jedzie na swój koszt do kraju, dziwił się, że mnie w drodze nigdzie nie mógł znaleźć, szukając po etapach wszędzie, i pomimo, że zdybał kilka partyj naszych, nic się nie mógł dowiedzieć o mnie, fundusze jego pozwalają mu jechać tylko do Tomska na własny koszt, skąd będzie się starał innym sposobem dobić się przynajmniej do Niżnego Nowogrodu, to jest do pierwszej stacyi kolei żelaznej.

Do listu dołączona była 50-rublówka, która dzięki memu braciszкови wielką usługę zrobiła naszej partyi.

Następnego dnia zacząłem robić starania o rychłe wysłanie nas, i w tym celu udałem się najpierw do gubernatora.

Natenczas nie był już gubernatorem Zamiatin, który — przez swoje niedorzeczne postępowanie wobec sławnego złodzieja sybirskiego, a ojca wybawiciela cara, Komisarowa — został usunięty. Miejsce jego zastępował tymczasowo jakiś tajny sowietnik z głupkowatą miną, który czy nic nie chciał wiedzieć, czy też rzeczywiście nic nie wiedział, bo na moje wszystkie pytania zapytywał się obok siebie stojącego Barszczowa, a co ten uznał za stosowne, to gubernator dopiero odpowiadał.

Interesa nasze, to jest zagranicznych, były w jak najgorszym stanie. Nietylko że nam 15 kopiejek odebrano, ale chciano nas piechotą razem ze zbrodniarzami wyprawić. Napróżno usiłowałem przekonać policmajstra i gubernatora reskryptem ministeryalnym z roku 1866, l. 42, iż czynią nam krzywdę, gdyż zbijał mnie Barszczow ostatniem rozporządzeniem generał-gubernatora irkuckiego, wydanem przed kilkunastu dopiero dniami, aby wszystkich zagranicznych, nie zważając jakiego są pochodzenia i stanu, wysłać piechotą, partią obrotną, zarówno z aresztantami kryminalnymi, dając żołdu 10 kopiejek dziennie. Starłem się ich przekonać, że gubernator Eren powodowany tylko względami osobistymi, mógł wymóżyć na Korsakowie wydanie takiego nieprawego rozporządzenia, które na mocy wyższych rozporządzeń powinno być unieważnione.

Gubernator zaczął przyznawać słuszność i przychylić się na naszą stronę, ale gdy go znowu Barszczow wziął w swoją opiekę, przyznawał i jemu racyę; tak po dwugodzinnej językowej walce, była słuszność kilka razy po naszej stronie i tyleż razy po stronie policmajstra, a że siła fizyczna była przy Barszczowie, moja zatem moralna upaść musiała.

Oświadczyłem więc panu gubernatorowi i policmajstrowi stanowczo, że takie nieprawne postępowanie władz wobec poddanych państwa austriackiego i pruskiego zmusza nas do opornego działania, dlatego oświadczyłem stanowczo, że na takie transportowanie ludzi wolnych z naj-

większymi zbrodniarzami zgodzić się nie możemy i tylko siłą, to jest bagnietami będą mogli nas do tego zmusić, a wtedy nikt nam nie zabroni powiedzieć, że władza rosyjska postępuje z nami nieprawnie, niesumiennie i po barbarzyńsku. Powiedziawszy to, ukłoniłem się i wyszedłem.

Dzień następny przeznaczony był do naszej wysyłki. Udałem się do moich kolegów i zakomunikowałem im tę nader przykrą wiadomość.

Jesteśmy dopiero oddaleni tysiąc wiorst od Irkucka, a tyle już przechodziliśmy biedy i kłopotów, cóż to dopiero będzie na przestrzeni jeszcze sześciu tysięcy wiorst?

Wszyscy zgodzili się, aby dobrowolnie nie wyruszać z miejsca, lecz tylko przed siłą zbrojną uledez.

Wtedy nie pozostałoby nam nic innego, jak poddać się cierpliwie przeznaczeniu i woli Bożej, i co będzie to będzie, dojsć jako tako do miasta gubernialnego Tomska, oddalonego 500 wiorst, pocieszając się nadzieją, że w państwie rosyjskiem, co gubernia i miasto — inne prawo, to może gdziekolwiek zabłądnie dla nas gwiazda szczęścia; w przeciwnym zaś razie przysłoby nam z cierpliwością oczekiwać wiosny, to jest dnia 27. maja, w którym to dniu po ukazie pierwsze statki parowe puszczają, i takim sposobem dostać się do Tiumentia.

Z bijącym sercem oczekiwaliśmy dnia następnego.

Rano wszedł do nas smotrytiel więzienia i oznajmił, żebyśmy się przygotowali do podróży, na co odpowiedzieliliśmy, że ani myślimy.

Z tym raportem udał się smotrytiel do policmajstra, który wszedł do nas w asystencji wojennego naczelnika i wielu służbowych oficerów, prosząc, abyśmy wychodzili, na co odrzekliśmy, że piechotą ze złodziejami nie pójdziemy, i żądamy tylko to, co nam prawo nadaje. Na to odpowiedział Barszczow, że on postępuje sobie prawnie, a my nie możemy sobie rościć jakichkolwiek pretensyj do pobierania większych *karmowych* (żołdu) i furmanek.

Na to odrzekliśmy: „Dlaczego prawo dla nas zagranicznych ma mieć jakiś wyjątek, kiedy wszystkich z Królestwa polskiego i z dawniej zabranych prowincyj polskich wysyłacie na prawach uprzywilejowanych“.

„Tak jest, robimy to dlatego, bo u nas niema konstytucyi, a u was w Austrii i Prusiech jest konstytucya, a zatem równość; tam niema więc klas uprzywilejowanych, dlatego zredukowaliśmy was wszystkich do jednego mianownika i na jednych prawach bez różnicy w drogę pójść musicie“.

To wypowiedział Barszczow z naciskiem i z ironią, a oczy jego zaiskrzyły się szatańskim tryumfem.

Na to odpowiedzieliśmy: „Gdy będziemy na naszej ziemi, to zastosujemy się do tych praw i zwyczajów, teraz zaś, kiedy jeszcze jesteśmy na ziemi rosyjskiej, i rząd rosyjski jest tak troskliwy o nas, że nas z pod swej opieki wypuścić nie chce, to żądamy, aby nas traktowano tak, jak prawo rosyjskie nakazuje“.

Wtedy to Barszczow zaczął się pnieć ze złości, sprowadził wojsko, którego już cały batalion stał w pogotowiu. Każdego z nas brało po czterech żołnierzy i wyprowadzało a raczej wynosiło za bramę więzienia. Dano nam pod kilku chorych i na piętnastu jednego konia pod rzeczy. Otoczono nas eskortą, składającą się z batalionu wojska i dwóch sotni kozaków, i pędzono aż za miasto, dokąd nam towarzyszył wojenny naczelnik i policmajster.

Przy takich awanturach wyszliśmy dopiero po zachodzie słońca z Krasnojarska i bardzo późno w nocy, zrobiwszy 28 wiorst, przybyliśmy na półetap Zelediewa, gdzieśmy już zastali naszych współtowarzyszy podróży — kryminalistów.

Teraz szliśmy w całym znaczeniu tego słowa „obrotnym porządkiem“ dwa dni idąc, a trzy dni odpoczywając, będąc narażeni na rozmaite nieprzyjemności, tak ze strony nieokrzesanych oficerów, naczelników etapowych i żołdactwa, jako też i zbrodniarzy, u których byliśmy zmuszeni siłą pięści wyrobić sobie szacunek i poważanie.

Tak doszliśmy aż do okręgowego miasta Aczyńska. Tutaj zastaliśmy sprawnika wykształconego, ludzkiego i człowieka prawnego, pana Zingbuscha, byłego oficera artylerii gwardyjskiej. Byliśmy tam przez dwudniowy czas naszego pobytu wolni. Pan sprawnik był tak dobry, że wysłał nas na podwodach z wyraźnym rozporządzeniem do naczelników etapów, aby nas nie zatrzymywano.

Po kilku dniach podróży stanęliśmy na granicy zachodniej Syberyi, będącej naówczas pod zarządem generał-gubernatora Chruszczowa w Omsku i przybyliśmy do okręgowego miasta Maryańska.

W Rosyi, gdzie każdy generał-gubernator, gubernator a nawet sprawnik jest małym carem swego państwa, i rządzi w niem według swej woli, swego upodobania i zapatrywania; ma każda gubernia, a nawet okręg swoje właściwe prawa. To też tutaj zastaliśmy inne rozporządzenia co do wysyłki zagranicznych.

Podzielono nas na dwie kategorie, podług naszych towarzyszących nam papierów, i to stanu „uprzywilejowanego i prostego“.

Pierwszym dają 15 kopiejek dziennie i na dwóch jednego konia, ci są nazwani „konną partią“ i są obowiązani robić po dwie stacye dziennie bez żadnych dniówek; drudzy zaś idą pieszo, pobierając 10 kopiejek dziennie, i mają tylko pod rzeczy furmanki, są pod władzą oficerów etapnych i idą razem z aresztantami kryminalnymi znanym „porządkiem obrotnym“.

Kilku z naszych przydzielono do konnej partii, nas zaś wszystkich z okręgu bałagańskiego do partii pieszej, bo Wielohorski robiąc nam na złość, nie umieścił w zapiskach z jakiego pochodzimy stanu, i to wbrew prawu rosyjskiemu, które nakazuje, że przy imiennej liście musi być przy każdym wyraźnie oznaczone, z jakiego stanu, co zresztą przy tamtejszych ustawach jest niezbędnem. Kancelarya ekspedycyjna w Krasnojarsku również nie chciała wypełnić tej luki

w naszych zapiskach i wysłała nas tak, jak podał Wielohorski, odejmując zarazem 15 kopiejek dziennego żołądu, co stanowiło jedyny dowód, na który mogliśmy się powołać, że jesteśmy podług Rosyan „uprzywilejowanego stanu“.

Pomijając już byt materyalny i moralny, wielka różnica była na czasie pomiędzy partją konną a pieszą. Gdy partja konna potrzebowała czasu do przebycia drogi z Maryańska do Tomska cztery dni, to my szliśmy aż dni 24.

Pod najgorszymi warunkami, w najstraszniejszej porze roku, przy okropnych mrozach, zawiejach, brnąc nieraz wyżej kolan w śniegu, dowlekliśmy się zaledwie z wielką biedą na początku stycznia 1869 roku do gubernialnego miasta Tomska.

### III.

## Z Tomska do Tiumenia.

Rozkwaterowanie. Starania u pana Gurjewa. Telegrafowanie do Irkucka. Odpowiedź. Mrozy Tomskie. Wyjazd konną partyą. Koływan. Stepy Barabińców. Stepy Kirgijskie. Omsk. Kościół w Omsku. Iszym. Izłutorsk. Przybycie do Tiumenia.

W Tomsku pozwolono nam zamieszkać na kwaterach, które byliśmy obowiązani sami sobie nająć, na co zgodziliśmy się chętnie, bo daleko lepiej przyciągnąć pasa i być na wolnem i świeżem powietrzu, jak pod kluczem w więzieniu, gdzie przy braku pomieszczenia, prześladowałoby nas także różnorodne robactwo.

Rozkwaterowawszy się, udałem się zaraz do naczelnika ekspedycyi, pana Guriewa, urzędnika ludzkiego i prawnego, aby się go poradzić, czyby nie można coś przedsięwziąć, żeby nas, jako mających do tego prawo, wysłano z konną partyą. Guriew odpowiedział grzecznie, że on, mimo wielkiej dla nas życzliwości, inaczej nas wysłać nie może, jak wykazano jest w naszych dokumentach, ale radzi nam, abyśmy telegrafowali, płacąc odrazu odpowiedź, do głównej ekspedycyi więźni politycznych w Irkucku, z prośbą o wykazanie ekspedycyi więźni w Tomsku, jakiego jesteśmy stanu, a odpowiedź otrzymamy bardzo prędko, on zaś zaraz napisze do urzędu telegraficznego, że nam telegrafować pozwolono. Aby nas to jak najtaniej kosztowało, potrzeba było, iżby korespondencya nie przewyższała dwudziestu słów, więc zebra-

liśmy się partiami po trzech, zaco z odpowiedzią zapłaciliśmy od każdej partyi po 5 rubli.

Już trzeciego dnia nadeszła dla nas, oprócz Zacniewskiego i Menżyńskiego, korzystna odpowiedź.

Zacniewskiemu napisano, że „nie wiadomo“, Menżyńskiemu zaś, że „szlachcic“.

Napróżno usiłowaliśmy przekonać, że szlachcic po polsku znaczy tyle co *dworantin* po rosyjsku, odwołując się do słownika, o który dla dowodu wystaraliśmy się u naszych, zamieszkałych w Tomsku. Ale Rosya tak jak dzika, tak też i uparta. Zebrani na naradę urzędnicy tamtejsi oświadczyli, że polski szlachcic nie może być nigdy równy rosyjskiemu dworantinowi, i dowodzili, że słowo „szlachcic“ znaczy tyle, co u nich *jednodworec*, to jest: niewylegitymowana drobna zagonowa szlachta.

Zapatrywanie to władzy wyszło atoli Menżyńskiemu i Zacniewskiemu na dobre, bo dowiedziawszy się o tej niesprawiedliwości kupcy Tomscy, jadący na jarmark do Irbitu, wzięli ich ze sobą za poręczeniem, a stamtąd podobno swoim kosztem wysłali do kraju.

Można powiedzieć, że ci obaj wygrali wielki los szczęścia, bo nie byli narażeni na te poniżenia, na te niewygody z uszczerbkiem zdrowia i życia, i nie byli świadkami tych okrucieństw i zbrodni, na które my, jeszcze przez dłuższy czas musieliśmy patrzeć.

W Tomsku byliśmy zatrzymani przeszło dwa tygodnie, gdyż podczas naszej tam bytności, przypadały prawosławne święta Bożego Narodzenia, podczas których wszelkie biura są zamknięte, a urzędnicy pijąc do upadłego, obchodzą święta przez dni czternaście. Wszystko wala się po licznych *kabakach*, a płeć piękna z wyższych klas, po dobrym obiedzie i paru kieliszkach wódki, poobwijana dobrze w futra, wolnym krokiem przejeżdża się po ulicach miasta. Tak zaczynają się i takim sposobem kończą się święta Bożego Narodzenia u Rosyan.

Po części byliśmy zadowoleni, że nas zatrzymano, bo panowały naówczas okropne mrozy. W pierwsze święto rosyjskie, a w naszych Trzech króli, mróz przechodził 40° R., przy czym tak gęsta mgła pokrywała całe miasto, że na dwa kroki przed sobą nic widać nie było, a przez parę dni słońce przebić się nie mogło przez mgłę. Nie było się można na ulicy pokazać, bo mróz dech zapierał, a członki niezakryte, jak twarz i ręce zaraz białły. W parę dni po tych wielkich mrozach, których Sybiracy dawno nie pamiętali, można było widzieć wielu z odmrożonemi całemi twarzami, nie mówiąc o nosach odmrożonych, bo to jest tam rzeczą zwyczajną.

Około 15. stycznia 1869 roku opuściliśmy w liczbie 26 jako partya konna, mająca przepisane co najmniej dwie stacye dziennie robić, Tomsk, i choć mrozy były bardzo silne, ale sanna wyborna i łatwość dostania koni, przyczyniały się do przyspieszenia naszej podróży, lecieliśmy jak to mówią „jak dyabli na wesele“, pomni danego sobie hasła „korzystajmy z czasu, póki można“ i robiliśmy po 4 do 5 stacyj dziennie.

Wkrótce minęliśmy okręgowe miasto Koływan i wspinała rzekę Ob, i wjechaliśmy w stepy Barabińców, gdzie ani jednego drzewka, ani jednego krzaczka nie było można zobaczyć. Mieszkańcy stepu mają wielką ilość dobrych koni, a chciwi zarobku, który odebrały im statki parowe, przywożące latem Obem wielką ilość towarów z Tiumentia, pilnują przejeżdżających zimą. Jeżeli zobaczą zdaleka w stepie, że jadą wolni, tak tam nazywają podróżnych potrzebujących koni, dosiadają dzielnych biegunów, których w pogotowiu mają zawsze, i prawie cała wieś wylatuje konno, i kto prędzej dopadnie jadących, ten ich zabiera ze sobą do domu. Konie zaraz się zapręgają, a gospodyni mając w pogotowiu gorącą wodę w piecu, nastawia samowar, który w momencie gotów. Podróżni wożą ze sobą herbatę i cukier, gospodyni zaś ma zawsze w zapasie dobrą śmietankę i świeże kołaczki. Tym sposobem ujechawszy 4 do 5 mil, można się prędko

rozgrzać i posilić i nie będąc narażonym na długie czekanie, rusza się zaraz dalej w drogę. Sanie tak zwane u nich „koszowe“ są wielkie i wygodne, śmiało cztery osoby pomieścić mogące, do których gdy zaprzęgną trójkę dzielnych koni, lecą jak szaleni, co tylko konie wyskoczyć mogą. Taką stacyę o czterech do pięciu mil jedzie się co najwięcej pół-trzeciej godziny, a za to wszystko płaci się po 3 kopiejki od wiorsty; stacya mająca 35 wiorst, naszych 5 mil, kosztuje zatem na cztery osoby 1 rubla 5 kopiejek. Jest to podróż tania i wygodna.

Takim więc sposobem, przy bardzo dobrej sannie, odpoczywając najwyżej trzy godziny dziennie, przybyliśmy w kilkunastu dniach do stołecznego miasta zachodniej Syberyi, położonego nad rzeką Irtysz i już w stepach kirgiskich, Omska.

Stanęliśmy po kwaterach. Tutaj po latach sześciu byliśmy po raz pierwszy na Mszy świętej w kościele. Kościół tamtejszy mały, ale bardzo czysto i porządnie utrzymany. Była to dla nas uroczysta chwila, gdy po wysłuchaniu Mszy świętej, przybliżyliśmy się do kapłana starsuszka Polaka, prosząc go w kościele, postawionym ofiarnością polskich męczenników, gdzie już tyłu przed nami wygnańców zasyłało swe modły do Boga, o błogostawieństwo do dalszej podróży i dalszego życia naszego. Przemowa, jaką ten zacny kapłan miał do nas przy tej okoliczności, pozostała głęboko wryta w naszych sercach, a za tę otuchę i nadzieję, jakie wlałeś w nasze stęsknione serca, niech ci będzie cześć i dzięki szlachetny wygnańcze kapłanie.

W Omsku wyasygnowano nam aż do Tiumentia pieniądze na zapłacenie podwód i dziennego żołdu i po dwóch dniach tym samym porządkiem pojechaliśmy dalej.

Podróż przez okiem nie przejrane stepy kirgizkie szła prędko. Wkrótce minęliśmy okręgowe miasto Iszym, odkąd zaczęły się ukazywać gdzie niegdzie małe krzaki i karłowate drzewa, później zaczęła okolica być już nierówną, po-

krytą małemi wyniosłościami i przeżywaną dolinami, a krzaki i drzewa okazywały się co raz częściej i większe.

W kilka dni jazdy z Iszuma stanęliśmy w okręgowem miasteczku Izłutowsku, gdzie dla zmiany konwojnego musieliśmy się dwie noce zatrzymać, a wyjechawszy stamtąd już dnia drugiego stanęliśmy w Tiumeniu, ostatniem mieście Syberyi.

#### IV.

### Z Tiumenia do Permy.

---

Więzienie. Demoralizacja w więzieniu. Nowy porządek. Trójki. Odjazd. Maczałkin. Nadużycia rosyjskie. Głód. Wiadomości po etapach. Ekaterinenburg. Przyjęcie w Kamyszłowie. Perma.

Przejechawszy z Tomaska przestrzeń 1500 wiorst, minąwszy kilka miast okręgowych, a nawet Omsk, rezydencyę generał-gubernatora zachodniej Syberyi, gdzie byliśmy wszędzie jako ludzie wolni traktowani, spotkała nas w Tiumeniu przykra niespodzianka.

Zwyczajem przyjętym od Tomaska zajechaliśmy przed policyę, żądając, aby nam dano kwatery, ale jakież było nasze zdumienie, gdy nam oznajmiono krótko, że naszą kwaterą jest więzienie, do którego też niezwłocznie mamy się udać. Używając przeszło miesiąc swobody i wolności, niebardzo chciało się nam dać dobrowolnie zamknąć, tem bardziej, że dobrze znane nam było rosyjskie przysłowie: „do więzienia brama szeroka, z więzienia zaś bardzo wąziutka“.

Opieraliśmy się temu rozporządzeniu i zawezwaliśmy najstarszą tamtejszą figurę, sprawnika, który też wnet zjawił się.

Przedstawialiśmy mu jak najdokładniej, że nie jesteśmy już więcej przestępcami, gdyż jego car nas ułaskawił i że w naszych dokumentach wyraźnie napisano, iż wracamy do kraju „nie w rodzie aresztantów“, i że dotąd, jak sam widzi, cieszyliśmy się wolnością, dlatego nie wiemy, z jakiej przy-

czyny chcą nas tutaj zamykać, a że to przecie jeden kraj, jedne i te same rządy, to też jedno i to samo prawo powinno być wszędzie zastosowane.

Wszystko, co tylko można było, przedstawiliśmy sprawnikowi na naszą obronę, ale wszystko nic nie pomogło, bo wkońcu oświadczył, że jeżeli dobrowolnie nie pójdziemy do więzienia, to każe sprowadzić wojsko i siłą nas do tego zmusi, bo stąd do Permy jest inny porządek transportowania więźni, na tak zwanych trójkach, więc i inne prawa muszą być zastosowane do nas. Długo jeszcze targowaliśmy się ze sprawnikiem, aby przynajmniej pozwolił nam do miasta za kupnem żywności wychodzić, na co zezwolił, ale tylko dwom i to pod strażą żołnierzy. Widząc, że nic więcej nie uzyskamy na polu dyplomacyi, a do otwartej walki nie będąc dość silni, poddaliśmy nasze karki pod jarzmo i weszliśmy do więzienia.

Pomieszczono nas wszystkich we dwóch małych celach po trzy metry długości, dwa i pół metra szerokości, gdzie nawet stojąc nie mogliśmy się pomieścić.

Zaprosiliśmy natychmiast sprawnika, a pokazując nasze pomieszczenie, żądaliśmy, że jeżeli ludzi niesłusznie trzymają po więzieniach, to niech dają im przynajmniej pomieszczenie.

Na to odpowiedział, że niema więcej miejsca, gdyż więzienie to budowane jest na 130 osób, a obecnie mieści się w niem 650 aresztantów, zato też nie każe nas w celach zamykać, więc będziemy mogli sypiać na korytarzach.

Rzeczywiście następnego dnia przekonaliśmy się naocznie o przechodzącej wszelkie pojęcia ciasnocie we więzieniu Tiumeńskim.

Włosy stawały na głowie, na widok tego, jak wszystkie sale, cele i wychodki nawet były napchane ludźmi, jak śledziami w beczce. Wszystko to razem nie leżało, ale siedziało skurczone; kobiety, dzieci, mężczyźni i dziewczki, to wszystko razem pomieszane. Dziś jeszcze na samo wspomnienie widoku tego przechodzą dreszcze. Rozpusta i gry

hazardowe dochodziły do najwyższego stopnia, a bezwstydnie do wypowiedzenia.

Powodem przepełnienia więzienia było, że rząd dla oszczędności kosztów wysyłki, zatrzymywał wszystkich transportowanych w Sybir do wiosny, aby ich wysłać statkami parowymi, co miało taniej kosztować, nie pomnąc jednak, ile wyniosło utrzymanie więźni przez całą zimę, to jest prawie przez ośm miesięcy. Większa część tych nieszczęśliwych ofiar rządu barbarzyńskiego, niewinnie pędzona w Sybir na mieszkanie lub posilenie, bez sądu, tak zwanym „administracyjnym porządkiem“, często z osobistych widoków, lub czysto z grymasów gubernatorów, sprawników i t. p., będąc przymuszoną przebywać w tej jaskini demoralizacji i zepsucia, pomiędzy największymi zbrodniarzami, musi upaść nie tylko fizycznie, tracąc zdrowie i siły, ale upada i moralnie, przygotowując się w tej szkole do nowego życia, to jest do życia zbrodniczego i występnego. Ale cóż to obchodzi rząd rosyjski?

Każdy rozkaz carski, choćby dla ludzkości największą szkodę przynosił, pociągając w przepaść miliony niewinnych ofiar, jeżeli tylko za pomocą jego da się cokolwiek ukraść, jest świętym i bywa wykonany bez litości.

Sposób transportowania więźni z Permy do Tiumentia odbywa się na tak zwanych „trójkach“, na które wsadzają czterech okutych aresztantów, a na przodzie sań lub kibitki siada żołnierz, uzbrojony w pałasz i rewolwer. Zaprzęgają trójkę dobrych koni i wiozą od etapu do etapu, gdzie się żołnierze zmieniają. Takie trójki robią dziennie 2 do 5 stacyj, stosownie do miejsca, gdzie znajduje się główny etap z rezydencją naczelnika.

W Sybir idzie takich trójek dziennie do 30, z powrotem zaś z Tiumentia do Permy codziennie tylko dwie; więc też tylko ośmiu mogło być co dzień wysłanych. Z tego powodu rozbito nas na trzy partye, pozwalając nam się dobrać. A że dla straszego powietrza we więzieniu, ciasnoty

i niezmiernej ilości różnorodnego robactwa, każdy z nas chciałby był pierwszy wyjechać, urządziliśmy przeto losowanie. Mnie wypadł los na drugą partycję, a zatem wyjechałem trzeciego dnia z szalonym bolem zębów, którego dostałem nocując zimową porą przy wielkich przeciągach na kurytarzu więzienia.

Jazda na tych trójkach, choć szła dość szybko, była jednak bardzo męczącą, bo nietylko, że straciło się wolność, będąc pod najściślejszym dozorem, a na etapach zamykanym i narażonym na różne nieprzyjemności; ale do tego przy tamtejszych mrozach, prawie zawsze, oprócz czarnego chleba, nic ciepłego w ustach przez cały dzień nie mieliśmy.

O godzinie drugiej w nocy wypuszczają z pod klucza i wsadzają na sanie, a gdy się już późno wieczór przyjeżdża, zamykają zaraz do więzienia. Jeśli czasem uda się dostać co do zjedzenia od etapnych żołnierzy, podczas przepręgu koni, to trzeba za to bardzo drogo zapłacić, bo tym handlem zarobkują żołnierze, ściągając od aresztantów cały ich żołądek, morząc do tego głodem.

Największych nieprzyjemności doznawaliśmy od tamtejszych zakorzeniałych gburów naczelników etapnych. Najbardziej dał nam się we znaki zbójca Maczałkin, którego już autor „Czarnej księgi“ dokładnie opisał. U niego wpuszczono nas jak bydło, podczas 30 stopni mrozu do nieopalonej, błotem i gnojem zarzuconej izby, zamknięto nas natychmiast, nie dając nawet wody do picia, mimo że przez cały dzień nic w ustach nie mieliśmy. Wzywaliśmy tego łotra, ale się wcale nie pokazał, co może dla nas lepiej się stało, bo przeczytawszy na ścianach rozmaite wiadomości i przestrogi o Maczałkinie, jak naszych w więzieniu maltretował, siekł różgami, zakuwał na ręce i nogi, wiązał aby mógł sam osobiście śmiać i bezkarnie pastwić się nad bezbronnymi i bezsilnymi, i swoje tygrysie chucie zaspokajać, kto wie czybyśmy się nie byli posunęli za daleko. Postanowiliśmy wreszcie tę jedną noc cierpliwie przetrwać, a poleciwszy

się opiece Boskiej, chłodno i głodno zabraliśmy się do spoczynku.

Na każdym etapie trafialiśmy w kątach na ścianach nieznaczące napisy ołówkiem naszych braci, uwiadamiające, gdzie można dostać tanio coś do zjedzenia, jak się trzeba zachować wobec naczelnika, czy na drodze dyplomacyi da się coś od niego uzyskać, lub w inny sposób. W ogóle wszyscy nasi byli obowiązani jeśli zaszło co ważniejszego, lub zostali pokrzywdzeni, uwiadomić takimi napisami następującą partycję. Komunikacya ta pisemna okazała się bardzo użyteczną, unikało się bowiem przez to wielu niepotrzebnych awantur. Tak samo byłaby mogła nas u Maczałkina spotkać nieprzyjemność wielka, chociaż mieliśmy za sobą słuszność i prawo. Ale cóż to znaczy w Rosyi słuszność i prawo? Tam prawo, to silna pięść, kto silniejszy ten lepszy.

Wszystkie te przestrogi na etapach podpisane były najczęściej przez Kalitę.

Przez całą naszą podróż trójkami z Tiumenia do Permy, w jednym tylko Ekaterinenburgu, położonem już w Europie, w gubernii permskiej, u podnóża gór Uralu, miasta bogatego w kopalnie drogich kamieni i marmuru, z wielkimi szlifierniami, obchodzono się z nami jak z ludźmi. Przyjechawszy już bardzo późno w nocy, gdzie więzienie bardzo wielkie z łatwością byłoby nas ośmiu pomieściło, pomieszczono nas w porządnym domu, umyślnie na ten cel uprzętniętym dla powracających do kraju, nie dano nam żadnej straży, i pozwolono oglądać bogate i pięknie zabudowane miasto. Tam nie mieliśmy przyjemności oglądać oblicza sprawnika, ani naczelnika etapnego, z przyjęcia jednak jakiego doznaliśmy, wnosić wypada, że byli to ludzie ludzcy, prawi i postępowi.

W mieście Kamyszłowie zaś, doznaliśmy przeciwnie jak najohydniejszego przyjęcia. Wpakowano nas do ciemnego i ciasnego więzienia, a nie dawszy nam przez cały dzień

nic zjeść, wypychano nas drugiego dnia zgłodniałych i zmarzniętych w dalszą drogę, gdyśmy się zaś temu nadużyciu opierali, przyszedł do więzienia naczelnik tamtejszego garnizonu ze smotrytielom, a w najśmieszniejszy sposób nam grożąc, nazywając nas buntownikami, ludźmi niepoprawnymi, niezastępującymi na łaskę tak dobrotliwego cara, i prawiąc tym podobne baśnie, rozśmieszył nas swoją głupotą, co go jeszcze bardziej gniewało. Gdyśmy mu tłumaczyli, że tu nie chodzi już o to, jacy ludzie jesteśmy, ale idzie o najważniejszy argument, o zaspokojenie głodu naszego, to począł rzucać się jak wściekły, krzycząc, że w carskich prawach nie jest napisane, abyśmy w Kamyszłowie jeść mieli. Kazał przynieść kajdany, zwołał wojsko i kowala, aby nas jak buntowników pokuć. Oparliśmy się siłą tej jego zabawce niewinnej, i zawezwaliśmy do nas sprawnika; a gdy ten jeszcze błogim snem Morfeusza spoczywał, zjawił się tegoż pomocnik, który znalazł się jako człowiek prawy i sumienny, i co tylko możebnem było i w jego mocy do zrobienia nam dobrego, uczynił bez najmniejszego wahania, jakby na złość z gniewu trzęsącemu się naczelnikowi wojennemu, który miał wielką chęć nas choćby tylko okuć.

Po dziesięciu dniach takiej jazdy stanęliśmy wprawdzie zbiedzeni, ale przynajmniej dzięki Bogu zdrowi w gubernialnem mieście Permie.

## V.

### Z Permy do Kazania.

Straszne więzienie. Inne prawa. Urzędnik Paraszkin. Droga do Ohańska. Debios. Plemiona Czumaszów. Watiaków. Choroba. Szpital w Małmyżu. Dr Świrk. Roztopy. Przybycie do Kazania.

W Permie zatrzymały się trójki przed niskim domem z grubemi kratami i ciężką żelazną bramą. Cały budynek pomalowany był z wierzchu na ceglasty kolor, dach zaś na zielono. Było to więzienie „przesyłanych“, *turma peresilna*, zrobiona z piwnic magazynu wódczanego.

Straszne i okropne było to więzienie, napchane ludźmi rozmaitych warstw społeczeństwa. Strach nas ogarnął gdyśmy ujrzeli te siedzące w kuczkach, wychudłe, śmiertelną bladością pokryte twarze i na pół nagie postacie. Zdawało się, że to byli ludzie przedwiekowi, powstałi z grobu, z odgniłą z ciał zlatującą odzieżą, wytykający terazniejszemu pokoleniu postęp, cywilizację, bogactwa i dostatki.

Wszyscy ci nieszczęśliwi, jak w Tiumeniu, byli pomieszczeni razem bez różnicy płci i wieku. Najwyuzdańsza rozpusta grasowała w tym kole na pół nagich istot. Głód i nędra była ich symbolem, wydawano im bowiem na życie po 5 kopiejek dziennie, drugą połowę zabierał tamtejszy gubernator, prokurator i policmajster, okradając te więcej do szkieletów i bydłat, jak do ludzi podobne istoty.

Nas pomieszczono w jednej małej ciemnej norze, gdzie zastaliśmy naszą pierwszą partyę, i szesnastu naszych braci

pędzonych dopiero w Sybir a zatrzymanych przez całą zimę do transportu statkami parowymi. Biedni ci znajdowali się w nader opłakanyim stanie, już od sześciu miesięcy żyli za 5 kopiejek dziennie, gdzie funt razowego chleba kosztował 3 kopiejki a funt mięsa 10 kopiejek, do tego pomieszczenie ciasne, ciemne i tak wilgotne, że woda ze ścian i sufitu kroplami spadała, a robactwo żywcem toczyło ich ciała, powietrze zaś zgniłe nie do wytrzymania. Można więc sobie łatwo wystawić jak ci biedni wyglądać musieli! I rzeczywiście nie byli to ludzie, ale ich cienie z pomarańczową cerą i głęboko zapadłemi oczyma. Było ich na początku 22 osób, z tych sześciu padło ofiarą barbarzyństwa rosyjskiego, a ciała ich nocną porą wywiezione do ogólnego grobu aresztantów rosyjskich, zalane wapnem, wołają o pomstę do nieba!

W gubernii Permskiej znowu inne prawa. Wysyłali naszych razem z aresztantami, tylko nie porządkiem obrotnym, ale zwyczajnym, to jest dwa dni marszu, a jeden dzień odpoczynku i dla każdego ze stanu uprzywilejowanego dawali po 15 kopiejek dziennie i na osobę jednego konia, wprawdzie jechaliśmy, lecz powoli, noga za nogą w tyle za partą aresztancką piechotą pędzoną.

Przez siedmiodniowy nasz pobyt w Permie wydawano nam całą naszą przynależność po 15 kopiejek dziennie, skradziono nam tylko 4 ruble i to w następujący sposób: Smotrytiel więzienia uwzględniając, że wracamy jako ułaskawieni do kraju, już nie jako aresztanci, ale niby wolni, pozwolił nam zakupić zapas tytoniu na drogę, złożyliśmy na to 4 ruble, które jemu wręczyliśmy. W parę godzin przychodzi do nas smotrytiel z miną zafrasowaną, opowiadając, iż się nieszczęście wydarzyło z naszym tytoniem, bo gdy posłał po tytoń do miasta swego dozorcę, ten wracając został w bramie przez żołnierzy przytrzymany, i tytoń, jako rzecz w więzieniu zakazana, zabrany.

Niewiem czy temu opowiadaniu można dać wiarę, żeby w Rosyi, gdzie *czyn czyną poczytają*, żołnierz śmiał naczel-

nikowi więzienia, który jest kapitanem, tytoń zabrać. Dość że mimo naszych skarg i starań 4 ruble przepadły. Straż wypierała się, jakoby tytoń zabrała, co było prawdopodobne, bo w więzieniach rosyjskich, a jest to wszystkim wiadome, nie tylko więźniowie sami palą, w gry hazardowe grają, orgie wyprawiają, fałszywe pieniądze wyrabiają, ale i cała straż wojskowa we wszystkich tych zabawach bierze czynny udział i jak może dopomaga.

Dzień przed naszym wyjazdem zawezwano nas do kancelaryi ekspedycyjnej, gdzie jakiś urzędnik, Paraszkin, elegancki z wierzchu, ale w istocie nieokrzesany, głupkowaty gbur, godny potomek plemienia mongolskiego, nas przeglądał i zapisywał. Tak ograniczonego i nieokrzesanego człowieka, przez sześćioletni nasz pobyt w Syberii i w drodze wzdłuż całego kraju rosyjskiego nie zdarzyło nam się oglądać, a w zrozumiałości jego na zielony kołnierz i świecące guziki, było tak coś idiotycznego i śmiesznego, że gdyby w Anglii wiedziano coś o tej arcykomicznej i złośliwej figurze Paraszkina, to z pewnością nie jeden syn Albionu nie pożałowałby trudów i kosztów podążenia na drugi koniec Europy, aby oglądać i podziwiać tego w swoim rodzaju oryginała. Wogóle Perma była miastem słynnym w Rosji ze swego cywilizowanego gubernatora i urzędników.

Droga z Permy do Kazania nie była tyle utrudzająca ile nadzwyczaj nudna. Z Permy dano dla każdego z nas osobne sanki zaprzęgnięte jednym koniem, a każdy z nas położywszy się, drzemał przez cały ten ośmiogodzinny marsz.

Tak dowlekleśmy się do okręgowego miasta Ochańska nad Kamą, gdzie się konwój i nas prowadzący podoficer zmienił.

Stamtąd takim samym sposobem ruszyliśmy do Debios, gdzie się tożsamo cały konwój zmienił, z Debios do miasteczka Małmyża, gdzie zastaliśmy inne prawo. Stamtąd dano nam na dwóch jednego konia, zresztą został zachowany taki sam porządek aż do Kazania. Przez całą drogę z Permy do

Kazania, która trwała 35 dni, nie możemy narzekać na miejscowe władze, owszem musimy podziękować wszystkim tamtejszym sprawnikom i oficerom etapnym. Wszędzie obchodzono się z nami po ludzku i grzecznie, nie wyrządzono nam nigdzie najmniejszej przykrości i nawet starano się robić nam, o ile prawo pozwalało, możebne ulgi w przykrem naszym położeniu. Podoficerowie i żołnierze byli tam tożsamo grzeczni i uprzejmi, i chociaż idąc z Permy do Małmyża przez wsie zaludnione plemionami na pół dzikimi, jak Czumassów i Watiaków, a z Małmyża do Kazania przez wsie tatarskie, gdzie była bardzo wielka trudność o wygodne kwatery, a tem bardziej o dobrą i zdrową żywność, to jednak nie wyzyskiwali nas, lecz dostarczali żywności po bardzo umiarkowanych cenach.

Do Małmyża była jeszcze sanna, z Małmyża zaczęło dogrzewać, śnieg szybko tajał, małe rzeczki zaczęły puszczać i już więcej po wodzie jak po śniegu jechało się żółtym krokiem.

Powietrze więzienne w Permie, tak na mnie oddziało, że już słaby wyjechałem stamtąd. W Ochańsku choroba się wzmogła i przez dni dwadzieścia bez żadnej lekarskiej opieki wieźli mnie koledzy, a że mieliśmy mały zapas niezbędnych lekarstw ze sobą, więc ratowali mnie jak mogli i umieli. Dostałem silnej gorączki, a zarazem zapalenia oczu, na które nie widziałem. Technik Józef Sitkowski pełnił obowiązki lekarza, oczy zapuszczono mi lapisem w prostej wodzie rozpuszczonym, i od czasu do czasu zadawano mi silną dozę emetyku. Gorączka ustawała powoli, włosy powychodziły z głowy i tak osłabłem, że nie mogłem utrzymać się na nogach o siłach własnych. Dowiedziawszy się, że szpital małmyski jest pod opieką doktora, Polaka, postanowili koledzy, abym na tydzień przynajmniej pozostał w szpitalu dla zacerpnienia nieco sił.

W szpitalu był wzorowy porządek, czystość, świeże i zdrowe powietrze, dobra usługa, zdrowe i czysto przyrzą-

dzone potrawy, a usłużność i grzeczność lekarskich pomocników przekonywały dobitnie, że tym szpitalem nie zarządza Rosyanin. Był tam lekarzem okręgowym pan Swirk, którego Rosyanie przechrzcili na Zwirka.

Po tygodniu, chociaż nie całkiem jeszcze zdrow i silny, wyszedłem ze szpitala. Aby mnie samego nie zostawić, pozostał przy mnie kolega Radecki. Była to istotnie prawdziwa koleżeńska przysługa.

W więzieniu małmyskiem zastaliśmy naszych czternastu tak zagranicznych, jak i małoletnich, przyłączono nas do nich i po siedmiu dniach uciążliwej jazdy dla bardzo złych dróg i roztopów, ale jeszcze na saniach, przybyliśmy na początku kwietnia do Kazania nad Wołgą, dawnej stolicy chanów tatarskich, a obecnie siedziby generał-gubernatora rosyjskiego.



## VI.

### Więzenie w Kazaniu.

Więzenie. Zdzierstwa rosyjskie. Nasze Polki. Śmierć trzyletniego Kraśnika. Barbarzyństwa rosyjskie. Naczelnik więzienia. Sowietnik. Bunt. Wyjazd.

W Kazaniu pomieszczono nas w więzieniu „przesyłanych aresztantów“. Zastaliśmy tutaj pierwszą naszą partycję z Tiumentia i jeszcze wielu z dawniejszych, między którymi znajdował się nasz brat Litwin Kraśnik z żoną i czworgiem dzieci, jadący po manifeście na mieszkanie do Królestwa Polskiego. Ten dla słabości dziecka zostawał już tutaj od paru tygodni; reszta zaś była zatrzymana po ukazie na tak zwaną „wiosnowkę“, która miała dla nas trwać ośm tygodni, do 15., czyli właściwie do 27. maja podług naszego kalendarza, w którym to dopiero dniu pierwszy rządowy statek puszcza się Wołgą w drogę, zabierając aresztantów, chociaż, gdyśmy przybyli do Kazania, komunikacja przez Wołgę nie była przerwana i nawet ciężkie ładunki przewożono przez lód, ale dany ukaz w Rosyi porządku psuć nie może.

W Kazaniu podzielono nas według naszych nam towarzyszących papierów na dwie kategorie, to jest „ze stanu uprzywilejowanego“, którym dawano tylko 10 kopiejek dziennie, i „z prostego zwania“, tym dawano razem ze zbrodnia-  
rzami mizerne jado, składające się z 2 funtów razowego, niedopieczonego chleba z ościami, a o 11 godzinie gorącą wodę zabieloną mąką, lub zasypaną stęchłemi krupami ję-

czmiennemi. Wszystko to razem z chlebem mogło na osobę kosztować co najwyżej 4 kopiejki, a że pierwszym należało się 15, drugim zaś 10 kopiejek dziennie, więc z osoby miał pan sowietnik ze smotrytylem co najmniej 5 kopiejek, a że aresztantów było przeszło 700, więc dzienny czysty dochód dla tych panów wynosił co najmniej 35 rubli.

Więzienie w Kazaniu tak jak w Tiumeniu i Permie przepełnione było ludźmi rozmaitego rodzaju, wszystko razem pomieszane, ciasnota i brak powietrza były główną cechą tamtejszego więzienia, byt materyalny zaś był daleko lepszy jak gdzieindziej po więzieniach. Aresztanci kazańscy wyglądali dobrze, byli nieźle i czysto ubrani, nie w rządowych, ale we własnych ubraniach. Bo chociaż pobierali lichą strawę, to otrzymywane *podajanie*, jałmużna, z miasta wynosiła dziennie przeciętnie kilkanaście kopiejek.

W całej Rosyi i na Syberyi panuje wielka litość dla aresztantów, nazywają ich tam „nieszczęśliwymi“, bo tam, gdzie tyłu zbrodniarzy cieszy się wolnością, nie mogą uważać więzionych za zbrodniarzy, tylko przypisują to nieszczęśliwemu przypadkowi, że ten lub ów dostał się do więzienia, i zwykli mawiać: „dzisiaj popadł on, a jutro możesz się i ty dostać“.

W Kazaniu bogata klasa kupiecka i mieszczańska sady się na *podajania* dla więźni. Wozami rozwożą po więzieniach najbielszy chleb, ciasta, mięso różnego rodzaju, jaja i pieniądze. Starosta aresztantów odbiera to, i zegnając się po kilkanaście razy, dziękuje z udaną pokorą. Zebrane z całego dnia *podajanie* rozdziela się na równe części wieczorem, lub zaraz rano dnia następnego. Z tego pewną ilość otrzymuje naczelnik, dozorczy więzienia i straż wojskowa. Pieniądzmi dzielą się co tydzień.

Każdego tygodnia przychodziły świeże partye naszych, tak, że po kilku tygodniach zebrało się nas do 170 osób, między którymi było kilka rodzin wraz z dziećmi. Pomieszczenie było bardzo ciasne i wilgotne. Leżeliśmy jak było

po wszystkich kątach na ziemi i pod tapczanami, na noc zamykano nas pod klucz, wstawiając potrzebne naczynia; dla braku miejsca, ceber z wodą tuż koło cebra do ogólnego użytku koło drzwi, a że w tej dużej izbie panowała ciemność, bywały więc częste wypadki zamiany cebrów, z czego powstawały rozpaczliwe krzyki i budzenie śpiących.

Nasze panie i ich dzieci były pomieszczone razem z nami. Zrobiliśmy dla nich rodzaj zasłony, zeszywszy w całość rozmaite nasze gałgany, aby mogły przynajmniej swobodnie rozbierać się i ubierać.

Biedne były te nasze szlachetne, zacne i godne Polki!

Z jaką wzniosłością ducha, zaparciem siebie i energią znosiły te wszystkie niewygody i nieprzyjemności podróży i życia codziennego. Można śmiało powiedzieć, że my od tych wątłych i słabych istot uczyliśmy się wytrwałości i cierpliwości. One zawsze coś wynalazły, że najsmutniejszego i najbardziej upadłego na duchu umiały pocieszyć i rozweselić, i nieraz same upadając ze znużenia, nigdy nie dawały nam tego poznać, nigdy nie widziano na ich twarzach smutku lub łzy w oku, chociaż miały do zniesienia daleko więcej od nas, bo jako kobiety narażone były na tysiączne nieprzyjemności i niewygody. Z niewypowiedzianą siłą ducha pocieszały swych mężów, ojców i nas, zachęcały do wytrwałości, uspokajały zgłodniałe dziatki i chociaż nieraz z rozpaczą i bólu nad dziatwą serce się im krajało, jednak nie pokazywały tego po sobie, a ich uśmiechnięte anielskie oblicza nacechowane łagodnością i dobrocią, przyświecały nam w tej ciężkiej wędrówce życia naszego, a korząc się z nimi przed Majestatem Bożym, spoglądaliśmy weselej i swobodniej w naszą przyszłość.

Dzięki wam za to, czcigodne towarzyszki niewoli i podróży, a jak nam tam przyświecałyście waszą anielską czystością i dobrocią, tak i tutaj w naszej wspólnej ojczyźnie bądźcie gwiazdą jej odrodzenia i przyszłego szczęścia. Wychowujcie wasze dziatki, które na bezludnej, lodowatej prze-

strzeni Sybiru pierwszy raz światło ujrzały, które ledwo przyszedłszy na Boży świat, nosiły już na sobie znamiona piętna, kajdan i niewoli, nie umiejąc jeszcze chodzić i szczebiotać, otoczone już były rzędem bagnatów i pik kozackich, na takich synów i córki naszej biednej Polski, jak wy byłyście niemi.

W Kazaniu działały się z nami nadużycia, trzymano nas w ciasnocie i zgniętem powietrzu, do tego zamykając na noc jak owce na kupie, przytem okradano nas, a większą połowę naszych, których nie mieli Rosyanie zapisanych jako pochodzących ze stanu uprzywilejowanego, karmiono nędznie i obrzydliwie. Podaliśmy przeto prośbę do naczelnika żandarmerji, prosząc go, aby przybył do więzienia dla odebrania rozmaitych zażaleń, na co dostaliśmy pisemną odpowiedź, abyśmy się udali do naszej bezpośredniej władzy, jeżeli mamy jakie prośby, lub zażalenia, czyli kazano nam się udać do tych, co nas okradali.

Naczelnikiem więzienia był *sowiec* (radca), stary szczywany lis, który nie szczędził obietnic pod najuroczystsze zapewnieniem słowa honoru, którego nigdy nie dotrzymał, ani pięknych i grzecznych słówek, aby móżdż ostatnią kroplę krwi z człowieka wyssać, lub jaki grosz do swej kieszeni wpuścić. Przychodził on do nas co dzień pijany i co dzień obiecywał, że nas lada dzień wyszłą. Niektórzy, dostawszy z domu pieniądze, starali się na swój koszt jechać, na co prawo rosyjskie nietylko że zezwala, ale nakazuje władzom ostro śledzić, aby ci, co mają fundusze własne, nie byli wysyłani rządowym kosztem; mimo to *sowiec* nie chcąc stracić dziennie kilkanaście kopiejek, tak długo i tych zwodził i obiecywał codziennie, że niebawem wręczy im paszporta, aż nadszedł dzień ogólnej wysyłki.

Gdy już większa część naszych rozchorowała się, bo w miejscu przeznaczonem na 200 osób pomieszczono przeszło 700, gdy nawet dla niemowląt naszych dawano 2 funty razowego spleśniałego chleba i gorącą cuchnącą wodę, podaliśmy skargę do trzeciego oddziału do Petersburga na ręce

tamtejszej władzy. Czy ona doszła, lub czy ją nawet wysłano? tego nie wiemy, a nawet wątpimy, aby władza kazańska to uczyniła. Zrobiliśmy to dlatego, aby pokazać tamtejszej władzy, że wiemy dobrze, co się nam prawnie należy, i gdzie się o to upominać mamy.

Wspomniałem, że państwo Kraśnikowie zostali w Kazaniu dla chorego dziecka. Był to ich starszy chłopczyzna, Kazio, mający lat trzy, ładne, rozkoszne i bardzo dobre dzieciątko. Biedny chłopczyzna zachorował jeszcze w drodze, z wielkimi mozołami i z nadzwyczajną starannością dowieźli go rodzice do Kazania, aby przy pomocy lekarskiej uratować ukochaną dziecinę. Doktor więzienny nie chciał się sam trudzić do więzienia, i Kraśnik co dzień otoczony czterema żołnierzami pod bagnetami, nosił chłopczyka do szpitala, gdzie go lekarz powierzchownie opatrywał i zapisywał tylko te lekarstwa, jakie w rządowej, źle administrowanej i do tego okradanej aptece, znajdować się mogły. Napróżno oświadczył stroskany ojciec, że nie pożałuje pieniędzy, aby zapisywał tylko lekarstwa skuteczniejsze, które z aptek miastowych sprowadzać będzie; ale doktor ustawicznie powtarzał, że to przeciw prawu *nie lzia* (nie wolno). Dziecięciumu było naprzemian, to lepiej, to gorzej, aż nadeszły święta wielkanocne, które prawosławna cerkiew z wielką okazałością i pijatyką obchodzi przez cały tydzień. Nasz doktor obchodził je w całym znaczeniu, przedłużywszy sobie obchód świąteczny aż do dni czternastu. Przez ten czas chorzy więźniowie pozostawieni byli bez żadnej opieki, a choroba Kazia wzmagala się coraz bardziej. Nadaremno żądali rodzice, aby im za własne fundusze pozwolono sprowadzić doktorów z miasta, nadaremno żądaliśmy tego i my wszyscy. Stary sowietnik powiedział, że to nie jest w jego mocy, radził podać prośbę do gubernatora, którą on sam doręczy i zapewnia prędką odpowiedź. Nieszczęśliwi rodzice uczynili i to; tymczasem codzień gorzej było chłopcu, tak, że już o własnych siłach nie mógł się podnieść. Rozpacz ogarnęła biedną nieszczę-

śliwą matkę i ojca. Nareszcie po czterech dniach długiego oczekiwania nadeszła odpowiedź, ale odmowna. Gubernator oświadczył, że on na to pozwolić nie może, aby cywilnych lekarzy puszczano do chorych więźniów, osobliwie tam, gdzie rząd jest tak troskliwy, że chorym na niczem nie zbywa.

Taka to jest cywilizacja rosyjska, taka jej ludzkość i takie jej prawa. Trzechletniego Kazia Kraśnika, którego ojciec jako uwolniony powraca do kraju, robią podejrzanym więźniem, zabraniając choremu wszelkiej pomocy lekarskiej, i dziecko, w gubernialnem mieście, gdzie przy uniwersytecie jest wydział medyczny, i klinika, i tylu doktorów, zostaje bez opieki lekarskiej.

Nieszczęśliwi rodzice musieli patrzeć na wolne konanie ukochanego dziecka, które po kilku dniach strasznych boleści, na rękach zrozpaczonych rodziców, a w naszych oczach, oddało w ręce Pana Boga swą czystą, niewinną duszyczkę, przenosząc się w trzecim roku żywota swego, już jako jeden z męczenników Polski do grona aniołków.

Serce krajało się, patrząc na żal i rozpacz biednej matki i stroskanego ojca. Błagali ciągle Pana Boga, aby im pozwolił to wynędzniałe i podróżą skołatane dziecię dowieźć przynajmniej na rodzinną ziemię. Tam na polskiej naszej ziemi, mawiali biedni rodzice, jeżeli już jest taka wola Najwyższego, że się z naszym Kaziem rozstać musimy, pragnęlibyśmy tego małego męczennika, nieznanego ojczyzny, do wiecznego snu ułożyć.

Ledwo co dziecko skołało, wydarli je oprawcy z rąk przygnębionych rodziców, i unieśli do trupiarni. Za wielkiem staraniem udało nam się sprowadzić księdza naszego. Tylko rodzicom pozwolono pod silną eskortą wojska towarzyszyć zwłokom swego dziecięcia na cmentarz.

Śmiało powiedzieć możemy, że władza w Kazaniu zamordowała małego Kazia. Kraśnikowie nie szczędzili ni pieniędzy, ni wszelkich starań dla ratowania swego dziecięcia. Brak lekarstw, pokarmów wzmacniających, których nie po-

zwolono sprowadzać z miasta, a wkońcu brak zdrowego powietrza i opieki lekarskiej, o którą rodzice, że tak powiem, żebrali, dobiły dziecię, którego śmierć w pierwszym rzędzie ciąży na sumieniu gubernatora i starego sowietnika.

Te wszystkie nadużycia i podłości ze strony władzy kazańskiej, a osobliwie ostatni wypadek śmierci małego Kraśnika, wyprowadziły nas z granic cierpliwości, i postanowiliśmy energicznie i stanowczo dobijać się o nasze należności. Uchwaliliśmy dokonać tego przemocą, wypowiadając posłuszeństwo strażom. Najpierw nie dać się porachować, a potem zostać na podwórzu więzienia, i nie pozwolić się na noc zamknąć w izbach. W ten sposób chcieliśmy zaalarmować cały Kazań, co sprowadziłoby do więzienia gubernatora i naczelnika żandarmów, którego przedtem nadaremnie naszymi prośbami zwywaliśmy.

Zawiadomiliśmy zaraz smotrytiela, że jeśli nam nasza należność nie będzie podług prawa od dnia dzisiejszego wydawaną, to przymuszeni będziemy zrobić ostateczny krok, za który on odpowiadać będzie, a z czego tylko dla niego nieprzyjemne skutki powstać mogą, bo nam już wszystko jedno, macie nas dobijać powoli, to lepiej niech się już raz to wszystko skończy. Smotrytiel przerażony, niewinnie się, że on sam nic nie może, gdyż jak sami widzimy, w więzieniu rządzi głównie sowietnik, a on sam co będzie tylko mógł, to dla nas uczyni. Powiedzieliśmy przeto, aby nam zaraz pułkownika żandarmów sprowadził, co nam przyrzekł zrobić, i w obecności naszej napisał wezwanie do pułkownika, aby dla ważnych spraw zechciał zaraz przybyć do więzienia, i przy nas przez dozorcę to wezwanie odesłał. Na nasze nieszczęście sowietnik dozorcę zdybał, zapytał co niesie, kazał sobie pokazać i odebrał.

My nic o tem nie wiedząc, byliśmy w ciągłym oczekiwaniu naczelnika żandarmów. Ale gdy już pora wieczorna zaczęła się zbliżać, w której mają nas porachować i zamknąć, a żandarma, ani odpowiedzi od niego nie widać, prze-

czuliśmy jakiś nieczysty interes i postanowiliśmy planu naszego dokonać.

Było nas wtedy wszystkich 170 osób po większej części chłopów młodych i tęgich, którym głód i nędza mogła była dodać tylko rozpaczliwej odwagi.

Kryminaliści dowiedziawszy się, iż my stajemy w obrobie naszych praw, ponieważ i ich zarówno z nami okradano, wyszli wszyscy, a było ich około 600, na podwórze, i oświadczyli, że i oni gotowi stawiać opór, gdyby ich bez przybycia gubernatora lub naczelnika żandarmów zamknąć chciano. Sowiecniczek przeczytawszy wezwanie smotrytiela do żandarmskiego pułkownika, czuł co się święci, czekał w mieszkaniu smotrytiela i patrzył z okna, ukryty za firankami, na podwórze więzienne, śledząc ruchy nasze i aresztantów.

Nadeszła nareszcie godzina piąta wieczorem, w której odbywa się liczenie aresztantów, a później zamykanie izb. Wszedł najpierw na podwórze, jak zwykle, dozorca więzienia z podoficerem i kilkoma żołnierzami, którzy asystują przy liczeniu, z rozkazem, aby wszystko udało się na swoje miejsca do *powierki*, a gdy się nikt z miejsca nie ruszał, a do tego oświadczone, że nie pójdziemy dopokąd żądaniom naszym zadość się nie stanie, weszło 50 żołnierzy w pełnym uzbrojeniu na podwórze, stanęli frontem do nas i czekali rozkazu sowiecniczka, który też w tej chwili między nimi ukazał się, krzycząc i gromiąc swą laską aresztantów, którzy, co sił starczyło umykali do swych legowisk, zaś obróciwszy się do nas, rzekł:

— Panowie bądźcie spokojni, ja wszystkie należności wasze zaraz załatwię.

Nie wierzyliśmy temu staremu cyganowi, i trzymaliśmy się osobno, ale na ostrożności.

Aresztanci kryminalni, pomimo, że między nimi są najwięksi zbrodniarze na świecie, gotowi w każdej chwili dopełnić skryte morderstwo lub rabunek, gdy im jednak przyjdzie stawić czynny opór, nigdy nie dotrzymują placu, i by-

liśmy często świadkami, jak jeden jedyny energiczny oficer, lub nawet żołnierz, rozpędzał całą gromadę tej dzikiej hordy. Widać, że i sowietnik tamtejszy, miał już nieraz z nimi do czynienia, i swój swego znał doskonale, bo wziął się energicznie do dzieła, a gromiąc potężnie laską aresztantów po głowach i grzbietach, wkrótce oczyścił plac podwórza, rozkazując żołnierzom odstąpić.

Aresztantów zamknięto i zaczęto rachować, ci jednak stojąc w oknach krzyczeli:

— Złodzieju, oddaj nam nasze *karmowe!*

Na to obracając się do nas sowietnik powiedział:

— Nigdy nie spodziewałem się po nich, żeby mnie wyrządzili taką nieprzyjemność. Ja, co byłem dla nich przez całą zimę ojcem prawie, com pozwalał im grać w karty, w loteryę, w rozmaite gry hazardowe, palić tytoń, pozwalałem im chodzić do oddziału kobiet, być cały dzień na wolności; a ile oni nabrali *podajania*, przecież to daleko więcej wynosiło, jak te głupie 5 kopiejek dziennie, o które tak się upominają, i dla których mnie złodziejem nazywają, widzicie panowie, jaka to jest wdzięczność na tym świecie. Wy zaś panowie, proszę was, bądźcie spokojni, przecież ja taki sam człowiek jak wy, skończyłem w Moskwie uniwersytet i umiem oceniać wasze nieszczęśliwe położenie. Wy może nie uwierzycie, jak mnie to boli patrzeć na waszą nędzę, dlatego chętnie spełniam wasze żądanie i będę już od dnia dzisiejszego wydawał w pełni wasze *karmowe*, i to ze stanu uprzywilejowanego po 15 kop. dziennie, innym po 10 kop., tylko mnie bardzo przykro, że tym złodziejom, łotrom, pokazując w górę na okna, skąd się jeszcze odzywały krzyki, będę musiał teraz dawać także po 10 kopiejek, gdyż oni na żadne względy nie zasługują. Dzięki Bogu, że to stało się już przy końcu wiosnowki, bo do 15. tego miesiąca więzienie się oczyści. Za jakie sześć lub osiem dni nastąpi wysyłka na Sybir, a wy tymi samymi statkami powracającymi odpłyniecie do Niżnonowogrodu.

Na to odpowiedzieliśmy mu otwarcie, że po jego postępowaniu i okradaniu aresztantów, bez względu na to jacy oni są, nie poznać, żeby był studentem moskiewskiego uniwersytetu; zadziwia nas tylko, żeś pan dotychczas nie został gubernatorem, bo masz niepospolite zdolności po temu.

Po tem powiedzeniu, przy którym był smotrytiel i kilku urzędników, zaczął się półśłówkami uniewinniać, i prosił, żeby się jeden z nas pofatygował na górę do jego kancelaryi, a zaraz nam wypłaci dzisiejszy żołd w całości, któregośmy rano przyjąć nie chcieli, gdy nam go chciano wypłacić po dawnemu.

Od tego czasu zamykano nas dopiero o godzinie 10-tej wieczór, wydawano nam w zupełności naszą należność, obchodzono się daleko grzeczniej, a potrzebne do życia zakupna przynoszono z miasta po cenach umiarkowanych.

Z tego jednego wypadku można widzieć, jacy to są złodzieje nawet wyżsi urzędnicy rosyjscy i jak bezczelnie okradają najnędniejsze istoty ludzkie, któremi są aresztanci; a przytem są tak tchórzliwi, że bywały często przykłady, iż gdyśmy stanęli razem śmiało, przychylali się nieraz do takich naszych żądań, które nietylko, że nie miały, jako u aresztantów, żadnej racji bytu, ani prawnej podstawy, ale były nawet nieraz śmieszne i niekonsekwentne.

Z niecierpliwością wyglądaliśmy tego dnia, w którym pierwszy statek parowy, powracający z Permy, dokąd odstawiał aresztantów idących w Sybir, zawita do Kazania.

Nareszcie 22. maja podług kalendarza naszego oznajmiono nam, że nazajutrz o godzinie 12. w południe przybędzie statek parowy, który nas zabierze do Niżnonowogrodu.

W Kazaniu zostało kilkunastu naszych przeznaczonych na mieszkanie w tamtejszej gubernii. Żadnego z nich nie zostawiono w mieście, tylko porożsyłano po najodleglejszych okęgach między Tatarów.

## VII.

### Z Kazania do Niżnonowogrodu.

Pływające więzienie. Pomieszczenie. Przybycie do Niżnonowogrodu. Gnani Rusini z rodzinami. Choroby i śmierć. Skargi. Nieznana sprawiedliwość. Malinowski.

Dnia 22. maja o godzinie 9. rano, zaczęto nas wywoływać, o 10. wyprowadzono z więzienia i pod silną eskortą wojskową pędzono nas do siedem wiorst odległej przystani na Wołdze. Było nas 153, a aresztantów kryminalnych przeszło 100 osób.

Statek parowy, ciągnący za sobą „barzę aresztancką“, był własnością kupca z Niżnonowogrodu. Statek był wspinały i obszerny, a aresztancka barza tożsamo nowa, dobrze zbudowana, na czerwono pomalowana; zdaleka na oko wyglądała ładnie, ale nie dla tych, których jak owce po jednym liczone i na pokład wpychano.

Było to więzienie w swoim rodzaju straszne, więzienie pływające na wodzie. Pokład cały, boki i wierzch grubemi żelaznemi kratami opasany, wyglądał jak kojec, na dole były kazamaty, do pomieszczenia aresztantów, mocno zbudowane, do których prowadziły żelazne drzwi z kratami żelaznemi.

Na statku zastaliśmy naszych 40, a aresztantów kryminalnych 60, którzy z Permy byli zabrani.

Nas blisko 200 osób pomieszczono w jednej kajucie, a aresztantów w drugiej, i zamknięto żelaznemi drzwiami. Było ciasno, parno, a przytem i ciemno, bo w całej kaju-

cie były tylko dwa małe okienka 18 cali szerokie a 6 cali wysokie. W kajucie, aby można jak najwięcej ludzi pomieścić, są urządzone potrójne tapczany, pomiędzy temi zaś jest zostawione wąskie tylko przejście, w ten sposób można trzema warstwami pokłaść się, bo jedni kładą się na podłodze, drudzy na tapczanach niższych, inni zaś na górnym tapczanie. Wstać i chodzić niema gdzie, a usiąść chyba dobrze zgiętym, a że w tej małej kajucie pomieszczono nas blisko 200 osób, do tego nasze panie i dzieci, można sobie wyobrazić, na jakie dolegliwości i nieprzyjemności byliśmy narażeni, i jak na kupie jeden drugiego gniotąc leżeliśmy.

W każdej kajucie urządzona jest pompa, którą się woda z rzeki pompuje, a tuż obok tejże wychodki z kanałem do rzeki. Łatwo też sobie wyobrazić, jaki musiał to być apetytny napój do gaszenia pragnienia i koniecznego ochłodzenia się w tej ciasnej i dusznej atmosferze.

Na takich statkach są osobni żołnierze, należący do składu wojsk etapnych, uzbrojeni w rewolwery i pałasze, dwóch oficerów, naczelnik i jego pomocnik. Na statku znajdują się jeszcze: osobna kajuta dla chorych, druga dla osób z rodzinami, a trzecia dla kobiet. Wszystkie te, jakoteż dwie jeszcze próżne, zajęte były jako składy towarów, z czego ciągnął korzyść pan naczelnik, nie zważając, że my jak śledzie w beczce razem z naszymi paniami byliśmy pomieszczeni.

Dawano nam zwyczajne karmowe, a handel żywnością prowadzili żołnierze, zdzierając Nielitościwie nas głodnych i zamkniętych. Za jedną szklanekę gorącej wody do zaparzenia herbaty płaciliśmy 3 kopiejki, a jakie to dopiero bajeczne sumy żądano za chleb lub mięso!

Na samym statku parowym znajdowało się wielu podróżnych, dla których wysiadania i zabierania, statek przystawał dość często po rozmaitych stacyach, to po lewej to po prawej stronie Wołgi.

Okolic Wołgi podziwiać nie mogliśmy, bo na to nie pozwalały nam te dwa małe okienka w naszej kajucie.

Po 48-godzinnej podróży przybyliśmy 24. maja do Niżnonowogrodu, gdzie już na nas moc wojska czekała, które zaraz nas obstało dokola i do etapu popędziło.

Dzięki Ci Panie Boże, powiedzieliśmy, przecież raz pozwoliłeś nam się dobić do kolei żelaznej, skąd w trzech dniach możemy być już pomiędzy swoimi.

Najwięksi nasi pesymiści byli przekonani, że najdalej w ośmiu dniach staniemy u celu naszych marzeń.

Ale zawiedliśmy się, i na ile to jeszcze niewygód i nieprzyjemności mieliśmy być narażeni. — Nim nas na etapie porachowano, i każdego z osobna przeczytano, zeszło parę godzin. Pomieszczono nas w jednej izbie razem z naszymi paniami. Więzienie było za miastem, że zaś izbę naszą nie zamknięto, a podwórze było wielkie i czyste, przytem pogoda śliczna, więc pokładliśmy się na wolnem powietrzu.

Tego samego dnia przywieziono koleją z Moskwy 600 osób, między temi najwięcej włościan z Podola i Ukrainy z rodzinami, pędzonych na mieszkanie w Sybir, a wysłanych bez żadnego sądu, administracyjnym porządkiem.

Rząd rosyjski dla pozbycia się nieprzychylnych sobie włościan, dał potajemne rozporządzenie do powiatów i gmin, aby wszystkich tych, którzy pozostali jeszcze we wierze rzymsko-katolickiej, jakoteż tych prawosławnych, którzy są podejrzani o sprzyjanie Unii, jak również tych włościan, którzy komunikują się za często z dworami polskimi, wskazać wyższym władzom do zesłania ich na mieszkanie w Sybir, zachęcając gminy do tej denuncyacji tym szatańskim wymysłem, że grunta pozostałe po nich przypadną gminom.

Ze pomysł ten barbarzyński uwieńczony został pomyślnym skutkiem, przekonała nas ta partya pędzonych w Sybir, którą mieliśmy sposobność spotkać.

Wysyłano włościan najpracowitszych, najporządniejszych, a dlatego też najbogatszych, bo oto postarały się gminy, aby było czem się podzielić. Pijaka i próżniaka, który nic nie miał, pozostawiano w spokoju.

Wszyscy ci przed kilkoma jeszcze miesiącami zamożni gospodarze, byli obecnie żebrakami, gdyż rozkaz dostawienia ich do powiatu przyszedł tak nagle i niespodziewanie, że mało co mogli spieniężyć ze swych ruchomości i inwentarza; porwano ich z domu wraz z rodzinami, a w kilku już dniach była zaślana droga na Sybir tymi nieszczęśliwymi. Nie sąż to barbarzyństwa wołające o pomstę do nieba, a na które ucywilizowana Europa spogląda obojętnem okiem! Takimi to środkami zabezpiecza sobie Rosya egzystencyę na naszej Rusi.

Ci biedacy skarżyli się przed nami, mówiąc: „Proszę panów, co to ci Rosyanie z nami nie wyrabiają“, byli tak szlachetni, że wcale o to nie oskarżali gminy, twierdząc: „Gmina temu nie winna, im to rozkazali zrobić Rosyanie, nie wystaliby nas, to byliby innych wystali, widać już tak Pan Bóg chciał“.

Pocieszyliśmy ich, że w Syberyi nie jest tak źle, kto chce pracować, znajdzie tam dobry kawał chleba; napominaliśmy ich, aby się nie dali uwieść różnym rosyjskim obietnicom. Jeżeli tylko nie zapomną, że są i byli Rusinami, którzy zawsze szli ręką w rękę z braćmi Polakami, to się powinni spodziewać niedługo powrotu do kraju.

„My tak też myślimy, odpowiedzieli, przecie tam ten Napoleon nie da im tak długo brykać, bo później to by jego, Angliczana i Turka za łeb wzięli“.

Ucieszyliśmy się, że żyją przynajmniej w nadziei lepszych czasów w przyszłości, nie stracili ducha i nienawiści ku Rosyi. Żal nam tem bardziej było tych biednych ludzi, że ich sami własni bracia pozbawili ojczyzny, a Rosya wysyłała ich w dalekie strony azyatyckie, gdzie nie tyle duczliwy klimat i odległość, ile sama podróż na tych niepopsutych ludzi i ich rodziny, w towarzystwie największych łotrów i wyrzutek społeczeństwa, tak pod względem moralnym jak i fizycznym szkodliwie oddziałać może. Przytem będą oni narażeni na nieprawne postępowanie konwoju, bru-

talstwa towarzyszków niewoli, jakoteż na rozmaite dolegliwości podróży, osobliwie trójkami i statkami odbywane.

Podróż więźniów statkami jest bardzo nieprzyjemna i przykra, a to z powodu szelmstwa naczelników, którzy większą połowę statku ładują towarami, co im przynosi znaczny dochód, a pchają później do tysiąca osób zaledwie w kilka kajut. Do tego jeszcze dostarczają sami żywności aresztantom, która jest najgorszej jakości, bo zakupują mięso od rzeźników, pozostałe jeszcze z zimy, lub nawet ze zdechłych bydła; mięso to jest już cuchnące, a chleb pieczony ze stęchłej razowej mąki. Podróż taka z Niżnonowogrodu do Tiumenia trwa dni kilkanaście bez przerwy, nie dziwota też, że ze statku, który ostatni w roku 1868 przybył do Tiumenia z 1000 osób, wyniesiono 450 chorych, z których w przeciągu tygodnia zmarło osób 226! najwięcej dzieci i kobiet. Tak po każdym przywiezieniu statkiem więźniów do Tiumenia, prawie połowa zostaje w szpitalu, gdzie wielu z nich ginie dla braku lekarstw i lekarskiej opieki.

Po naszym już przybyciu do Kazania, opowiadali nam nasi koledzy, że jest zaprowadzony nowy system transportowania więźni, który już na nich był praktykowany. Porobiono nowe wozy na żelaznych osiach, na których spoczywa gruba żelazna płyta, po bokach i na wierzchu są mocne żelazne gęste kraty, a całość wygląda jak klatka, używana w menażeryach do przewożenia dzikich zwierząt. Drzwi prowadzące do tej klatki są tożsamo żelazne, okratowane, ze zamkiem do zamykania na klucz.

W takich klatkach wożą teraz aresztantów, pakują ich po sześciu okutych na nogi, a ręce przymocowują do krat wozu, urządzonymi umyślnie do tego łańcuchami. Klatka zamyka się na klucz, żołnierz ma urządzone miejsce w tyle, jak konduktor omnibusu, zaprzęgają cztery konie w poprzek, i co wyskoczyć mogą pędzą z temi nieszczęśliwemi ofiarami.

Naród tamtejszy przyzwyczajony do rozmaitych okrucieństw, nie może jednak znieść widoku tych dyabelskich

klatek pomysłu Trepowa, bo gdy się taki transport przy odgłosie dzwonek zbliża, ludź się żegna i ucieka do domów, mówiąc: „To już chyba sam dyabeł wymyślił!”

Nie jestże to oburzającym, widzieć w tem stuleciu ludzi pokutych na nogach, i przykutych w żelaznych klatkach, tak silnie zbudowanych, że śmiało bez obawy możnaby było wozić najdziksze zwierzęta! My dziękowaliśmy Panu Bogu, że nam się udało kilkoma tygodniami wcześniejszej podróży wywinąć się od tych menażeryjnych klatek, i ubolewaliśmy nad tymi biednymi naszymi braćmi, którzy po nas powracali do kraju, lub co gorsza, w Sybir pędzeni byli.

Jak tylko ulokowaliśmy się po całym więzieniu, jak kto i gdzie mógł — bo było przeszło tysiąc osób, tak że całe więzienie i wielkie podwórze zaślane było ludźmi rozmaitego wieku, mężczyźni, kobiety i dzieci razem — zjawił się inspektor etapów. Po raz to pierwszy przez cały nasz pochód w Sybir i z powrotem, zdybaliśmy takiego dygnitarza; był to bardzo grzeczny i uprzejmy człowiek, a zapytał nas, czy nie mamy o co prosić lub uskarżyć się.

Odpowiedzieliśmy, że w tej materii zanadto wiele mielibyśmy do gadania, bo już tyle razy do różnych władz podawaliśmy pisemne prośby i zażalenia, ale zawsze bezskutecznie; dlatego daliśmy już wszystkim naszym skargom za wygrane i postanowiliśmy wszystkie nad nami popełniane nadużycia znosić cierpliwie, tembardziej teraz, gdy dostaliśmy się do tak długo oczekiwanej kolei żelaznej, za pomocą której spodziewamy się wkrótce być w domu, gdzie będziemy mogli publicznie ogłosić bezprawne postępowania i pastwienie się nad nami rządu rosyjskiego.

Pan inspektor rządowy odpowiedział, że wszystko to, co tylko będzie w jego mocy, z pewnością nieomieszka dla nas uczynić.

Uskarżyliśmy się więc najpierw, że na statku próżne kajuty zajęte były towarami, a nas wszystkich do jednej ciasnej kajuty wpakowano; powtóre na brak żywności i zdzier-

stwa ze strony żołnierzy; potem na gburowate postępowanie naczelnika.

Później prosili ci, którzy jeszcze w Kazaniu na swój koszt jechać chcieli, aby ich stąd wysłano. Wkońcu pruski poddany, Wielkopolanin kował Malinowski, któremu papiery w Kazaniu zatracono, a urzędnik w jego spiskach napisał: „Poddany pruski wraca do rodzinnego kraju w Saratowskiej gubernii“, prosił o uregulowanie sprawy, gdyż go gwałtem do Saratowa pchano, pomimo jego i naszych przedstawień, że to niema najmniejszego sensu, aby poddany pruski wracał do Saratowskiej gubernii; w Saratowie musiałyby jaki rok lub dłużej w więzieniu przesiedzieć, zanim by Rosya sprawdziła, gdzie go wysłać należy. Ten sam Malinowski prosił, aby mu pozwolono na jego koszt telegrafować do ekspedycy więźniów w Omsku o sprawdzenie jego papierów, bo w Kazaniu jeszcze prosił o to gubernatora, który mu odpowiedział, że na to zezwolić nie może, tylko musi iść wprawdzie do Saratowa, skąd dopiero może reklamować.

Na te wszystkie nasze zażalenia i prośby odpowiedział inspektor, że nam dziś wieczór, lub jutro rano przyniesie odpowiedź i równocześnie oznajmił, że jutro wieczór o godzinie 7. wyjedziemy koleją żelazną do miasta Moskwy. Przyzwyczajeni po wszystkich gubernialnych miastach siedzieć przynajmniej po tygodniu, byliśmy tą wiadomością bardzo uradowani, gdyż rzeczywiście było to dla nas szczęście niespodziewane.

Tego samego dnia jeszcze wieczorem przyjechał inspektor z odpowiedzią na nasze żądania, z oświadczeniem, że Malinowski będzie mógł telegrafować, kto zaś życzy sobie jechać na swój koszt, temu jutro zostanie wręczony paszport; a co do naszych skarg na ciasne pomieszczenie, zdzierstwa żołnierzy i brutalne obejście się z nami oficera, to już przedstawił wojennemu naczelnikowi generał-porucznikowi, który jutro o godzinie 9. rano przyjedzie na śledztwo do więzienia. Inspektor etapów bardzo się dziwił, że żołnierze

śmieli handlem się trudnić, i nam sprzedawali gorącą wodę, która się nam należała bez żadnych wynagrodzeń; wkońcu bardzo nam dziękował, żeśmy go o tem zawiadomili, gdyż takie nadużycia mogły się jeszcze długo powtarzać.

Drugiego dnia rano podług przyrzeczenia inspektora, przyjechał generał, zawezwał nas wszystkich skarżących na odwach, gdzie zastaliśmy już naczelnika statku i żołnierzy. Generał wypytywał nas szczegółowo, jak się odbywała dla nas dostawa żywności, jak byliśmy pomieszczeni i czy o tem mówiliśmy naczelnikowi.

Opowiedzieliśmy wszystko rzetelnie, jak było. Wystąpił nas cierpliwie i zaraz przy nas rozkazał oficera i żołnierzy wsadzić na odwach i pod sąd oddać; nas zaś przeprosił za niewygody w pomieszczeniu i za wszystkie nad nami popełniane nadużycia ze strony oficera i żołnierzy, a pożegnawszy się z nami grzecznie, życzył nam szczęśliwej podróży.

Było to pierwsze nam sprawione zadośćuczynienie podczas całego naszego pobytu w Syberyi i w drodze. Skarżąc oficera i żołnierzy, nie chodziło nam już o nas, którzyśmy to szczęśliwie przetrwali, ale zrobiliśmy to dla naszych za nami idących braci, aby ich w przyszłości ochronić od tego zdzierstwa i wyzyskiwania oficerów i żołnierzy.

Malinowskiemu pozwolono telegrafować do Omska, za co z odpowiedzią zapłacił 9 rubli i zostawiono go w więzieniu do nadejścia odpowiedzi. Tym zaś, którzy na swój koszt jechać chcieli, wydano paszporta do Warszawy, z tem zastrzeżeniem, że nie pojedą z Moskwy na Petersburg, tylko na Orłów i Smoleńsk.

## VIII.

### Moskwa i Petersburg.

---

Miasto Niżnonowogród. Kolej żelazna. Aresztanckie wagony. Pożywienie. Moskwa. Kałamażny dwór. Nasze panie. Smotrytiel Gorski. Panna Izabela Woyno. Towarzystwo dam miłosierdzia. Wyjazd do Petersburga. Więzienie. Odwiedziny pułkownika. Wyprowadzenie na dworzec warszawski.

Dnia 26. maja o godzinie 12. w południe zaczęto już nas wywoływać i do drogi przysposabiać. Otoczono nas silną eskortą i poprowadzono do dworca kolejowego, oddalonego 8 wiorst od więzienia. Nie dano nam nawet pod rzeczy, jak też pod nasze panie i dzieci furmanek, które musieliśmy nając, co nam pobierającym skromny żołąd, wystarczający ledwo do zaspokojenia głodu, z trudnością przychodziło, tembardziej, że podczas jazdy koleją żelazną nie dają już żołądu, tylko na 24 godzin 2 funty razowego, stęchłego, niedopieczonego chleba i kawałek gotowanego zgniłego mięsa, które w brudnych workach przynoszą i żołnierz porcyami nadziewanemi na patyki, brudną ręką rozdaje aresztantom. Dostawy tej żywności podejmują się liweranci, i chociaż grubo muszą się władzom opłacać, robią przytem dobre interesa. Można mieć zatem łatwo pojęcie, jakie to musi być pożywienie.

Do dworca kolei żelaznej sześliśmy miastem murowanem, porządnie zbudowanem, ulicami szerokimi, przy których okazywały się gdzieniegdzie okazałe gmachy, przechodziliśmy koło wielu cerkwi, wszystkie były w bizantyńskim stylu

o pięciu kopułach bez żadnej estetyki zbudowane, dachy cerkwi i domów malowane na zielono, nadają miastu cechę czysto azyatycką. Miasto jest bardzo bogate i słynne ze swych jarmarków, a położone nad dwoma wspaniałymi rzekami, jest łącznikiem Europy z światem azyatyckim. Przez rzekę Okę, która tuż pod miastem wpada do Wołgi, przeprowiliśmy się statkiem parowym i szliśmy jeszcze ze trzy wiorsty, przechodząc przez wielkie place około długich parterowych drewnianych magazynów. Na tych to miejscach odbywają się właściwe jarmarki, podczas których obok Chińczyka, Japończyka, Persa, dzikiego Mongoła i Kirgiza zdybiesz wytwornego Francuza, zimnego i obojętnego Anglika, chciwego Niemca, przebiegłego Ormianina, Żyda i Rosyanina; jeden drugiego stara się oszukać, a w mowie panuje prawdziwa wieża babilońska. Na jarmarki tamtejsze przybywa kilkanaście tysięcy osób, których większa połowa dla braku miejsca obozuje w ustawionych barakach i pod gołym niebem.

Dworzec kolei ładnie zbudowany i dobrze utrzymany. Na dworcu rozdawano nam chleb i mięso, które tak było śmierdzące, żeśmy je nie przyjęli, oświadczając naczelnikowi, że w Moskwie o to upominać się będziemy, bo nie wiem czy pies zgłodniały połakomiłby się na to mięso i chleb.

Na kolei pomieszczono nas w aresztanckich wagonach, które na tej drodze są daleko wygodniejsze, bo przerobione z wagonów III klasy. Wagon taki ma okna opatrzone żelaznymi mocnymi kratami i ma dwoje drzwi zamykanych żelaznymi sztabami, a wewnątrz na dwóch siedzeniach urządzone są wychodki z zamykanymi klapami. Do jednego wagonu pchano nas po 60, siedzieliśmy ściśnięci jak owce. Przy każdych drzwiach postawiono dwóch żołnierzy z rewolwerami, a drzwi do tego zamknięto na sztaby i zamki.

W taką ciasnotę, gdzie ze żołnierzami znajdowało się nas 76 osób, wstawiono wielki ceber z wodą, z początku nie byliśmy z tego zadowoleni dla szczupłości miejsca, później okazał się ten ceber wielkim dobrodziejstwem, bo po-

mimo otwartych okien i chłodnej nocy, było tak parno i takie nieczyste powietrze, że bez wody, którą orzeźwialiśmy się i ochładzali, trudno byłoby wytrzymać. Żołnierze, którzy byli obowiązani dostarczać wody, przynieśli przez jedną noc do jednego wagonu pięć takich wielkich cebrów.

Na drugi dzień rano, to jest 27. maja po 16-godzinnej jeździe przybyliśmy jak tam nazywają do *matiuszki* Moskwy. Wypuszczono nas z wagonów jak z łaźni parowej, zgrzanych i zmęczonych, gdzie strudzona pierś nie mogła dość nałapać świeżego powietrza. Liczono nas po parę razy i poprowadzono pod silną eskortą.

Szliśmy 8 wiorst miastem rozwlekłem z mnóstwem cerkwi, po największej części ze złoconemi kopułami, dachy tych jak i kamienic i domów pomalowane były na zielono.

Przechodziliśmy koło Kremlu i zimowego carskiego dworca, aż doszliśmy do więzienia „przesyłanych aresztantów“, zwanego tam „kałamażny dworzec“, a przerobionego z dworskich stajen i wozowni, skąd też nosi to nazwisko.

Więzienie w Moskwie, gdzie jest zborny punkt wszystkich rozsyłanych aresztantów, czy to w Sybir, czy to do gubernij rosyjskich, było przepełnione rozmaitymi ludźmi, różnej narodowości i przeróżnych kategorii. Było tam naówczas 1200 osób, z tych bardzo wielu skazanych do ciężkich robót w Syberyi, którzy ówczas z niewiadomych przyczyn zatrzymani byli z rozporządzenia ministeryalnego.

Zastaliśmy tu naszych kilkunastu, przybyłych ze Syberyi i przeznaczonych na mieszkanie do Nowogrodzkiej gubernii, i kilku Galicyan zatrzymanych od kilku tygodni przez opieszłość władzy.

Tutaj nas znowu segregowano. Ze stanu uprzywilejowanego pomieszczono w tak zwanej izbie *dworiańskiej* (szlacheckiej), innych zaś naszych dla braku miejsca wpakowano do łaźni.

Panie nasze z dziećmi pomieszczono w oddziale żeńskim, w jednej sali, gdzie się znajdowało przeszło 150 ko-

biet rozmaitego wieku i różnych zbrodniarek, najgorszego prowadzenia. Trzeba sobie wystawić położenie naszych biednych kobiet, narażonych na nieprzyjemności swych towarzyszek, a wystawionych na słuchanie różnorodnych bezczelnych i bezwstydných przechwałek i pogadańek na wskrós zepsutych kobiet. Szczęście jeszcze, że to były same mężatki, chociaż z dziećmi, i to w większej liczbie razem; ale przed naszą partją znajdowała się tam sama jedna — 16-letni polski kwiateczek — panna Izabela Woyno, wracająca z ojcem i bratem ze Syberyi na mieszkanie do Królestwa. Wydarto ją gwałtem staremu ojcu, który długo opierał się i broił swego niewinnego dziecka, nie chcąc oddać pomiędzy te zgraje popsutych zgangrenowanych kobiet. Trzymano ją tam przez dni 14 z największemi zbrodniarkami i nierządnicami. Biedactwo rozchorowało się tam tak silnie, że do wysyłki na kolej musiano ją wieźć na wozie, a na własnych rękach wsadzili ją brat z ojcem do wagonu.

Przyjechawszy do Petersburga była już tak słaba, że musiano ją oddać do szpitala, gdzie dłuższy czas przeleżała i dopiero razem z nami, wynędzniała i jeszcze osłabiona, przybyła do Warszawy.

Z Moskwy dopiero po 14 dniach mieliśmy być wysłani do Petersburga.

Tutaj dawano wszystkim ze stanu uprzywilejowanego 15 kopiejek dziennie, innym zaś z tak zwanego tam „stanu prostego“ lichą strawę, składającą się z dwóch funtów razowego czarnego chleba i dwa razy dziennie ciepłej polewki. Nie będąc przez dzień zamykani, mogliśmy po obszernych dziedzińcach więzienia chodzić i wszędzie zaglądać; podczas tych naszych bezcelowych wędrówek, z nudów zachodziliśmy do kuchni, aby się przypatrzeć gotowaniu jada dla aresztantów. W Moskwie na 1000 osób dawano do dwóch wielkich kotłów razem 2 *pudy* (80 funtów) mięsa i około 4 garncy krup hreczanych lub jęczmiennych, przyczem wody nie żałowano. Łatwo można sobie wyobrazić, jak pożywne było

to jedzenie, a jednak wobec tego, co dawano w Kazaniu i po innych więzieniach — jadło to było arcywyborne.

Smotrytielem więzienia był kapitan Gorski, żołnierz z czasów mikołajowskich, bez najmniejszego wychowania, nieokrzesany gbur. U podobnych ludzi *dworianin* (szlachcic) ma pewien urok; dlatego też nas ze szlachty pomieszczono osobno, dość wygodnie i obchodzono się grzecznie, resztę zaś naszych, jak już wspomniałem, wpakowano do łaźni, a obchodzenie się z nimi było nietylko że niedelikatne, ale do najwyższego stopnia szorstkie i gburowate. Protestowaliśmy przeciw temu odróżnianiu nas, ale pan smotrytiel o tem ani słyszeć nie chciał, i nie mógł pojąć, aby szlachcic z człowiekiem bez herbu, jak się wyrażał „bez niczego“, mógł pod jednym dachem przebywać. „Oto tak samo proszę panów, mówił, jakby ja, kapitan, chciał razem sypiać z prostym żołdatem“.

Ponieważ w naszej izbie było dość miejsca jeszcze wolnego, wymogliśmy przeto z wielką biedą na smotrytielu, że dwudziestu kilku naszym „z prostego zwania“ pozwolił do nas się przenieść.

Smotrytiel co wieczór w asystencji oficera służbowego, dozorców i żandarmów odbywał *powierkę*, a rachując, musiał dla pewności każdego palcem dotknąć się. Nieszlachta stawała w szeregi po dwóch, szlachta zaś przy swoich miejscach do spania.

Smotrytiel był tak niegrzeczny, że *powierkę* tę odbywał z nakrytą głową. Postanowiliśmy dać mu to uczuć i przy pierwszej *powierce*, gdy przyjdzie w czapce, wszyscy mieliśmy ponakrywać głowy, i tak się też stało. Smotrytiel wszedłszy w czapkę, spostrzegł zaraz, że my nasze głowy jakby na komendę nakrywamy, zbladł ze złości, ale nic nie mówiąc, zaczął rachować najpierw szlachtę, podszedłszy zaś do naszych stojących w szeregach, a zobaczywszy ich także w czapkach, nie mógł już powstrzymać swego gniewu, i zapytał ich, jak śmiało w jego obecności stawać w szeregu

w czapkach na głowie, bo przez to okazują dla niego nieuszanowanie? Rozkazał żandarmom wziąć ich do ciemnicy i trzymać na głodzie. Odpowiedzieliśmy za nich, że my nic takiego złego nie zrobili, tylko odpłacamy niegrzeczność niegrzecznością. Smotrytiel zaczął się uniewinniać, że on przychodzi po służbie, i że go bolą oczy, przeto zawsze chodzi w czapce z daszkiem, a wkońcu oświadczył, że szlachta może być w czapkach, bo i on szlachcicem i tych potrafi oceniać, ale żeby naród prosty przed nim, to jest przed szlachcicem i kapitanem najjaśniejszego cara w czapce stawał, tego przebaczyć nie może i musi surowo ukarać. I tak go ta przez nieszlachtę wyrządzona obelga obeszła, że się rozpląkał, mówiąc, że coś podobnego nie spotkało go w życiu, ale obowiązkiem jego honoru jest tych przykładnie ukarać. Tłumaczyliśmy mu, że to jest niepodobieństwem, aby ich karał, i karać ich nie damy, bo w naszym przekonaniu jesteśmy sobie wszyscy równi, a jeżeli niezdjęcie czapki ma być występkiem, to jesteśmy wszyscy winni i chętnie poddamy się jednej i tej samej karze. Smotrytiel na nasze wywody nie mógł się zgodzić, jednak rzekł, że uczyni to dla nas szlachty, jako szlachcic, i tych od kary uwolni, i dodał w końcu, że się nigdy nie spodziewał, aby wszyscy Polacy, tacy ludzie wykształceni i porządni byli „masonami“. Ostatnia, tak niespodziewana konkluzya pana smotrytiela zabawiła nas bardzo.

Od tego czasu wchodził do nas kapitan z odkrytą głową, tylko nie odwiedzał nas tak często, jak dawniej, z czego byliśmy zadowoleni, bo nieraz wynudził nas porządnie swemi pogadankami; bąjał nam bowiem o swoim kapitaństwie i służbie wiernej carowi, że byłby już dawno podziękował, ale honor oficerski nie pozwala na to, obawia się, aby go nie posądzono o tchórzostwo, że się przeląkł tej ogromnej pracy i odpowiedzialności i porzucił, w przekonaniu jego, najważniejsze stanowisko w państwie, a do tego w największem mieście całego świata.

W państwie rosyjskiem jest przyjęty zwyczaj, że we wszystkich większych miastach, gdzie są więzienia, potworzono stowarzyszenia dobroczynności, ale tylko nad więźniami. Panie z najwyższej arystokracji rodowej i pieniężnej stoją na czele tych komitetów, które nawet zaglądadają do wewnętrznej administracji więzień. W Moskwie w roku 1868 na 1869 były na czele takiego komitetu dwie księżne Galicyń i Czetwertyńska. Paniom tym i w ogólności wszystkim komitetom nie idzie o to, aby te zdemoralizowane istoty umoralniać, lecz aby im tylko polepszyć byt materialny w więzieniu. Na ten cel zbierają znaczne sumy, które aresztantom częścią w żywności, a częścią przy wywiezieniu ich z miasta gotówką wypłacają. Z wiosną roku 1869 każdy z aresztantów przy odjeździe otrzymał 48 rubli na rękę, a wyszło ich z jednego miasta Moskwy przeszło 1600 osób, więc wydano co najmniej gotówką 80 tysięcy rubli, który to pieniądz przyczynia się właśnie do większej demoralizacji i zachęty, bo statystyka więźni rosyjskich poucza nas, że popełniane zbrodnie i występki powiększają się tam z każdym rokiem o znaczny procent.

Dnia 9. czerwca zawiadomił nas smotrytiel, że nazajutrz zostaniemy wyprawieni do Petersburga, i zaraz też na drugi dzień rano pod bardzo silną eskortą wojska i żandar mów poprowadzono nas na dworzec petersburski.

Dano nam tam jak w Niżnonowogrodzie, ale na dwa dni 4 funty razowego czarnego, niedopieczonego chleba i dwa kawałki, to jest na dwóch patyczkach około  $\frac{1}{4}$  funta gotowanego mięsa, czyli raczej gotowanej skóry. Wsadzono nas razem z naszymi paniami i dziećmi po 60 osób do jednego aresztanckiego wagonu z dwoma małemi w górze zakratowanemi oknami, wstawiono beczkę wody i jedne jedyne drzwi, które do tej klatki prowadziły z przodu, zamknięto mocnemi żelaznemi sztabami i postawiono dwóch żołnierzy na straży. Wychodki stanowiło parę przykrytych otworów w ławkach, na których się siedziało, a w razie potrzeby,

siedzący tam musiał wstać i przycisnąć się na opróżnione miejsce przez tego, co go spędzał z przymusowo zajętego miejsca.

Wagony nasze przyczepiono do pociągu towarowego. Po 44-godzinnej jeździe w ciasnocie nie do opisanego i okropnym powietrzu, będąc ciągle zamkniętymi, narażeni wobec naszych pań, a te wobec nas na straszne dolegliwości, przybyliśmy do Petersburga w bardzo opłakanym stanie. Trudno byłoby to opisać, z jaką rozkoszą wyłaziliśmy z tych klatek, wyprostowując skurczone członki i napawając się świeżym powietrzem.

Panie nasze z dziatwą usadziliśmy w najęte przez nas powozy, wojsko otoczyło nas wszystkich i przyspieszonym krokiem popędzono nas do więzienia przesyłanych aresztantów, znajdującego się w pośrodku miasta, w tak zwanym „zaułku Demidowskim“.

Więzienie to znajdowało się w końcu wąskiej zamkniętej ulicy, i jest rzetelnym obrazem prawdziwego blichtru rosyjskiego rządu.

Było to 12. czerwca około południa, gdy nas wpuszczono przez bramę na niewielki dziedziniec. Stanęliśmy przed dwupiętrowym budynkiem, wcale do więzienia niepodobnym. Wszedł pułkownik, naczelnik więzienia z dozorcą, i przywitawszy nas bardzo grzecznie, kazał nam się na pierwszym i drugim piętrze rozkwatować. Wszedłszy w środek już na korytarz, nie chcieliśmy wierzyć własnym oczom, żeby to było więzienie i byliśmy pewni, że przesłyszawszy się, weszliśmy w nienależne nam miejsce. Na korytarzu podłoga świecąca lakierowana, schody pokrowcami wyścielone, wszędzie czystość i porządek zadziwiający, a do tego pewien komfort. W pokojach małych z podłogą zapuszczoną stały pojedyncze żelazne łóżka, przy każdym dywanik pod nogi, dwa krzeselka i elegancka komódka. Łóżka powleczone czyściutką bielizną, co nam, którzyśmy przeszło sześć lat ani łóżek, a tem mniej pościeli nie widzieli, sprawiało pewien

kłopot, jak w takie łóżka, będąc obsypani niezliczonym ro-  
bactwem, mamy się pokłaść. Wkrótce zjawił się u nas puł-  
kownik, bardzo grzeczny i uprzejmy, z petersburskiego już  
świata, wypytywał się, czy nam czego nie potrzeba, i roz-  
kazał żandarmom, jeżeliby który z nas coś z miasta potrze-  
bował, aby natychmiast przyniesiono; w końcu oznajmił, że  
dopiero około 22., to jest za jakie dni dziesięć będziemy  
wysłani do Wilna.

— Jak to, do Wilna, nie do Warszawy? — zapyta-  
liśmy zdziwieni.

— A tak panowie, bo w Wilnie jest „więzienie prze-  
syłanych“, którego nam nie wolno pominąć.

Rozpacz nas ogarnęła na myśl, że będąc tak blisko  
celu, dwa dni jazdy koleją, będziemy musieli jeszcze stra-  
cić, jak się zdaje, parę tygodni na przebycie tej drogi.

Wielką radość sprawił mi pułkownik, oddając list mego  
brata, który przed dwoma miesiącami przejeżdżał przez Pe-  
tersburg, już kosztem rządowym, wyczerpawszy się z fundu-  
szów. Donosił mi z wielkim niepokojem, że od rodziców nie  
miał żadnej wiadomości, i zapytywał mię, czym list z kil-  
koma rublami, który smotrytielowi w Niżnonowogrodzie od-  
dał, odebrał. List ten został dla tych kilku mizernych rubli  
przez smotrytiela skradziony.

Będąc zmęczeni podróżą, udaliśmy się wcześniej na  
spoczynek, i dopiero na drugi dzień mogliśmy dokładnie  
zwieździć to stołeczne więzienie.

W pierwszym podwórzu stał dom dwupiętrowy, w któ-  
rym byliśmy pomieszczeni. Cały ten dom, gdzie się mieściło  
pomieszkanie smotrytiela i kancelarye, był urządzony nie-  
tylko wygodnie, ale z komfortem i z zadziwiającą czystością.  
Z tego podwórza wchodziło się bramą wielką, która była  
najczęściej zamkniętą, na drugie podwórze mniej obszerne,  
otoczone ze wszystkich stron budynkami.

Tam nie było już tego komfortu, czystości i porządku.  
Było to więzienie jeszcze dość znośne, podobne więcej do

koszar, łóżek tam już nie było, ale zato w każdej izbie stały w pośrodku dwoma rzędami prycze. Stamtąd szło się na trzecie podwórze, tak samo zabudowane. Zabudowania te, a w niem pomieszczenia były żywym obrazem zwyczajnych więzień rosyjskich. Wszystkie te zabudowania mogłyby pomieścić co najwyżej 600 osób, a jednak przy końcu zimy i z początkiem wiosny przebywa tam przeszło tysiąc więźniów, którzy tem więcej są ściśnięci, bo pierwszy budynek jest blichtrzem rosyjskim, służącym do pokazania całemu światu, jakie wygody mają tamtejsi więźniowie, i jak są traktowani po ludzku. Więzienie to jest najczęściej zajęte więźniami z uprzywilejowanego stanu.

Podczas naszej bytności znajdowało się tam bardzo mało więźni, gdyż była to pora, w której cały korpus areztancki w całym państwie jest w pełnym pochodzie.

Demidowski zaułek położony prawie w środku miasta, odwiedzany bywa często przez dobroczynne damy i wielkich dygnitarzy. Za naszych czasów przyjeżdżał odwiedzić swych poddanych pruski ambasador książę Reuss, był raz i minister spraw wewnętrznych i jakiś dygnitarz hr. Sumorokow obsypany licznymi orderami. Przyjeżdżała księżna Trubecka hr. Szeremetiew, hr. Bobroińska i wiele innych jeszcze pań ze świata arystokratycznego; a wszystko to wjeżdżało na pierwsze podwórze wykwintnemi ekwipażami, przywożąc ze sobą to pieniądze, to różne bakalie dla kryminalistów.

Jeszcze jadąc w Sybir, byliśmy ustawicznie nagabywani o przyjmowanie tych *podajń*, ale wszystkie partye nasze stanowczo odmawiały przyjmowania wszelkich jałmużn, i chociaż często, osobliwie w gubernii Krasnojarskiej i Irkuckiej głód nam nielitościwie dokuczał, to jednak nie znalazł się między nami ani jeden, któryby kiedykolwiek co przyjął, i w tym wypadku mieliśmy ustaloną opinię, tak, że już nigdzie nie narzucano się nam z przyjęciem *podajania*.

Cały dziesięciodniowy nasz pobyt w Petersburgu był zośny i gdyby nie tęsknota za krajem, która przy zbliża-

niu potęgowała się, i wywoływała nerwowe rozdrażnienie, nie moglibyśmy narzekać na tamtejsze władze, tem mniej jeszcze, że nam pozwolono po dwóch, wprawdzie z żandarmem, wychodzić do miasta, które oglądaliśmy powierzchownie, bo na szczegółowe zwiedzanie nie pozwalały nam nasze pustki w kieszeniach.

## IX.

### Wilno i Warszawa.

---

Wyjazd z Petersburga. Wilno. Modlitwa. Pomieszczenie. Odwiedziny. Wyjazd do Warszawy. Praga. Umieszczenie. Pochód do Warszawy. Ratusz. Pomieszczenie. Nasze opiekunki. Konsulat austriacki. Nadradca Stanisław Szlachtowski. Wypuszczenie z ratusza. Hotel wiedeński. Odwiedziny znajomych. Wiadomości z domu. Wyjazd z Warszawy.

Dnia 22. czerwca popołudniu pod silną eskortą żandarmów, czerkiesów i liniowych kozaków, popędzono nas na dworzec warszawsko-wiedeński, wsadzono w aresztanckie wagony tej samej konstrukcyi co w Moskwie, tym samym porządkiem i na tych samych warunkach, towarowym pociągiem przewieziono nas do Wilna, gdzie dopiero około południa 24. czerwca przybyliśmy.

Gdy już między naszymi rozległ się głos, jesteśmy niedaleko Wilna, każdy z nas przetarł strudzone powieki po dwudniowej uciążliwej jeździe, a gdy już uroczą okolica Wilna zaczęła się ukazywać, o ile nam na to pozwoliły dwa małe zakratowane w górze okienka, tętno bicia serc naszych przyspieszyło się, łyż cisnęły się do ocz i zapanował między nami uroczysty nastrój ducha. Przed oczyma naszymi przesuwwały się świetne dzieje tego grodu Jagiellonów i naszej wielkiej wspólnej ojczyzny, a mimowoli wydarł nam się z piersi okrzyk rozpaczny: — O Boże wielki i mocny, za co nas tak ciężko karzesz? bo choć wielkie były nasze grzechy, toć blisko stuletnia straszna okropna niewola milionów

ludzi, powinna była już przeważyć szalę popełnionych przez naród grzechów. O Boże litościwy, nie karz nas dłużej, a jeśli już taka wola Twoja, to nie pozwól nam przynajmniej w tej strasznej doli życia naszego upaść na duchu!

Wjechaliśmy na dworzec towarowy, a wyszedłszy z wagonów uklękliśmy razem, i mówiący pacierz, dziękując Panu Bogu, że nam pozwolił oglądać nasz kraj, przy krzyku Rosyan „prędzej, prędzej w pochód!” ucałowaliśmy ze czcią i łzami naszą świętą ziemię, przesiąkniętą krwią tylu niewinnych ofiar.

Wojsko czekało już na nas, otoczono nas szczerlnie dokoła i poprowadzono bokiem naokoło miasta do więzienia, przerobionego z klasztoru. Aresztantów było bardzo mało, więc i dość wygodnie byliśmy pomieszczeni.

Widać, że w mieście dowiedziano się o naszym przybyciu, bo zjawilo się wiele publiczności z miasta, chcącej się z nami widzieć. Była tam zapewne niejedna rodzina, która chciała się to o swoim ojcu, to bracie lub synie coś dowiedzieć, ale nie dopuszczono ich do nas. Zostawiono nam kilka koszów żywności z przysmaczkami litewskimi, które nam po dwudniowym wyposzczeniu się bardzo smakowały. Szczere Bóg zapłać składamy Wam za to zacne siostry Litwinki na tem miejscu i po tylu latach, gdyż naówczas wróg nasz nie pozwolił nam dostąpić tego szczęścia, aby Wam, szlachetne Panie, osobiście podziękować.

Po czterech dniach pobytu w Wilnie, gdzie nas, pomimo wielkich starań, nie wypuszczono ani na krok z więzienia, i gdzieśmy oprócz straży wojskowej nikogo nie widzieli, pojędzono nas dnia 28. czerwca wieczorem na kolej żelazną pod silną eskortą wojska liniowego i kozaków.

Na dworcu towarowym oczekiwała nas liczna publiczność, najwięcej naszych czcigodnych Litwinek, które pomimo kolb, nahajek kozackich i piskliwego krzyku żołdactwa *nie lzia*, starały się do nas przybliżyć, i okazać nam swoją radość z powrotu naszego w rodzinne strony. Nie

mogąc się do nas przybliżyć, powiewano zdala chustkami, życzone nam szczęśliwej podróży i zobaczenia się w szczęśliwszych warunkach naszego życia i naszych nieustających dążeń ku oswobodzeniu się z przygniatającego jarzma. I gdy nas już wsadzono w aresztanckie wagony, to zdala jeszcze słyszeliśmy głosy: „Bądźcie zdrowi kochani bracia, do miłego szczęśliwszego widzenia; niech Bóg was prowadzi!”

Z Wilna powieziono nas do Warszawy, znanym już i na włos nie zmienionym porządkiem.

Dopiero 30. czerwca nad ranem przybyliśmy na Pragę, jak zwykle na dworzec towarowy.

— Dzięki Ci Panie! dzięki wielki Boże! — zawołaliśmy razem — przecież raz pozwoliłeś nam doczekać się tej błogiej chwili stąpania po nadwiślańskim brzegu naszej kiedyś wielkiej, zamożnej i Tobie, o Boże! całym sercem oddanej Ojczyzny!

Że to było jeszcze rano, przeto pomieszczono nas tymczasowo w jakichś długich parterowych, drewnianych koszarach na Pradze, oznajmiając, że około południa zostaniemy przeprowadzeni do Warszawy.

W Warszawie dowiedziano się już o naszym przybyciu, bo już wcześniej rano przyszło wiele rodzin dopytywać się o swoich. Między nami powracała ze Syberyi pani Jasińska, właścicielka dóbr, na której spotkanie wyszedł mąż z trzema dorosłymi już córkami. Przed sześciu laty została je pani Jasińska jeszcze dziećmi; teraz witała je jako dorosłe córki, hoże Polki, godne swej matki. Radość przy witaniu, któremu towarzyszyły łzy szczęścia, była wielka. Było jeszcze więcej rodzin naszych tak z Litwy, jak z dawniej zabranych polskich prowincyj, które przybywały na mieszkanie do Królestwa polskiego; nazwisk tych już nie pamiętam, a obawiając się przy powrocie do kraju ściślej rewizyi, nie robiliśmy sobie żadnych notatek. Koło południa, jak było zapowiedziane, przybyło do Warszawy wojsko, żandarmerya i liniowi kozacy; wzięwszy nas w środek, popro-

wadzono do Warszawy. W Sybir idąc szliśmy jeszcze przez most łyżwowy, obecnie zaś przez wspaniały most na Wiśle.

Publiczność postępowała za nami, i tuż obok konwojujących nas kozaków, i wtedy to jeszcze niejedna nahajka upadła na plecy czcigodnych naszych Warszawianek, chcących się z nami widzieć, lub przyjść nam z materyalną pomocą. Przez dziewięć miesięczną podróż zbiedzeni, obdarci, po większej części w aresztanckich ubraniach, wyglądaliśmy jak istni Łazarze i żebracy.

W tłumie pomiędzy publicznością najbliżej nas trzymającą się poznałem kolegę z jednej ziemianki w Siwakowej, Niementowskiego, o którym już wspominałem. Ten powróciwszy za amnestią do kraju, przebywał wówczas w Warszawie. Mogliśmy tylko gestami i rękoma okazać wspólną naszą radość zobaczenia się na rodzinnej ziemi.

Wprowadzono nas na ratusz do policyi, gdzie prawie do wieczora rachowano, a później pojedynczo podług naszych nas konwojujących papierów odbierano. Bardzo mało osób, które były przeznaczone na mieszkanie w samej Warszawie, wypuszczono zaraz. Resztę i nas zagranicznych pomieszczono w policyi, pakując, zwyczajem rosyjskim, jak śledzie. Wielu z naszych chciano pomieścić z rzezymieszkami i łobuzami warszawskimi, lecz uwzględniono wstawienie się nasze za nimi i protest.

Tego samego dnia jeszcze znalazły się już nasze szlachetne opiekunki, o których wspominałem w „Obrazkach z katorgi“, pani Marya Bauerfeind i pani Apolonia Świeżewska, zasilając nas to żywnością, to czystą bielizną, której bardzo potrzebowaliśmy.

Przybył także odwiedzić nas Jaś S., obecnie mecenas warszawski, z którym łączyła nas ściśta przyjaźń z czasów naszego wspólnego więzienia w cytadeli warszawskiej. Ten oznajmił mi, że jutro w południe będziemy zawezwani do konsulatu austriackiego, gdzie się będzie z nami widział, i zakomunikuje mi wiadomości z domu, które jednak nie

będą może takie, jakbym sobie życzył. Wiadomość ta przerażała mnie bardzo i z bijącym sercem oczekiwałem następnego dnia.

Drugiego dnia rano zawezwano nas do konsulatu austriackiego, dokąd nas pod eskortą policyj i żandarmów poprowadzono. Tam spisywano z nami protokoły i sprawdzano przynależność do gmin. Wielu z naszych, którym czy to Rosyanie poprzekręcali nazwiska miejsca ich urodzenia, czy to zeznania ich nie zgadzały się ze zeznaniami władz galicyjskich, było przymuszonych dłuższy czas pozostawać w policyj warszawskiej, dopokąd nie nadeszły oświadczenia równobrzmiące przynależnych gmin i władz. Ci zaś, których papiery były w porządku i władza rosyjska z konsulem austriackim uznała ich za poddanych austriackich, mogli, jeśli mieli fundusze na zapłacenie kolei do granicy dla siebie, a dla konwojującego ich żandarma tam i z powrotem, i dwa ruble kosztów dyet dla żandarma, jechać jak najprędzej; resztę wysłano szupasem od wsi do wsi pod eskortą wiejskiej straży, a podróż taka z Warszawy do granicy ciągnęła się miesiącami.

Pierwszym wydawał konsulat zaraz paszporta. W tym wypadku należałem do szczęśliwców. Wówczas w Warszawie przebywał nadradca skarbowy ś. p. Dr Stanisław Szlachtowski jako delegat rządu austriackiego w sprawie uregulowania majątków biskupstwa krakowskiego, mój znajomy, a brat mego kuzyna Dra Feliksa Szlachtowskiego, prezydenta miasta Krakowa. Ten wiedząc od swej bratowej, Heleny Szlachtowskiej, o mym spodziewanym powrocie do kraju, oczekiwał mnie od dłuższego czasu, zjawiając się każdym razem w konsulacie, który go o mającej przybyć partyi ze Syberyi zawsze zawiadamił.

Tym razem oczekiwanie jego nie było daremne. Spozstrzegłszy mnie, przywitał serdecznie, wyrobił zaraz u władzy rosyjskiej uwolnienie z więzienia, jak również dwom moim kolegom, za którymi prosiłem, i zaopatrzył moją pró-

zną kasę tak hojnie, że jeszcze dwóch kolegów, ś. p. Adolfa Szulca i Franciszka Zgórka, mogłem zabrać ze sobą. Nam trzem wydano zaraz paszporta, które wręczono konwojującemu nas komisarzowi do wizy policmajstra.

Zjawiły się też w kancelaryi konsulatu nasze opiekunki, jak również i Jaś S., który towarzyszył swej matce.

Po poczciwej minie Jasia poznałem, że to, co ma mnie udzielić, a co tak trudno było mu wypowiedzieć, musi być dla mnie bardzo bolesnem.

Najpierw uwiadomił mnie, że rodzina moja mieszka obecnie w Tarnowie, a gdy zapytałem się go o przyczynę, która spowodowała opuszczenie wsi Siedliszowic, w której rodzice moi przeszło lat dwadzieścia przemieszkiwali, odpowiedział mi krótko, że stosunki rodzinne bardzo się zmieniły. Teraz dopiero stanął mi przed oczyma cały ogrom nieszczęścia, który spaść miał na mnie, a będąc już na najgorsze przygotowanym, spytałem się, czy rodzice są zdrowi i żyją? Na to tylko odrzekł: Matka twoja, siostry i bracia są zdrowi.

Teraz już wiedziałem wszystko; straszna mnie ogarnęła boleść, nie byłem w stanie pytać się go dalej o bliższe szczegóły, ani też korzystać z udzielonej mi wolności, i tę noc przepędziłem jeszcze w ratuszu warszawskim. Pomieszczenie w ratuszu, gdzie dawano naszym lichą więzienną strawę, było okropne. Dzień i noc pozamykani z wszelkimi naczyniami w ciasnocie, narażeni byliśmy oprócz tych dolegliwości na wielką ilość różnorodnego robactwa i na brutalne obchodzenie się z nami policji warszawskiej, osobliwie zaś tejeż urzędników.

Nazajutrz rano zawiadomiliśmy komisarza policji, że chcemy być wypuszczeni na wolność. Pożegnawszy się z zostającymi kolegami, poprowadzeni zostaliśmy do policmajstra miasta Warszawy, gdzie, nim nam zawizowano paszporta, musieliśmy złożyć pisemną deklarację, że nigdy w życiu naszym nie przekroczymy granicy państwa rosyjskiego.

Dano nam anioła stróża w osobie żandarma, dziwnym trafem był to jeden z tych, który konwojował mnie z Warszawy do Tobolska. Policmajster oświadczył nam, że na wstawienie się radcy Szlachtowskiego, pozwala nam trzy dni przemieszkać na wolnej stopie w mieście. Stanęliśmy więc w hotelu Wiedeńskim przy ulicy Marszałkowskiej, nie chcieliśmy bowiem korzystać z ofiarowanej nam gościnności przez domy prywatne. Wraz z nami zamieszkał i żandarm, któremu płaciliśmy dziennie dwa ruble dyet, ten zaś jak wyszedł rano, przychodził dopiero późno w nocy, zostawiając nas wolnymi.

Udałem się zaraz do państwa Świeszewskich, aby im podziękować za długą i staranną opiekę, a zarazem dowiedzieć się bliższych szczegółów o mej rodzinie.

Od nich dowiedziałem się, że po wywiezieniu mego brata Kornela i mnie w Sybir, ojciec mój w roku 1864 został przez rząd austriacki aresztowany i przesiedział długi czas z moim bratem Kazimierzem, naówczas uczniem VIII klasy gimnazjalnej w więzieniu w Tarnowie, gdzie straciwszy zdrowie, został dopiero w roku 1866 podczas ogólnej amnestyi uwolniony, i zmarł nagle przy końcu roku 1867, nie doczekawszy się powrotu swych synów ze Syberyi, których z tęsknem sercem codziennie wyglądał. Za poniesione zasługi dla oświaty ludowej i kościoła, pozwolono zwłoki jego złożyć w kościele Gręboszowskim. Matka zaś moja ze siostrami i najmłodszym bratem Władysławem, który do gimnazyum uczęszczał, mieszkała w Tarnowie.

Odwiedziwszy jeszcze niektórych znajomych, udałem się do Dra Szlachtowskiego, by mu podziękować za jego starania o nas. Ten ze znaną skromnością odrzekł, że nie mamy mu za co dziękować, bo nic takiego nie zrobił. Był to jeden z tych ludzi, którzy obowiązki urzędnika umieją pogodzić z obowiązkami prawego obywatela kraju, o czem się przekonałem będąc w roku 1863 podczas powstania w Krakowie, jak również podczas mego powrotu.

Ponieważ każdy z nas spragniony był jak najprędzej oglądać swą rodzinę, nie korzystaliśmy z pozwolenia trzechdniowego pobytu w Warszawie, i drugiego dnia rano udaliśmy się z naszym stróżem na dworzec, gdzie kupiwszy dla siebie i dla żandarma bilety III klasy, ruszyliśmy dnia 4. lipca koleją warszawsko-wiedeńską do granicy.

## X.

### K r a k ó w.

---

Poga nka w wagonie. Granica. Szczakowa. Zawiedzione nadzieje. Kraków. Przywitania. Wiktor Bylicki. Obywatel Dworski. Szlachtowscy. Matka w Tarnowie. Prowadzony dziennik. Do kolegów niewoli.

Przebywszy koleją żelazną całą drogę z Niżnonowogrodu do Warszawy w ciasnych i cuchnących wagonach areztańskich, zdawało się nam obecnie, że siedząc w dziesięć osób w jednej przedziałce, nie ma wygodniejszej jazdy na tym Bożym świecie.

Ubrania nasze na pół cywilizowane, a na pół areztańskie z siwego grubego sukna zwracały uwagę osób z nami jadących. Przy ogólnej pogadance, pokazało się później, że każda z jadących z nami osób miała kogoś, czy z krewnych, czy znajomych w Syberyi, lub w guberniach rosyjskich na wygnaniu, a o kilku znajomych mogliśmy nawet udzielić bliższych szczegółów.

Paszporta nasze miał przy sobie żandarm. Na granicy po stronie rosyjskiej obejrzano nas dokładnie i porównano nasze fizyognomie z podanymi rysopisami. Myśleliśmy, że tu już pozbędziemy się naszego żandarma, bo dotąd miał tylko zapłaconą kolej żelazną; tymczasem z paszportami naszymi w rękach odwiózł on nas do Szczakowy i oddał za pokwitowaniem tamtejszemu komisarzowi policyi, który dopiero wręczył nam nasze paszporta. Było to pamiętne dla nas

dnia 4. lipca 1869 roku, a więc po dziewięciu miesięcznej podróży z Ołonek.

Gdyśmy weszli do pociągu, mającego nas zawieźć do Krakowa, nie dowierzaliśmy sobie samym, że nie mamy więcej nad sobą anioła stróża; odetchnęliśmy swobodniej, dziękując Panu Bogu, że nam dozwolił doczekać się od dawna upragnionej wolności. Z bijącym sercem zbliżałem się do miasta, które opuściłem w lutym 1863 roku, jadąc do oddziału Langiewicza z najlepszą nadzieją i z niezachwianą wiarą oswobodzenia naszej drogiej ojczyzny z pod jarzma rosyjskiego.

Tymczasem, chociaż zawistny los rozdmuchał nasze najpiękniejsze nadzieje i pochłonał tyle ofiar, tyle krwi i mienia polskiego, toć przecież pokazał całemu światu, że naród Polski nie upadł na duchu, że żyje, gdy synowie jego z nad Wisły, Dźwiny, Dniepru, Warty i z pod Karpat, uzbrojeni tylko w kije i kosy, porwali się w długie zapasy z tym dzikim kolosem, przed którym drży znikczemiała cywilizowana Europa, spoglądając obojętnem okiem na barbarzyństwa tej dzikiej hordy, na bezprawia popełniane na narodzie, który mając wielką i chlubną, a przytem szlachetną przeszłość, zginąć nie może i nie zginie; a zaprawiony w męczeństwie, doświadczony tyloletnią niewolą, przechodząc ciężką szkołę życia politycznego, oparty tylko na swych własnych siłach, przy pomocy Bożej prędkiej czy później dobieje się bytu niezależnego.

W Krakowie na dworcu oczekiwali mnie już moi bracia: Kornel sybirak i Kazimierz, uczęszczający naówczas na wydział prawny, z którym przebyłem razem do końca uciążliwą kampanię pod Langiewiczem. Jaka była to radość po tylu latach niewidzenia się, łatwo odgadnąć.

Znalazłem w Krakowie bardzo wielu życzliwych ludzi, którzy starali się powracającym do kraju wygnańcom przychodzić z wszelką możliwą pomocą; a zawiązanie stowarzyszenia „Wzajemnej pomocy Sybiraków“ przez pana Wiktora

Bylickiego, które znaczna liczba naszego obywatelstwa popierała, było dobitnym dowodem, że w kraju naszym nie brak ofiarności i szlachetnych serc.

Był naówczas w Krakowie obywatel, właściciel hotelu „Polskiego“ przy ulicy św. Józefa, Dworski, ten powracającym Sybirakom otworzył gościnne podwoje swego hotelu, nie bacząc, że zaproszeni i z uprzejmością przyjmowani goście, oprócz licznego robactwa, pozostawianego w czystej pościeli, niczem innem wywdzięczyc się nie będą mogli. Wielu z naszych przebywało tam przez dłuższy czas, będąc do tego i żywieni.

Pomimo, że zaraz się przebrałem, zaopatrzony przez braci w czystą bieliznę i rzeczy, nie mogłem się jednak przez dłuższy czas pozbyć tej pamiątki więzień rosyjskich.

Przez cały czas mej niewoli, tak w śledztwie w cytadeli warszawskiej, jak też później w Syberji, doznawałem od państwa Feliksowstwa Szlachtowskich serdecznego współczucia, które spotęgowało się jeszcze przy moim powrocie; zato składam im na tem miejscu serdeczne podziękowanie, nie mniej i zato, że gdy przejeżdżając przez Kraków do powstania, kiedy to pobyt nie był mi dozwolonym, pod ich opiekuńczem skrzydłem przebywałem bezpiecznie.

Zabawiwszy dwa dni w Krakowie, pospieszyłem do Tarnowa, aby upaść do nóg najdroższej naszej matce, która wyprawiając swych czterech synów do powstania, błogosławiąc, przekazała nam nie zapominać o Panu Bogu i spełniać swój obowiązek jak przystało na prawych i wiernych synów Polski.

Na tem kończę moje „Wspomnienia ze Syberji“, a nie będąc literatem, tylko żołnierzem z zawodu, starałem się to wszystko spisać, co zapamiętałem. Od czasu mego aresztowania aż do powrotu do kraju prowadziłem dokładny dziennik, który przy powrocie do kraju przez Krasnojarsk zostawiłem tam koledze z powstania Br. do przechowania, obawiając się, aby mi nie był przez Rosyan zabrany.

Jeślibym kiedy ten dziennik otrzymał, nie omieszkałbym uzupełnić niniejszych wspomnień.

Spisaniem tych wspomnień chciałbym zachęcić licznych towarzyszy niewoli, z których bardzo wielu lepiej odemnie piórem władać potrafi, aby zechcieli podać do ogólnej wiadomości to, co przechodzili, czego byli naocznymi świadkami. Będzie to przyczynek do polskiej martyrologii. „Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka“.



The following are the principal reasons for the...  
 The first reason is that the...  
 The second reason is that the...  
 The third reason is that the...  
 The fourth reason is that the...  
 The fifth reason is that the...  
 The sixth reason is that the...  
 The seventh reason is that the...  
 The eighth reason is that the...  
 The ninth reason is that the...  
 The tenth reason is that the...  
 The eleventh reason is that the...  
 The twelfth reason is that the...  
 The thirteenth reason is that the...  
 The fourteenth reason is that the...  
 The fifteenth reason is that the...  
 The sixteenth reason is that the...  
 The seventeenth reason is that the...  
 The eighteenth reason is that the...  
 The nineteenth reason is that the...  
 The twentieth reason is that the...  
 The twenty-first reason is that the...  
 The twenty-second reason is that the...  
 The twenty-third reason is that the...  
 The twenty-fourth reason is that the...  
 The twenty-fifth reason is that the...  
 The twenty-sixth reason is that the...  
 The twenty-seventh reason is that the...  
 The twenty-eighth reason is that the...  
 The twenty-ninth reason is that the...  
 The thirtieth reason is that the...  
 The thirty-first reason is that the...  
 The thirty-second reason is that the...  
 The thirty-third reason is that the...  
 The thirty-fourth reason is that the...  
 The thirty-fifth reason is that the...  
 The thirty-sixth reason is that the...  
 The thirty-seventh reason is that the...  
 The thirty-eighth reason is that the...  
 The thirty-ninth reason is that the...  
 The fortieth reason is that the...  
 The forty-first reason is that the...  
 The forty-second reason is that the...  
 The forty-third reason is that the...  
 The forty-fourth reason is that the...  
 The forty-fifth reason is that the...  
 The forty-sixth reason is that the...  
 The forty-seventh reason is that the...  
 The forty-eighth reason is that the...  
 The forty-ninth reason is that the...  
 The fiftieth reason is that the...

## T R E Ś Ć.

### Serya pierwsza. — OBRAZKI Z KATORGI.

- |  | Strony |
|--|--------|
| I. Etapy. — Pierwszy pochód. Pół etap. Transport więźni. Etap Kuściera. Pomieszczenie. Naczelnik i pani naczelnikowa. Przekupki. Śniadanie u naczelnika. Dalsza droga . . . . .  | 9      |
| II. Fabrykacya fałszywych rosyjskich rubli w więzieniach i na etapach Sybiru. — Fałszerze i urzędnicy. Książę Suworow. Książę litewscy: Syrwit i Jacewicz. Petersburg. Moskwa. Pochód przez Moskwę. Książę Oboleński. Tobolsk. Gubernator Zenowicz. Urzędnicy gubernialni. Propozycya. Fałszowanie 25-rublówki. Tomsk. Gubernator Lerche. Fabrykacya pieniędzy. Rewizya. Handel fałszywymi rublami. Krasnojarsk. Gubernator Zamietin. Ojciec Komisarowa. Organizacya cywilnych arestantów. Maurycy Ritter. Awantura w Zeledewie. Przybycie do Krasnojarska . . . . .   | 20     |
| III. Kopalnie żelaza i huty w Pietrowsku. Więzienie w Siwakowej i komendant, wojskowy starszyna (major) Zaborowski. — Przybycie do Irkucka. Pietrowsk. Rozgiętdiejew. Więzienie Dekabrystów. Spis więźni w Pietrowsku. Witold Marczewski. Mikołaj Epstein. Franciszek Zbijewski. Zarząd. Wyjazd do Siwakowej i Domny. Budowa statków. Stawianie mieszkań. Książę i szlachta polska przy pracy. Mała Warszawa. Urządzenie Siwakowej. Kradzieże w Rosyi. Akordowe roboty. Katałaszk. Franciszek Sokołowski. Wzięcie koszar w Rawie. Partya Lichtańskiego. Awantura w Siwakowej. Rozprawa publiczna. Ososko i Szlezinger. Sąd w Czycie i wyrok. Zaprzestanie robót. Parafie Siwakowskie. Odprawianie nabożeństw. Budowa kaplicy i jej zabranie. Kapitan Łytkin. Wywiezienie księży. Powódź. Kupiectwo czyckie. Przeniewierstwa. Wysłanie na posilenie. Straty. Sokołowskiego śmierć . . . . . | 37     |
| IV. Kopalnie nerczyńskie i ich komendanci. — Nerczyńsk. Generał Szyłow. Aleksandrowsk. Akatuja. Kotumara. Klitszka. Ałgatsz. Kadaja. Generał Woroncow. Porucznik Jelski. Brygadyer Iwanow. Dr Paszkowski. Opór przeciw robocie. Kaplaczy i Jelski. Historia Karola XII. Nasi naturalisci. Kradzieże Rosyan. Zaborowski. Denuncyacye. Guber-  |        |


- nator Dittmar. Alarm w Aleksandrowsku. Dr Orłowski. Dr Dworzaczek. Rewizya w Ałgaczu. Pułkownik Knobloch i jego polityka. Wyjazd na posielenie. Stepy Buryackie. Odwlekanie manifestu. Rozboje Sybiraków. Komendant Szostakow. Włóczęgi. Urządzenie wewnętrzne w Kadai. Kamieniecki. Szmiddecki. Pawłowski. Paszkowski . . . . . 66
- V. Michajłow i groby w Kadaji. — Zasady Michajłowa. Uwięzienie. Sąd. Wystanie do katorgi. Przyjęcie w Tobolsku. Pietrowsk. Pułkownik Daichmann. Wywiezienie. Życie w Kadaji. Śmierć Michajłowa. Grób i sąsiednie groby. Lityński. Ludwik Cairol. Seweryn Wołoszyński. Pamięć męczenników . . . . . 99
- VI. Krasuski, pułkownik huzarów rosyjskich. — Znajomości w Anglii. Wojna krymska. Wyjazd za granicę. Kampania Garibaldiego. Uśmierzenie buntu. Sąd. Wystanie w Sybir. Rabunek dzieci. Śmierć żony. List do cara. Plany ucieczki. Mieszkanie w Aleksandrowsku. Ucieczka. Śmierć . . . . . 121
- VII. Strażak warszawski. — Straż warszawska. W oddziale. Pobyt w Tarnowie. Oddział Miniewskiego. Śledztwo. Osądzienie. Wyprawa po skradziony worek. Powrót. Awantura na etapie. Posielenie. Czytanie dzienników niemieckich. Funkcye lekarskie. Powrót do kraju . . . . . 132
- VIII. Ojciec Białkowski, znany w Sybirze jako „Ojciec Szelst”. — Dobroczynność. Powstanie 1830 roku. Przejście do Galicyi. Powrót do miejsc rodzinnych. Niewola. Osądzienie. Powrót do kraju. Powstanie 1863 roku. Oddział Ruckiego. Bitwa pod Fajstawicami. Czyny bohaterskie. Białobodzki. Niedźwiedzki. Mykita. Wzięcie do niewoli. Pędzenie do Lublina. Wyszukiwanie i mianowanie starszyny. Pochód do Warszawy. Pułkownik Broniewski. Cytadela warszawska. Śledztwo. Opiekunki cytadeli. Nęcza podczas pochodu w Sybir. Sprzedawanie ubrań i kajdan. Krzeszowiacy. Bracia Wielhorscy. Woźniacki. Żywienie i odziewanie. Powtórny powrót do kraju. Zatrudnienie. Śmierć . . . . . 139
- IX. Męczennica Gudzińska. — Odwach aleksandryjski. Odwiedziny. Panie Świeszewska i M. Bauerfeind. Czytanie wyroków. Gudzińska. Kowalski. Konfirmacya. Komisya śledcza. Męczeństwo Gudzińskiej. Wypowiedzenie prawdy. Pędzenie na dworzec. Ostatnie pożegnanie. Zamordowanie szpiega. Jan Karłowicz. Aresztowanie. Tobolsk. Przybycie do Irkucka. Usola. Roboty. Choroba. Zaślubiny. Tomkowi. Śmierć. Mogiła . . . . . 158
- X. Usola. — Żupy solne. Mieszkańcy. Komendanci żup i więźniów politycznych. Spis skazańców w Usoli. Żony towarzyszące mężom . . . . . 168

## Serya druga. — POSIELENIE.

- I. Na posieleniu. — Przybycie do Czyty. Przyjęcie Korsakowa. Nasi rządzą miastem. Teatr. Balet. Iluminacja. Przyjazd. Baykał. Przeprowa latem. Przeprowa zimą. Posolsk. Listwicznia. Podróż Angarą. Wiadomości od brata. Posielenie. Ołonki. Zatrudnienie. Życie Sybiraków. Życie nasze. Panomarowa. Pogadanki z popem. Popełniane zbrodnie. Ukraińcy: Manasterski i Bejnarowicz. Kradzież koła. Nieproszony gość. Wiadomość o powrocie do kraju. Podróż do brata do Tugutuji. Manifest . . . . . 175
- II. Sprawnik bałagańskiego okręgu, renegat Wielohorski. — Organizacja gminna. Podatki. Sprawnik. Komitet opiekuńczy. Zapomogi. Kupienko. Wybiegi Wielohorskiego. Dostawa owsa. Roboty przy drogach. Grabieże włościan. Demoralizacja rosyjska. Metresy Korsakowa. Opłacanie naczelników. Sprawozdanie powiatowe. Zaręczyny. Dostawa zboża. Popi. Poświęcanie domów. Cuda. Czynnicy . . . 196
- III. Manifest carski z roku 1868. — Łaska carska. Dziennikarstwo europejskie. Siedem punktów manifestu. Znaczenie manifestu. Rozbiór krytyczny. Kolega Sawiniec . . . . . 215
- IV. Starania o powrót do kraju. — Zwlekanie manifestu. Walka z Wielohorskim. Podróż do Irkucka. Polacy w Irkucku. Kolega Sikorski. Odwiedziny Epsteina. Wizyta u gubernatora Erena. Naczelnik kancelaryi Łukianow. Naczelnik ekspedycyi Popow. Policmajster Dumański. Powrót do Ołonek. Przygotowania do odjazdu . . . . . 224

## Serya trzecia. — POWRÓT DO KRAJU.

- I. Z Ołonek do Krasnojarska. — Pożegnanie kolegów. Bałagańsk. Pierwszy etap. Porządek obrotny. Koledzy na etapie. Wirchny Udyńsk. Telegram do Irkucka. Sprawnik Prytkow. Rozbójstwa. Smotrytel więzienia. Kapitan Bernard. Birusa. Kańsk. Sprawnik Popow. Posieleńcy polscy w powiecie Kańskim. Galicyanin Krotochwil. Przybycie do Krasnojarska . . . . . 237
- II. Z Krasnojarska do Tomska. — Policmajster Barszczow. List od brata Kornela. Inne prawa. Słowo honoru Erena. Dysputa z gubernatorem. Opór i siła. Pochód do Aczyńska. Sprawnik Zingbusch. Okręgowe miasto Maryańsk. Inne prawa. Rozdział. Przybycie do Tomska . . . . . 252
- III. Z Tomska do Tiumentia. — Rozkwaterowanie. Starania u pana Gurjewa. Telegrafowanie do Irkucka. Odpowiedź. Mrozy Tomskie. Wyjazd konną partyą. Koływan. Stepy Barabińców. Stepy Kirgijskie. Omsk. Kościół w Omsku. Iszym. Izłutorsk. Przybycie do Tiumentia . . . . . 259

- IV. Z Tiumenia do Permy. — Więzienie. Demoralizacya w więzieniu. Nowy porządek. Trójki. Odjazd. Maczafkin. Nadużycia rosyjskie. Głód. Wiadomości po etapach. Ekaterinburg. Przyjęcie w Kamyszłowie. Perma . . . . . 264
- V. Z Permy do Kazania. — Straszne więzienie. Inne prawa. Urzędnik Paraszkin. Droga do Ohańska. Debios. Plemiona Czumaszów. Watiaków. Choroba. Szpital w Małmyżu. Dr Swirk. Roztopy. Przybycie do Kazania . . . . . 270
- VI. Więzienie w Kazaniu. — Więzienie. Zdzierstwa rosyjskie. Nasze Polki. Śmierć trzyletniego Kraśnika. Barbarzyństwa rosyjskie. Naczelnik więzienia. Sowiec. Bunt. Wyjazd . 275
- VII. Z Kazania do Niżnonowogrodu. — Pływające więzienie. Pomieszczenie. Przybycie do Niżnonowogrodu. Gnani Rusini z rodzinami. Choroby i śmierć. Skargi. Nieznana sprawiedliwość. Malinowski . . . . . 285
- VIII. Moskwa i Petersburg. — Miasto Niżnonowogród. Kolej żelazna. Aresztanckie wagony. Pożywienie. Moskwa. Kałamażny dwór. Nasze panie. Smotrytel Gorski. Panna Izabela Woyno. Towarzystwo dam miłosierdzia. Wyjazd do Petersburga. Więzienie. Odwiedziny pułkownika. Wyprawienie na dworzec warszawski . . . . . 293
- IX. Wilno i Warszawa. — Wyjazd z Petersburga. Wilno. Modlitwa. Pomieszczenie. Odwiedziny. Wyjazd do Warszawy. Praga. Umieszczenie. Pochód do Warszawy. Ratusz. Pomieszczenie. Nasze opiekunki. Konsulat austriacki. Nadradca Stanisł. Szlachtowski. Wypuszczenie z ratusza. Hotel wiedeński. Odwiedziny znajomych. Wiadomości z domu. Wyjazd z Warszawy . . . . . 304
- X. Kraków. — Pogadanka w wagonie. Granica. Szczakowa. Zawiedzione nadzieje. Kraków. Przywitania. Wiktor Bylicki. Obywatel Dworski. Szlachtowscy. Matka w Tarnowie. Prowadzony dziennik. Do kolegów niewoli . . . . 312
- 
- 



|        |
|--------|
|        |
| 374057 |
| 2      |